

Zabójca gigantów

King William

Książka VII z Przygody Gotreka i
Felixa



calibre 0.9.43

William King

Zabójca Gigantów

Przygody Gotreka i Felixa cz. VII

Tłumaczył Grzegorz Bonikowski

To mroczna, krwawa era. Czasy demonów i czarnoksiężstwa. To era bitew i śmierci, a także końca świata. Pośród ognia, płomieni i szaleństwa jest to także czas wielkich bohaterów, śmiałych czynów i wielkiej odwagi.

W sercu Starego Świata rozciąga się Imperium, największe i najpotężniejsze z królestw ludzi. Słynie ze swoich inżynierów, czarodziejów, kupców i żołnierzy. To kraina ogromnych gór, szerokich rzek, ciemnych lasów i rozległych miast. Z wyżyn tronu w Altdorfie włada nią Imperator Karl-Franz, wyświęcony potomek założyciela tego państwa – Sigmara i powiernik jego magicznego miota bojowego.

Ale te czasy dalekie są od spokoju. Wszereż i wzdłuż Starego Świata, od rycerskich zamków Bretanii do skutego lodem Kisleva na dalekiej północy, zewsząd słycać doniesienia o zbliżającej się wojnie. W niebotycznych Górach Krańca Świata plemiona orków szykują się do kolejnej napaści. Zbóje i odstępcy nękać dzikie ziemie Księstw Granicznych na południu. Pojawiają się plotki o podobnych szczirom istotach, skavenach, które wynurzają się z rynsztoków i bagien we wszystkich krainach. Na północnych pustkowiach nie ustępuje wieczna groźba Chaosu, demonów i zwierzolutzi wypaczonych przez nikczemne moce Mrocznych Bogów. Gdy pora rozstrzygającej bitwy zbliża się coraz bardziej, Imperium potrzebuje bohaterów, jak nigdy wcześniej.

„Sylvania okazała się być siedliskiem przerażających rzeczy. Straszliwe wydarzenia w Zamku Drakenhof przepełniły nas smutkiem i strachem. Zapobiegliśmy powstaniu wielkiego koszmaru, ale zapłaciliśmy straszną cenę. Nie było widać końca walk i przerażenia. Gdy tylko pokonaliśmy naszego nieumarłego wroga, los rzucił nas prosto w objęcia nowej, jeszcze bardziej desperackiej przygody. Wiązało się z nią niepojęte dziedzictwo dawno umarłej rasy oraz spotkanie z największym żyjącym czarodziejem tamtych czasów, a także bitwy z przeciwnikami straszniejszymi i groźniejszymi niż niemal wszystko z czym zmierzaliśmy się wcześniej. W trakcie tych przygód dowiedziałem się więcej o tajemnej historii naszego świata niż chciałbym kiedykolwiek wiedzieć, a moje życie i dusza znalazły się w największym niebezpieczeństwie. Nawet teraz, gdy spoglądam wstecz na te przerażające wydarzenia, jestem zdumiony, że przetrwałem. Wielu z moich towarzyszy nie miało tyle szczęścia...”

– Fragment z Moich Podróży z Gotrekiem, Tom IV, spisany przez Herr Felixa Jaegera (Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Prolog

Ziemia zatrzęsała się. Wokół rozlegały się krzyki przerażonych. Wielkie budowle chwiały się w posadach. Posągi bóstw spadały z podwyższeń w kaplicach prastarych świątyń, rozbijając się na tysiące odłamków, gdy ziemia szarpała się niczym konający wąż. Biegi ulicami starożytnego miasta widząc trwogę na twarzach jego ludu. Mijał rozpadające się dwory, w których zapomniane duchy poprzednich właścicieli pojękiwały cicho ze strachu. Potężna kolumna Żeglarza wznosząca się przed nim zadrżała, a potem runęła. Król Feniks wzleciał ze swego wysokiego postumentu. Jego rozłożone ramiona wydawały się wymachiwać z przerażenia podczas upadku na ziemię.

Gdy wspiał się na wysokie wzgórza wyrastające nad ogromnym portem, rzut oka na szczyty otaczające miasto potwierdził najgorsze przypuszczenia. Góry płonęły światłem dzikiej magii uwolnionej spod kontroli. Nawet z tej odległości wyczuwał tę nieposkromioną moc i nie musiał rzucać zaklęć jasnowidzenia, by wiedzieć, że działo się coś bardzo złego ze starymi zaklęciami jakie chroniły jego kraj i lud.

Nagle – nie był do końca pewien jak to się stało – znalazł się na szczycie wielkiego muru, który od dziesiątków stuleci strzegł wybrzeża. Spoglądając na morze dostrzegł coś, czego obawiał się najbardziej. Pędem zbliżała się olbrzymia fala, dwukrotnie wyższa od muru, pchana siłą która mogła zmiażdżyć miasto. W jej wnętrzu ryczały, zawodziły i próbowały uwolnić się ogromne morskie bestie wyrwane z głębin otaczających wyspiarski kontynent. Siła, dzięki której potrafiły w ciągu kilku sekund rozerwać nawet największy okręt, okazywała się bezużyteczna w uścisku tej przerażającej, morderczej fali.

Wiedząc, że czyni to na próżno, przygotował się na przyjęcie uderzenia i chciał przyciągnąć do siebie całą posiadaną moc. Nie spodziewał się, by mógł to przetrwać. Chciał postawić najsilniejsze zapory magiczne, ale z jakiegoś powodu, tak jak się obawiał, nic z tego nie wyszło. Moc sączyła się niczym leniwy strumień, podczas gdy wcześniej skąpałby się w potężnej energii.

Fala, stukrotnie przewyższająca wzrost najwyższego z ludzi, wznosiła się nad jego głową i rosła gotowa przełamać się. W pewnej chwili spojrział w oczy uwięzionego potwora morskiego czując, że mają ze sobą coś wspólnego, a potem wielka, różowa paszcza rozwarła się – w cieniu fali załśniły zęby długie jak miecze i potężna fala runęła naprzód, by przebić się przez mur z przerażającą, niepowstrzymaną siłą.

Przemknęła nad nim, miażdżąc go, topiąc, ciskając w głębinę i pomknęła dalej, by zmieść z oblicza planety ostatnie i największe miasto elfów.

Nagle znalazł się gdzieś indziej – w miejscu, które nie było miejscem, w czasie, który pozostawał poza czasem. Były tam obecne istoty ani umarłe, ani żywe – potężni magowie. Na ich twarzach wyryły się eony bólu, blizny po zmaganiach, w których nie powinien uczestniczyć żaden ze śmiertelników. Nawet on sam, uznawany za jednego z największych czarodziejów świata, był przytłoczony potęgą otaczających go zaklęć. Co więcej, przerażała go świadomość w jakim miejscu i w jakim czasie się znalazł.

Cieniste byty tańczyły wokół bezustannie odprawiając rytuał, którego nie wolno im było przerwać pod groźbą doprowadzenia świata do katastrofy. Przypominali upiory, a ich ruchy były powolne i zbolące, jak u mechanicznych figur krasnoludów, których mechanizmy powoli zamierały. Wiedział, że kiedyś byli elfami, największymi czarodziejami swoich czasów, którzy poświęcili się, by ocalić swój kraj i lud.

– Witaj, dziedzicu krwi Aenariona – odezwał się prastary głos. Był suchy, zdarty, ale nadal słyhać w nim było śpiewny akcent z gór Kaledoru.

– Witaj, Władco Smoków – odpowiedział, wiedząc kogo miał przed sobą. Zastanawiał się, czy to mógł być sen, chociaż wiedział, że tak nie było.

– A zatem nadal jesteśmy pamiętani pośród żywych? – odezwał się głos.

– Pamiętani i szanowani.

– To dobrze. To zapłata za nasze poświęcenie.

W głosie wyraźnie brzmiała nuta rozzalenia. Nie dziwiło go to. Zapewne sam uzałaby się nad sobą, gdyby przez pięć tysiącleci pozostawał uwięziony w centrum wielkiego wiru, starając się utrzymać sieć zakłęb, jakie unosiły wyspę-kontynent na powierzchni wód.

Wizja zadrgała jak odbicie na powierzchni poruszonej wody. Przerażające, upiorne postacie wydały się znikać, z czego był rad. Powinien pozwolić im odejść, ale wiedział, że nie bez powodu sprowadzono go do tamtego miejsca.

– Dlaczego tutaj jestem? – wykrzyknął, a jego słowa odbijały się echem jakby zabrzmiały w nieskończonych jaskiniach i rezonowały w odległych wiekach.

– Stare bariery upadają. Ścieżki Pradawnych zostały otwarte. Nie możemy utrzymać Splotu.

– Co mam uczynić?

– Znajdź źródło zakłęb. Odszukaj Wyrocznie Prawdomówców. Ona powie ci wszystko, czego musisz się dowiedzieć. Zamknij pradawne przejścia. Ruszaj niezwłocznie i samotnie. Po drodze znajdziesz sprzymierzeńców, w nader niespodziewanych postaciach. Idź. Zostało niewiele czasu. Nawet ten przekaz osłabia nas, a musimy zachować resztkę sił jaka nam pozostała.

Słowa jeszcze nie wybrzmiały z głębi nieskończoności, gdy głos zaczął słabnąć. Słyszając to poczuł, że ogarnia go wielki strach.

Arcymag Teclis gwałtownie usiadł ściągając jedwabne prześcieradła z nagich sylwetek swoich towarzyszek. Okrywał go zimny pot – czuł ten zapach przebijający się ponad piżmowe aromaty okrywające dwie kurtyzany.

– Cóż takiego, mój panie? – spytała Shienara. Na jej pięknej, pociągłej twarzy malowała się troska. – Co cię gnębi?

– Nic – skłamał, podnosząc się z łoża i utykając przeszedł przez komnatę. Sięgnął po puchar i kryształową karafkę wina rżniętą w kształt smoka.

– To były znowu te sny? Koszmary?

Rzucił jej zimne spojrzenie.

– A cóż ty wiesz o koszmarach? – spytał.

– Mówiłeś przez sen, mój panie. Rzuciłaś się niespokojnie, więc domyśliłam się...

Przyglądał się jej długo i przenikliwie. Jego liczni wrogowie dobrze by zapłacili, aby usłyszeć te słowa.

– Nie było żadnych koszmarów – powiedział czerpiąc moc. Inaczej jak we śnie, przepłynął przez niego silny strumień energii. – Nie było żadnych snów. Powinnaś zapomnieć o takich rzeczach.

Jej piękna twarz przez chwilę wyrażała całkowitą pustkę, gdy zawładnęło nią zakłęcie. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się pytająco.

– Śpij – powiedział – a gdy się obudzisz, niczego nie będziesz pamiętać.

Natychmiast osunęła się i znieruchomiała obok ciała swojej bliźniaczki. Wzruszył ramionami, żałując, że sam nie potrafi spać tak twardo. Wiedział, że już nigdy nie będzie tego potrafił bez pomocy magii, a na to nie mógł sobie pozwolić. Poczuł chwilowe wyrzuty sumienia, że potraktował w ten sposób elfkę, ale to były dziwne i złe czasy. Potrzeba zachowania bezpieczeństwa była najważniejsza. Pradawni wrogowie poruszyli się. Stare bóstwa zaczęły się budzić. Każda wyrocznia i każdy jasnowidz, jacy znaleźli się między tamtym miejscem a dalekim Katajem – wszyscy głosili

nadejście zagłady. To samo mówiły jego tablice gwiazdne. Pociągnął łyk cierpkiego wina. Przełknął je gładko.

Wykonał gest i szata przefrunęła przez całą komnatę, po czym owinęła się wokół jego nagiej sylwetki. Założył parę ciżem wykonanych z najlepszego jedwabiu z Katalju. Wyciągnął rękę, do której wskoczyła laska. Utykając wyszedł z pomieszczenia i siedł zimnymi, rozbrzmiewającymi echem salami rodowej siedziby. Kierował się do pracowni wiedząc, że jak zawsze postara się znaleźć pokrzepienie w wiedzy. Kilku wiekowych posługaczy, którzy nadal nie spali, rozpierzchło się na widok jego zmarszczonego czoła. Rozumieli, że nie należało przerywać rozmyślań ich pana.

Wiedział, że nadchodziły mroczne czasy. Nie mógł już dłużej ignorować snów. Zresztą, dawno temu nauczył się, że to byłoby nierozważne.

Jego pracownia ukryta w najgłębszych piwnicach pod dworem zapewniała mu prawdziwe schronienie. Wchodząc do niej wymówił słowa rozkazu. Natychmiast na swoich miejscach pojawiły się magiczne zapory. Powietrze migotało od ich spętanej mocy. Nawet najpotężniejszy demon nie mógłby przez nie przeniknąć.

Uwięziony homunkulus obrócił się powoli w słoju płynu konserwującego. Wykonał obsceniczny gest w kierunku swego pana, który przeszedł obok. Stworzenie nie było zachwycone swoim domem. Na jego karku pulsowały maleńkie skrzela. Cienkie skórzaste skrzydła maciły ciecz, w których pływał. Teclis posłał mu zimny uśmiech i stwór zamarł w pół ruchu. Niewiele rzeczy na tym świecie i poza nim, miało odwagę drażnić maga gdy dopadł go zły humor.

Przeszedł przez komnatę mijając uporządkowane nisze zawierające tajemnicze przyrzady i szczegółowo opisane serie woluminów w setkach żywych i martwych języków. Wreszcie znalazł to, czego szukał – dziwny aparat, który wydobył z ruin starożytnego katajskiego miasta niemal dwa stulecia wcześniej. Była to masywna sfera oksydowanego brązu, pokryta wyrytymi dziwnymi runami, które przypominały dzieła upadłych mieszkańców Lustrii.

Teclis zasiadł ze skrzyżowanymi nogami przed Sferą Przeznaczenia i zadumał się nad swoim snem. Przeżył go już po raz trzeci w ciągu niepełnego miesiąca. Za każdym razem wizja była bardziej wyraźna i żywa od poprzedniej. Po raz pierwszy jednak przemówili do niego starożytni. Czy naprawdę rozmawiał z duchami prastarych czarodziejów, którzy chronili jego ziemię? Czy sięgnęli przez bariery, które ich wiązały i nawiązali z nim kontakt? Uśmiechnął się ponuro. Wiedział, że możliwe było zsyłanie snów, które miały ostrzegać lub ranić, ale wiedział również, że czasami w snach przemawiała do niego tylko jego najgłębsza podświadomość. W ten sposób nadawała kształt jego lękom i przeczuciom. Próbowwała go o czymś ostrzec jakaś przyjazna siła, albo jego ukryte instynkty – nie było istotne, które z nich. Należało działać.

Nie musiał być wielkim czarodziejem, by domyślić się, że na świecie działo się coś złego. Raporty od kapitanów Orłów przynosiły katastrofalne wieści z najdalszych krain. W Katalju wodzowie podnieśli rebelię przeciwko Pomazańcowi Niebios. W Arabii fanatyk, który zwał siebie Prorokiem Prawa podburzał ludność nawołując do oczyszczenia ich ziemi ze zła... a w jego definicji zła mieścił się każdy, kto nie był człowiekiem. W miastach swojego podziemnego imperium kłębiły się niespokojne skaveny. Oddziały Wiedźniego Króla ponownie wkroczyły na ziemię Ulthuanu. Elfie armie zbierały się przed wymarszem na północ, by się im przeciwstawić, a ich floty stale patrolowały północne morza. A miesiąc wcześniej Teclis został wezwany tutaj, do Lothern i na dwór Króla Feniksa, aby omówić te sprawy, po czym nakazano mu przygotowanie się do wojny.

Przesunął dłonie nad sferą. Metalowe wstęgi osłony zapadły się w sobie odsłaniając mlecznobiały klejnot, który pulsował własnym wewnętrznym światłem. Mag wypowiedział słowa inwokacji, które znalazł w zwoju pochodzącym z czasów panowania Bel Korhadrisa, sprzed niemal trzech tysięcy lat i

na powierzchni kuli zatańczyły światła. Pstryknął palcami i świece halucynogennych kadzideł ze skoncentrowanych liści czarnego lotosu zamigotały i zapłonęły. Zacerpnął głęboko ich dymu i w pełni otworzył magiczne zmysły wyczuwając jak jego punkt widzenia zapada się wsysany w głąb kryształu. Przez długą chwilę nic się nie działo. Widział tylko czerń, słyszał jedynie przytłumione uderzenia swojego serca. Kontynuował wypowiedzianie inwokacji tkając bez wysiłku zaklęcie, którego opanowanie zajęłoby słabszemu magowi całe życie.

Teraz wydawało mu się, że unosi się nad Ulthuanem. Widział doskonale nawet w ciemnościach i dostrzegał rzeczy, które były widoczne tylko dla maga. Widział strumienie magii pętane przez kamienie strażnicze, które utrzymywały wyspiarski kontynent ponad falami. Wyspa, tysiąclecia wcześniej podniesiona działaniem planetarnej magii pradawnych, potrzebowała obecnie tej samej magii, by nie dopuścić do zapadnięcia się kontynentu pod powierzchnię morza. W swoich snach przemówił do tych, którzy podtrzymywali te zaklęcia. Wiedział, że to miało duże znaczenie. Zauważał drobne przebłyski, które były śladem magii utrzymywanej przez podobnych mu czarodziejów, znakiem zawiłych struktur zaklęć tkanych przez mistrzów najbardziej magicznego ludu na całym świecie.

Wyczuwając zakłócenie w przepływie mocy posłał pędem swoją świadomość w kierunku jego źródła. Daleko na północy wyczuł obecność osobliwości czekającej na najdalszym biegunie. Niespokojnie pulsowała energią wieszcząc bliski koniec świata. Nadal nie rozbudziła się w pełni, a jednak...

W ciągu kilku uderzeń serca jego duchowy wzrok przemknął nad Pustkowiami Chaosu, tak blisko polarnego wynaturzenia, jak tylko się ośmielił, mijając wielkie hordy zakutych w czerń wojowników obozujących na zimnych równinach oraz ohydne legiony rogatych zwierzoludzi, którzy ciągnęli za nimi. Widział potężne strumienie chaotycznej energii, które pędziły ponad nimi wiatry magii, ale nie dostrzegł tam niczego, co mogłoby wywołać jakiegokolwiek zakłócenia w jego wyspiarskim domu. Tym niemniej, rozmiary tej olbrzymiej armii najeźdźców były niepokojące. Była większa niż wszystko, co mogły zgromadzić dziesiątkowane siły elfów, a wiedział, że to był tylko niewielki fragment hordy jaką zbierały mroczne potęgi.

Wysłał sferę przez niebo w stronę starożytnego miasta Praag i zobaczył, że nadal leżało w ruinach, chociaż jego mieszkańcy dzielnie podejmowali wysiłki, aby je odbudować. Co ciekawe, obecne były tam też krasnoludy. Najwyraźniej odwieczni wrogowie jego ludu przybyli, by pomóc ludziom w tej godzinie potrzeby.

Pozwolił swoim oczom spocząć na masywnej cytadeli jakby owiniętej w zaklęcia, których nawet on nie potrafił przeniknąć i zastanawiał się, coż takiego trzymano w głębiach pod tym ufortyfikowanym szczytem. Jaka pradawna tajemnica wciąż na nowo przyciągała armie Chaosu do tego miejsca? Jakie starożytne przysięgi wiązały ludzi zmuszając do odbudowy ich nawiedzonego miasta w obliczu nieprzerwanego cyklu destrukcji? Domysły były interesujące, ale prowadziły donikąd. Stanowiły tylko potwierdzenie tego, o czym już słyszał: w Starym Świecie trwała największa inwazja od stuleci i obawiał się, że do jej odparcia nie wystarczą siły ludzi i krasnoludów.

Unosił wzrok coraz wyżej, aż zobaczył pod sobą krzywiznę śpiącego świata, linie mocy przepływające przez noc niczym olbrzymia sieć, jaką dostrzegał poprzez białe, turbulentne spirale obłoków. Przyjrzał im się uważnie szukając wskazówek i znalazł je. Linie mocy z leżącej na północy wyspy Albion, które normalnie płynęły do Ulthuanu, teraz były niezwykle słabe. Chwilami migotały i zanikały. Czasami płonęły jasno i potężne impulsy energii pędziły nad morzem w kierunku wyspiarskiego kontynentu. Pulsowanie mocy z głębi Pustkowi Chaosu docierało do Albionu, a potem

zanikało. Strumienie z Albionu wybiegały naprzód i rozplywały się w stronę Imperium, Bretonii i Ulthuanu.

Co się tam działo? Jaka magia to sprawiała? Te sieci energii pochodziły z najbardziej zamierzchłych czasów – co mogło wykorzystywać je do swoich celów? Nic dobrego – tego był pewien. Pchnął swój punkt widzenia zamknięty w sferze do Albionu. Sfera pomknęła ku magicznym barierom jakie otaczały wyspę, w skłębione mgły i tam zatrzymała się całkowicie i ostatecznie.

Niedobrze – pomyślał. Albion zawsze pozostawał otoczony zaklęciami o wielkiej mocy, które miały go chronić przed oczami cudzoziemców. Te zaklęcia z pewnością nadal działały. Nie – pomyślał – to nie całkiem prawda. Była w nich subtelna skaza – zła, albo czegoś innego.

Krótko zastanawiał się nad tym, co zobaczył i w jego umyśle zaczęło kiełkować przerażające podejrzenie. Przypomnił sobie fragmenty pewnych zakazanych tekstów z pradziejów, spisanych przez szalonych elfich magów u zarania czasu. Były to legendy o najdawniejszych bogach tego świata, które opowiadały o rzeczach, o jakich lepiej zapomnieć. Ale najwyraźniej ktoś je pamiętał. Ktoś poruszył rzeczy, których nie należało dotykać. Jego serce ścisnął strach, gdy zastanowił się nad tym. Musiał zasięgnąć rady u pewnych prastarych źródeł i należało to zrobić natychmiast. Jeśli jego podejrzenia były prawdziwe, istotnie nie było ani chwili do stracenia.

Świt zastał Teclisa na balkonie biblioteki, z książką rozłożoną na kolanach i twarzą wspartą na dłoniach. Stary dwór wybudowany na zboczu najwyższego wzgórza górującego nad miastem Lothern zapewniał wspaniały widok na wybrzeże. Morze było gładkie i spokojne jak sadzawka; jego powierzchni nie zakłócał nawet najmniejszy ślad olbrzymiej fali z jego koszmarów.

Przez chwilę żałował, że nie mógł być z powrotem w wieży Hoeth, mając w zasięgu rąk największą bibliotekę na świecie, wraz z innymi czarodziejami, z którymi mógł się skonsultować. Ale to było nierozsądne życzenie. Do tego miejsca sprowadziła go polityka. Nie lubił tu przebywać, w majątku, który dzielił ze swoim bratem. Nie lubił go, gdy byli dziećmi i to się nie zmieniło. Przypuszczał, że sprawiała to zbyt wiele starych wspomnień, zbyt liczne pamiątki długich wieczorów choroby i kalectwa. Czuł się tu jak w hospicjum albo jednej ze świątyń eutanazji, dokąd udawali się zmęczeni życiem, by zakończyć swe żywota w spokoju i komforcie.

Odsunął od siebie te myśli. W tym momencie ziemia zadrżała. To był bardzo delikatny wstrząs. Po powierzchni wina w jego kielichu ledwo przebiegły zmarszczki. Ściany starego pałacu lekko drgnęły. To mogło być naturalne trzęsienie ziemi, ale wątpił w to. Wszystkie znaki były wyraźne. Coś zakłócało pradawne zaklęcia, które spajały kontynent Ulthuanu i powstrzymywały go przed ponownym zniknięciem pod falami. A jeśli czegoś się nie zrobi, jego koszmary staną się prawdą.

Wszedł Aldreth, jeden z jego najstarszych służących. Teclis wiedział, że to było coś ważnego. Stary elf otrzymał rozkaz, by nie przeszkadzać panu sprawami o wadze mniejszej niż wezwanie od samego Króla Feniksa.

– Twój brat, panie, pragnie z tobą rozmawiać – oznajmił.

Teclis uśmiechnął się gorzko. Nie sposób było zaprzeczyć, że znalazł się w domu. To miejsce należało tyleż samo do niego, jak do Tyriona, a służba była równie lojalna wobec jego bliźniaka, jak wobec niego. Pomyślał jadowicie, że zapewne bardziej lojalna wobec brata. Oczywiście, jego brat odejdzie, jeśli Teclis wyrazi pragnienie pozostania w samotności. Miał maniery równie doskonałe jak wszystko inne, co się z nim wiązało. Teclis odwrócił wzrok ponownie ku morzu. Zauważył, że tego dnia był w paskudnym nastroju.

– Wprowadź mojego brata – odezwał się. – I przygotuj jedzenie, jeśli sobie tego zażyczy.

– To trochę wczesna pora na popijanie wina – powiedział Tyrion wkraczając na balkon. W jego głosie brzmiała nuta wyrzutu, który równał się grzmiącemu chórowi nagany od kogokolwiek innego.

Teclis spojrział na brata. Był tak wysoki, wyprostowany. Miał zgrabne kończyny, a twarz tak szczerą i otwartą. Jego głos był piękny jak świątynny dzwon bijący na powitanie jutrzeńki. Zdumiewał się, że to olśniewające stworzenie może być jego bliźniakiem. Wydawało się, że bogowie, którzy obsypali Tyriona wszelkimi darami pozostawili jego brata jako niedokończone dzieło.

– Rozumiem bracie, że to oznacza, iż nie przyłączysz się do mnie? Wiedział, że nie jest sprawiedliwy. Bogowie dali mu dar magii nieporównywalny z niczym na świecie tych czasów, a także wolę niezbędną, by używać tej potęgi jak należy. A jednak, bywały chwile, gdy z chęcią zamieniłby to wszystko na niewymuszoną popularność Tyriona, jego swobodę i dworskość, zdolność do zachowania pogody ducha nawet w najgorszych czasach, a także jego oszałamiająco dobre zdrowie.

– Wręcz przeciwnie. Moim braterskim obowiązkiem jest pilnowanie, żebyś nie pił samotnie. Tylko bogowie wiedzą, do czego mogłoby to doprowadzić.

To było właśnie to – słynny urok, umiejętność zmiany klimatu sytuacji za pomocą uśmiechu i pozornie nieprzemyślanego żartu. Tyrion sięgnął po puchar i nalał sobie do pełna. Nie było w tym geście żadnej formalności, ani śladu niekończących się pustych rytuałów, którymi Teclis tak bardzo gardził podczas spotkań elfiej społeczności. To był niedbały gest wojownika czującego się bardziej w sobie w obozie wojskowym niż na dworze Króla Feniksa, a jednak jego brat wiedział, że właśnie to najlepiej uspokoi bliźniaka. Teclis rozumiał dlaczego na dworze bywali tacy, którzy przyrównywali brata do Malekitha z dawnych czasów, zanim Wiedźmi Król objawił swoje prawdziwe oblicze. Znał brata od początku ich życia, ale nawet on nie był pewien ile talentu wymagało utrzymywanie tej pieczołowicie maskowanej czujności.

Tyrion pomachał ręką, a Teclis uniósł wzrok. Na balkonie powyżej Shienara i jej siostra Malyria odpowiedziały machaniem. Spoglądały na Tyriona wzrokiem łączącym otwarte pożądanie i podziw, który zawsze wzbudzał u kobiet. To było oczywiście bezcelowe, bowiem oczy Tyriona nie odrywały się od jego małżonki, Wiecznej Królowej. W odróżnieniu od większości elfich mężczyzn, nigdy nie był niewierny.

– Za co wznosimy ten toast o wczesnym poranku? – spytał Tyrion.

– Za koniec świata – odparł Teclis.

– Aż tak źle? – zapytał Tyrion.

– W każdym razie, koniec naszego świata.

– Nie sądzę, by Mroczni pokonali nas tym razem – powiedział Tyrion.

Właśnie tego spodziewał się usłyszeć Teclis od swojego brata, ale zauważył w nim wzmożoną czujność i niepokój. Nagle zaczął wyglądać dokładnie tak jak ktoś, kim był – najbardziej zabójczym elfim wojownikiem od dwudziestu pokoleń.

– Nie troskam się o naszego drogiego krewniaka i jego pomocników, lecz o sam Ulthuan. Ktoś, lub coś manipuluje kamieniami strażniczymi, albo mocą jaka je otacza.

– A zatem, te wstrząsy i erupcje nie są przypadkowe? Spodziewałem się tego.

– Nie, to nie jest przypadek.

– Wobec tego, wkrótce wyjedziesz.

To nie było pytanie. Teclis uśmiechnął się skinąwszy głową. Jego brat zawsze rozumiał go lepiej od jakiegokolwiek innej żywej istoty.

– Czy chcesz towarzystwa w swojej podróży? Mam poprowadzić flotę na północ, by zmierzyć się z pomiotem Naggaroth, ale jeśli to co mówisz jest prawdą, jestem pewien, że Król Feniks może obyć się bez moich usług.

Teclis potrząsnął głową.

– Flota cię potrzebuje. Jesteś potrzebny naszym armiom. Tam dokąd zmierzam zaklęcia będą bardziej przydatne od mieczy.

Teclis gwałtownie postawił swój napój na pięknym stole z kości słoniowej. Omal nie wylał zawartości naczynia na spoczywające na nim pergaminy. Spędził prawie całą noc spisując je.

– Zadbaj proszę, by te pisma zostały skopiowane i dostarczone jego wysokości i mistrzom w Hoeth – nakazał Aldrethowi. – Teraz muszę już ruszać. Mam przed sobą długą drogę i niewiele czasu, by ją przebyć.

Rozdział 1

Felix Jaeger z ciężkim sercem przyglądał się ostatnim z ocalałych kislevickich wojowników, którzy układali zwłoki Ivana Petrovicha na stosie. Stary żołnierz wydawał się nieco mniejszy, skurczony po śmierci. Na jego twarzy nie widać było śladu spokoju, który miał ogarniać wchodzących do królestwa Morra, Boga Śmierci, ale Felix wiedział, że ostatnie chwile życia Ivana były dalekie od przyjemności. Ivan był świadkiem zamiany jego jedyne dziecko, Ulriki, w wampira, bezduszną krwiożerczą istotę, a sam poległ z rąk sług jej nieumarłego pana. Felix wzdrygnął się i otulił w wyblakły czerwony płaszcz z sudenlandzkiej wełny. Niegdyś wydawało mu się, że był zakochany w córce Ivana. Co miał o tym myśleć teraz?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie był jej pewien nawet wtedy, gdy ona nadal zaliczała się do żywych. Zrozumiał, że teraz już nigdy nie będzie miał szansy dowiedzieć się prawdy. Gdzieś w głębi jego serca zaczęła powoli rozpalać się ponura, tłąca się jeszcze odraza wobec bogów. Zaczynał rozumieć co czuł Gotrek.

Spojrzał na Zabójcę. Grubiańskie oblicze krasnoluda było niespotykane zamyślane. Jego przysadzista, ciężka sylwetka, znacznie szersza od ludzkiej, wydawała się nie na miejscu pośród kislevickich jeźdźców. Masywną dłońią potarł opaskę zakrywającą wyłupione oko, a potem z namysłem podrapał się po ogolonej i wytatuowanej głowie. Wielki grzebień farbowanych na czerwono włosów opadł od zimna i śniegu. Podniósł wzrok i zauważywszy spojrzenie Felixa potrząsnął głową. Felix domyślał się, że Gotrek na swój dziwny sposób lubił starego bojara z kresów. Co więcej, Ivan Petrovich był jakoś powiązany z tajemniczą przeszłością Zabójcy. Znał krasnoluda od czasu jego pierwszej wyprawy na Pustkowie Chaosu, wiele lat wcześniej.

Na myśl o tym Felix zdał sobie sprawę, jak daleko od swojego domu umarł Ivan. Z tego miejsca, z mrocznych puszczy Sylvanii, musiało dzielić ich co najmniej trzysta mil od zimnych krain na granicy Kisleva, gdzie niegdyś rządził. Oczywiście, królestwo starego bojara już przepadło, zmiecione przez ogromną inwazję Chaosu, która pociągnęła na południe, aż do Praag.

– Snorri myśli, że Ivan umarł dobrą śmiercią – odezwał się Snorri Gryzonos. Wyglądał na zasmuconego. Pomimo panującego zimna, drugi Zabójca nie był lepiej ubrany od Gotreka. Może krasnoludy po prostu nie odczuwały niewygód tak jak ludzie? A co bardziej prawdopodobne, były po prostu zbyt uparte, by przyznać się do tego. Zwykle głupkowato radosny wyraz twarzy Snorriego zaćmił żal. Może nie był tak nieczuły jakim się wydawał?

– Nie ma czegoś takiego jak dobra śmierć – mruknął Felix pod nosem. Gdy zdał sobie sprawę, co właśnie powiedział, zmówił cichą modlitwę, by tych słów nie usłyszał żaden z krasnoludów. Ostatecznie sam złożył przysięgę, by podążać za Gotrekiem i opisać zagładę Zabójcy w epickim poemacie. Wydawało mu się, że od tamtej chwili minęło całe życie. Krasnoludy żyły tylko po to, by odpokutować za jakieś domniemane grzechy lub przestępstwa. Poszukiwali śmierci z rąk potężnego potwora, albo w obliczu przeciwników, w walce z którymi mieli jak najmniejsze szanse przetrwania.

Ocaleni Kislevici przechodzili obok stosu i okazywali ostatnie wyrazy szacunku swojemu dawnemu wodzowi. Wielu z nich wykonywało znak wilczego boga Ulryka palcami lewej dłoni, a potem rzucali spojrzenie przez ramię i powtarzali gest. Felix nie dziwił im się. Znajdowali się niemal w cieniu Zamku Drakenhof – tej potężnej cytadeli zła, którą chciał zawładnąć wampirzy lord Adolphus Krieger. Zdobył starożytny amulet i planował zapanować nad całą arystokracją nocy. Zamiast tego udało mu się tylko sprowadzić zagładę na siebie.

Ale za jaką cenę? Tak wielu straciło życie. W pobliżu znajdował się kolejny wielki stos, którzy ocaleni Kislevici w pośpiechu usypali dla swoich poległych. Następny zawierał szczątki

wyznawców wampira. Tu, na przeklętej ziemi Sylvania, ci ludzie nie zamierzali zostawiać żadnych ciał bez spalenia. Nie chcieli dopuścić, by zostali wskrzeszeni w mrocznym rytuale jakiegoś nekromanty.

Max Schreiber podszedł opierając się na lasce. Wyglądał imponująco w złotych szatach, jak prawdziwy czarodziej. Nawet plamy krwi i nacięcia od miecza na ubraniu nie odbierały mu ani trochę godności, ale w oczach widoczna była martwa pustka odbijająca się na obliczu, podobnie jak u Gotreka. Max kochał Ulrikę, być może nawet bardziej, niż kiedykolwiek Felix, a teraz on także stracił ją na zawsze. Felix miał nadzieję, że w swoim żalu czarodziej nie zrobi niczego głupiego.

Max poczekał, aż ostatni z Kislevitów przejdą obok ciała bojara, a potem spojrzął na Wulfgara, nowego dowódcę. Jeździec skinął głową. Max wypowiedział słowo i trzykrotnie uderzył w ziemię końcem swej laski. Z każdym uderzeniem jeden ze stosów stawał w płomieniach. Działanie magii było pewne i silne. Złote płomienie zamigotały wokół mokrego drewna, a potem przywarły do niego. Gwoździe wbite w czaszkę Snorriego odbijały światło, które wyglądało jakby na szczycie ogolonej głowy zapłonął niewielki ogień.

Powoli zaczął unosić się dym, drewno poczerniało, a potem wybuchło bardziej naturalnym ogniem. Felix cieszył się, że czarodziej użył magii. W tych okolicznościach nawet krasnoludy w żaden sposób nie byłyby w stanie rozpalić ognia.

Płomienie szybko rozprzestrzeniały się i wkrótce powietrze wypełnił mdławo słodki zapach piekącego się ciała. Felix nie był w stanie stać w miejscu i przyglądać się Ivanowi pochłanianemu przez ogień. Ten człowiek był jego przyjacielem. Odwrócił się i wyszedł ze zniszczonej komnaty prosto na zimne powietrze. Konie czekały, podobnie jak wozy z rannymi. Ziemię pokrywał śnieg. Gdzieś tam była Ulrika i jej nowa mentorka, hrabina Gabriella, ale teraz znalazły się już poza jego zasięgiem.

Na północy czaiła się wojna. Chaos nadciągał i właśnie tam Zabójcy spodziewali się znaleźć swoje przeznaczenie.

Stara kobieta wyglądała na zmęczoną. Dzieci maszerujące u jej boku były wygłodzone. Nosili łachmany, jak zwykle u chłopstwa z Sylvania. Ich oczy mówiły o beznadziejnej nędzy. Za nimi kilku *mężczyzn* w pochłapanych krwią koszulach ścisnęło widły w zmarzniętych palcach. Felix widział, jak na ich twarzach zmęczenie zmagало się ze strachem i powoli wygrywało. Byli przestraszeni widokiem jeźdźców i krasnoludów, ale także zbyt zmęczeni i zbyt głodni, by uciekać.

– Co wam się stało? – spytał Gotrek w mało uspokajający sposób. Potężny topór trzymany w jednej pięści nadawał mu jeszcze bardziej groźnego wyglądu. – Dlaczego wałęsacie się po tych drogach w zimę?

To było dobre pytanie. Każdy rozsądny wieśniak powinien teraz gnieździć się w swojej chałupie. Felix domyślał się już odpowiedzi na to pytanie. To byli uciekinierzy.

– Potwory przyszli – odpowiedziała wreszcie stara kobieta. – Prosto z lasu. Spalili nasze domy, spalili gospodę, spalili wszystko. Większość ubili, a inszych zabrali.

– Zapewne szukali posiłku na śniadanie – powiedział Gotrek. Felix widząc twarze uciekinierów domyślał się, że nie trzeba było im tego mówić.

– Zwierzoludzie? – ożywił się Snorri, jak zawsze w obliczu zbliżającej się walki.

– Aye, całe ich tuziny – potwierdziła starucha. – Wyszli znikąd w samym środku zimy. Kto by o tym pomyślał? Może piewcy mają rację? Może zbliża się koniec świata? Powiadają, że bladzi panowie powrócili i zamek Drakenhof jest znowu zamieszkały.

– Tym akurat nie musicie się już zamartwiać – odezwał się Felix, a potem pożałował, że to zrobił. Starucha patrzyła na niego jak na idiotę, którym zresztą się poczuł mówiąc takie rzeczy. Oczywiście,

każdy wieśniak z Sylvania będzie martwił się o zamek Drakenhof i jego mieszkańców, bez względu na to, co mógłby mówić jakiś obdarty cudzoziemiec.

– Powiadasz, że spalili gospodę? – spytał Max.

– Aye. Ubili karczmarza i większość gości.

– Snorri nie mógł się doczekać wiadra wódki – powiedział Snorri. – Snorri myśli, że trzeba dać nauczkę tym zwierzoludziom.

Gotrek zgodził się skinąwszy głową. Felix tego właśnie się obawiał. Fakt, że zostało ich niecały tuzin kislevickich konnych łuczników, którzy nie byli ranni, dwóch Zabójców oraz Felix i Max przeciwko zapewne tłumowi zwierzoludzi w najmniejszym stopniu nie onieśmiał żadnego z krasnoludów. Kislevici, zahartowani wojownicy z kresów, gdzie terytoria ludzi graniczyły z Chaosem mieli dość rozumu, by zacząć się niepokoić. Felix dostrzegał strach wypisany na ich twarzach.

– Nie idźcie tam – powiedziała stara kobieta. – Ino was ubiją. Lepiej chodźcie z nami.

Stephansdorp jest ledwie kilka dni drogi na południe stąd. Bez śniegu to niecały dzień by było.

– O ile też nie spalili go do cna – powiedział Gotrek, niezbyt pocieszająco. Kilkoro z dzieci załkało. Paru z mężczyzn także wyglądało jakby z trudem powstrzymywali łzy. Felix nie winił ich za to. Bez wątpienia tylko myśl o odnalezieniu bezpieczeństwa pośród swojaków w pobliskiej wsi pozwalała im iść dalej. Felix zobaczył jak jeden z mężczyzn padł na kolana wypuszczając widły ze zdrętwiałych palców. Wykonał znak Shallyi na piersi i skłonił głowę. Dwoje dzieci podeszło do niego i zaczęło szarpać za rękaw szepcząc „Dada”.

– Lepiej ruszajmy, jeśli chcemy dopaść tych zwierzoludzi – rzucił Gotrek. Snorri zgodził się. Wulfgar potrząsnął głową.

– Będziemy strzegli tych ludzi w drodze do ich krewnych – powiedział. – Musimy znaleźć miejsce dla naszych rannych.

Mówiąc to wyglądał na niemal zawstydzonego. Felix nie dziwił się jednak temu. Morale Kislevitów znacznie podupadło po śmierci Ivana, a wydarzenia w Drakenhof mogły podważyć odwagę nawet największego śmiałka. Gotrek przez chwilę gapił się na Wulfgara. Felix bał się, że Zabójca zaraz obdarzy konnego kilkoma dobrze dobranymi słowami na temat odwagi i hartu kislevickiej ludności, ale on tylko wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– A co z tobą, Max? – spytał Felix.

Czarodziej zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Pójdę z wami. Naszą ziemię trzeba oczyścić od tych zwierzoludzi.

Ton głosu czarodzieja zaniepokoił Felixa. Max wydawał się niemal tak samo zgorzkniały i szalony jak Gotrek. Felix miał nadzieję, że Max nie zaczyna tracić rozumu z powodu żalu po tym, co stało się z Ulriką. Z drugiej strony cieszył się, że Max pójdzie z nimi. Czarodziej wart był kompanii konnych łuczników, gdy miało dojść do walki.

Felix przez chwilę zastanawiał się, czy sam nie powinien odjechać z konnymi, ale postanowił tego nie zrobić. Sprzeniewierzyłby się przysiędze podążania za Zabójcą, a poza tym Felix czuł się znacznie bezpieczniej w towarzystwie Gotreka, Snorriego i Maxa niż w otoczeniu Kislevitów, nawet gdy oznaczało to polowanie na zwierzoludzi.

– Zatem, lepiej ruszajmy – z zaskoczeniem usłyszał własny głos – jeśli chcemy tam dotrzeć przed zmrokiem.

– To miejsce z pewnością zmieniło się od czasu, gdy byliśmy tu po raz ostatni – stwierdził Felix, przyglądając się nadal tłącym się ruinom tego, co niegdyś było otoczoną murem wioską. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wszyscy byli zbyt zajęci obserwacją zgliszczy.

Niewiele pozostało. Większość chałup została zbudowana z plecionki pokrytej gliną i pokryta słomianymi strzechami. Ściany chat zapadły się do środka, a dachy spłonęły. Tylko gospoda miała nieco lepszy budulec: drewno i kamień. Felix domyślił się, że minęło sporo czasu zanim runęła. Płomienie musiały być naprawdę rozszalałe, skoro pochłonęły taką budowlę. Żałował, że karczma przepadła, bowiem pogoda już zaczęła się pogarszać.

Nagle zauważył cieniste postacie poruszające się wewnątrz ruin. Były zbyt duże i pokraczne, by pomylić je z ludźmi. Tylko jeden rodzaj istot tak wyglądał. Zwierzoludzie! Snorri zawył z radości, gdy zrozumiał, na co patrzy, po czym uniósł topór i młot w powietrze. Gotrek wznosił topór, przesunął kciukiem po ostrzu, aż popłynęła krew, a potem splunął z przekleństwem.

Zwierzoludzie nie pokazali po sobie, by się tego przestraszyli. Grupa stworów wyszła z ruin gospody. Niektóre z nich miały łby wołów, podczas gdy inne posiadały głowy kozłów, wilków i innych zwierząt. Wszyscy byli ciężcy i muskularni. Każdy uzbrojony był w toporne włócznie, masywne kolczaste pałki lub młoty. To był absurdalny widok. Gdy Felix ostatnim razem widział to miejsce, gospoda Pod Zielonym Człkiem była zajęta przez ludzi. Odbył tu także wieczorną, dziwną rozmowę z wampirzą hrabiną. Teraz cała wioska otaczająca karczmę znikła z powierzchni ziemi. W swoim czasie Felix widywał mnóstwo scen rzezi i liczne spalone wioski, ale wiedział, że nigdy do tego nie przywyknie. Bezsensowna masakra podsycala jego gniew i odrazę.

Tuzin zwierzoludzi rzuciło się naprzód. Najwyraźniej nie czuli strachu w obliczu tak niewielkiej grupy przeciwników. Odgłosy nawoływania dobiegły z okrytego śniegiem lasu wokół splądrowanej osady. Felix miał nadzieję, że on i jego towarzysze nie przecenili swoich sił.

Gdy zwierzoludzie zaczęli biec, Gotrek i Snorri popędzili im na spotkanie. Felix stwierdził, że w tych okolicznościach trudno było określić to mianem pędu. Krótkie nogi krasnoludów unosiły ich w tempie, który byłby swobodnym truchtem dla Felixa. W każdym razie, dystans między nimi zmniejszał się szybko. Felix spojrzał na Maxa i zobaczył, że czarodziej szykował się do rzucenia zaklęcia. Max przeglądał otoczenie w poszukiwaniu innych napastników. Wydawał się przekonany, że Zabójcy dadzą sobie radę z potworami.

Gotrek dopadł watahy nieco przed Snorrim. Jego topór runął szerokim łukiem odrywając ramię najbliższego zwierzoczęłka i otworzył brzuch następnego, puszczając falę krwi i żółci, które pociekły na ziemię. Następnie ostrze przeorało się przez uniesioną maczugę trzeciego stwora, który usiłował zasłonić się przed ciosem. Chwilę później Snorri powalił rozbrojonego zwierzoczęłka ciosem młota, który trzymał w jednej ręce i zatopił topór w czaszce innego. Rozległ się ohydny trzask przypominający pękające przegniłe drewno.

Nie minęło kilka uderzeń serca, gdy pięciu zwierzoludzi leżało martwych. Gotrek i Snorri ledwo spowolnili. Gotrek skoczył naprzód i rozrąbał na dwie części stworzenie o wilczej głowie. Górna połowa ciała poleciała w jedną stronę, a dolna w drugą. Snorri zawirował niczym arabski derwisz i gwałtownie opuścił obie bronie miazdząc następny pomiot Chaosu. Młot rozbił ciało, gdy jednocześnie topór rozerwał żebra i wgryzł się głęboko w płuca stwora. Zwierzoczęłek stał przez chwilę prychnąwszy bąblami krwawej piany z piersi, a potem zwałił się na ziemię.

Pozostali przy życiu zwierzoludzie nie mieli dość czasu, by zdać sobie sprawy ze skali strat jakich zaznali. Napierali nadal, usiłując przytłoczyć swoich wrogów. Najwyraźniej ufali brutalnej masie ciosów, ale nie wzięli pod uwagę siły Gotreka i dzikiej zajadłości Snorriego. Gotrek zakręcił toporem w szerokim podwójnym łuku i odepchnął ich. Snorri dał nura naprzód, wylądował na boku i przetoczył się po śniegu. Uderzył w nogi jednego ze zwierzoludzi podcinając go i toporem ciął go po kolanach. Bestia runęła. Gotrek nie zatrzymując się dwukrotnie opuścił topór z siłą uderzającego pioruna. Felix był pewien, że żaden z powalonych zwierzoludzi już nie wstanie, co zapewniała

oszałamiająca siła tych ciosów. Jedno uderzenie serca później, topór uniósł się ponownie, by ściąć łeb kolejnego zwierzoczątka.

Teraz stwory Chaosu ogarnęło przerażenie. Odwróciły się i uciekły. Topór Gotreka rąbnął jednego w plecy. Snorri poderwał się na nogi i rzucił młotem trafiając innego stwora w tył czaszki. Trafiony upadł na śnieg. Kilka chwil później Snorri odzyskał młot i za jego pomocą zmienił czaszkę zwierzoczątka w miazgę.

Felix rozejrzał się. Kolejne grupy zwierzoludzi wynurzały się spomiędzy drzew, w samą porę, by być świadkami rozgromienia swych towarzyszy. Felix zauważył, że nie było ich tak wielu, jak się obawiał. Doliczył się trzech grup po co najwyżej pięciu członków. Wyglądało na to, że największa grupa z tego oddziału wypadła z gospody. Tym niemniej, wyglądało na to, że zastanawiają się nad następnym szturmem. Max uniósł ramiona i zaczął wyśpiewywać zaklęcie. Kilka sekund później w obu zaciśniętych dłoniach pojawiły się sfery światła jaśniejszego od słońca. Gdy rozprostował palce, wyskoczyły promienie czystej, oślepiającej mocy płonącej złotem. Wpadły pomiędzy bestie zamieniając je w zwęglone ciała i topniejące kości. To było zbyt wiele dla stworów Chaosu. Odwrócili się i uciekli do lasu.

Felix był zdumiony. Wydarzenia nastąpiły tak szybko, że nie zdołał nawet zanurzyć w krwi swojego miecza. Zastanawiając się nad tym czuł coś w rodzaju wstydu. Widząc jego minę Gotrek odezwał się:

– Nie martw się, człeczyno. Będiesz miał okazję zabijać pomiot Chaosu, gdy wysledzimy te bestie w ich legowiskach!

– Obawiałem się, że to powiesz – odparł Felix.

Wszedł między ruiny gospody. Wszędzie leżały porąbane ciała. Ludzkie kości walały się na śniegu zmiażdżone na szpik i przeżute potężnymi szczękami. Było mu niedobrze, ale zapanował nad sobą.

– Wygląda na to, że zatrzymali się tu na przekąskę – powiedział Gotrek.

Dwie godziny szli wśród otaczających ich wielkich drzew. Śnieg padał tak obficie, że Felix z trudem dostrzegał cokolwiek na dziesięć stóp przed sobą. Znacznie wcześniej zgubili wszelkie tropy zwierzoludzi. Teraz pozostawało brnąć naprzód przez śnieżną burzę. Felix starał się nie spuszczać oczu z szerokich pleców Gotreka. W jego uszach zawodziła wichura. Płatki śniegu topniały we włosach. Oddech wydobywał się lodowatymi kłębam. Palce były zbyt odrętwiałe, by utrzymać miecz. Nie był pewien, czy w razie ataku byłby w tej chwili zdolny do walki. Miał szczerą nadzieję, że Zabójcy lepiej dawali sobie radę. Rozpaczliwie żałował, że nie odszedł z Kislevitami. To nie była dobra pora, by dać się zaskoczyć przez śnieżycę w głębi sylwańskiego lasu.

Musieli jak najszybciej znaleźć schronienie, inaczej byli zgubieni.

Rozdział 2

– Chcę osobiście zabić Gotreka Gurnissona – powiedział Grume z Nocnego Kła. Stał wśród cieni jak mała góra metalu i pancerza. Zawiała sieć silnych zaklęć na jego zbroi była niemal oślepiająca dla magicznego wzroku Kelmaina. Wódz zachowywał się jak opętany od chwili, gdy pokonani zwiadowcy wydostali się ze śnieżycy przynosząc wieści o obecności krasnoluda. Kelmain wolałby nie usłyszeć tego, ale był pod Praag i słuchając raportów zwiadowców domyślił się, że tylko Gotrek Gurnisson i jego towarzysze odpowiadali podawanym opisom.

– Dlaczego? – spytał czarownik Chaosu, z czystej przekory. Kelmain rozejrzał się po kamiennych ścianach pradawnego przedsionka, usiłując zebrać swoją cierpliwość. Runy fascynowały go na równi z dziwacznymi rytami, ale zapach był zbyt rozpraszający. Okrył usta i nos szponiastą dłonią. Grume cuchnął potem, starą krwią i zaschniętymi płynami mózgowymi, jakie pokrywały jego pancerz. Normalnie Kelmain nie uważał się za zbyt przewrażliwionego – na to nie mógł sobie pozwolić ktoś parający się podobnym zajęciem – ale to już przekraczało wszelkie granice tolerancji.

– Ponieważ jego topór zabił Areka Pazura Demona i chcę go mieć dla siebie. Taka broń byłaby mnie warta. Wszyscy uważali zbroję Areka za niezniszczalną – zahuczał Grume głębokim głosem.

Wiatr i śnieg na zewnątrz zawirowały wokół nich odbite zaklęciami, jakie utkał Kelmain.

Kelmain wpatrzył się w kwitujący kryształ i zobaczył w nim odbicie swojego identycznego bliźniaka, Lhoigora. Równie dobrze mógłby stać obok, w tym pomieszczeniu, a nie oddalony o tysiąc mil wewnątrz posępnej świątyni na wyspie Albion. Był wysoki, szczupły, o lisich rysach twarzy i bladej skórze. Jedyna różnica polegała na tym, że Lhoigor był odziany w złoto zamiast czerni i trzymał runiczną laskę ze złota, w odróżnieniu od laski z hebanu i srebra, jaka należała do Kelmaina. Lhoigor machnął dłonią przed nosem, a następnie uniósł ją do ust. Kelmain wiedział, co to oznaczało. Zadawał sobie pytanie, dlaczego ze wszystkich gromadzących się wodzów Chaosu to właśnie Grume musiał towarzyszyć mu w tym zwiadzie? Dlaczego to nie mógł być Kestranor Kastrator? Przynajmniej piźmowy zapach czciciela Slaanasha był przyjemny. Nawet Tchulaz Khan, zaropiały wyznawca Nurgle'a, wydawał się lepszy od tego. Żałował, że to on wyciągnął krótszą słomkę i został zmuszony do wzięcia udziału w tej misji zwiadowczej. Wolałby od tego nawet chorobliwie wilgotny klimat tamtej żalosnej wyspy. Powtarzał sobie jednak, że ktoś musiał to zrobić. Wszyscy ich uczniowie byli zajęci przeprowadzaniem oddziałów przez ścieżki, a prawdę mówiąc, zawsze ekscytował go pomysł użycia pradawnej sieci dróg między wymiarami.

– To bardzo niebezpieczna broń – powiedział Kelmain i natychmiast pożałował, że otworzył usta. Z trudem opanował mdłości od odoru. Być może smród miał w sobie coś magicznego. Zwykle Kelmain nie był tak delikatny. A może miało to związek z tą ohydną bronią, jaką trzymał wyznawca Khorne'a? Czarnoksiężnik drżał spoglądając na nią swym magicznym wzrokiem. Nie chciałby zostać zabity czymś takim. Gdyby do tego doszło, śmierć stanowiłaby najmniejszy z jego problemów.

– Każda broń jest niebezpieczna, ale ja jestem wyznawcą Khorne'a – powiedział Grume z grymasem zadowolenia. Pod każdym względem przypominał wielkiego wodza przemawiającego z wyższością do swoich czarnoksiężskich sług.

Idiota! – pomyślał Kelmain. Dlaczego zawsze musieli pracować z tymi przygłupimi bufonami? Czasami podejrzewał, że Wielkie Potęgi Chaosu wybierały swoich wojowników-czempionów ze względu na ich głupotę – szczególnie Krwawy Bóg.

Rzeczywiście, idiota – odezwało się mruknięcie głosu Lhoigora w jego głowie i Kelmain przekonał się, że jego bliźniak myślał dokładnie to samo.

– Nie lubię pracować z wami, wyznawcami Mąciela Dróg bardziej niż wy ze mną – powiedział

Grume – ale Wielcy przemówili, a demony przyniosły mi ich słowa. Nadszedł dla nas czas, by zjednoczyć się i obalić słabe królestwa ludzi.

Istotnie – pomyślał Kelmain. Zastanawiał się, czy wódz zdawał sobie sprawę, jak wielkie znaczenie miało miejsce, w którym się znajdowali. Przyjrzał się otaczającym ich szczątkom starożytnego łuku, który górował w komnacie. Było to dzieło wielkiego kunsztu magicznego, niemal boskie w swojej złożoności – tak zawile, że nawet w stanie częściowego uspienia groziło zapanowaniem nad jego umysłem. Kelmain zdumiewał się nad Ścieżkami Pradawnych. Otworzyli je, a raczej uczynili to ich panowie i dzięki temu mogli z nich korzystać, co zresztą zamierzali uczynić. Wkrótce pochwyca cały ten stary i zepsuty świat w swoją garść i przekształca go tak, by odpowiadał ich marzeniom. Ale aby tak się stało, musieli pracować z idiotami, którzy pragnęli wykorzystać ich tylko do własnych głupich celów.

Grume uchylił przyłbicy pokazując napuchłą i wstrętną twarz. W małych, świńskich oczkach wodza pojawił się błysk dzikiej przebiegłości. Kelmain niemal mógł czytać mu w myślach. Topór Gotreka stał się legendą wśród wyznawców Chaosu. Podczas Oblężenia Praag ta broń przebiła podobno niezniszczalną zbroję Wodza Chaosu, Areka Pazura Demona. Śmierć tego potężnego czempiona doprowadziła do rozpadu jego armii i załamania oblężenia Miasta Bohaterów. Plotka głosiła, że krasnoludowi udało się nawet zniszczyć fizyczną formę jednego z Wielkich Demonów Khorne'a w zaginionym mieście Karag Dum.

Kelmain był jednym z niewielu spośród tych, którzy przekonali się jak bardzo bliskie prawdy były te plotki. Grume zdobył już kilka potężnych broni wykutych z uwiecznionych dusz wielkich demonów i czempionów. Było jasne, że chce dodać do tej kolekcji topór krasnoluda. Było równie oczywiste, że gdy nadejdzie czas, kiedy zatriumfują siły Chaosu, wódz zapagnie wykorzystać broń przeciwko tym, którzy mu się sprzeciwia.

To był plan świetnie pasujący do kogoś o takiej głupocie, kto jeszcze pysznił się swoją domniemanym sprytem. Kelmain pomyślał, że przedstawienie mu całego zagrożenia jakie niesło używanie takiej broni, na niewiele by się zdało. W istocie był to oręż, który wymagał niesamowitych ilości mocy, aby można go było nagiąć do służby Chaosowi, a także niepomiernego zrozumienia magii. Grume nie posiadał absolutnie żadnej wiedzy o takich rzeczach. Kelmain owszem, chociaż niechętnie ryzykowałby swoimi mocami w tak niebezpiecznym wysiłku, w trudnym czasie. Byli potrzebni, by nadzorować urzędzeń Pradawnych i dbać, by dobrze służyły Chaosowi. A jednak, być może dało się w inny sposób wykorzystać ambicję Grume'a? Spojrzał jeszcze raz w kryształ, by sprawdzić, czy brat śledzi jego myśli. Uśmiech Lhoigora upewnił go, że tak było.

– Wiesz co przydarzyło się ostatniemu czarownikowi, który ze mnie kpił? – spytał Grume głosem pełnym groźby. Był pewny siebie, jak ktoś kto wie, że ma w zasięgu małą armię zwierzoluździ. Straty jakie zadali Zabójca i jego towarzysze zredukowały jej liczebność tylko o mniej więcej jedną piątą. Kelmain zdusił ziewnięcie.

– Wydaje mi się, że jego dusza poszła na żer demonom, które zamieszkują twoją maczugę – powiedział. – A może ofiarowałeś go jako przekąskę dla swojego pana, księcia demonów? Zapomniałem. Ostatnio człowiek spotyka tak wielu potężnych czempionów Chaosu, że wręcz trudno zapamiętać wszystkie przerażające kary, jakie wymierzają tym, którzy z nich kpili.

– Prowadzisz niebezpieczną grę, czarowniku – rzeki Grume. Gniew wykrzywił jego zwierzęce rysy. Górował nad magiem niemal dwukrotnie go przewyższając. Jego dłoń spoczywała na rękojęści osobliwej, magicznej maczugi, która zwykle zwisała u nadgarstka. – Na Khorne'a, zapłacisz cenę najwyższą.

– Okazujesz brak intelektu, z którego tak słusznie słyną wyznawcy Khorne'a – powiedział Kelmain

tonem przeprosin i uniżonej pokory, co wyraźnie zmyliło wojownika Chaosu. – Jeśli zabijesz mnie lub oddasz moją duszę na żer twojej potężnej broni, nikt nie otworzy dla ciebie Ścieżek Pradawnych... ani nie odnajdzie Zabójcy.

– A zatem uczynisz to, co rozkażę – powiedział Grume z wyraźnym samozadowoleniem w głosie. Postanowił słuchać tonu odpowiedzi czarnoksiężnika, a nie jego słów. Kelmain spodziewał się tego. To był świetny przykład brutalna, który przywykł do wymuszania posłuszeństwa u innych.

– Czemuż by nie? Jeśli ci się uda, będziemy mieli jednego wroga mniej. Nie przepadam za Gotrekiem Gurnissonem i z chęcią zobaczyłbym go martwego.

– Dam ci zaklęcia, dzięki którym znajdziesz Zabójcę i jego topór – ciągnął Kelmain. – Gdy go znajdziesz... zabij go.

– Jeśli ci się uda – dodał, tak cicho, by Grume nie mógł go usłyszeć.

Kelmain przyglądał się oddziałom Grume'a, które zbierały się w przedsionku. Rzeźbione głowy obscenicznie wyglądających zabich bóstw wydawały się spoglądać na nich z kpina. Zajrzał do kryształu widzenia i napotkał wzrok swojego brata. Lhoigor wyglądał na nieco osłabionego. Podtrzymywanie zaklęcia komunikacji na tak wielką odległość wyczerpywało nawet maga o jego potędze.

– Znalazłeś Gotreka Gurnissona – odezwał się Lhoigor. To nie było pytanie.

– Tak. Moje zaklęcia wróżebne pokazały, że nasi tchórzliwi zwierzoludzie mieli rację. Jest w pobliżu nas, u węzła w Sylvanii. Można by pomyśleć, że to przeznaczenie – powiedział Kelmain.

– Może tak jest? Zdaje się, że los go nazaczył. Albo moce, które są nam przeciwne.

– Zapewne to okaże się nader niepomyślne dla tego wielkiego idioty – dodał wskazując swoją łaską Grume'a. Wielki wojownik Chaosu zignorował go i skupił się na popędzaniu tuzina swoich żołnierzy, by zajęli pozycję. – Powiniennem zamknąć ten portal i zostawić go, by odmroził sobie stopy maszerując przez śniegi zimy w Imperium.

– Zawsze możesz sobie o nim przypomnieć, bracie i wysłać go do Lustrii, jeśli obawiasz się o jego zdrowie zimą – uśmiech Lhoigora był zimny, ale brzmiała w nim nuta złośliwego humoru.

– Albo do wrót w zatopionym Melay. Dzięki temu wyczyściłby sobie zbroję – powiedział Kelmain.

– Wydaje mi się, że nasz ostatni oddział zwiadowczy nie powrócił ze ścieżki prowadzącej do serca Ognistej Góry. Trochę lawy mogłoby świetnie rozgrzać naszego wielkiego przyjaciela.

– Albo do Ulthuanu, żeby nauczyć elfy, co dzieje się z tymi, którzy opierają się czempionom Krwawego Boga – powiedział Lhoigor w niemal doskonały sposób imitując chełpliwy sposób przemawiania czempiona Chaosu. Kelmain zaśmiał się, a odgłos jego rozbawienia był tak dziwny, że zwierzoludzie unieśli wzrok i zadrżeli.

– Bierzcie się za to – huknął Grume. Kelmain wzruszył ramionami i wykonał szeroki gest dłońmi.

– Widzę bracie, że masz inny plan – powiedział Lhoigor z wyrazem niezdrowej radości na twarzy.

– Jak zwykle, rozumiesz mnie doskonale. Krasnoluda można zabić na niejeden sposób. – Podniósł kulę widzenia, którą wy dobył z ruin starożytnej Lahmii. Poczul zimno, jakby trzymał w dłoniach kamień. Klejnot w środku doskonałej sfery lśnił od magicznej energii. Wymruczał zaklęcie i sfera uniosła się w powietrze, a potem opadła zataczając kręgi wokół wojownika Chaosu. Kelmain zamknął oczy i skoncentrował się na połączeniu. Jego punkt widzenia przeniósł się do wnętrza klejnotu. Sfera stała się dla niego okiem, przez które mógł teraz widzieć.

– To cię doprowadzi do tego przeklętego krasnoluda – powiedział Kelmain, a zaklęcie pozwoliło jego głosowi wydobyć się z Oka. – I pozwoli nam być świadkami twojego wielkiego zwycięstwa! Ruszaj, by zabić Gotreka Gurnissona – mówił Kelmain.

Kelmain ziewnął odrobinę zmęczony po wysiłku przeprowadzania rytuału. Jego brat uczynił to samo. Kelmain poczuł powoli ogarniające go uczucie triumfu, gdy szykował się, by przenieść swoją świadomość do wnętrza Oka. W ten czy inny sposób – Gotrek Gurnisson mógł być uznany za martwego. Podobnie jak każdy kto z nim przebywał.

Grume i jego wojownicy już wychodzili z przedsionka na śnieg.

– Nie jesteś przekonany czy Grume zdoła pokonać Gotreka Gurnissona?

– Jest mocny i dowodzi dużym oddziałem, ale nawet jeśli mu się nie uda i tak przysłuży się naszym celom. Jeśli nie zdołają zgładzić Zabójcy, przywabią go tutaj – na Ścieżkach Pradawnych czekają rzeczy, które potrafią zabić nawet jego.

Rozdział 3

Słudzy patrzyli na niego z podziwem, gdy wchodził do stajni. Teclis był odziany tak jakby wyruszał na bitwę. Nosił koronę bitewną z Saphery i trzymał laskę Lileath. Ignorując sługi przyjrzał się gryfowi. To była wspaniała bestia – skrzydlaty lew o orlej głowie, tak wielki, że mógł go dosięść elf. Rozwarł paszczę i wydał z siebie ogłuszający okrzyk, na odgłos którego przestraszone kurtyzany zapiszczały, a potem zaczęły nerwowo chichotać. To był okrzyk bojowy, który przez całe wieki przerażał wrogów elfów. Teraz, gdy wielkie smoki w większości pozostawały uśpione, te potężne magiczne stworzenia stały się ulubionymi powietrznymi wierzchowcami ujeżdżanymi przez elfy. Oczywiście, były rzadkie. Ten osobnik, czempion wyścigowy, był wart skarbca ludzkiego króla. Wielki hodowca Ranagor osobiście wychowywał go od jaja, które zabrał z najwyższych zboczy Góry Wylęgu.

Bywały chwile, gdy Teclis żałował, że nie nauczył się w prawidłowy sposób panować nad gryfem. Tę umiejętność, mogli opanować tylko najsilniejsi z elfów i była to sztuka, którą należało poznać za młodu. Teclis w swojej młodości był zbyt chory. Nigdy nie byłby w stanie ujeżdżać jednego z tych cudownych stworów nie paraliżując najpierw jego dzikiej woli za pomocą magii, co było sprzeczne z całą ideą. Musiał użyć zaklęcia oszołomienia, by ta istota stała się na tyle pokorna, by dać się dosięść.

Szarpnęła nim krótka fala zawrotów głowy. Było coraz gorzej. Powoli policzył do dwudziestu i nie był zaskoczony, gdy ziemia zatrzęsa się, a budynek zadrżał. Jego niesamowita wrażliwość na fluktuacje poziomu magicznej energii wokół – efekt uboczny zaklęć, dzięki którym zapewnił sobie normalne zdrowie i siły – ostrzegła go przed zbliżającym się wstrząsem. Wiedział, że musi się pospieszyć. Kończył się czas dla jego ziemi i ludu, a jeśli zawiodą zaklęcia wiążące, z pewnością mógł to być także koniec samego Teclisa.

Odetchnął głęboko stajennym powietrzem. Niosło silny zapach zwierzęcego ciała i łajna, a także ptasich piór. Jego wiekowi słudzy przymocowali szerokie siodło na grzbiecie stwora, cały czas uważając na potężne pazury i wielki dziób przypominający zakrzywioną szablę. Sprawdzili popręgi i uzdę, a potem spojrzeli na swojego pana. Wzruszył ramionami i wyteżył wolę mrużąc słowa zaklęcia. Wyczuł przepływ energii wokół siebie, która ogrzewała go jak zwykle, a potem wysłał jej macki, by dotknęły wielkiej bestii, tak aby uspokoić jej dzikie serce i zapanować nad rozpalonym umysłem. Powieki stworzenia opadły, a jego postura odrobinę zwiotczała w chwili zadziałania zaklęcia. Teraz wydawało się mniejsze i znacznie mniej dostojne.

Teclis mruknął słowa przeprosin i pokuśtykał naprzód, po czym wdrapał się z wysiłkiem na siodło i przywiązał do niego. Nie dla niego była brawura kilku z młodszych elfów, którzy ujeżdżali gryfy okrakiem, bez upręży i wykonywali sztuczki na grzbietach swych wierzchowców. Sprawdził czy wszystkie pasy zostały dobrze zapięte, odczuwając przy tym pewien wstyd. W ten sposób mogłoby jeździć dziecko, ale wolał nie ryzykować wypadnięcia z siodła. Oczywiście – znał zaklęcia lewitacji, ale gdyby na chwilę był zbyt oszołomiony lub rozproszony, albo wiatry magii po prostu nie wiałyby dość silnie, upadek mógł okazać się fatalny.

Podszedł jego brat i przyjrzał mu się ignorując ogromny dziób gryfa i wielkie pazury ze spokojem, którego Teclis mu zazdrościł. Nawet najodważniejsi okazywali nerwowość w pobliżu tych bestii – ale nie Tyrion. Wydawał się tak pewny siebie i swobodny jak wtedy, gdy zasiadał za stołem do obiadu, a nie był to tylko fałszywy popis brawury.

– Jesteś pewien, że nie życzysz sobie, bym ci towarzyszył? – spytał.

– Twoje obowiązki czekają na ciebie tutaj, bracie, wraz z naszą flotą, a to jest zadanie, z którym

najlepiej poradzić sobie za pomocą samego czarodziejstwa.

– Ustępuję zatem przed przewagą twojej wiedzy, ale moje doświadczenie wskazuje mi, że dobrze wyćwiczone ostrze może okazać się przydatne w nader niespodziewanych momentach.

Teclis poklepał lewą dłońią miecz, który wisiał u jego boku.

– Posiadam dobrze wyćwiczone ostrze, a jak go używać nauczył mnie mistrz – odpowiedział.

Tyrion uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałeś moje lekcje, braciszku.

Afektacja i tkliwość w jego głosie niepomiernie irytowała Teclisa, ale zamaskował to kwaśnym uśmiechem.

– Obyś żył tysiąc lat, bracie.

– Ty także, Teclisie z Białej Wieży – Tyrion ze swoją zwykłą nienaganną gracją ustąpił z drogi gryf on owi i wykonał wzorowy dworski ukłon.

Teclis pomachał do kobiet i swoich służ, ściągnął lejce i czekał. Biodra gryfa stężały pod nim, gdy jego mięśnie zwierzały się do skoku. Poczł nagłe poruszenie w żołądku, gdy stwór skoczył naprzód i rzucił się w otwartą przestrzeń za balkonem. W ciągu jednej, szokującej chwili zobaczył rozciągające się pod nim całe miasto, od świątyni-pałacu Króla Feniksa do wielkiego posągu Acnariona, który witał na nadbrzeżu powracających żeglarzy, wszystko oświetlone złotym, słonecznym blaskiem Ulthuanu.

Ucisk w żołądku nie ustępował, gdy gryf zaczął opadać ku ziemi. Teclis poczuł chwilowy przyływ paniki. Wiążące go pasy uprząży, które wydawały się tak dobrym pomysłem kilka chwil wcześniej, teraz mogły stać się śmiertelną pułapką. Zanim zdąży się z nich wyzwolić i rzucić zaklęcie lewitacji, on i jego wierzchowiec rozbiją się o twardy marmur poniżej. Zmusił się, by nie zamykać oczu i patrzył na coraz szybciej zbliżające się pokryte purpurą dachy willi pomniejszej szlachty.

A potem gryf z trzaśnięciem rozpostarł ogromne skrzydła. Uderzyły powietrze z siłą piorunów. Na chwilę przerażający upadek został powstrzymany i stwór wydawał się unosić w powietrzu, na czas jednego uderzenia serca zastygły w uścisku grawitacji i sił jego własnego ruchu wznoszącego. Przez sekundę Teclis czuł się nieważki, znalazł się na granicy trwogi i zachwytu, aż wreszcie gryf zwiększył siłę uderzeń skrzydeł i jego olbrzymia magiczna siła przeważała nad przyciąganiem ziemi.

Teclis czuł pod sobą rozszerzającą i zapadającą się klatkę piersiową bestii, która oddychała w rytmie poruszeń skrzydłami. Wyczuwał takt jego serca pompującego krew do mięśni i zasilającego ścięgna niczym jakiś potężny mechanizm. Gryf wydał z siebie ogłuszający krzyk triumfu, a Teclis w pełni podzielał to uczucie. Człł uniesienie spoglądając z wysoka na rozciągające się pod nim miasto, które wyglądało jak model w pokoju zabaw jakiegoś elfiego dziecka. Pomyślał, że być może właśnie w ten sposób czuli się bogowie, gdy spoglądali z niebios, by przyjrzeć się jak zachowują się ich śmiertelni poddani.

Dostrzegał mieszkańców na ulicach – ród Tiranoci w ich rydwanach, dumnych władców smoków na koniach, uczonych niewolników z dalekiego Kataju, kupców z tuzina krain ludzi – wszyscy wznosili wzrok ku niemu. Ciekaw był, czy rozpoznali w nim największego czarodzieja tej ziemi, który wyruszał, by załatwić swoje sprawy. To zresztą nie miało znaczenia. Patrzyli w zdumieniu i trwodze na widok przelatującego nad nimi elfiego lorda wykrzykując i machając do niego w pozdrowieniu. Odmachał im, pozwalając wierzchowcowi śmignąć nad dachami w stronę portu, do tysiąca wznoszących się w niebo masztów, które znaczyły pozycje okrętów.

Przeleciał nad niszczącymi dworkami i pustymi domami zauważając na wpół opustoszałe ulice, które zostały wybudowane, by pomieścić dziesięć razy większą liczbę mieszkańców niż obecna. Opuściła go część euforycznego uczucia. Jak zawsze, z siłą młota uderzył go fakt, że jego lud był rasą

wymierającą. Nie mogły tego ukryć nawet najbardziej pompatyczne okoliczności. Nie ukrywały tego niekończące się parady i ceremonie. Wielki geniusz, który uświetnił każdą aleję olbrzymimi posągami i wysokimi kolumnami, zniknął z tego świata. Niewolnicy i cudzoziemcy zamieszkiwali liczne budynki wokół portu, wypełniając je gwarem i życiem, które próbowało naśladować pradawną chwałę Lothorn. Ale to nie było elfie życie. Należało do obcych, do ludzi, którzy przybyli na ten wyspiarski kontynent całkiem niedawno i nigdy nie postawili stopy poza dzielnicą dla cudzoziemców w tym jednym mieście.

Jak to się zwykle działo, jego umysłem zawładnęła wizja nieuniknionej śmierci wszystkiego, co było mu drogie. Wiedział, że pewnego dnia na ulicach, w mieście, na kontynencie, nie będzie ani jednego elfa. Jego lud przeminie nie pozostawiając za sobą nawet duchów i tylko kroki przybyszów będą odbijać się echem wśród ruin, które niegdyś były ich domami.

Usiłował oddalić od siebie ten obraz, ale nie potrafił. Tak jak wszystkie elfy był podatny na melancholię, ale w odróżnieniu od swych bliźnich nie lubił się w niej pograżać. Pogardzał nią jako słabością, ale w tamtej chwili, gdy opuszczał starożytne, piękne miasto być może po raz ostatni, nie mógł oprzeć się temu impulsowi. Już zauważał, że liczba ludzkich statków w porcie niemal przewyższała liczebność elfich okrętów.

To prawda, było tam wiele potężnych Orłów, Sokołów i Jastrzębi o długich, smukłych sylwetkach, które rozcinały wody jak włócznie. Pchane magicznymi wiatrami były najszybszymi, najbardziej zwrotnymi statkami na morzu, ale nawet tutaj w ich macierzystym mieście, w największym ze wszystkich elfich portów, otaczały ich dzieła innych ludów. Były tam wielkie galeony z Bretonii i Marienburga. Dostrzegał łodzie z Arabii, których żagle przypominały płetwy rekinów, a także dżonki z Dalekiego Katalaju, z wysokimi nadbudówkami na burtach i trójkątnymi żaglami, które miały łapać wiatry dalekich mórz. Wszystkie przybyły tu na handel, aby nabyć magiczne towary i potężne narkotyki oraz leki, z których słynęły elfy, a na wymianę przywiozły jedwab, szlachetne drewno, perfumy, przyprawy i wytrenowanych niewolników rozkoszy – wszystkie te rzeczy konieczne były dla zapewnienia komfortu w schyłkowych latach jego ludu.

Do jego nozdrzy dotarł słony powiew morza. Zauważył człowieka, który przyglądał mu się przez lunetę z bocianiego gniazda jednego ze statków. Teclis zwalczył w sobie złośliwą ochotę, by przelecieć na gryfie tuż nad głową mężczyzny i sparaliżować go ze strachu, a potem ściągnął wodze kierując wierzchowca w górę i na północ, w stronę obłoków i odległych gór spowitych potężną aurą pradawnych i niezwykle mocnych zaklęć. Przez chwilę zdał sobie sprawę, że poczuł pokusę starego okrucieństwa swojego ludu, którzy postrzegali żywota innych, pomniejszych ras jako niewiele więcej niż błahostkę i ogarnęła go odraza połączona z nienawiścią do siebie samego, która tak bardzo odróżniała go od jego rodaków.

Bywały chwile, gdy wydawało mu się, że elfy w swojej arogancji zasługiwały, żeby je zastąpić i oddać pole młodszym rasom. Przynajmniej tamci nadal starali się coś budować, uczyć się, tworzyć rzeczy na nowo i pod wieloma względami to im się udawało. Jego lud natomiast żył przeszłością, pograżony w marzeniach o dawno minionej chwale. Dla nich cała wiedza warta poznania była już zdobyta, wszelkie czarodziejstwo w najwyższym stopniu doprowadzone do perfekcji przez elfich adeptów magii. Teclis długo i pilnie badał tajemnice magii i wiedział jak bardzo jego lud oszukiwał sam siebie. W młodości śnił o odkrywaniu nowych zaklęć oraz o przywróceniu zaginionych sztuk i udało mu się tego dokonać; ale ostatnimi laty nawet to straciło swój smak, a pewnych rzeczy wolałby nigdy nie dowiedzieć się.

Pomyślał o liście, który zostawił bratu z prośbą, by oddał go Królowi Feniksowi. Wyjaśniał w nim, co się działo. Myślał o wieściach już magicznie rozesłanych do adeptów w Białej Wieży. Zrobił

wszystko co mógł, by uprzędzić tych, których przysiągł chronić, a teraz musiał wykonać swój obowiązek lub zginąć próbując. Biorąc pod uwagę skalę zadania, jakie przed nim stało, ta druga możliwość wydawała się wielce prawdopodobna.

Szarpnął za lejce poskromionego gryfa i pomknął ku dalekim góróm.

Pod sobą widział rzeźbione szczyty Carillionu. Starożytna magia przekształciła je w olbrzymie posągi, pamiątkę potęgi elfów. Teclis zadrżał na myśl jak wiele magicznej energii, jak wiele lat czarodziejskiej pracy zużyto do wyrzeźbienia w skałach kształtów wielkich bestii. Były tam dwa potężne pegazy po obu stronach doliny, każdy stukrotnie przewyższający wzrost elfa. Pod ich skrzydłami zbierały się chmury. Każdy trwał w pozie gotowości do lotu lub uderzenia wielkim kopytem. Zdawało się, że lada chwila ożyją i zmiążdżą go jak małego i żalosego robaka.

Nie zostały stworzone tylko na pokaz. Magiczny wzrok Teclisa pokazywał mu, że posągi otaczały zaklęcia o fantastycznej złożoności – siatki czystej mistycznej energii, która pulsowała i iskrzyła mocą. To była część wielkiej sieci zaklęć, która pokrywała kontynent Ulthuanu i zapewniała mu stabilność. Gdyby przestała rozpraszać moc i kształtować ją do innych celów, cała kraina rozpadłaby się i ponownie zatonała w falach oceanu, albo zostałaby rozdarta w potężnych wulkanicznych wstrząsach. Te wielkie rzeźby i tak nie dorównywały największym dziełom jego ludu. Na północnych krańcach wyspy całe góry ukształtowano na podobieństwo jeszcze bardziej fantastycznych i groteskowych stworów.

Teclis pomyślał, że cały jego lud dotknięty jest śladem szaleństwa, które płonęło najsilniej w sercach ich mrocznych pobratymców z Naggaroth, ale czaiło się też w duszy każdego elfa. W tych statuach objawiały się duma, szaleństwo i wypaczony geniusz artystyczny, podobnie jak widoczne to było w każdym mieście elfów. Być może krasnoludy miały jednak rację. Może elfy rzeczywiście były przeklęte? Porzucił te myśli i skupił się na bieżącym zadaniu.

Krażył na gryfie ponad doliną szukając czegoś, co spodziewał się znaleźć w cieniu potężnych skrzydeł. Obecnie lśniło jaskrawo w polu jego magicznego widzenia, jaśniej nawet od strumieni magii płynących swoimi ścieżkami. To było coś nowego. Wyglądało inaczej, gdy ostatnim razem przelatywał nad tą okolicą. Coś zakłócało pracę starożytnych magów.

Obniżył się ze swoim gryfem. Stał tam ogromny kamień i właśnie jego miały strzec pegazy. To był monolit wytarty przez tysiąclecia niespokojnej pogody, a jednak nadal stojący na swoim miejscu.

W zboczu wzgórza, w cieniu kamienia, znajdowało się wejście. Prowadziło w dół do przedsionka, które zapieczętowano na tysiące lat. Nie bez przyczyny. Za nim znajdowało się dzieło tych, którzy byli w stanie przewyższyć całą potęgę i mądrość elfów. Spoczywały tam artefakty ludu, który opuścił te ziemie, gdy jego przodkowie byli jeszcze barbarzyńcami. To było przeklęte miejsce, o którym wspominał Tasirion w swojej księdze, jedno z kilku znajdujących się w starożytnym Ulthuanie.

Pociągnął za górny pasek lejców dając gryfowi sygnał do lądowania. Nie widział żadnego zagrożenia, ale był ostrożny. W tych okolicach można było znaleźć wiele dziwnych potworów, a czasami wojenne wyprawy mrocznych elfów docierały nawet tak blisko Lothorn. Wszelkie zabezpieczenia przed magią nie zdałyby się na nic, gdyby powaliła go jakaś zatruta strzała.

Gdy bestia obniżała lot, jeźdźca znowu przeniknęła fala osłabienia, a ziemia zatrzęsała się. Kamień zatańczył w miejscu. Potężne skrzydlate konie zadrżały jakby ze strachu. W oddali, płonące góry zionęły w niebo dziwnymi wielobarwnymi kłębowami. Teclis zaklął. Cokolwiek to sprawiało, wzbierało na sile, albo Teclis znalazł się bliżej epicentrum.

Pazury gryfa dotknęły ziemi. Teclis poczuł zwierające się pod nim mięśnie bestii, gdy łapy przyjęły impet lądowania. Stwór zatrzymał się niepewny co robić, gdy ziemia pod nim drżała.

Chwilę później wszystko znowu się uspokoiło. Teclis zsunął się z siodła, zmagając się z wrażeniem, że ziemia znacznie trząść się jeszcze raz, albo sam pograży się w niej, jakby była wodą. Trzęsienie ziemi było czymś, co w znaczącym stopniu wzburzało zmysły i sprawiało, że umysł zaczynał powątpiewać w wiele rzeczy. Teclis był niemal zaskoczony, gdy grunt pod nim nie ustąpił.

Zbliżył się do wejścia, przyglądając mu się uważnie. Przejście blokował kamienny łuk i skalny portal. Na wrotach widniał wyryty pradawny edykt zakazujący wstępu wszystkim elfom. Teclis wiedział, że otwierając bramę łamie prawa stworzone u zarania czasu. Karą za takie przestępstwo była śmierć. To był jeden z powodów, dla których nie chciał, by towarzyszył mu brat.

Zresztą, podobne rzeczy nie znaczyłyby wiele dla większości elfów. Zaklęcia umożliwiające otworzenie zakazanych krypt były znane bardzo niewielu: Wiecznej Królowej, kilku z mistrzów Białej Wieży i samemu Teclisowi. Tasirion odczytał je i użył stulecia wcześniej, czego miał żałować przez całą wieczność. Jego los był ostrzeżeniem dla innych, którzy zechcieliby poruszyć to, co tam spoczywało. Teclis zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem wypowiedział zaklęcie. Zapory położone przez jego przodków rozwarły się i wielkie drzwi wsunęły bezgłośnie do środka prowadząc do wielkiego ciemnego przedsionka. Po drugiej stronie krypty znajdowało się przejście w formie łuku, a za nim widać było ścieżkę prowadzącą w ciemność.

Wielki portal wielokrotnie przekraczał wzrost elfa. Pokrywały go wyryte starożytne runy i płaskorzeźby żabich głów pradawnej rasy. Teclis dostrzegał wewnątrz przepływ potężnej magii. Emanowała niemal wyczuwalną obecnością zła. Wzdrygnął się i wyszeptał zaklęcie przeciw Chaosowi wychodząc z łagodnego światła słonecznego do wnętrza pełnego zimnych cieni. Drzwi zasunęły się za nim. Szedł dalej w dół przechodząc pod kilkoma następnymi łukami. Ściany tworzyły wielkie bloki obrobionej skały rzeźbionej w dziwne kanciaste runy. W nich także wyczuwał zło.

Powtarzał sobie, że to nie same kamienie były złe, tylko coś co przesączało się przez nie. To była czysta mroczna magia, surowa materia Chaosu, promieniowanie, które mogło na wiele sposobów wypaczyć umysł i ciało. Zaklęcia wbudowane w łuki miały za zadanie to zatrzymać, ale widział, że były już bardzo stare, słabe i rozpraszały się, a to osłabienie pozwoliło wypływać przez nie złowieszczej energii.

Właśnie dlatego wokół tego miejsca utkano zaklęcia ochronne, a jego ludowi zakazano tam wchodzić. Cały ten obszar z biegiem czasu miał stać się skażony i zepsuty, jak rak w sercu Ulthuanu, plama ciemności, która powoli rozprzestrzeni się po całej krainie. Teraz jednak miał inne zmartwienia. Jeśli nie rozwiąże zagadki przyczyny trzęsień ziemi, nie będzie musiał martwić się o skażenie czegokolwiek poza kilkoma rybami głębinowymi, gdy jego ojczyzna zniknie pod oczyszczającymi falami. Musiał znaleźć Wyrocznię Prawdomówców i dowiedzieć się, co należało zrobić.

Wyciągnął rękę i dotknął powierzchni jednego z kamieni. Nie był gładki – wyryto na nim dziwne, kanciaste runy, piktogramy podobne do tych, które elfi badacze sprowadzili z zaginionego kontynentu Lustrii i parnych, zarośniętych przez dżunglę miast jaszczurzego ludu. Wyczuwał płynącą pod nimi magię, silne strumienie, gwałtowne i głębokie. Przeczytane teksty zapewniały go, że tak być nie powinno. Ścieżki powinny pozostawać uśpione i zapieczętowane. Nie powinny przepływać przez nie takie ilości mocy.

Teraz wiedział już, że jego podejrzenia były słuszne. To miejsce i inne, temu podobne, stanowiły źródło zakłóceń równowagi, które zagrażały Ulthuanowi. Ich aktywacja spowodowała odciąganie mocy z kamieni strażniczych, co zaburzyło chwiejną równowagę zaklęć chroniących tę ziemię. Pobierały z układu ogromne ilości magicznej energii i jeśli nie zostaną zatrzymane, nadejście katastrofy będzie tylko kwestią czasu.

Zastanawiał się, kto mógł uczynić coś takiego. Zawsze było możliwe, że to wszystko jest kolosalnym kosmicznym wypadkiem, albo że pradawne zapory po prostu zużyły się. W przypadku układu tak złożonego, starożytnego i delikatnego nie można było tego wykluczyć. A jednak, jego instynkt podpowiadał mu, że nie o to chodziło. Nie ufał niczemu, co miało związek z mrocznymi mocami Chaosu. Zbyt wiele innych rzeczy działo się na świecie, by mógł uwierzyć, że to był tylko zbieg okoliczności.

W Starym Świecie armie ciemności mknęły przez ziemię jak szkarłatna fala, zostawiając za sobą zniszczenie. Morza stały się niebezpieczne, gdy z głębin wychynęły potwory, a czarne statki Chaosu niszczyły wszystko na swojej drodze. Na północy zbierali się odwieczni wrogowie. Wojna zbliżała się do Ulthuanu, podobnie jak do reszty świata. W czasach takich jak te głupotą byłoby wierzenie w przypadek.

Przeszedł pod ostatnim i najgłębszym łukiem zakopanym głęboko pod ziemią, przyglądając się uważnie runom i ukrytemu pod nimi wzorowi magii, którą kształtowały. Wypowiedział zaklęcie widzenia, które obnażyło cały zawiły wzór. Śledząc linie magii przekonywał się, że istotnie było to zapierające dech w piersiach dzieło geniuszu. Wyglądało to tak, jakby milion pajaków przez tysiąc lat utkał sieć o niemal niepojętej złożoności. Mimo stuleci, które Teclis spędził na badaniach, to dzieło zdumiało go.

Nie musiał rozumieć, w jaki sposób zostało to stworzone, nie bardziej niż ktoś kto pił napój miłosny potrzebował rozumieć proces alchemiczny, jaki doprowadził do jego powstania. Musiał tylko zrozumieć, do czego ta rzecz służyła, a to wydawało się dość jasne.

Niektóre z zaklęć były barierami, które miały zamykać przejście. Większość z nich była już osłabiona lub rozproszona, nie dość silna, by wypełniać przeznaczenie nadane im przez twórcę. Teclisa interesowało to, czego te zaklęcia strzegły. Zapory chroniły wrota, przejście do jakiegoś innego miejsca. Elfi czarodzieje dawno temu wiedzieli, że takie rzeczy istniały, ale pradawni zamknęli je z powodów zrozumiałych tylko dla nich, a stare elfy uznały, że lepiej będzie pozostawić je nietknięte. W późniejszych wiekach mogły być otwierane tylko wtedy, gdy gwiazdy układały się w porządku, a stare zaklęcia na pewien czas rozpraszały się. Jednak Teclis wiedział, że tak działo się do tej pory. Najwyraźniej teraz ktoś lub coś znalazło sposób, by otworzyć je ponownie.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami pośrodku komory. Rozmyślał nad pradawną siecią zaklęć, jakie jego przodkowie utkali, by utrzymać stabilność wyspiarskiego kontynentu. Powszechnie zakładano, że to było dzieło elfów, niepowtarzalny produkt elfiego geniuszu. Czy było możliwe, że ci dawni magowie po prostu zbudowali to na podwalinach pracy starożytnych, zaprzęgając jej moc do własnych celów? Teraz, gdy ktoś ponownie aktywował te artefakty Pradawnych, zaczęły ściągać moc z magicznych pieczęci Ulthuanu. Teclis pomyślał, że to z pewnością mogło być prawdą. Była to droga prowadząca do katastrofy.

Można było zrobić tylko jedno – musiał znaleźć źródło tego wszystkiego i odwrócić zmiany. Musiał znaleźć sposób, by przejść przez wrota i zatrzasnąć je ponownie. Teclis zamknął oczy i zaczął medytować. Wiedział, że czasu było coraz mniej.

Rozdział 4

– Chciałbym, żeby pogoda się poprawiła – powiedział Felix Jaeger otulając się ściślej w wyblakły czerwony płaszcz z wełny z Sudenlandu i przybliżając do małego, pryskającego iskrami ogniska. Ledwo rozświetlało całą jaskinię. Felix cieszył się, że ją znaleźli. Jeszcze kilka minut w burzy śnieżnej i byłoby po nim.

– Trwa zima, a to jest Sylvania, człeczyno, więc czego się spodziewasz? Mówi się, że ta kraina jest zimna jak elfie serce.

Felix spojrział na Zabójcę. Masywny krasnolud nie okazywał żadnego dyskomfortu z powodu gryzącego zimna. Śnieg zlepił jego wielki grzebień jaskrawo pomarańczowych włosów i pokrywał tatuaże na ogolonej czaszce, ale nadal był ubrany jak zwykle, tylko w swoją kamizelę z grubej skóry, spodnie i buty. Jego ciężki, pokryty runami topór leżał pod ręką. Krasnolud odsunął się jeszcze bardziej od ogniska, jakby chcąc podkreślić swoją hardość. Bywały chwile, gdy Felix nienawidził podróży z krasnoludami. Poszukał wzrokiem Maxa, by przekonać się, jak czarodziej przyjmuje ten pokaz niezrównanej odporności na surowe warunki pogody, ale ten był pogrążony w myślach wpatrując się w ogień, jakby dostrzegał tam jakiś mistyczny wzór.

Zachowywał się tak od kiedy dowiedzieli się o losie Ulriki tam, w twierdzy. Odpowiedział tylko na prośbę Felixa, by użył swej magii do rozpalenia ognia, gdy zawiodły nawet wysiłki krasnoludów z krzemieniem i hubką. Czarodziej wyglądał na kogoś, kto przeżywał wyjątkowo zły sen na jawie. Felix rozumiał to. Na samą myśl o Ulrice i o tym, co się z nią stało, czuł w sercu ukłucie ostrza sprzecznych emocji. Cokolwiek niegdyś działo się między nimi, teraz odeszło – sprawiła to jej przemiana w jedną z nieumarłych. Usiłował oddalić od siebie tę myśl. To były sprawy, nad którymi wolał nie rozmyślać wśród ciemnych lasów na tej przeklętej, nawiedzanej ziemi.

– Snorri miał nadzieję, że w tej jamie będzie niedźwiedź – odezwał się Snorri. Rzeczywiście wyglądał na zawiedzionego. Niemal komiczny grymas żalu przemknął przez jego szeroką, głupkowatą twarz. Wyciągnął wielką dłoń i pomacał po malowanych gwoździach wbitych w swoją czaszkę. Podobnie jak Gotrek, Snorri był niemal szerszy niż wyższy i zbudowany prawie z samych mięśni, choć Felix zauważył, że w przypadku Snorriego dotyczyło to także przestrzeni pomiędzy uszami.

– Dlaczego? – spytał Felix. – Chciałbyś go obedrzeć ze skóry i nosić jak płaszcz?

– A do czego Snorriemu potrzebny płaszcz, młody Felixie? To letni piknik w porównaniu z zimą w Górach Krańca Świata.

Felix postanowił, że jeśli jeszcze raz usłyszy tę wzmiankę o letnim pikniku, to wbije w głowę Snorriego kilka następnych gwoździ. Z rosnącą nienawiścią wysłuchiwał już od kilku dni radosnych komentarzy krasnoludów dotyczących pogarszającej się pogody.

– Myślisz, że jest zimno, człeczyno? – powiedział Gotrek. – Powinieneś być na Wysokich Przełęczach podczas Ponurej Zimy. Iam to dopiero było zimno!

– Jestem pewien, że mi o tym opowiesz – odparł Felix.

– Snorri to pamięta – powiedział Snorri. – Snorri poszedł z wyprawą wojenną Gurniego Grimmsona, która ścigała orki. Było tak zimno, że jednej nocy palce Forgasta Szczerbatego zrobiły się czarne i wpadły do zupy, którą mieszał. Zresztą, to była dobra zupa. – Roześmiał się, jakby do miłego wspomnienia. – Było tak zimno, że jego broda zamarzła na kość i odłamywała się kawałkami jak sople.

– Wymyślasz to – powiedział Felix.

– Nie, Snorri nie wymyśla.

Felix przypuszczał, że to mogła być prawda. Snorri nie miał dość wyobraźni, by wymyślić

cokolwiek.

– A bardzo dumny był z tej brody. Gdy wrócił do domu, nie poznała go własna żona. Był tak zawstydzony, że ogolił sobie głowę. W końcu zjadł go troll. Oczywiście, udławił się, gdy go przełykał.

– No, to dopiero Zabójca! – przyznał z podziwem Snorri. Gotrek skinął głową. Felix nie był zaskoczony. Zabójcy żyli tylko po to, by zginąć w walce z najstraszniejszymi i największymi potworami, aby odpokutować za występki lub grzechy, które popełnili. Felix nie był pewien, czy zaliczyłby zadławienie na śmierć trolla samym sobą do bohaterskiej śmierci, ale nie zamierzał w tamtej chwili o tym wspominać.

– Żałuję, że w tej jamie nie ma niedźwiedzia – powtórzył z żalem Snorri. – I to dużego. Może dwóch. Misie to dobre żarcie.

– Pewnie coś wiesz na ten temat? – odparł Felix.

– To lepsze od wiewiórek, albo królików czy zajęcy – dodał Snorri. – Żałuję, że tu nie ma niedźwiedzia.

– Niektórzy powiadają, że tutejsze jaskinie są nawiedzone – odezwał się Max. To był pierwszy od dłuższego czasu, jego wkład do rozmowy, ale wyraźnie odpowiadał ponuremu nastrojowi czarodzieja.

– Co masz na myśli? – spytał Felix.

– W swoich Legendach Szwecji, Neumann wspomina, że jaskinie wokół Drakenhof były uznawane za nawiedzone. Tutejsi mieszkańcy unikali ich. Niektórzy twierdzili, że korzenie tych pieczar dosięgały samego Piekła.

– Może powinieneś powiedzieć nam o tym zanim Snorri i Gotrek przyprowadzili nas to tych jaskiń – odparł Felix.

– To tylko opowieść, Felixie. A biorąc pod uwagę alternatywę jaką było zamrożenie na śmierć, czy rzeczywiście byś z tego zrezygnował?

Felix przypuszczał, że nie zdecydowałby się na to, ale nadal czuł się podirytowany.

– Czy myślisz, że coś jest w tych historiach, Max?

– Niektóre opowieści zawierają ziarnko prawdy, Felixie.

– Czy jest coś jeszcze, o czym zapomniałeś nam powiedzieć?

– Mówią, że ludzie, którzy zapuścili się głęboko do jaskiń, zaginęli i nigdy już ich nie widziano.

– Może były w nich niedźwiedzie – zgadywał Snorri. – Niedźwiedzie mogły ich zjeść.

Gapił się z nadzieją w głąb jaskini, jakby spodziewał się dostrzec, czy prowadzi dalej pod ziemię. Felix cieszył się, że sprawdził już to wcześniej. Jaskinia biegła jeszcze tylko kilka kroków pod wzgórze.

– I było mnóstwo odmieńców, którzy czasami używali ich jako schronienia.

– Niedźwiedzi? – spytał skołowany Snorri.

– Jaskiń – odpowiedział Max.

Felix zauważył, że Gotrek przestał się przysłuchiwać i wpatrywał nad jego ramieniem w noc. Palce zacisnął na trzonku topora. Max usiadł i także wpatrzył się w ciemność.

– O co chodzi? – zapytał Felix, już obawiając się najgorszego.

– Coś tam jest – odparł Gotrek. – Czuję smród bestii. Wiatr niesie odór Chaosu.

Snorri natychmiast poweselał.

– No to bierzmy się za nich.

– Tak – powiedział ironicznie Felix. – Nie przejmujemy się takimi drobnostkami jak ich liczebność, albo to, czy jesteśmy przygotowani do walki.

– Pewnie, że nie – odpowiedział Snorri. – Po co Snorri miałby to robić?

– Tam jest magia – powiedział Max grobowym głosem. – Mroczna magia. Tej nocy wiatry Chaosu wieją silnie.

Felix jęknął. Zadawał sobie pytanie, dlaczego zawsze, gdy pomyślał, że sytuacja nie może ulec pogorszeniu, tak właśnie się stawało. Siedzenie w zamarznętej jaskini przy parszającym ogniu z dwoma poszukującymi śmierci krasnoludami i ponurym czarodziejem, gdy na zewnątrz szalała śnieżycą, było wystarczająco złe. Teraz wydawało się, że pojawiły się jeszcze siły Chaosu i mroczna magia. Felix zastanawiał się, dlaczego bogowie tak bardzo go nienawidzili.

– I jest tam coś jeszcze – dodał Max. Jego smutna twarz wyglądała na napiętą, a w oczach płonęło gorączkowe światło.

– Nic już nie jest w stanie mnie zaskoczyć – mruknął z przekąsem Felix. – Tym niemniej, powiedz co to takiego.

– Nie wiem co to jest. To moc z rodzaju, z jakim jeszcze się nie spotkałem. Tam działa dziwna magia. Wyczułem to godzinę temu.

– Miło z twojej strony, że o tym wspomniałeś – powiedział Felix.

Oba krasnoludy spoglądały na nich niecierpliwie.

– Uznałem, że nie było sensu zakłócać twojego odpoczynku, dopóki nie zdobędę lepszego rozeznania, co to takiego. Być może to nie ma nic wspólnego z nami.

– Najwyraźniej jednak ma.

– Owszem. Inaczej zwierzoludzie nie przyszliby tutaj. Jak mogliby nas znaleźć podczas takiej nocy?

– Powiadasz, że idą za nami? – powiedział Felix dobywając miecza.

– Już tutaj są, człeczyno – zauważył Gotrek. Felix spojrzał ponad Zabójcą w śnieżycę. Dostrzegł masywne sylwetki, które tylko nieznacznie przypominały ludzkie oraz potężnych, zakutych w czarne pancerze wojowników, których podobizny znał aż nazbyt dobrze.

– Czy oni tropili nas przez całą drogę aż od Praag? – spytał Felix ze zdumieniem.

– Jeśli tak, to przebyli daleką drogę, by umrzeć, człeczyno.

– Snorri myśli, że Snorri powinien pójść pierwszy – powiedział Snorri przechodząc od słów do czynów i zaszarżował unosząc topór w jednej dłoni, a młot w drugiej. Po kilku chwilach był już wśród zwierzoludzi przebijając się przez nich jak piorun. Wokół obutych stóp wznosiła się burza śniegowa. Wyraz radości na jego prostej, brutalnej twarzy przypominał Felixowi uciechę dzieci biorących udział w bitwie na śnieżki.

Gotrek ruszył w jego ślady biegnąc po śniegu jakby go nie było, nie bardziej spowolniony z powodu głębokich zasp niż zwierzoludzie lub wojownicy Chaosu. Felix usłyszał za sobą Maxa, który zaczął wyśpiewywać zaklęcie. Wolał nie odwracać wzroku. Chwilowa dekoncentracja podczas walki często okazywała się fatalna i Felix nie spuszczał oczu ze swoich przeciwników.

Doliczył się co najmniej dwudziestu zwierzoludzi. Jak zawsze przypominali żalosne parodie ludzi o głowach kozłów, wilków lub wołów. W swych zmutowanych łapach i szponach ściskali różnorodną, topornie wykonaną broń. Na ich tarczach widniał symbol Chaosu – osiem strzał wybiegających we wszystkie strony z centralnego, kociego oka. Prowadził je monstrualny wojownik Chaosu, prawdopodobnie największy, jakiego Felix kiedykolwiek widział. Był równie wielki jak ogr – być może był nim kiedyś. Niemal o połowę przekraczał wzrost Felixa, a Felix był wysokim człowiekiem. Domyślał się także, że wojownik Chaosu był od niego czterokrotnie cięższy i to nie licząc pokrytej runami zbroi, jaka okrywała jego masywne ciało.

Teraz to nie było już ważne. Wystarczająco długo zwlekał z przyłączeniem się do walki. Albo

weźmie w niej udział, albo da się zabić. I chociaż kilka minut wcześniej myślał o czymś takim jak o wybawieniu od ciężaru rozmowy z krasnoludami, teraz gdy ryzykował własnym życiem nawet banały Snorriego wydawały się pociągające.

Wyjąc jak szalenciec natarł na najbliższego zwierzoczęka, tnąc mieczem o smoczej rękojeści najmocniej jak potrafił. Zwierzoczek uniósł włócznię, by odbić uderzenie. Ostrze wyrwało drzazgi z drzewca. Felix kopnął trafiając butem między nogi zwierzoczęka. Stwór zawył z potwornego bólu i zgął się wpół. Następny cios Felixa oddzielił jego głowę od ramion.

Nie czekał, aż ruszy na niego następny zwierzoczek, lecz skoczył naprzód pokonując opór śniegu i starając się nie poślizgnąć. Uczył się szermierki w szkołach walki u mistrzów miecza w Altdorfie, na podłogach z twardego drewna i kamienia. Teraz zastanawiał się z goryczą, dlaczego jego nauczyciele nigdy nie zechcieli mu powiedzieć, że większość walk nie przebiega w tak idealnych warunkach.

Przez chwilę żałował, że nie ma pistoletu, ale potem uzmysłowił sobie, że w tej wilgoci musiałyby mieć wiele szczęścia, żeby broń zadziałała. Skrzyżował ostrza z potężnym zwierzoczękiem, o głowę niższym od niego, ale dwukrotnie szerszym. Jedna z dłoni stwora kończyła się płataniną oślizgłych macek. Gdy machnął nią w stronę twarzy człowieka, Felix zauważył wielką gębę pijawki, która rozwierała się pośrodku dłoni. Niegdyś sparaliżowałoby go przerażenie, ale w ciągu kilku ostatnich lat przyzwyczał się do takich widoków. Podczas swoich podróży z Zabójcą widywał znacznie gorsze rzeczy.

Macki uderzyły go w twarz i poczuł ukąszenie. Pomyślał z przerażeniem, że śluz mógł być żrący, albo jeszcze gorzej – trujący. Odrazą i strach sprawiły, że zaczął walczyć jeszcze zajadlej. Trafił mieczem w nadgarstek stwora odrabując jego zmutowaną łapę. Następne uderzenie rozcięło stworzenie od mostka po pachwinę.

Nad głową zasyczało i zaiskrzyło coś jasnego. Felix zdążył osłonić oczy. Nastąpiła oślepiająca eksplozja złotego światła. Poczul na twarzy uderzenie gorącego, parującego śniegu. Otworzył oczy i zobaczył wypalony w śniegu krater od kuli ognistej Maxa, a wielu zwierzoludzi stało potrząsając łbami i mrugało głupawo usiłując przejrzeć. Kilka upieczonych ciał leżało w kałuży parującego wrzątku pośrodku krateru.

Felix zrozumiał, że to nie była pora na honorową walkę. Szczególnie, że w świetle kilku zapalonych krzaków zauważył zbliżające się kolejne dziesiątki zwierzoludzi. Popędził naprzód siekąc mieczem i próbując zabić jak najwięcej oślepionych zwierzoludzi. Snorri i Gotrek robili to samo wbijając się między nich. Kierowali się w stronę nadchodzącego tłumu. Tylko potężny olbrzym w czarnej zbroi nie ustępował ze swego miejsca. Nad jego głową krążyło coś dziwnego. Felix domyślał się, że był to jakiegoś rodzaju magiczny klejnot.

W powietrzu przemknęły kolejne kule ognia, które rozbiły się pośród nacierającej masy zwierzoludzi zmieniając jednego lub dwóch w płonące pochodnie topniejącego ciała i powalając innych na ziemię impetem uderzenia. Felix wiedział, że to szaleństwo, ale nie potrafił wymyślić nic innego i krzyknął:

– Za mną, Snorri! Na nich!

W jego szaleństwie była jednak metoda. Snorri poszedł za nim z ochotą, ignorując wielkiego wojownika Chaosu, ponieważ nie chciał pozwolić na to, by zwykły człowiek uprzedził go w rozpoczęciu zabijania nowych zwierzoludzi. Jak dotąd, jest nieźle – pomyślał Felix. Miał przynajmniej osłonięte plecy. Wiedział, że jeśli ktokolwiek jest w stanie zająć się olbrzymim wojownikiem Chaosu, był nim tylko Gotrek. Krasnolud jeszcze nie przegrał żadnej walki, a Felix wątpił, by miał zamiar pozwolić na to właśnie teraz.

Felix kierował się w stronę rannych i przewróconych, biegnąc do zwierzoludzi. Wybierał łatwe

cele i atakował oślepionych. Snorri nie był tak wybiórczy. Atakował kogo miał najbliżej, czy był to ranny, zdrowy, widzący, czy oślepiony, albo usiłujący uciekać. Zabijając śmiał się, ciesząc jak dziecko z nowej zabawki.

Max rzucił następne kule ogniste. Ich eksplozje zamieniły na chwilę noc w jasny dzień, a śnieg w parę wodną. Felix zobaczył jednego z padających zwierzoludzi. Jego pysk stanowiła masa pęcherzy, skóra odpadała od ciała, a ciało od kości, jak u przegotowanej kury. Felix otrząsnął się w następnej sekundzie i rzucił naprzód w ślad za Snorrim, który uderzał w największe zbiorowisko. Ogłuszający brzęk za nim oznaczał, że topór Gotreka zderzył się z mieczem wielkiego wojownika Chaosu.

– A teraz, Zabójco Areka, szykuj się na śmierć – zahuczał głos o co najmniej oktawę głębszy od jakiegokolwiek ludzkiego. – Twój topór będzie należeć do mnie.

– Co ty powiesz? – odparł Gotrek. Jego gardłowy głos dało się słyszeć mimo zgiełku bitwy. Felix uniknął ciosu kolejnego zwierzoczłeka, po czym skoczył naprzód pchając miecz pod zasłoną stwora i wbił go w mur jego żołądka. Obrócił ostrze i przesunął je w górę, w stronę żeber, aż koniec sztychu dotarł do serca. Felix cofnął miecz. Bluznęła krew i stworzenie padło przed siebie. Posoka wylewała się z wilczego pyska, a wielkie zębiska zatrzasnęły się tak blisko twarzy Felixa, że poczuł ohydny oddech stwora. Ponownie zakręcił się z bronią, aby oczyścić pole wokół siebie. Zauważył, że w zamieszaniu bitewnym znalazł się w pobliżu Gotreka i jego przeciwnika.

Z niepokojem zdał sobie sprawę, że wojownik Chaosu był naprawdę olbrzymi. Felix nie widział czegoś tak wielkiego o ludzkich kształtach od czasu, gdy walczyli ze zmutowanymi ochroniarzami Szarego Proroka Thanquola w Samotnej Wieży. Tamci jednak nie mogli równać się z nim pod względem zdolności bojowych. Tę istotę okrywała zbroja wojownika Chaosu – jej czarną metalową powierzchnię pokrywały dziwne znaki i wytłoczone łby demonów. W prawej dłoni spoczywała monstrualna tarcza ukształtowana na podobieństwo rechoczącego oblicza krwiopijca, jednego z największych demonów. W lewej dłoni znajdowała się maczuga z jakiegoś dziwnego metalu. Jej głowica miała formę czaszki innego ogromnego demona. Być może rzeczywiście to był demon wypolerowany w czarnym złocie. Broń promieniowała dziwną mocą. Puste oczodoły lśniły piekielnym światłem, które nadawało demonowi pozory życia. Gdy wojownik Chaosu uniósł maczugę, broń wydała z siebie ogłuszający wrzask, tak głośny, że mógłby obudzić zmarłego.

– Jestem Grume z Nocnego Kła i nie obdarzę cię szybką śmiercią – zahuczał wojownik. – Połamię kolana i stłukę twe stawy na miazgę, a potem rzucę zmasakrowane ciało na pastwę dla moich sług.

– Przyszedłeś tu przechwalać się, czy walczyć? – parsknął Gotrek.

– Twoja śmierć będzie długa i straszliwa, a twoi pobratymcy będą łkali i zgrzytali zębami, gdy o tym usłyszą.

– Nie mam żadnych pobratymców – powiedział Gotrek cedząc słowa. Jego broda zjeżyła się od wściekłości. Rzucił się naprzód z toporem. Ostrze uderzyło w tarczę. Oblicze demona jakby skrzywiło się w grymasie zaskoczenia, gdy topór zetknął się z nim. Stopiony metal popłynął niczym krew lub łyż. Felix pomyślał, że widzi działanie dziwnej magii, a potem uchylił się, gdy jakiś zwierzoczłek spróbował odciąć mu głowę.

Zawirował w miejscu i wbił głowicę miecza w pysk stwora. Rozległ się trzask, gdy kości i chrząstki ustąpiły pod siłą uderzenia. Felix wolną pięścią zdzielił zwierzoczłeka w jego nowe czułe miejsce i usłyszał ryk przeraźliwego bólu. W chwili gdy zwierzoczłek runął do tyłu, Felix rozdarł pół pyska mieczem na chwilę obnażając zęby i białe kości stwora, po czym wybawił go z agonii odrąbując mu łeb.

Wokół wybuchały wciąż ogniste kule, które czyściły otoczenie z przeciwników. Felix stanął mrugając oczami. Albo Max osiągnął absolutną celność w swojej magii, albo po prostu nie dbał o to,

czy Felix zostanie trafiony. To nie była myśl, która go uspokoiła.

Felix rozejrzał się. Główne siły zwierzoludzi kręciły się po całym polu walki starając się unikać zabójczego obszaru wokół Maxa, do którego chcieli dotrzeć zanim zdoła uwolnić jeszcze więcej magii. Przed chwilę Felix i Snorri stali w miejscu gapiąc się na siebie. Zabójca zabił wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Zamrugał i wpatrywał się głupawo w Felixa nie mogąc zrozumieć, gdzie nagle podzieli się wszyscy jego przeciwnicy. Felix dostrzegł Grume'a, który usiłował zmiażdżyć Gotreka wyjąca maczugą. Ten cios był niesamowicie szybki i zmieniłby krasnoluda w miazgę, gdyby Zabójca pozostał na swoim miejscu. Ten jednak błyskawicznym szurnięciem stopami usunął się z miejsca uderzenia.

Felix domyślał się po minie Gotreka, że krasnolud musiał w pełni skupiać się na walce. Nie było w tym nic zaskakującego ponieważ nieziemsko wyjąca demoniczna pałka rozpraszała wszystkich w promieniu pięćdziesięciu kroków. Bogowie tylko wiedzieli, co musiało dziać się bliżej źródła tego hałasu. Tylko ktoś, kto widział krasnoluda w walce tak często, jak Felix, zauważyłby, że Gotrek wydawał się wolniejszy niż zwykle i nie poruszał się ze swoją zwykłą, oszałamiającą szybkością.

Potworny wojownik Chaosu zarechotał obrzydliwie, jakby rozumiał jaki efekt wywiera jego broń. Efekt który często widywał już wcześniej. Gdy przemówił, jego głos zdradzał całkowitą pewność siebie:

– Nikt nie przeciwstawi się Czaszkowej Maczudze z Malarak. Zamraża kończyny i zatrzymuje serca tych, którzy stają przeciwko niej. Szykuj się na spotkanie swoich przodków.

Felix ocenił odległość do wojownika Chaosu celując w punkt, który wydał mu się słabym miejscem w spojeniu na plecach jego pancerza. Wiedział jednak, że jest o wiele za daleko, by dotrzeć tam na czas. Czy godzina zagłady Zabójcy wreszcie nadeszła?

Rozdział 5

Felix biegnąc naprzód wyczuł dziwny smród, gnijącego mięsa i zaskorupiałej krwi. Odór dobiegał od wojownika Chaosu – tego był pewien. To było równie powalające, jak odpowiadające tej postaci. Zbliżając się do wojownika zobaczył jak wielki był Grume – przypominał górę opancerzonego ciała. Od wycia jego maczugi kręciło się Felixowi w głowie i szczykały zęby. Miał wrażenie, że uszy zaczynają krwawić. Mógł tylko zgadywać, jak Zabójcy udawało się to wytrzymać.

Przez śmierdzące opary dostrzegał Gotreka, który stał jak zamarty pod opadającą maczugą. Zgodnie ze swymi słowami Grume nie celował w głowę Zabójcy, lecz w ramię trzymające topór. Najwyraźniej rzeczywiście zamierzał schwytać i torturować Zabójcę. To nie zapowiadało nic dobrego dla reszty z nich. Felix ledwo słyszał za sobą odgłosy rzezi, jaką Snorri urządzał walcząc ze zwierzoludźmi.

Obłąkany, huczący śmiech Grume'a był ledwo słyszalny przez demoniczne wycie jego broni. Twarz Gotreka była blada i zacięta. Maczuga opadała jak młot jakiegoś szalonego boga wojny. W ostatniej sekundzie uderzył topór Gotreka. Pokryte runami ostrze wbiło się w demoniczny czerep. Smugi ognia zabłysły wzdłuż ostrza z gwiazdowego metalu. Głowa demona roztrzaskała się na tysiąc kawałków. Wycie ustało natychmiast, a śmierdząca chmura zaczęła się rozpraszać.

– Połamiesz mi kości, tak? – odezwał się Gotrek swobodnym tonem. Machnął toporem trafiając olbrzyma tuż pod kolano. Ozdobna zbroja wygięła się, jakby była wykonana z miękkiej cyny. Bluznęła krew. Grume zaczął przewracać się do tyłu niczym wielkie drzewo. Felix musiał uskoczyć na bok, aby uniknąć zmiżdżenia.

– Pobijesz mnie i rzucisz ciało na pastwę dla swoich sług, tak? – Topór opadł ponownie na drugą nogę olbrzyma, przecinając pancerz i ścięgna. Kończyna znieruchomiała. Grume zaczął podpierać się rękami. Błysnął topór odcinając lewą dłoń u nasady. Kolejne cięcie odrąbało prawe ramię na wysokości łokcia. Gotrek splunął na powalonego przeciwnika i odwrócił się, by zmierzyć się ze zwierzoludźmi. Przerazająco swobodne okrucieństwo czynów Zabójcy zdumiało Felixa. Praktycznie nieruchome ciało wojownika Chaosu leżało na śniegu wykrawiając się na śmierć.

Gotrek ruszył pewnie w stronę zwierzoludzi z toporem uniesionym w gotowości. To było dla nich zbyt wiele. Odwrócili się i uciekli w szalonym pośpiechu. Felix zauważył w tym momencie dziwny obiekt przypominający latające oko, które nadal unosiło się nad ziemią, niemal niewidoczne w mroku. Zachwiało się w tył i przód, zupełnie tak jakby oko chciało im się uważnie przyjrzeć.

Felix ciekaw był, coż to było za nowe plugastwo?

Kelmain odwrócił się w stronę płynącego w powietrzu wizerunku brata.

– To tyle, jeśli chodzi o potężnego Grume'a – powiedział. Obraz umierającego wojownika Chaosu nadal tkwił w jego umyśle.

– To było do przewidzenia. Tacy jak Gotrek Gurnisson nie są pokonywani przez Grume'ów tego świata. Ten topór unosi ze sobą wielkie brzemie przeznaczenia.

– Lepiej zatem usuńmy ten pionek z planszy naszego świata – powiedział Kelmain uśmiechając się.

– Kontynuuj swój plan – odparł Lhoigor. – Przygotuj pułapkę.

– Nie! – krzyknął Felix, gdy Gotrek i Snorri znikli w półmroku. – Poczekajcie, musimy ułożyć jakiś plan!

Wiedział jednak, że było już za późno. Odwrócił się i zobaczył podchodzącego Maxa Schreibera. Otaczało go lśnienie. Śnieg jakby uciekał spod jego stóp zamieniając się w parę. To był osobliwy widok, który sprawiał, że mag wydawał się nie do końca człowiekiem.

– Za późno, Felixie – powiedział. – Lepiej ruszajmy za nimi.

– Zauważyłeś to dziwne latające oko? – spytał Felix.

Max skinął głową.

– To magiczny konstrukt o znacznej mocy – ognisko jakiegoś rodzaju zaklęcia obserwacji, jeśli dobrze zgaduję.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy obserwowani przez czarodzieja?

– Aye – i to bardzo silnego. Zapewne to on zaplanował ten atak i przyprowadził do nas wyznawców Chaosu.

– Czarnoksiężnik Chaosu i ten potwór, świetnie – powiedział z goryczą Felix. – Możesz coś z tym zrobić?

– Zobaczymy jak znajdziemy pozostałych – odparł Max Schreiber. – Lepiej ruszajmy, albo ich nie dogonimy.

– Nie obawiaj się – powiedział Felix. – Krasnoludy mają krótkie nogi. W żaden sposób nie uda im się nas przegonić.

Co kilkaset kroków znajdowali ślady w miejscach gdzie zwierzoludzie zebrali się w sobie i próbowali rozszarpać krasnoludy. O ich niepowodzeniu przekonywała liczba zmutowanych ciał, które walały się po śniegu. Zaczęły padać większe, grubsze płatki, które wypełniały ślady i zakrywały trupy. Felix wiedział, że wkrótce w miejscu niegdyś żywych, oddychających istot pozostaną tylko dziwnie wyglądające zaspę. To była dość przygnębiająca myśl.

Tuż za nim szedł Max niewrażliwy na mróz. Felix cieszył się, że mag był blisko niego. Otaczająca go aura dawała dość ciepła, by odegnać najgorszy ziąb. Być może Max kierował ciepło przed siebie, aby wesprzeć nieco towarzysza. Felix nie miał ochoty o to pytać. W dodatku aura dawała dość światła, dzięki któremu Felix widział drogę przed sobą.

– Poszli tędy – powiedział Felix wskazując ślady Gotreka. Zabójca pozostawiał bardzo charakterystyczne odciski kroków na śniegu. Jego stopy były większe i szersze od ludzkich, a rozstaw nóg wyraźnie mniejszy.

– To mnie nie zaskakuje – odrzekł Max.

– Mam wrażenie, że chcesz powiedzieć mi coś, co mi się nie spodoba – powiedział Felix wpatrując się w mrok za kręgiem światła. Wypatrywał odbitego lśnienia w ślepiach zwierzoludzi. Gdy brakowało Zabójców, stwory mogły pokonać jego i Maxa. Wystarczyłaby jedna szczęśliwie rzucona włócznia, by unieszkodliwić czarodzieja, a wówczas Felix pozostałby sam przeciwko potworom.

Grymas koncentracji zmarszczył czoło Maxa.

– Wyczuwam w tamtym kierunku potężne źródło magicznej energii. Świeci jak latarnia. Dostrzegam je aż stąd. Jest niewiarygodnie silnie i spaczona mocą Chaosu.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej? Pewnie nie chciałeś nas martwić?

– Nie, Felixie. Nie powiedziałem o tym wcześniej, ponieważ wcześniej tego nie było...

Felix zastanawiał się, jaki kolejny koszmar na nich czekał.

Gdzieś z przodu dobiegł odgłos walki. Felixowi wydało się, że rozpoznaje zawołanie Gotreka i okrzyk bojowy Snorriego. Popędził w górę po stoku przez śnieg i dotarł do przełęczy w zagajniku. Przed sobą zobaczył coś, co przypominało wielki kurhan lub małe wzgórze, niesamowicie stare i majestatyczne. W jego zboczu znajdował się łuk składający się z dwóch potężnych filarów i kamiennego bloku poprzecznego. Cały kopiec, z wyjątkiem łuku, był pokryty świeżo spadłym śniegiem. Łuk błyszczał dziwnie, a w miejscach gdzie dotykał go padający śnieg, płatki natychmiast topniały. Felix domyślał się, że wyczuwalny zapach palonej roślinności pochodził z tłącego się mchu.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – spytał.

– To magia – odpowiedział Max. – Bardzo potężnego rodzaju.

Felix widział, że u wejścia do kurhanu trwała bitwa. Snorri i Gotrek wyrąbywali i wycinali sobie drogę przez tłum zwierzoludzi. Usiłujące uciekać potwory walczyły, desperacko próbując wyrwać się z matni. Felix i Max zbliżyli się do wejścia. Droga do wnętrza wyglądała osobliwie – Felix nie widział nigdy czegoś takiego. Ściany tworzyły ciężkie bloki nieobrobionego kamienia pokryte dziwnymi, kanciastymi runami. Kilka kolejnych łuków wspierało sufit korytarza opadającego stromo w głąb ciemności. Gdzieś w oddali dało się zauważyć następny, intensywnie lśniący łuk.

Masa zwierzoludzi popędziła przez świecący łuk i po prostu znikła. To byto niesamowite. W jednej chwili byli w tym miejscu, w następnej przepadli zostawiając tylko rozchodzące się zawirowania w migoczącym powietrzu. Przyglądając się uważnie, Felix dostrzegł świecące oko, które unosiło się nad nimi, z oszalamiającą prędkością zmieniając swoje położenie, by uzyskać lepszy obraz pola bitwy.

Felix stwierdził, że powinien wreszcie dać coś z siebie. Popędził naprzód czując dziwny dreszcz przebiegający mu po plecach, gdy przebiegł pod jednym z kamiennych łuków. Nie musiał być potężnym magiem, jak Max, by wiedzieć, że tam działo się coś nienaturalnego.

Snorri rąbiąc i wirując przeciskał się przez stłoczone ciała zwierzoludzi, z radosnym uniesieniem odcinając kończyny i miażdżąc łby. Gdy zbliżył się do lśniącego łuku, wydarzyło się coś dziwnego. Z głębi blasku wypadła potężna macka, gruba jak lina cumownicza okrętu i okręciła się wokół krasnoluda. Zanim Felix zdążył krzyknąć ostrzegawczo, macka cofnęła się i Snorri został wciągnięty w blask. Nie minęło uderzenie serca, gdy zniknął.

Gotrek ryknął przekleństwo i podwoił swoje wysiłki, wycinając ostatnich kilku zwierzoludzi. Felix podszedł do niego.

– Co to było to coś, co zabrało Snorriego? – spytał.

– Zapewne demon i wkrótce będzie martwy, albo doczekam się mojej zagłady – odpowiedział Zabójca.

Nie spoglądając za siebie skoczył prosto w lśnienie. Po sekundzie on także przepadł.

– Czekaj! – krzyknął Max. – Nie masz pojęcia, dokąd prowadzi ten portal!

Felix stanął przed lśniącym łukiem i zastanawiał się, co zrobić. Nigdzie nie było śladu Zabójców, zwierzoludzi, ani potwora z mackami. Nie słyszał żadnych dźwięków. Gdy przyglądał się łukowi, migotanie zaczęło zanikać. Nagle coś śmignęło nad jego głową. Rozległo się okropne chrupnięcie. Spojrzał w tył i zobaczył, że Snorri został wypluty przez portal z prędkością kamienia wyrzuconego z procy. Przez przypadek, albo celowo poleciał prosto na Maxa. Obaj upadli nieprzytomni na podłogę.

Instynkt powiedział Felixowi, że ma tylko kilka chwil na podjęcie decyzji. Wiedział, że jeśli będzie stał w miejscu aż zniknie światło, portal przez który przeszedł Zabójca zamknie się, a wraz z nim wszelka szansa, by ruszyć za nim. Gdy stał niezdecydowany coś twardego uderzyło go w plecy i pchnęło prosto w światło. Oczywiście – pomyślał – zapomniałem o latającym oku.

Przeniknęła go fala zimna i przez chwilę obawiał się, że straci zmysły od oszalamiającego wrażenia pędu. Wydawało mu się, że spada w wielki szyb kopalniany, przyspieszając do niesamowitej prędkości. Przygotował się na uderzenie. Był zaskoczony, gdy bez szwanku znalazł się na twardym podłożu. Chwilę później, żałował że to przeżył, gdy powitał go przerażający widok.

Nad sobą zobaczył wielkiego stwora z mackami – skrzyżowanie kałamarnicy i węża, jakiegoś ohydneho, zmutowanego demona Chaosu. Wymachiwał mackami usiłując pochwycić Gotreka, ale Zabójca stał twardo na ziemi i ciął swoim toporem. Odrąbywał końcówki niektórych macek, a z innych wrywał strumienie posoki. Wszędzie wokół leżały zmasakrowane ciała tuzinów

zwierzoludzi. Kilku jeszcze walczyło schwytyanych przez wielkie macki. Najwyraźniej olbrzymiemu stworowi nie robiło różnicy, czy pożre innych wyznawców Chaosu, czy kogokolwiek innego.

Coś przemknęło nad głową Felixa. Zauważył przelatujące błyszczące oko. Przez chwilę wydawało mu się, że usłyszał mrozący krew w żyłach piekielny śmiech, a potem obiekt zniknął z pola widzenia. W oddali, gdzieś za demonicznym stworem, Felix dostrzegł odzianą w czarną szatę postać, która wyciągnęła rękę i złapała klejnot, a potem cofnęła się w mrok.

Felix poczuł falę gorąca za plecami i migotliwa poświata przygasła. Odwrócił się w stronę, z której przybył i ku swojemu zaskoczeniu nie zobaczył tam nic poza wielkim łukowato sklepionym korytarzem, który prowadził w bezkresną dal. W ciemnościach migotały jakieś światła. Podejrzewał, że to nie były gwiazdy lecz błędne ogniki czarodziejskiej iluminacji.

Przez chwilę bał się o zdrowie swojego umysłu. W jakiś sposób został przeniesiony do całkowicie innego miejsca znajdującego się poza znanym mu światem. Nigdzie nie było ani śladu okrytego śniegiem lasu, ani wielkiego kopca, czy też Maxa Schreibera albo Snorriego. Był tylko tuk przypominający kształtem ten, przez który przeszedł, ale nie wyglądał tak staro i zdołały go rzeźbione, groteskowe oblicza jakiś dziwnych żabich istot. Pewien był, że tu istotnie działała silna magia i żałował, że nie przywiązywał większej uwagi do słów Maxa.

Ryk zawołania bojowego za nim przypominał mu, że nadal trwała bitwa, a on brał w niej udział. Zobaczył jak macki demona podnoszą ostatnich ze zwierzoludzi i wrzucają do jego wielkiej paszczy w rozwartym dziobie. Rozległ się ohydny chrupot pękających kości i pysk stwora ochlapała krew. W tym samym momencie, pozostałe z potwornych macek prześlizgnęły się obok Gotreka i zaczęły zbliżać się do Felixa. Rzucił się na bok unikając dotyku przyssawek i siekł mieczem. Ostrze wbito się głęboko w gumowate ciało. Powoli wyciekła czarna posoka. Felix wykonał unik i przechylony do przodu rąbał zbliżające się do niego macki, jednocześnie usiłując przebić się do Gotreka. W chwilach takich jak ta, wydawało się to najbezpieczniejszym miejscem.

Ostrzegł go powiew poruszonego powietrza. Rzucił się naprzód, gdy ciężka macka śmignęła tuż nad jego głową. Upadł na podłogę tocząc się i zauważył, że posadzka wyglądała dziwnie. Była wykonana ze starego kamienia, który wyglądał tak, jakby przeżarł go jakiś kwas. W każdym z bloków osadzone były osobliwe runy – proste linie i węzowate zawijasy. Nie przypominały niczego, co kiedykolwiek oglądał.

Wykorzystując impet upadku poderwał się na nogi i ledwo uniknął ścięcia. Topór Gotreka zatrzymał się na odległość szerokości kilku palców od jego twarzy. Felix poczuł ulgę, że Zabójca tak dobrze panował nad sobą, inaczej z pewnością by zginął.

– Widywałem przyjemniejsze stworzenia – powiedział Felix, spoglądając na potwora. Był wielki. Otoczona mackami paszcza rozwierała się na wysokości niemal czterokrotnie przekraczającej jego wzrost. Widział jak ociekała śluzem. Jednak patrzące na niego oczy wydawały się pełne złowrogiej i niepokojąco ludzkiej inteligencji.

– Pewnie myśli to samo o tobie, człeczyno – odparł Gotrek uchylając się przed ciosem olbrzymiej macki i zaczął wycofywać się krok po kroku przed sunącą masą potwora. Felix zrozumiał, że ta walka była beznadziejna. Nawet potężny topór Zabójcy był bezużyteczny przeciw istocie o takich rozmiarach i sile. Straszliwe ciosy Gotreka przypominały w tym przypadku starania małego chłopca usiłującego ukłuć byka kuchennym nożem. Trafienia irytowały bestie, ale raczej nie mogły jej zabić.

Felix poczuł ogarniającą go rozpacz. Jak mogło do tego dojść? Kilka minut wcześniej siedzieli wokół wesołego ognia w wygodnej jaskini, a teraz znaleźli się bogowie wiedzą gdzie i walczyli z jakimś ohydny demonicznym stworem.

Nie widział szans na przetrwanie tej walki, jeśli nie zrobi czegoś desperackiego. Z warknięciem

zamachnął się mieczem i rzucił go jak włócznię prosto w wielkie oko bestii. Miecz poleciał pewnie do celu i wbił się w obrzydliwą galaretę ogromnej odsłoniętej gałki ocznej. Ostrze wniknęło głęboko i Felix miał nadzieję, że dotarło do mózgu stworzenia.

Sekundę później pożałował swojej akcji. Monstrum wydało z siebie przeraźliwy, wysoki skrzek i zaczęło smagać na oslep powietrze mackami. Felix zobaczył jak Gotrek został odepchnięty konwulsyjnym uderzeniem macek stwora. Felix rzucił się płasko na ziemię pragnąc uniknąć zmiżdżenia jak mucha trafiona packą.

Wielki potwór zaczął oddalać się od nich, stale młóćąc powietrze. Kilka sekund później z gruczołów w pobliżu dzioba buchnął ohydny kłęb czarnego jak atrament gazu. Felix ledwo zdążył wstrzymać oddech zanim chmura otoczyła ich wszystko zasłaniając.

Felix zauważył, że piecze go skóra, a z oczu płyną łzy. Jego nos wypełnił obrzydliwy odór gorszy nawet od smrodu olbrzymiego wojownika Chaosu. Nie wątpił, że gaz był równie trujący jak któraś z nikczemnych broni skavenów. Rozpaczliwie rzucił się w tył, mając nadzieję, że uda mu się wydostać z obłoku zanim poddadzą się jego płuca i wciągnie opary.

W tym momencie zauważył niewyraźny zarys czegoś wielkiego i węzowatego, co wyłoniło się z dymu. Miał tylko sekundę, by rozpoznać w tym jedną z macek demona, zanim dotknęła jego głowy. Siła uderzenia grubego jak lina mięśnia rozplaszczyła go na podłodze. Niechcący otworzył usta i wciągnął haust paskudnego, zepsutego powietrza.

Zaklął w myślach, gdy poczuł w piersi ogień, a fala ciemności zepchnęła go w głąb nieprzeniknionego mroku.

Rozdział 6

Teclisowi wydawało się, że znalazł wreszcie sposób, by otworzyć przejścia. Wstrzymał się na chwilę i sprawdził, czy wszystkie jego obronne bariery były na swoim miejscu, a przeróżne ochraniające amulety i zaklęcia, jakie nosił, pozostawały aktywne. Wymruczał zaklęcie otwarcia, a potem zaczerpnął mocy i wysłał macki energii, by dotknęły zaklęć Pradawnych. Postępując delikatnie, jak mistrz złodziejski wsuwający wytrych do zamka, zetknął swoją magię z tamtą. Przez chwilę nic się nie stało. Zdusił przekleństwo, a potem, najpierw słabo, lecz ze stale rosnącą siłą poczuł poruszenie wewnątrz mistycznej struktury zaklęć. Światła zatańczyły między kamieniami rozświetlając łuk. Zawirowały w sposób, który przypominał mu zorze, jakie widział kiedyś na najdalszej północy.

Przejście zostało otwarte. Mógł wejść na Ścieżki Pradawnych. Daleko w głębi czuł niezwykle słabe drżenie, gdy magiczna energia popłynęła w całym układzie. Nie dostrzegał nic niepokojącego. Nie uruchomił żadnej pułapki – w każdym razie żadnej, jaką zdołałby dostrzec, chociaż był pewien, że budowniczości tego miejsca byli w stanie stworzyć zaklęcia o najwyższej subtelności. Zastanawiał się, czy powinien kontynuować. To było na nic. Mógł pozostać w tym miejscu do dnia sądnego rozmyślając o takich rzeczach. Działając pod wpływem instynktu postanowił ruszyć naprzód i przeszedł pod łukiem.

Przeniesienie było natychmiastowe. W jednej chwili stał w komorze w Ulthuanie, w następnej znalazł się gdzieś indziej. To miejsce wyglądało na wielki korytarz wykuty z kamienia. Każdy blok pokrywały runy o starożytnych, nieludzkich wzorach. Przyglądając się dokładniej zauważył, że kamienne ściany były miejscami przeżarte, paskudnie wypaczone i zniekształcone. Natychmiast domyślił się, że wzdłuż ścieżek panoszył się Chaos. Ponad nim, dziwne klejnoty osadzone w suficie emanowały słabą, zielonkawą poświatą.

Spojrzał w tył przez ramię. Przejście za nim nadal było otwarte. Cofnął się przez nie na powrót do komory tylko po to, by upewnić się, że może to zrobić. Zastanowił się nad sensem powrotu na powierzchnię po gryfa, ale wiedział, że próba zmuszenia zwierzęcia, by poszło za nim w głąb wielkiego labiryntu doprowadzi stworzenie na krawędź szaleństwa, a może i dalej. Zwolnił go spod władzy swojego zaklęcia i nakazał powrót do Lothern.

Zastanawiał się, co dalej. Pozostawienie otwartego przejścia nie było dobrym pomysłem. Mógł przez nie przejść ktoś przypadkowy, a co ważniejsze – coś mogło przedostać się na teren Ulthuanu. Wzruszył ramionami i jeszcze raz przeszedł przez portal, a potem wyszeptał zaklęcie, które zamknęło przejście. Brama zamknęła się z gwałtownością opadającego katowskiego topora. Krypta znikła zastąpiona obrazem długiego kamiennego korytarza. Teraz nie mógł już wrócić.

Wszędzie wokół wyczuwał fale magicznych energii pulsujących w pradawnej sieci. Przenikały kamienie i runy. Teclis pomyślał o kilku znanych opisach tego miejsca, spisanych przez Tasiriona I innych czarodziejów, którzy ośmielili się je zbadać. Większość twierdziła, że przejście znikło, inni uważali je za uśpione i emitujące najsłabszy strumyczek mocy. Tak się jednak nie działo w tamtej chwili. Całe otoczenie aż kipiało od energii.

Ciekaw był, czy oglądane dzieła poprzedzały runiczne wytwory krasnoludów, czy też reprezentowały jakąś równoległą linię rozwoju. Może wcale nie były ze sobą powiązane? W żaden sposób nie był w stanie tego stwierdzić. Jego dusza czarodzieja była zafascynowana i Teclis żałował, że nie ma dość czasu, by zbadać te obiekty oraz wykonać szkice, które mógłby pokazać innym magom, ale musiał zająć się bardziej pilnymi sprawami i wejść dalej w ten wielki magiczny labirynt.

Zrozumiał, że znalazł się w przystani między punktami docelowymi, w miejscu znajdującym się gdzieś poza znanym mu światem i w pobliżu królestwa Chaosu, chociaż jeszcze nie stanowiącym jego części. Miał wrażenie, jakby stał na krawędzi wielkiego szybu, który sięgał niemal nieskończonych głębi. Gdzieś przed nim znajdował się kolejny, większy i potężniejszy portal.

W chwili, gdy przyszła mu do głowy ta myśl, zdał sobie sprawę, że nie był sam. Wyczuwał obecność innych istot: silnych, wielkich i zapewne demonicznych. Spodziewał się, że jeszcze go nie wyczuły, ale to była tylko kwestia czasu. Otoczył się najpotężniejszymi ze znanych mu zaklęć ukrycia i ruszył naprzód.

Korytarz był dziwny. Wydawał się coraz wyższy i szerszy z każdym krokiem w głąb, jakby czar i przestrzeń były zakrzywione. Teclis domyślał się, że tak mogło być rzeczywiście, ponieważ nie potrafił inaczej wytłumaczyć sobie sposobu, który pozwalał na odbywanie podróży na odległość kilku miesięcy w ciągu kilku dni. A może to był tylko trik jego zmysłów oszukujących umysł? Takie rzeczy były możliwe, gdy w grę wchodziło mnóstwo magicznej energii.

W księdze Tasiriona znajdowały się sugestie mówiące, że te pradawne drogi przebiegały przez królestwa czystego Chaosu, chociaż w jakiś sposób pozostawały z nim rozłączne i powstrzymywały jego wpływ. To była konieczność, bowiem surowa substancja Chaosu była czymś bardzo groźnym, zdolnym do wypaczenia ciała i duszy tych, którzy się z nią zetknęli. Niektórzy utrzymywali, że to była sama esencja magii, zmienna, silna i niszczycielska. To nie była myśl pokrzepiająca dla kogoś, kto zdecydował się specjalizować w czarodziejstwie.

Oczywiście, elfy były bardziej odporne na groźną moc Chaosu od większości innych form życia. Mówiono, że zostały w ten sposób stworzone. Mimo to, odporność nie oznaczała absolutnej niewrażliwości. Teclis często podejrzewał, że moc Mrocznych Bogów wywarta większy efekt na elfach, niż sami byli gotowi przyznać. Czasami przypuszczał, że mroczne elfy stanowiły produkt wpływu Chaosu działającego na duch elfi w ciągu tysiącleci. To była jedna z rzeczy, których nigdy nie można było dowieść, ale jemu wydawała się nader prawdopodobna.

Idąc zauważył, że ściany stawały się coraz wyższe i cieńsze. W niektórych miejscach wydawały się wytarte i przebijały się przez nie dziwne świetlne wzory. Najwyraźniej im dalej szedł tą drogą, tym bardziej była spaczona. Cieszył się teraz, że nosił swoje najsilniejsze amulety ochronne. Żałował tylko, że nie są jeszcze potężniejsze. Wyczuwał, że był już blisko poszukiwanego portalu.

Ciekaw był, czy pradawni przechodzili w ten sposób tymi przejściami. Pewne teksty sugerowały coś innego. Twierdziły, że Starożytni jeździli ognistymi rydwanami pokonując te drogi z większymi prędkościami, tak że mogli przekraczać kontynenty w ciągu godzin, a nie dni. To musiało być coś. Zastanowił się nad innymi teoriami, o których czytał.

Niektórzy twierdzili, że skaveny wykopały wielki system tuneli pod kontynentami. W swoim czasie Teclis oglądał kilka z ich dzieł i przekonał się o przerażającej skali wykopalisk szczuroludzi, ale tunele ciągnące się tysiącami mil wydawały mu się nieprawdopodobne. Czy mogło być prawdą, że skavenom udało się w jakiś sposób uzyskać dostęp do tej pradawnej sieci i używali jej według swoich nikczemnych planów? Stwierdził, że to było aż nazbyt możliwe, szczególnie w chwili gdy jego nozdrza zaczęły wyczuwać w powietrzu słaby ale charakterystyczny zapach spaczenia. Te wstrętne stworzenia były gotowe uczynić wszystko, by zdobyć tę przeklętą substancję i niewątpliwie, jeśli można było ją tutaj znaleźć, byty w stanie ją wywachać.

Zauważył, że spaczeń nie był jedyną rzeczą, która go otaczała. Wrażenie czyjejś obecności powróciło ze zdwojoną mocą. Rzucił spojrzenie przez ramię. Nie był podenerwowany, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Wiedział, do czego jest zdolny, a niewiele rzeczy na tym czy innym świecie mogło go przestraszyć. Mimo to, czuł, że musi być ostrożny. Przejrzał wszystkie zabójcze zaklęcia

jakie znał i przygotował się, by móc je uwolnić w dowolnej chwili.

Cokolwiek to było – zbliżało się. W oddali, w świetle lśniących runów, dostrzegł jakieś poruszenie. Wypowiedział zakłęcie postrzegania i jego punkt widzenia pomknął w tamtą stronę. Ze zdumieniem zobaczył, że to byli zwierzoludzie prowadzeni przez odzianego w czarną zbroję wojownika Chaosu. Było ich co najmniej setka. Szli Ścieżkami Pradawnych, kierując się w stronę bramy, która wychodziła w Ulthuanie.

Natychmiast zdał sobie sprawę z pełni przerażających wniosków, do jakich prowadziło to, czego był świadkiem. Setka zwierzoludzi nie stanowiła zagrożenia dla krainy elfów, ale to mogła być zaledwie pierwsza z wielu. Całe armie mogły przemieszczać się tymi drogami i dokonać inwazji na królestwo, na długo zanim udałoby się zebrać armię, która mogła by się z nimi zmierzyć. W takich okolicznościach dominacja elfów na morzach wokół Ulthuanu nic nie znaczyła – po prawdzie, było to dodatkowe utrudnienie. Wszyscy wojownicy stanowiący załogi statków nie mogli wziąć udziału w odpieraniu najazdu na lądzie. A gdyby ci zwierzoludzie podzielili się swoim sekretem z Mrocznymi z Naggaroth...

Teclis postanowił powstrzymać się ze zbyt daleko idącymi wnioskami. Nie miał pojęcia, czy ci wyznawcy Chaosu stanowili przednią straż nadciągającej armii, czy byli tylko nieszczęsnymi głupcami, którzy przypadkowo przedostali się do tego dziwnego miejsca. Nawet jeśli rzeczywiście potrafili otwierać Ścieżki Pradawnych, być może żadne wrota nie docierały do krain Wiedźmiego Króla?

Nie był tego pewien. Księga Tasiriona sugerowała istnienie rozległej sieci bram, a Pradawni z pewnością byli w stanie wybudować system tuneli, który pokrywałby cały świat.

Groźba dla jego ojczyzny stała się jeszcze większa. Te starodawne przejścia zagrażały nie tylko stabilności kontynentu samym swym istnieniem, ale stanowiły drogę inwazji dla najbardziej zabójczych wrogów wszystkich rozsądnych ludów – dla wyznawców Chaosu. Jeszcze dobitniej niż zwykle rozumiał, że musi prześledzić to zagrożenie do jego źródła i coś z nim zrobić.

Przez chwilę rozważał pomysł, by powrócić i ostrzec swych rodaków przed nadchodzącym, ale rozumiał, że nie ma czasu. Każda / marnowana chwila mogła okazać się krytyczna, jeśli wrota nie zostaną ponownie uśpione. Jedno uderzenie serca później decyzja przestała należeć do niego. Wojownik Chaosu uniósł wzrok jakby coś wyczuł i wskazał swym zwierzoludziom, by ruszali naprzód.

Teclis zbyt późno zorientował się, że to nie był zwykły wojownik Chaosu, ale jeden z obdarzonych czarodziejskimi mocami przez Tego, Który Zmienia Drogi. Jego własne zakłęcie zostało wykryte i teraz bezlitośni przeciwnicy zaczęli go szukać. Elfi czarodziej zastanawiał się, czy nie stanąć do walki z nimi, ale wiedział, że nie powinien bez potrzeby marnować swoich sił. Musiał oszczędzać swoją moc na większe wyzwania, a nie trwonić ją na starcia z przypadkowo spotkanymi wędrowcami w tej wielkiej, pozawymiarowej norze.

Uplótl zakłęcie lewitacji czując opór magicznej materii. Niszczycielski wpływ Chaosu zakłócał w tym miejsca działanie jego czystej, elfiej magii. Rzucając zakłęcie przekonał się, że zwierzoludzie byli coraz bliżej. Nie bał się... jeszcze. W przeszłości zwyciężał w gorszych sytuacjach. Zakłęcie zadziało i poszybował w górę. Sufit nad nim znajdował się na wysokości co najmniej dziesięciokrotnie przekraczającej wzrost człowieka, a z każdym krokiem w powietrzu przybliżał się do niego. Jeśli zwierzoludzie postanowią rzucać w niego jakimiś pociskami, to może przysporzyć pewnych problemów, ale znał zakłęcia, które ochronią go przed tym. Nie obawiał się zbytnio czarów, jakie mógł znać wojownik Chaosu. Pokładał pełną wiarę w swoje zdolności w tych sprawach. Dawno temu przekonał się, że niewielu było na tym świecie magów, których powinien się

lękać.

Osiągnąwszy bezpieczną pozycję rozważył swoje możliwości ataku. Istniało wiele zaklęć zdolnych pokonać nawet tak duży tłum zwierzoludzi. Mógłby zrzucić na nich deszcz stopionej plazmy, albo rozbić ognistymi kulami. Mógł zesłać strumienie magicznych pocisków. Mógł także otoczyć wrogów mgłami iluzji, które sprawiłyby, że sami rzuciliby się sobie do gardeł. Gdyby przyszło do najgorszego, mógł po prostu zredukować ich do składowych atomów, chociaż to wymagałoby więcej mocy, niż chciał zużyć.

Pochłonięty tymi kalkulacjami dopiero po kilku chwilach zorientował się, że zwierzoludzie nie nacierali na niego, ale przed czymś uciekali.

Cudownie – pomyślał. To stawiało całą sytuację w zupełnie innym świetle, (idy minęła chwila gorzkich przemyśleń, uśmiechnął się. Dostał nauczkę. Przekonał się, że cały świat nie obraca się wokół niego.

Wzniósł się jeszcze bardziej i otoczył zaklęciami, które zakrzywiały światło ukrywając go całkowicie przed wzrokiem. Po dziesięciu uderzeniach serca ucieszył się, że to zrobił. Istota, która ścigała zwierzoludzi była przerażająca. To było gigantyczne stworzenie, które wyglądało jak połączenie ślimaka i smoka. Wielka opancerzona forma sunęła wolno wzdłuż korytarza pozostawiając za sobą ślad musującego, żrącego śluzu. Stwór był wielki jak okręt, a jego długa węzowata szyja unosiła ogromny łeb niemal na wysokość dorównującą obecnemu położeniowi Teclisa.

Potwór miał w sobie coś dziwnego – otaczała go przerażająca aura mocy, która wstrząsnęła nawet niezłomnym duchem elfiego czarodzieja. Nie dziwił się, że zwierzoludzie i ich przywódca uciekli przed czymś takim. Stwór rozwarł paszczę. Teclis widział wielkie smoki Ulthuanu i domyślał się, co zaraz nastąpi. Jeszcze raz został zaskoczony. Zamiast zionięcia ogniem buchnęła masa ohydneho, zaropiałego śluzu, którym stwór rzygnął ochlapując zwierzoludzi. W zetknięciu z ich ciałami śluz szybko twardniał unieruchamiając ich i zatrzymując w miejscu. Najwyraźniej miał właściwości podobne do pajęczej sieci, motylego kokonu i czegoś jeszcze. Oblani śluzem zwierzoludzie wrzeszczeli opętańczo.

Alchemiczny zmysł Teclisa był zafascynowany. Ciekawiło go, czy to była trucizna, czy też kwas. W każdym razie zadawało straszliwe katusze. Teclis nie miał współczucia dla zwierzoludzi. To były nikczemne stwory żyjące tylko po to, by zabijać, torturować i gwałcić. Z pewnością zasłużyli na to, co ich teraz spotkało.

Zobaczył jak wielki łeb obniżył się i potwór zaczął żreć. Teclis oderwał wzrok od tego widoku i ruszył wzdłuż Ścieżek Pradawnych. Musiał dojść tą drogą do źródła zakłóceń. Korytarz w górze kończył się występem skalnym. To tamtędy musieli przybyć zwierzoludzie i potwór. Nie było tam nic poza jeszcze jednym lśniącym lukiem. Teclis wyczuwał, że prawdziwe niebezpieczeństwo czekało dopiero za tym przejściem.

Rozdział 7

– Cóż, człeczyno, żyjesz – powiedział Gotrek. Nie wyglądał ani na ucieszonego, ani na niezadowolonego. Jego twarz wyglądała jakby została wykuta z kamienia.

Felix podparł się stając na nogi. Trochę kręciło mu się w głowie i czuł drapanie w płucach. Zakaszał i splunął. Plwocina była zabarwiona na czarno. Domyślał się, że to nie znaczyło nic dobrego.

– Co się stało?

– Oślepiłeś bestię, a ona buchnęła tym paskudnym gazem, a potem wycofała się.

Dłoń Felixa natrafiła na pustą pochwę od miecza. Jedyłą bronią, jaka mu pozostała, był teraz tylko nóż. Gotrek zauważył jego rozterkę i wyciągnął kciuk w stronę podłogi. Felix zobaczył odbłask swojego miecza, który leżał nieco dalej.

– Musiał wypaść, gdy stwór potrząsnął łbem – powiedział Felix idąc po broń. Ostrze znaczyły ślady galaretowatej substancji. Wtarł je w kawałek materiału odcięty od płaszcza i wsunął miecz do pochwy. Jeszcze raz przyjrzał się otoczeniu.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

Zabójca potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia, człeczyno. Te tunele nie są robotą krasnoludów i cuchną czarnoksięstwem.

– Tunele? – powiedział Felix. Myślał na głos. Oczywiście, że to były tunele, tylko nie przypominały żadnych z tuneli, w jakich bywał wcześniej. Wydawało mu się raczej, że tkwili we wnętrzu jakiejś ogromnej obcej budowli, czegoś w rodzaju labiryntu. A labirynty w legendach zawsze były pełne potworów.

– Aye, tunele, człeczyno, chociaż niepodobne do żadnych, w jakich mieszkał jakikolwiek krasnolud. Co więcej, działa w nich magia run. To miejsce przyciąga i kształtuje magię, to rzecz pewna.

– Co ty powiesz? – odparł ironicznie Felix. – Nigdy bym się tego nie spodziewał po tym jak przeszliśmy przez ten łuk i zniknęliśmy.

Gotrek spojrział na niego pustym wzrokiem. Felix nie był pewien, czy nie było to spojrzenie oznaczające rozbawienia. Sarkazm w pewien sposób przystawał do krasnoludzkiego poczucia humoru, a Felix czasami podejrzewał, że nie jest on całkiem obcy Zabójcy.

– Ale do rzeczy, jak stąd wrócimy?

– Nie sądzę, żebyśmy mogli, człeczyno. Myślę, że droga za nami jest zamknięta.

Felix miał nieprzyjemne wrażenie, że wie co Gotrek za chwilę powie i oczywiście, nie zawiódł się.

– Jedyne, co możemy zrobić, to iść naprzód z nadzieją, że znajdziemy wyjście, albo naszą zagładę. Felix z ociąganiem ruszył za krasnoludem odkasłując nieprzyjemną czarną mazią co drugi krok.

– Jak myślisz, co jedzą te potwory, gdy nie mogą dostać zwierzoludzi? – spytał Felix. Ta kwestia była jak najbardziej istotna. Zaczynał być bardzo głodny. Minęło sporo czasu, odkąd coś jadł, a cały jego prowiant znajdował w pakunkach, które zostawili w jaskini. Przypomniawszy sobie także o zostawionej butelce z wodą. Na samą myśl o niej poczuł suchość w ustach.

– Ciekawscy ludzie – mruknął Gotrek.

Felix nie był pewien, czy krasnolud nie żartuje sobie z niego.

– Może wędrują przez kamienne łuki?

– Może. Nie wiem, człeczyno, nie jestem czarodziejem.

– A skoro mowa o czarodziejach, dokąd według ciebie udał się nasz przyjaciel w czarnej szacie?

– Jak najdalej ode mnie, jeśli ma trochę rozsądku. A może pożarł go potwór?

– Wątpię, żebyśmy mieli tyle szczęścia.

Kelmain opuścił Ścieżki Starożytnych i wszedł do sali świątynnej. Był wdzięczny losowi, że udało mu się uniknąć topora Zabójcy. Jeszcze bardziej cieszył się z tego, że udało mu się wyjść bez szwanku, bowiem bez względu na to jak potężna była ochronna moc amuletów, które stworzył według opisu swoich mistrzów, zawsze czuł, że w tym miejscu istnieje element straszliwego niebezpieczeństwa. Nigdy nie można było być pewnym, czy nie uruchomią się nagle jakieś pradawne urządzenia zabezpieczające, albo jakiś zbuntowany demon Pokrętnych Ścieżek nie bacząc na ostrzegawcze runy talizmanu zapragnie pożreć duszę wędrowcy.

Cieszył się, widząc, że na twarzy jego akolity malował się strach, który jemu udawało się tak dobrze ukrywać. Młody Tzeshi był bledszy niż zazwyczaj, pomimo faktu, że miał za sobą co najmniej setkę zwierzóludzi i wojowników Chaosu. Skłonił się widząc Kelmaina i wykonał w powietrzu gest wyrażający największy szacunek. Kelmain skinął na niego i wskazał, że może kontynuować. Odchodząc słyszał, jak młody mag rozpoczyna śpiew, który rozciągnie okrywające go zaklęcia ochronne na wszystkich jego towarzyszy.

Nie było żadnego powodu, by musiał to robić. Ich dotychczasowe eksperymenty okazały się udane i grupy zwiadowców zwiedziły połowę globu. Wkrótce, jeśli wszystko miało pójść zgodnie z planem, armie Chaosu będą w stanie przedostać się szybko z Pustkowi Chaosu na teren dowolnego kraju znajdującego się na powierzchni tej planety, omijając granice i fortyfikacje i pojawiając się głęboko na terytorium ich wrogów.

Przepełniony wizją zwycięstwa ruszył starożytnymi, upiornymi korytarzami, aby rozmówić się ze swoim bratem.

Felix zadrzał. Szli już kilka godzin, a droga stawała się coraz bardziej niesamowita. Kamienie wyglądały jakby zostały stopione, co było cechą sugerującą wypaczający wpływ Chaosu. Czasami wydawało mu się, że widzi złośliwe twarze wychylające się ze ścian, albo ciała uwięzione w zastygłej skale. Chwilami wydawały się bardzo wolno poruszać, gdy tylko odwracał od nich wzrok. Dziwne klejnoty osadzone w suficie momentami znikwały, pozbawiając ich jedyne oświetlenia. Gdy tak się działo, Felix musiał iść naprzód zawierzając czułym zmysłom krasnoluda przyzwyczajonego do wędrówek w tunelach i podążał za lśnieniem run na toporze. Teraz lśniły już przez cały czas, a to nigdy nie było dobrym znakiem. W przeszłości zawsze znamionowało to obecność złej magii lub paskudnych potworów.

Marsz w półmroku nie działał dobrze na nerwy. W ciemnościach mogło czaić się cokolwiek. Czasami Felix wyobrażał sobie dziwne, bezkształtne postacie w cieniu tuż za sobą. Oczyma wyobraźni widział wielkie szczęki rozwierające się, by go połknąć. Często odwracał się i spoglądał za siebie, chociaż wiedział, że to było bezcelowe. Musiał zwalczać w sobie chęć, by wyciągnąć miecz i wymachiwać nim wokół siebie. Powtarzał sobie, że gdyby cokolwiek tam było, Zabójca wiedziałby o tym i coś by z tym zrobił. Ta myśl zapewniała jako taki spokój.

– Te tunele nie biegną pod ziemią – powiedział Gotrek. Wydawał się zamyślony.

– Jak to?

– Krasnolud wyczuwa głębię. Tylko kaleka nie wiedziałaby, jak głęboko pod górami się znajduje. Posiadałem tę wiedzę przez całe swoje życie i nigdy nie musiałem nawet o tym myśleć. Teraz, przepadło. To prawie jak nagła ślepotą.

Felix nie sądził, by to było aż tak straszne jak utrata wzroku, ale zdał sobie sprawę, że nie mógł tego wiedzieć. Zastanawiał się jak poczułby się, gdyby nagle stracił poczucie orientacji, gdzie jest góra, a gdzie dół, a potem zrozumiał, że po prostu nie jest w stanie sobie tego uzmysłowić.

– Naprawdę jestem ciekaw, dokąd poszedł ten magik – powiedział Felix.

Nie miał chęci dogonić czarnoksiężnika Chaosu. Po prostu zastanawiał się, jak udało mu się zniknąć. Zapewne musiało istnieć jakieś wyjście z tego dziwnego miejsca i mag je znał. Gdyby tylko zdołali go odnaleźć, może udałoby się im go przekonać, by ich stąd wyprowadził. Felix wątpił, by w tych okolicznościach nawet najpodlejszy z czarowników oparł się sile perswazji Zabójcy. Prawdę mówiąc, Felix był gotów nawet mu w tym pomóc, gdyby do tego doszło.

– Bez wątpienia ucieka tak szybko jak niosą go nogi, człeczyno. Nigdy nie spotkałem czarownika, który stanąłby na przeciw zimnej stali, mając inny wybór.

Felix zastanowił się nad tym. Pamiętał kilku magów, którzy nie uciekli przed nimi. Jednak chwila nie wydawała się dobra, by opowiadać o tym Zabójcy.

– Być może tylko on mógł nam pomóc wyjść stąd.

– Nie możemy pokładać zaufania w słuchach Chaosu. j– Może będziemy musieli. Inaczej nasza heroiczna śmierć przyjmie formę śmierci głodowej.

Gotrek warknął. Nie wyglądał na zbyt zachwyconego.

– Jeśli tak ma być, niech tak będzie.

Po raz pierwszy Felix naprawdę został zmuszony przyjąć do wiadomości fakt, że mogą tam umrzeć. Nie było żadnego jedzenia, ani nic do picia. Mogli tylko wrócić i pożywić się trupami zwierzoludzi oraz wypić ich krew, ale nie wyobrażał sobie, by Zabójca zrobiłby coś takiego. Zresztą i tak zapewne ich ciała były trujące, a i to zakładając, że nie zostały już pożarte przez innych, wstrętnych mieszkańców tego nienaturalnego miejsca.

Felix próbował wziąć się w garść. Minęło kilka uderzeń serca od pojawienia się takiej myśli, a on już brał pod uwagę jedzenie zwierzoludzi i bogowie wiedzą jakie inne potworności. Jeszcze nie zostali do tego zmuszeni, a udawało im się przetrwać gorsze okoliczności. Felix przeżył bitwy, oblężenia i wyprawy przez zamrożone góry. Walczył ze smokami, demonami i potworami wszelkiego rodzaju. Nadal żył. Jednak, mimo wszystko Felix nie mógł stłumić w sobie przeczucia, że jeszcze nigdy nie byli tak osamotnieni i oddaleni od domu.

Teclis idąc za dziwnie lśniącoymi runami zbliżył się do półki skalnej. Przed nim ścieżka kończyła się kolejnym łukiem, w którym unosiły się dziwne, wielobarwne wiry energii, jaką widział wcześniej. Wrażenie potężnej, kontrolowanej energii skupionej w tym miejscu było przejmujące. Zatrzymał się na chwilę, wiedząc co musi uczynić, ale nie czując się w pełni do tego przygotowanym.

To była ścieżka, o której pisał Tasirion. Musiał tylko przejść przez nią. Wszystkie te dziwne międzywymiarowe korytarze, którymi przeszedł do tej pory były zaledwie przygotowaniem do tego. Pozwoliły mu tylko zbliżyć się do prawdziwych Ścieżek Pradawnych. Teraz wyczuwał ich strukturę. Przypominały tunele wydrążone głęboko pod powierzchnią rzeczywistości. Przed nim rozpościerało się coś, co było jakby wejściem do podziemnej rzeki.

Droga była oczywista. Dlaczego zatem zwlekał? Znał już odpowiedź na to pytanie. Wszystko uległo znacznemu zepsuciu od czasów Pradawnych. To było jasne. Ich dzieła były potężne, ale zostały przeniknięte i wypaczone mocami Chaosu. Kto mógł stwierdzić, czy nadal działają zgodnie ze swoim przeznaczeniem, a nawet w ten sposób, w jaki działały, gdy Tasirion opisywał tę drogę tak wiele lat temu?

Wydawało się, że Teclis miał dwie możliwości. Mógł wrócić drogą, którą tu przybył i spróbować znaleźć inny sposób, by zapobiec zagładzie Ultimami. O ile było to możliwe w ograniczonym czasie, którym mógł dysponować. Mógł też iść dalej, ufając swojej wiedzy i zaklęciom, tak jak to czynił zawsze. Pozwolił sobie na uśmiech. Wielu nazywało go arogantem i najwyraźniej teraz było już za późno, by udowodnić, że nie mieli racji.

Wykonał krok przed siebie i dotknął powierzchni lśniącej substancji. Była zimna i wilgotna w dotyku. Opływała palce i wchłaniała je. Teclis wziął głęboki wdech i ruszył naprzód. W ułamku chwili porwał go szalony nurt przejścia. Przez chwilę ujrzał wielki korytarz, wzdłuż którego przewalały się miliony połyskujących, wielokolorowych sfer, pędzących niczym asteroidy przez przestrzeń. Wyczuwał obecność mrocznych, złowrogich istot i przygotował się na ich spotkanie.

– Przynajmniej znowu jest światło – powiedział Felix, zdając sobie sprawę, że skamle.

Znowu mógł coś zobaczyć. Ścieżka wspinała się, a być może opadała pod dziwnym kątem – Felix nie potrafił już tego stwierdzić. Wiedział tylko, że chociaż wydawało im się, że idą po płaskim, dostrzegał krzywiznę drogi. To był niezwykle dezorientujący efekt. Może jednak był w stanie zrozumieć o czym mówił Gotrek, gdy powiedział jak bardzo czuł się zagubiony nie mogąc wyczuć głębokości. Wskazówki dostarczane przez oczy przestały zgadzać się z tym, co czuło jego ciało. To wytwarzało przejmujące wrażenie utraty orientacji w położeniu.

– Jest jeszcze jedno źródło światła – powiedział Gotrek.

Felix przekonał się, że to prawda. Ścieżka przed nimi rozdzielała się na dwie. Jedna odnoga szła w górę, a druga w dół. Obie kończyły się jakieś pięćdziesiąt kroków dalej rozświetlonymi łukami. Felix zdał sobie sprawę, że to nie same łuki świeciły, a coś wewnątrz nich. Wypełniała je substancja przypominając rtęć, z tą różnicą, że ta lśniła i pulsowała wszystkimi kolorami. Połyskujące plamy przemieszczały się po powierzchni jak oliwa na wodzie, pulsując w ruchu. Ten efekt był dziwny i zdecydowanie nienaturalny.

W chwili, gdy o tym myślał, Felix usłyszał za sobą głośny odgłos czegoś sunącego po podłożu. Coś wielkiego wydobywało się z ciemnych tuneli, którymi nadeszli. Jego przeczucia miały się zatem spełnić.

Z mroku wyciągało swoje nadęte ciało potężne stworzenie. Miało smoczy łeb, ale w miejscu paszczy znajdowała się masa macek jak u kałamarnicy. Poruszały się i Felix dostrzegł wśród nich wielką rozwartą gębę pijawki, wielkości wążu do kanałów ściekowych. O ile to możliwe, to było gorsze od pierwszej bestii, jaką spotkali.

Stwór cuchnął straszliwie, a jego skóra wydawała się przegniła. Z bliska można było zauważyć ogromne larwy wijące się pod nią, które czasami przegryzały się na zewnątrz i odpełzały. Dopiero po chwili Felix zrozumiał czym były – młodymi. Istota była zjadana żywcem przez własne potomstwo, chociaż nie wydawało się, by to w jakikolwiek sposób zmniejszało jej własny apetyt. W jej wyglądzie i smrodzie było coś znajomego, co przypominało Felixowi wyznawców Boga Zarazy Nurgle'a, których widział podczas Oblężenia Praag. Czy to możliwe, by ten stwór był jakiegoś rodzaju plugawą, demoniczną kreaturą władcy chorób? To zresztą nie miałyby znaczenia, jeśli miał go pożreć. Felix zrozumiał nagle, że może stać się coś jeszcze gorszego. Larwy wychodzące ze stwora pełzły w jego stronę.

Co gorsza, gdzieś z wysokości łba potwora dobiegł ohydny, skrzekliwy rechot. Gdy Felix uniósł wzrok, zobaczył, że jedno z narośli niepokojąco przypomina ludzką głowę. W chwili, gdy zrozumiał co widzi, usłyszał głos kreatury.

– Niegdyś byłem taki jak wy – wkrótce wy będziecie tacy jak ja – ha ha! Otrzymacie dar Lorda Nurgle'a i będziecie należeć do niego – ha ha!

Felix oglądał kiedyś gąsienicę zjadaną żywcem przez larwy osy, które wykluły się ze złożonych w niej jajeczek. Zastanawiał się, czy coś takiego stanie się z nim, jeśli ugryzą go te wzdęte, mlaskające worki ohydy. Szykował się do walki, gdy wyrósł nad nim ich odrażający rodzic. Jego cień padł na niego sprowadzając ze sobą straszliwy odór. Potem stwór przechylił się naprzód jak lawina ciała i ropy.

Felix pomyślał, że walczył z różnymi paskudnymi stworami, ale z pewnością to musiało być najgorsze.

Prądy magii przerzuciły Teclisa niekończącymi się korytarzami wielobarwnych światła. Dotykał różnych rzeczy, przebijał się przez delikatne pajęczyny energii i wydostawał po drugiej stronie. Zanim odzyskał orientację, runął głową naprzód. Doznał dziwnych halucynacji. Oglądał sceny, które dobrze pamiętał. Swoje dzieciństwo, swoją pierwszą księgę zaklęć, bitwy, które spustoszyły Ulthuan, gdy Mroczne Rodzeństwo dokonało inwazji jeszcze za jego młodości. Zobaczył potężne starcie na Równinie Finuval, gdzie walczył z Wiedźmim Królem i ostatecznie odniósł zwycięstwo. Sceny przelatywały przed jego oczami. Pomiedzy nimi następowały przerwy, podczas których spadał długim korytarzem biegnącym między wymiarami.

Czasami sceny różniły się nieznacznie od rzeczywistości. W niektórych z wizji spoglądał w księgę i widział w niej zaklęcia pełne ukrytego zła, – które zwróciło go w stronę ciemności. Podczas niektórych bitew walczył nie przeciwko Wiedźmiemu Królowi, ale obok niego, odziany w ciemną zbroję, która stanowiła odbicie pancerza samego Malekitha. W innym widział siebie stojącego i śmiejącego się nad ciałem swojego konającego bliźniaka. Czując przerażenie zrozumiał, że te obrazy odzwierciedlały coś, co było ukryte w jego wnętrzu, stanowiły pewną alternatywę. Czy to były jego sekretne sny i koszmary, czy należały do kogoś innego?

Dotknął ochronnego amuletu na piersi i skoncentrował umysł, usuwając wizje ze swoich myśli. Gdy wróciła jasność rozumowania, przypomniał sobie pewne zdanie pochodzące z księgi Tasiriona: Ścieżki Pradawnych zostały skażone Chaosem, musisz strzec się Pokrętnych Ścieżek.

Teraz rozumiał, co szalony mag miał na myśli. Tasirion twierdził, że Pokrętne Ścieżki były dziełem Pradawnych, którzy połączyli je z bąblami czystego Chaosu. Ta substancja była wrażliwa na bodźce. Odpowiadała na myśli i sny, a czasami reagowała nawet na samą obecność umysłów obdarzonych samoświadomością. Zrozumiał, że przelatywał przez nie i wtedy właśnie zmieniły jego myśli.

W pewnym sensie przejścia były oknami do innych światów, tymczasowych tworów, bąbli wzbierających w kłębiącym się pozawymiarowym morzu Chaosu, miejsc, które mogły istnieć przez jedno uderzenie serca, albo dziesięć, albo choćby i sto lat, lub tysiąclecie. Wiedział, że gdyby tylko zechciał, mógłby skierować się w ich stronę i wejść do nich.

Zastanawiał się, jak by to było zostać zamkniętym w takim bąblu, miniaturowym wszechświecie ukształtowanym przez jego własne, najgłębiej skryte pragnienia, odbijające jego własną, utajnioną historię? Czy stworzyłby raj? Czy mógłby stworzyć miejsce, w którym nie dotknęłaby go choroba, gdzie byłby równie silny i doskonały jak Tyrion, gdzie mrok w jego wnętrzu nigdy nie wyszedłby na światło dzienne i gdzie nigdy nie musiałby odczuwać zazdrości lub bólu goryczy?

Czy na tym polegała tajemnica zniknięcia Pradawnych? Czy odeszli z naszego świata do tego miejsca i stworzyli swoje bąble wszechświatów, zagnieżdżone w morzu Chaosu? Czy coś takiego było w ogóle możliwe? To był oszałamiający pomysł. Myśląc o nim przyspieszał coraz bardziej, mknąc korytarzami tej dziwnej przestrzeni. Widział jak bąble materii Chaosu przemieszczały się wzdłuż korytarza niczym krople rtęci wpuszczone przez rurkę probówki. Czasami dwa bąble zderzały się i łączyły, czasem rozdzielały i odpływały każdy w swoją stronę. To było jak obserwacja jakichś pierwotnych form życia. Przesuwał się, aby unikać zbliżenia do któregoś z nich z obawy, że mogą okazać się na wpół rozumne lub w jakiś sposób przyciągnąć go do siebie i pochłonąć. Halucynacje minęły, jak na to liczył.

Przyjrzał się dokładnie otoczeniu zauważając, że przewalające się sfery były poruszane potężnymi pulsacjami energii płynąc najpierw w jedną stronę, a potem w przeciwną, jak wodorosty szarpane

podmorskimi prądami. Prawie natychmiast zrozumiał, że pływy energii były powiązane z zakłóceniami w Ulthuanie i we wszystkich innych miejscach. Siedząc je do ich źródeł zapewne mógłby znaleźć przyczynę zawirowań.

Były tu też inne istnienia, żadne z nich śmiertelne. Niektóre były obce i nie interesowały się jego osobą. Inne były złowrogie i podążały jego śladem jak rekiny za okrętem. To były demony, które w jakiś sposób przedostały się do tego kolosalnego labiryntu. Wiedział, że tylko jego ochronne amulety trzymają je z dala i demony pochwycą go przy pierwszej oznace słabości.

Nagle poczuł przebłysk dziwnej intuicji, przeczucie obecności bezdusznych widm, które pojawiały się w jego snach. Zastanawiał się, czy był to produkt jego imaginacji, czy też ci uwięzieni czarnoksiężnicy rzeczywiście sięgali po niego? A może to była jakaś subtelna forma ataku przeprowadzanego przez ścigające go stworzenia? Zmusił się do spowolnienia i gdy to uczynił, zauważył portal lśniący w dziwnie znajomy sposób. Co więcej, dostrzegł ślad niesamowicie potężnego rezonansu magicznego wywołanego przez istotę, która sama w sobie nie była chaotyczna. W istocie, był to rezonans broni lub przedmiotu niezwykle odpornego na Chaos. Był to artefakt o niemal boskiej mocy. Czy to mógł być skarb dawno zagubiony na ścieżkach? Czy właśnie to miał odnaleźć?

Taka rzecz mogła okazać się bardzo użyteczna w jego misji. Wysiłkiem woli skierował się w stronę łuku. Wydawało mu się, że nie minęło kilka uderzeń serca, gdy wypadł przez niego i stanął naprzeciw wcielonego koszmaru.

Felix rzucił się na bok unikając opadających ku niemu macek. Wykonał cięcie odrabując końcówki kilku z nich i upadł na ziemię przetaczając się, zdążył zobaczyć masę nadętych, białych larw, które ruszały w jego stronę. Zauważył, że po każdej stronie ich gąb jak u pijawek znajdowały się małe skupiska oczu, które przypominały pajęczce, tyle że w tych kryła się dziwna inteligencja i błysk niesamowitego zła. Chociaż larwy były wielkie, nie mogły mu zaszkodzić, dopóki nie zbliżyłyby się wystarczająco, by go ugryźć. A Felix nie miał zamiaru pozwolić im na to.

Gotrek był już otoczony przez masę przypominających larwy stworzeń i rąbał je swoim toporem. Ich galaretowate, trzęsące się ciała nie stawiały oporu. Istoty pękały pod uderzeniami, rozpryskując wszędzie białawy płyn, który cuchnął jak spleśniałe, skisnięte mleko. Powyżej znowu rozległ się skrzekliwy śmiech demonicznego stwora. Felix chciał poznać przyczynę tej wesołości.

Rzucił się naprzód trzymając się za Zabójcę. Ochraniał jego tył nie dopuszczając, by cokolwiek zbliżyło się do niego. Zresztą, zagrożenie było niewielkie biorąc pod uwagę rzeź, jaką urządzał krasnolud. Wielki potwór nachylił się, jeszcze raz wyciągając macki. Długie gumowate kończyny opatrzone przyssawkami kałamarnicy próbowały owinać się wokół Felixa. Ciął w nie, a miecz wbił się głęboko wypuszczając więcej ohydneho mlecznego płynu. Felix zauważył, że podłoga pod stopami staje się lepka, a ruchy wolniejsze. Bał się, że nie wytrzyma powalającego smrodu.

Gotrek nie okazywał spowolnienia. Gdy tylko zbliżyła się do niego macka, rozciął ją na dwie. Odrabana macka jednak nie zamarła. Upadła na podłogę i zaczęła pełznąć jak wąż, okazując życie, jeśli nie inteligencję, niezależne od swego byłego posiadacza. Felix widział, jak porąbana macka zaczyna goić się i odrastać, niczym kończyny baśniowego trolla, albo łby jakiejś demonicznej hydry.

Wielkie, wydęte ciało stwora zasysającego powietrze zaczęło nadymać się jak balon. Felix przeczuwał, że nie zapowiadało to niczego dobrego, ale za nic nie mógł przewidzieć, co miało się stać. Istota była zbyt obca, a okoliczności przekraczały jego wcześniejsze doświadczenia. Zaczynał zastanawiać się, czy nie zostali w jakiś sposób wrzuceni do piekła. W tamtej chwili to wydawało się aż nazbyt prawdopodobne.

Monstrum wykonało brzęczący wydech buchając powietrzem przesyconym smrodem, jakiego Felix

jeszcze nie doświadczył. W uszy uderzyła potężna czarna wichura, a potem zrozumiał, że brzęczenie nie miało nic wspólnego z samym wyziewem – to był ohydny trzepot miliardów much. To także nie były normalne muchy. To były wielkie stwory o tłustych, połyskujących paciorkowatych ciałach i oczach tak samo inteligentnych i złowrogich, jak te u potwora lub larw. Może wszystkie były częścią tej samej istoty; może wszystkie dzieliły tę samą inteligencję?

To była ostatnia zborna myśl, jaka przemknęła przez jego głowę na kilka chwil zanim potworna chmura spadła na niego. Opadły go miliony tłustych, brzęczących ciał uderzających o skórę miękko i obscenicznie. Stworzenia wciskały się do oczu i chciały wdrzeć się do ust i nosa. Siekł wokół desperacko, ale to było jak walka z mgłą. Przetaczając się po podłodze zmiażdżył setki, może tysiące, ale potem przybywało ich coraz więcej i więcej. Wyobrażał sobie jak wygląda przywalony wielką, pełznącą masą stworzeń pokrywającą każdy cal jego ciała. Czuł jak starają się wspiąć po jego kończynach do uszu. Smród nasilił się, a brzęczenie skrzydeł wydawało się rozbrzmiewać własnym głosem. Felix miał wrażenie, że słyszy słowa Nurgle, Chwała i Zaraza rozbrzmiewające w tym dziwnym dudnieniu, ale nie potrafił stwierdzić, czy tak było rzeczywiście, czy był to tylko owoc jego przerażonej wyobraźni.

W chwili gdy pomyślał, że gorzej być nie może, poczuł jak owija się wokół niego masywna lina z mięśni. Przyssawki wbiły się w ciało. Coś podniosło go wysoko jakby nic nie ważył i Felix nie wątpił, że macka unosi go do paszczy potwornego stwora, który był panem tych wszystkich much.

Rozdział 8

Teclis pojawił się po drugiej stronie przejścia i zobaczył bitwę jaka toczyła się przed nim. Dwie postacie o humanoidalnych kształtach pokrywał kobierzec much, a wszystko otaczały wstrętne, białe opary, które cuchnęły gorzej niż nieczystości orków. Jedna z postaci z pewnością była krasnoludem. Jego sylwetka pozostawała wyraźna pośród pokrywających go much. W jednej dłoni trzymał topór, który mógł być tylko krasnoludzką bronią runiczną i to o potężnej mocy. Nie siedziała na nim ani jedna mucha. W zetknięciu z ostrzem owady znikwały, a runy lśniły odrobinę mocniej.

To była rzecz, której obecność wyczuwał. To było coś, co jak łudził się, mogło mu pomóc. To mógł być tylko ten topór. W pobliżu znajdowała się inna magiczna broń, prostszego rzemiosła i o mniejszej mocy. Macka potwora pochwyciła właściciela tej broni.

Teclis przeczytał uważnie wszystkie księgi przodków, którzy żyli w wiekach, gdy demony wędrowały po ziemi. Co więcej, osobiście miał tak wiele doświadczeń z demonami, ile tylko mogła mieć istota nie będąca wyznawcą Chaosu. Mimo to nie rozpoznawał tego stwora. Przypominał trochę bestię Nurgle'a, jednego z niższych bytów służących Panu Zarazy, ale rozmiarami dorównywał prawie smokowi i był zmutowany nie do rozpoznania. Co więcej, wydawało się, że w zastraszającym tempie wydaje na świat mniejsze stwory. Oszołomiony Teclis zdał sobie nagle sprawę, że jest tylko kwestią czasu, gdy jedno z nich dosięgnie krasnoluda. Ciekawiło go, co się może wówczas stać, bowiem jak podejrzewał larwy przenosiły jakąś zarazę przechowując piętno Chaosu w swoim jądzie, o ile do przeniesienia zarazy nie wystarczała sama ich posoka. Czy nawet ta przerażająco potężna broń mogła obronić krasnoluda, gdyby doszło do kontaktu z larwami i czy użyłaby swej mocy przeciwko niemu, jakby był kolejną istotą spaczoną Chaosem?

Chociaż korciło go, by przeprowadzić eksperyment, Teclis powstrzymał się przed tym. Widział dwie magiczne bronie w rękach dwóch bohaterów. To byli dwaj sojusznicy, którzy mogli okazać się bezcenni w jego misji, gdyby udało się przekonać ich do współpracy. Może właśnie dlatego przyciągnęli jego uwagę? Po pierwsze jednak musiał zająć się demonem i jego pomiotem.

Teclis zaczerpnął mocy zgromadzonej w ródźce, wolał polegać na niej niż na spaczonej, choć wielkiej energii przepływającej Ścieżkami Pradawnych. Wyśpiewał zaklęcie egzorcyzmu i wygnania. Zaklęcie było silne i pewne. Wiązki skondensowanej magii zatańczyły na końcach jego wyciągniętych dłoni i rozdzieliły się na dwa sploty mocy, które otoczyły muchy natychmiast zamieniając je w bezmyślne insekty. Teclis dodał niewielki element zapalający do zaklęcia, który spowodował, że muchy zajęły się ogniem. Potem ukształtował kolejne zaklęcie, aby oczyścić ohydne powietrze splugawione wyziewami demona i skoncentrował wysiłki na samej wielkiej bestii, wysyłając liczne strumienie energii, które wirując popłynęły łukiem w stronę jego łba. Magiczny ogień przeszył cielsko jak rozpalone druty przenikające zjełczałą słoninę. Kreatura wrzasnęła i jej rechot ustal.

Mając pole widzenia wolne od brzęczących insektów krasnolud nie potrzebował dalszej zachęty. Popędził naprzód i ciężki topór przebił się przez oślizgłą skórę bestii. Zawrodość stwora wzmogło się, gdy ostrze z wytrawionymi lśniącymi runami wbiło się w jego ciało. Masywne macki odwinęły się, gdy stwór wił się w agonii. Pochwycony mężczyzna poleciał przez korytarz jak wyrzucony z katapulty.

Teclis przyzwał małego pseudosylfa, aby złapał człowieka i złagodził impet jego upadku. To było drobnutkie stworzenie z powietrza, uformowane z magicznej energii, by wypełnić jego wolę – raczej przedłużenie woli niż prawdziwy żywiołek, ale w taką formę najłatwiej mu było oblec swoją magię.

Prędkość lotu człowieka była tak wielka, że Teclis zadziałał zbyt późno. Zanim zdążył wysłać

sylfa, człowiek przeleciał przez portal i zniknął na Ścieżkach Pradawnych.

Krasnolud nie zwrócił na to większej uwagi. Zerknął tylko pospiesznie. Jednak jego jedyne oko zwęziło się, gdy dostrzegł Teclisa, a potem wrócił do szlachtowania potężnego stwora Chaosu. Teraz demon był w pełnym odwrocie, usiłując wyslizgnąć się w ciemność. Podążały za nim jego dzieci-larwy. Teclis wiedział, że musi szybko zakończyć tę farsę, jeśli chce wykorzystać nadarzącą się okazję. Posłał kolejną falę magicznej mocy za potworem, podpalając larwy i spopielając jego ciało. Stwór wrzeszczał konając.

Krasnolud splunął na jarzące się resztki, a potem odwrócił się w stronę czarodzieja.

– A teraz, elfie, zajmę się tobą.

Felix poczuł wokół siebie nagłą falę ciepła, a potem brzęczenie ustało. Otworzył oczy i zobaczył zwęgloną chmurę pyłu, która odpadała od niego. Chwył macki zacisnął się boleśnie wokół żeber, pozbawiając go oddechu. Czuł, że zaraz pękną mu kości. Rozpaczliwie ścisnął miecz w dłoni i spróbował wbić go w monstualną kończynę, ale uniemożliwił to nieodpowiedni kąt do zadania ciosu.

Usłyszał rozbrzmiewający okrzyk bojowy Gotreka i uderzenie topora. Powietrze wypełniło złotawe lśnienie i zawirowanie powietrza rozproszyło zatykający smród bestii. Zastanawiał się co się dzieje, gdy lśnienie nasiliło się, a cielsko demona przeszły linie ognia. Działała magia – to było dość oczywiste. Czyżby Max poszedł ich śladem?

Zanim zdążył dłużej się nad tym zastanowić, macki potwora rozwinęły się i Felix wyleciał w powietrze. Odruchowo zamknął oczy. Wiedział, że jeśli uderzy o podłogę lub ścianę z tej wysokości i przy tej prędkości, w najlepszym razie połamie sobie wszystkie kości, w najgorszym – zginie rozbity na galaretowatą miazgę, tak jak larwy. Szykował się do uderzenia, które miało nastąpić za kilka sekund.

Zamiast tego poczuł jak przenika go zimno. Otworzył oczy i zobaczył, że znalazł się po drugiej stronie lśniącej bariery, pochwycony wśród wirujących kolorów. Miał tylko kilka chwil, by to dostrzec zanim porwało go przyspieszenie. Jego wcześniejsza prędkość, już znaczna, została zwiększona o kilka rzędów wielkości.

Desperacko rozglądał się wokół, ale to było pozbawione sensu. Wydawało się, że pędzi przez nadającą się do oddychania atmosferę wzdłuż niekończącego się korytarza, którego ściany zmieniały kolor z każdym uderzeniem serca. Poruszały się wraz z nim także dziwne, błyszczące sfery, pulsujące i zmieniające się. Przepływały jedna w drugą jak krople rtęci. Felix nie miał pojęcia, gdzie był, ani dokąd zmierzał. Wrażenie dezorientacji, które odczuwał w ciemnościach korytarzy powróciło, wielokrotnie silniejsze.

Co gorsza jednak, był sam i pochwycony w jakąś wielką, czarnoksięską pułapkę, z której, jak wiedział, nigdy nie ucieknie.

Teclis spojrział na krasnoluda i zastanowił się nad możliwością własnej śmierci. Im dłużej przyglądał się toporowi, tym bardziej wzrastał jego szacunek dla potęgi tej broni. To była starożytna broń magiczna najwyższego rodzaju, co do tego nie miał wątpliwości. Otaczająca ją aura antyczności była oczywista. Runy były oślepiająco jasne, znacznie potężniejsze niż jakiegokolwiek, które oglądał, a Teclis w swoim czasie widział wiele run.

Właściciel topora był nie mniej przerażający. Wydawał się być zwykłym krasnoludem, chociaż o wielkich rozmiarach i sile fizycznej, ale jego aura mówiła bystrym i wrażliwym zmysłem magicznym maga coś innego. Krasnolud pod wieloma względami uległ zmianom. Magia przenikała jego jestestwo. Magia, która wypływała z topora i zmieniła go całkowicie. Nadal go zmieniała. Był znacznie twardszy i silniejszy niż jakiegokolwiek krasnolud, a także o wiele bardziej odporniejszy na

efekty magii. Fascynacja Teclisa zmagająca się ze strachem. Widział przed sobą istotę, w której zachodził proces przemiany w coś innego, pod wpływem magii starszej nawet od cywilizacji elfów. Teclis oddałby wiele, by móc zbadać tę broń, ale w tej chwili musiał zająć się innymi sprawami.

– Nie mam z tobą zatargu, krasnoludzie – powiedział.

– Mogę to zmienić – odparł krasnolud. Zbliżył się trzymając wysoko groźny topór.

Teclis rozważył swoje możliwości działania. Zużył większość mocy zgromadzonej w różdżce, a magiczne energie, jakie mógł zaczerpnąć w tym miejscu na Ścieżkach mogły być spalone Chaosem, a zatem tym bardziej bezsilne wobec topora. W takich okolicznościach wolał nie zakładać się, czy uda mu się przełamać moc ochronnych run na tym ostrzu. W Ulthuanie sprawy mogłyby wyglądać inaczej, ale to nie był Ulthuan.

Wyciągnięcie miecza i zmierzenie się z krasnoludem także nie wydawało się opcją do przyjęcia. Teclis był niezłym szermierzem, ale jedno spojrzenie na krasnoluda powiedziało mu, że nawet magiczne ostrze w rękach sprawdzonego szermierza daleko nie wystarczy, by zwyciężyć.

– Ocaliłem żywot twój i twojego towarzysza – powiedział, cofając się w stronę łuku. W tej sytuacji lepiej było zachować możliwość odwrotu. A jednak coś wstrzymywało go przed zwykłą ucieczką. Miał w sobie dumę całego rodu Aenariona, a co więcej, czuł, że ten krasnolud jest dla niego w jakiś sposób ważny. Przeczynał, że to spotkanie nie było przypadkowe.

– Nie podoba mi się to co powiedziałaś – odparł krasnolud głosem brzmiącym jak trąca o siebie kamienie.

Oczywiście, że nie – pomyślał Teclis patrząc na dziwną fryzurę i tatuaże, oraz dostrzegając ogólnie odpychający wygląd krasnoluda – jesteś Zabójcą, który przysiągł szukać śmierci w walce. A zatem nie wyrządził mu żadnej przysługi. Cofał się przed nadchodzącym Zabójcą stale rozważając swoje możliwości. Szukał elementu, który dałby mu przewagę. W jego głowie pojawiła się tylko jedna możliwość.

– Jeśli chcesz ocalić swojego towarzysza, od tej chwili musisz ze mną współpracować – powiedział Teclis.

* * *

Felix wpadając głową naprzód w sfery zaczął coś dostrzegać. Na początku wydawały się niemal bezkształtne, ale potem zaczął rozpoznawać obrazy, umykające wizje samego siebie i innych. Niektóre z tych obrazów były prawie na pewno wspomnieniami. Innych nie przypominał sobie. To mogły być sny kogoś innego, tyle że rozpoznawał pojawiające się w nich postacie.

Zobaczył siebie jako młodzieńca w domu swojego ojca, kłócącego się ze starym człowiekiem. Widział młodego, zbuntowanego studenta na Uniwersytecie w Altdorfie, popijającego, przybierającego pozy i spisującego wiersze o niewielkiej wartości, w tawernach cieszących się złą sławą. Zobaczył pojedynek, który stoczył z Wolfgangiem Krassnerem oraz trupa u swych stóp, z którego ust nadal toczyła się krwawa piana. Oglądał dziką noc, podczas której spotkał Gotreka w gospodzie Pod Toporem i Młotem, gdzie złożył przysięgę, że będzie towarzyszył krasnoludowi i opíše jego śmierć. Widział ich fatalne spotkanie z kawalerią Imperatora podczas zamieszek po ogłoszeniu podatku za okna.

Jego oczy wypełniły kolejne obrazy, a wrażenia stały się bardziej realne i bardziej sensne jednocześnie. Co się tam działo? Czym była otaczająca go substancja? Zdawała się z magiczną prędkością reagować na jego myśli i okruchy pamięci. Nie potrafił tego ogarnąć. Nie był czarodziejem i nie chciał nim być. Przeczytał w kilku książkach o filozofii naturalnej, że czysta materia Chaosu zachowywała się właśnie w taki sposób. Słyszał, że podobnie dziwne rzeczy działy się podczas pierwszego Oblężenia Praag, zanim interweniował Magnus Pobożny i ocalił miasto.

Kamienie spływały jak woda, a po ulicach chodziły wcielone koszmary i potwory z krwi i kości.

Wokół zamigotały następne obrazy. Widział pradawne zamczysko w Sylvanii, gdzie wraz z Gotrekiem zmierzył się z wampirem i ocalił dziewczynę. Rozpoznawał wampira z obrazu, który oglądał kiedyś w Zamku Drakenhof. To był Manfred von Carstein.

Widział wielką bitwę, w której armie Imperium walczyły z hordą orków, a Snorri Gryzonos padł w walce i był oplakiwany przez oddział Zabójców. Widział wielką płonącą (góre, na szczycie której Gotrek walczył z demonem o nietoperzowych skrzydłach, który wyglądał jak połączenie człowieka i elfa, tyle, że był znacznie większy od nich. Felix wiedział, że nic z tego nigdy się nie wydarzyło. Może to były halucynacje wywołane przez rozgorączkowany umysł, proroctwa przyszłości, przebłyski ze światów, które mogły zaistnieć, gdyby ruszył inną ścieżką?

Nie wiedział tego i nie dbał o to. Już teraz czuł, że traci zmysły. Jeśli jego mózg nie wytrzyma naporu informacji, Felix stanie się szaloną, bełkoczącą istotą. Potem zauważył, że kilka innych obiektów zbliża się do niego i przyjmuje nowe formy. Wyczuwał wokół siebie ich obecność. Stwory zbliżały się, sunęły przez przestrzeń niczym rekiny otaczające szamoczącego się pływaka. Macka myśli, jedwabista, złowroga i zła wysunęła się i przeniknęła do jego myśli.

Wkrótce pożywimy się, powiedziała. Twoja dusza należy do nas.

Krasnolud zatrzymał się.

– Czy to jakaś zdradziecka, elfia sztuczka? – zapytał.

Teclis potrząsnął głową.

– Twój przyjaciel przekroczył Portal Pradawnych. Nie posiada żadnych ochronnych zaklęć, ani amuletów. Nie ma pojęcia, jak się bronić. Nie ma run, takich jakie znaleźć można na twoim niesamowitym toporze. Jeśli szybko nie zostanie odnaleziony, umrze, albo pochłoną go ci, którzy mieszkają po drugiej stronie.

Krasnolud znowu uniósł topór i zbliżył się z wyrazem czystej determinacji na twarzy. Teclis obawiał się, że będzie musiał walczyć. Jednak krasnolud ruszył w stronę portalu.

– Znajdę go. Nie potrzebuję twojej pomocy, elfie.

– To nie takie proste. Nie jesteś czarodziejem. Nie zdołasz znaleźć go na ścieżkach. Ani sam nie wydostaniesz się bez odpowiedniego klucza. Zagubisz się tam na zawsze, albo wreszcie spotkasz coś, czego nie zabije nawet twój topór.

– A ty mi pomożesz? – zapytał krasnolud. W jego głosie zabrzmiała gorzka ironia. – Dlaczego mam wrażenie, że jest w tym jakiś haczyk?

– Ponieważ w zamian ty pomożesz mi wypełnić moją misję. Prosta wymiana. Coś, co krasnolud powinien zrozumieć.

Krasnolud łypnął na niego.

– Nie obawiaj się. Nie żądam niczego, co podważyłoby twoją krasnoludzką dumę, czy też twoje osobliwe pojęcie honoru.

– Co elf może wiedzieć o honorze?

Teclis uśmiechnął się.

– A zatem, gdy uratujemy twojego przyjaciela, pozostawię tobie decyzję, czy to o co proszę jest honorowe.

Krasnolud przekrzywił głowę. Podejrzewał pułapkę. Czarodziej stwierdził, że też by się jej spodziewał, gdyby miał układać się z demonem. Uśmiechnął się ponownie, jakby właśnie przejrzał, co działo się w umyśle krasnoluda.

– Bardzo dobrze – powiedział krasnolud. – Ale jeśli to sztuczka, albo jeśli mnie zdradzisz, wtedy z całą pewnością zginiesz, choćbym miał wygrzebać się z dna piekieł, żeby cię zabić.

Uśmiech zniknął z ust Teclisa. Słowa krasnoluda zabrzmiały tak, jakby zamierzał zrobić dokładnie to, co powiedział. Poza tym wyglądał na kogoś, kto jest w stanie to zrobić.

– Jeśli mamy razem wyruszyć, powinniśmy znać swoje imiona. Jam jest Teclis z rodu Aenariona – rzekł wykonując dworski ukłon jak przed kimś o znacznej pozycji.

– Jestem Gotrek, syn Gurniego – odrzekł krasnolud. Nie uklonił się.

– A jeśli mój spamiętywacz jest martwy – dodał – wkrótce do niego dołączysz.

Przekonamy się – pomyślał Teclis, wiedząc, że gdy znajdą się na Ścieżkach Pradawnych, równowaga sił przechyli się ponownie na jego korzyść.

Felix nie wiedział, czy umarł i minął okute żelazem bramy sal Morra. To wydawała się jedyna możliwość, chociaż jeśli to miało być życie pośmiertne, było wyjątkowo piekielne.

Może to właśnie się stało. Może został potępiony i skazany na jeden z czyściców, gdzie złoczyńcy pokutowali za swoje grzechy. Za życia nie uważał siebie za szczególnie złego człowieka, ale może bogowie osądzali śmiertelników według innych standardów?

Stał teraz w dziwnym, ciemnym miejscu. Wszędzie widział jamy wypełnione ogniem. Do ścian byli przykuci cierpiący śmiertelnicy, a demoniczne istoty torturowały ich. Ciężar jego łańcuchów był straszliwy, a rozgrzane żelazo ocierało się boleśnie o kończyny.

Co gorsze jednak, zbliżało się coś wielkiego, rogatego i o skrzydłach nietoperza. Przypominało demony, które widział wcześniej. Miało te same złowrogie oczy i otaczała je aura tego samego, nieludzkiego okrucieństwa. Istota zatrzymała się przed nim i przyjrzała się wiszącemu.

– Teraz należysz do nas – powiedział stwór. – Pożyjemy się twoim ciałem i duszą. Dla nas staniesz się chwilą znikomej odmiany. Dla ciebie to będzie wieczność bólu.

– Zaczekaj – powiedział Teclis. – Muszę rzucić zaklęcia obrony i poszukiwania, zanim przejdziemy przez ten portal.

Krasnolud splunął na ziemię i przesunął kciukiem po ostrzu topora. Pojawiła się na nim kropla jasnej krwi. Teclis reaktywował zaklęcia ochrony wplecione w jego amulety i rozszerzył ich wpływ na trzy kroki wokół siebie. Topór zapewne był w stanie ochronić swojego właściciela przed najgorszym wpływem Chaosu na ścieżkach, ale mag wołał nie ryzykować.

Następnie zajął się odnalezieniem człowieka. Niełatwo było rzucić takie zaklęcie nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach i Teclis ledwo zdążył rzucić okiem na człowieka. Jednak jego miecz posiadał bardzo charakterystyczny wzór magiczny, a Teclis dysponował pamięcią elfiego czarodzieja. W młodości wykonał tysiące ćwiczeń, których celem było zwiększenie pojemności pamięci. Zastosowanie takich umiejętności było bezcenne dla czarodzieja, co miało się właśnie okazać.

Przywołał w pamięci człowieka, wracając do chwili, w której wypuściła go demoniczna istota. Ponownie ujrzał słomiane włosy, przestraszone niebieskie oczy, pociągłą opaloną twarz z jej przerażonym wyrazem. Wyobraził sobie wysoką postać odzianą w postrzępiony czerwony płaszcz. Wyobraził sobie aurę mężczyzny i aurę miecza. W jego umyśle pojawił się obraz wielkiego smoka i przeglądając swoją pamięć zdał sobie sprawę, że rękojeść miecza pokrywał wzór smoczego łba. Gdy zyskał pewność, że odtworzył możliwie doskonały obraz z pamięci, rzucił zaklęcie jasnowidzenia i lokalizacji, wysyłając macki mocy przez portal. Polegał na zasadzie przyciągania magii do jego źródła. Przez chwilę obawiał się, że nic nie znajdzie, że połączenie jest zbyt słabe i nawet jego umiejętności nie wystarczą, by podołać temu zadaniu, a potem poczuł w oddali jakąś zanikającą obecność.

Gdy tylko nawiązał kontakt, pożałował, że to zrobił. Człowieka opanowało wielkie przerażenie i na jego umysł padł cień obecności kogoś innego. Teclis domyślał się, że był to cień demona.

– Musimy ruszać natychmiast. Twój przyjaciel jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie – powiedział Teclis.

– Prowadź – odrzekł krasnolud, gdy Teclis przeszedł przez lśniący łuk wkraczając w koszmarną rzeczywistość Pokrętnych Ścieżek.

Rozdział 9

Teclis zrozumiał, że kolejny świat był tym razem inny. Nie przypominał poprzedniego. Może działo się tak z powodu zwiększonego zasięgu splotu ochronnych zaklęć, ale podejrzewał, że zapewniała to obecność tego topora. Im więcej czasu spędzał w jego pobliżu, tym dobitniej zdawał sobie sprawę z potęgi broni. Co więcej, teraz gdy Gotrek Gurnisson znalazł się w obrębie jego zaklęć, dostrzegł silne magiczne więzy między krasnoludem i toporem.

Słyszał już o podobnych fenomenach, ale po raz pierwszy widział tak silne działanie tego zjawiska. Z biegiem czasu między każdym magicznym przedmiotem i osobą, która z niego korzystała mogły wytworzyć się więzi psychiczne. To był nieunikniony skutek uboczny sił magicznych, ale w tym przypadku to było coś więcej. Moc wpływała przez więzy do krasnoluda, wystarczająco subtelna, by zmienić nawet istotę tak odporną na magię, jak krasnolud, ale wystarczająco silna, by powstrzymać otaczające ich prądy Chaosu. Teclis dałby wiele, by móc poznać historię i pochodzenie tej broni. Wątpił jednak, by krasnolud zgodził się podzielić z nim tą wiedzą.

Zabójca nie dawał po sobie poznać, czy przeraża go dziwaczna natura ich otoczenia. Teclis zastanawiał się, czy widzą te same rzeczy. W tej chwili unosili się wewnątrz bąbla czystego powietrza zakreślonego przez granice jego zaklęcia. Na zewnątrz, przepływały magiczne prądy Ścieżek Pradawnych. Teclis wyczuwał tam mieszkańców dróg. Niektórzy z nich byli neutralnymi duchami, żywiołakami i innymi stworzeniami, które mogły pożywiać się bezpośrednio ze strumienia magii. Większość była aktywnie nieprzyjazna. To były stworzenia Chaosu, które weszły na ścieżki i zostały tam uwięzione. A może po prostu postanowiły tu żyć. Wyczuwał rezonans starszych istnień, duchów wrogich Chaosowi, które być może zostały tu umieszczone, by strzec samych Pradawnych, ale zostały zalane Chaosem i mogły zostać splugawione dawno temu.

Jeszcze raz poczuł fascynację uczonego. Tak wiele było do poznania i tak mało czasu na to, nawet wobec długości życia elfiego księcia. To miejsce kryło w sobie materiał do setek badań, gdyby tylko przeżył, by o tym napisać. Zmusił się do odrzucenia tych myśli, by wrócić do spraw bieżących. Najpierw musieli znaleźć człowieka, a potem wrócić do jego misji. Gdyby nie miał tak silnego przeczucia dotyczącego krasnoluda i jego topora, wątpił by zaofiarować swoją pomoc. Jednak jakiś instynkt powiedział mu, że tak należy uczynić. Nie spotkał się przypadkiem z powiernikiem takiego oręza. Ich losy zetknęły się i splotły w tym punkcie, tego był pewien. Jedno jednak nie uległo zmianie; potężny wir energii nadal przemieszczał się w tę i z powrotem Pokrętnymi Ścieżkami, przepychając bąble rzeczywistości we obie strony.

Ponownie rozwinął zaklęcie widzenia i wyczuł ból oraz przerażenie człowieka. Jeśli wkrótce nie dotrą do niego, będzie zbyt późno, by cokolwiek uczynić. Pchnął sferę w przestrzeń mając nadzieję, że samą siłą woli sprawi, by zdążyli.

Felix patrzył jak zbliża się kolejny z demonów. Rzucił się szarpiąc łańcuchy, ale wiedział już, że to bezcelowe. Były dość mocne, by wytrzymać nawet wielką siłę Gotreka. Miecz spoczywał tuż poza zasięgiem rąk Felixa, umieszczony w tym miejscu, aby zwiększyć cierpienie i poczucie beznadziei człowieka.

Demon nachylił się. Felix widział, że jego oczy nie przypominały ludzkich. Na początku wydawały się jamami czystego ognia, ale gdy spojrzano się w nie, można było dostrzec ukrytą w nich złowrogą inteligencję. W miejscu źrenic pełgały płomyki w rozżarzonych jamach, które wypełniały oczodoły – to były świadome płomienie, pełne czystego zła.

Demon zaśmiał się, a ten dźwięk przeszywał chłodem pomimo gorąca otoczenia. To był śmiech stwora, dla którego najbardziej niewyobrażalne okrucieństwo było czymś najzwyczajniejszym –

stwora, który znajdował rozkosz w bólu i strachu innych, który pożywiał się nimi jak jakiś smakosz uczujący na marynowanych językach skowronków. Jego paszcza otworzyła się szerzej i Felix zobaczył żółte zęby oraz długi, węzowaty rozdwojony język. Potwór zbliżył się i Felix poczuł bijące od niego ciepło. Stwór emanował żarem jak piec. Język wysunął się i oblizał jego twarz.

Felix pomyślał, że to nie dzieje się naprawdę. To mógł być tylko koszmarny sen. Ale wiedział, że tak nie było. Demon także to wiedział.

– Jesteś mój – powiedział. – Na Tzeentcha, nie powinieneś tu przychodzić.

– Nie miałem takiego zamiaru – odparł. Stwór uderzył go na odlew grzbietem otwartej dłoni. Felix zauważył długie pazury na końcach palców.

– Nie podoba mi się twój człowieczy humor – powiedział. – Lubię twój strach i twój ból.

– A zatem niewiele tu do roboty dla błazna – odpowiedział Felix z braku lepszego pomysłu. To był kiepski dowcip, ale zirytował demona, a w tej chwili tylko tyle można było wskórać. Istota poruszyła się z oszałamiającą prędkością. Felix rąbnął głową o rozgrzaną skałę. Przed oczami zatańczyły gwiazdy. Ból odebrał mu jasność widzenia. Felix wyrzucił przed siebie nogę, ale ciężkie łańcuchy spowolniły go i stwór z łatwością uniknął kopnięcia.

– Lubię, gdy moje jedzenie się szamoce – powiedział głosem kota przemawiającego do myszy, gdyby tylko koty mogły mówić.

– Spełnię twoje życzenie, jak mogę najlepiej – powiedział Felix rzucając się jeszcze raz w łańcuchach mając nadzieję, że uda mu się zaczepić stwora jednym z ogniów. Demon odskoczył i wrócił uderzając pazurami.

Teclis zobaczył przed sobą lśniący owal i otaczające go kształty. Wiedział, że nie będzie łatwo. Człowiek został wessany do jednego z bąbli rzeczywistości unoszącego się na ścieżkach. Może nawet znalazł się w tym, który stworzyły jego własne myśli i lęki. Był uwięziony wewnątrz, a wszędzie dokoła kłębiły się demony. Kilka już weszło, by się pożywić. Teclis nie miał pojęcia, co czekało na nich w środku, ale wiedział, że aby ocalić człowieka, muszą tam wejść.

– Przed nami demony – powiedział do krasnoluda.

– Dawaj je – odparł Gotrek Gurnisson. – Mój topór łaknie krwi.

Felix zdusił w sobie okrzyk, gdy ostre jak brzytwa pazury demona przebiły jego biceps. Krew splamiła koszulę. Krew wypełniła mu usta. To była tylko jego krew, pomimo wszelkich starań, by zranić demona.

– Tak szybko się poddajesz? – powiedział demon ze złośliwym rozbawieniem. – Ledwo zacząłem, a moi bracia czekają na swoją kolej. Minał wiek odkąd mieliśmy taką zabawę, a przynajmniej tak nam się zdaje. Nie często wy ludzie jesteście na tyle głupi, by wchodzić bez ochrony na Ścieżki Pradawnych.

– Niech cię piekło pochłonie! – odparł Felix.

– Już tam jesteśmy, czyżbyś nie domyślił się tego?

Gdy tylko zetknęli się z bąblem rzeczywistości, Teclis wiedział, że będzie ciężko. Ludzie zawsze mieli żywe wyobrażenia i osobliwe przesady dotyczące piekła, a przypuszczał, że wewnątrz znajduje się jedno z nich. A jednak pomyślał, że mogło być gorzej. Mogli znaleźć się w snach mrocznego elfa.

– Czuję smród demonów – odezwał się krasnolud. – Gdzie jesteście?

– Czyżbyś wiedział jak śmierdzą demony? – zakpił Teclis nie mogąc się powstrzymać. To nie było zbyt rozsądne, ani dyplomatyczne.

– W istocie, elfie, wiem. I teraz czuję ten smród. Oraz siarękę.

– Wierzę ci na słowo – powiedział Teclis. – Jesteśmy w bąblu rzeczywistości stworzonej z materii Chaosu. Domyślam się, że to jedno z ludzkich piekieł.

– Bąbel czego? – spytał krasnolud stąpając po czerwonych kamieniach między dołami ognia. – Nieważne. Myślę, że znaleźliśmy to, czego szukamy.

Uśmiechnięta postać demona uniosła wzrok i powiedziała:

– Dobrze, więcej jedzenia.

Teclis odwzajemnił uśmiech. Oblicze demona zamarło i stwór przyjrzał się bliżej przybyłym, a wtedy uśmiech całkiem zniknął z jego twarzy. Teclis szybko utkał niskopoziomowe zaklęcie zakłócenia, które uniemożliwi przybycie na pomoc pobratymcom stwora, przynajmniej przez pewien czas. Rzucił zaklęcia powstrzymujące na ten obszar, by ograniczyć moc stwora. Nie chciał próbować niczego bardziej ambitnego, ponieważ wolał zachować swoją moc na później. Nie zamierzał być zmuszonym do czerpania spaczonyj magicznej energii wewnątrz Ścieżek Pradawnych, o ile nie znajdzie się w sytuacji bez wyjścia.

Demon zrozumiał co się dzieje i odwrócił się od człowieka. Rzucił się na Teclisa zmieniając swoją postać w locie. Stał się stworem znacznie większym, paskudniejszym, który pokrywała łuskowata, gadzia skóra i który miał wielką paszczę pełną ostrych jak igły zębów. Teclis natychmiast wyszarpnął miecz, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, błysnął potężny topór. Skrzydła demona rozwarły się z trzaskiem, w ostatniej chwili odrzucając stwora z drogi opadającego ostrza. A jednak, pomimo oszałamiającej prędkości, krasnoludowi udało się go trafić. W miejscu uderzenia topora ciało demona zostało wypalone jak ogniem. Ślepie rozszerzyły się od wściekłości i nienawiści. Gniew i strach przemknęły po jego obliczu. Rozwarł paszczę i wydał z siebie długie wycie, niczym wilk wzywający stado do walki. Z oddali dobiegł odgłos odpowiedzi i Teclis poczuł jak demony naparły na postawione przez niego bariery. Zaklęcia nie miały za zadanie ich zatrzymać, a tylko spowolnić i zadać im ból. Mag z zadowoleniem zdał sobie sprawę, że zaklęcia dobrze spełniały swoje zadanie, nawet w tym dziwnym miejscu.

Demon był mniej zadowolony.

– Wkrótce pożywię się na waszych duszach – powiedział, ale zabrzmiało to mniej przekonywująco.

– Męczą mnie twoje ciągłe przechwałki – odpowiedział krasnolud. – Teraz umrzesz.

Teclis zauważył, że ich otoczenie zmieniło się. Spękane ściany jaskini obecnie przypominały dobrze obrobiony kamień. Pojawiły się nawet ślady delikatnych elfich rzeźbień. Domyślał się, że to obecność jego osoby i krasnoluda zmieniała subtelnie ten bąbel rzeczywistości. Można było się spodziewać, że to miejsce jest tak zmienne.

Demon spojrział na krasnoluda, a potem na jego topór. Mierzył swoje siły wobec przeciwnika i najwyraźniej zrozumiał jak niewielkie ma szanse. Odwrócił się gwałtownie i skoczył na człowieka, zamierzając zabić go, zamiast pozwolić, by go uratowali. Teclis nie mógł do tego dopuścić. Posłał wiązkę energii w demona. Nie była dość silna, żeby go zniszczyć, ale wystarczyła, by zadać mu znaczący ból. Używając błyskawicy jak bicia odpedził stwora od ofiary. Demon wyjąk zniknął w kamiennych korytarzach.

– Wróci – powiedział Teclis. – I sprowadzi innych.

– Nie dbam o to – powiedział krasnolud podchodząc do człowieka. Błysnął topór. Łańcuchy opadły i mężczyzna zachwiał się w przód, ale powstrzymał się przed upadkiem. Chwilę później sięgnął i podniósł miecz. Gdy tylko broń znalazła się w dłoni, wyprostował się i wydawał gotowy do akcji.

– Jestem wdzięczny za ratunek – powiedział. – Znalazłeś sprzymierzeńca, czy to kolejny demon tego przeklętego miejsca?

– Jeszcze gorzej, człeczyno – odparł Gotrek Gurnisson. – To elf.

Teclis zignorował zaczepkę, miał inne rzeczy do zrobienia. Demony zbliżały się napierając na bąbel rzeczywistości w poszukiwaniu żeru. Były na tyle liczne, że mag wątpił, by nawet jemu i krasnoludowi udało się pokonać je wszystkie, przynajmniej w tym miejscu. A demony spróbowały nowej strategii. Zamiast usiłować boleśnie przedzierać się przez jego bariery, miażdżyły bąbel rzeczywistości, przebijając jego brzegi i pozwalając wpływać magicznej energii, która rozpraszała delikatne sploty zaklęcia niczym fala podmywająca dziecięcy zamek z piasku na plaży.

– Elf czy demon, masz panie moją wdzięczność – rzekł człowiek. Wymienili imiona i pozdrowienia.

– Cieszę się, że mogłem pomóc, ale teraz musimy ruszać – powiedział Teclis. Krasnolud zerknął na niego. Teclis wiedział, że biorąc pod uwagę przeznaczenie Zabójcy nie było najmądrzejszą rzeczą informowanie go, że ta potężna horda przeciwników zaraz na nich runie. Postanowił wyjawić mniej przerażającą prawdę.

– Ten bąbel rzeczywistości za chwilę się zapadnie i do środka wedrze się fala dzikiej magicznej energii. Wątpię, czy to śmierć jakiej szukasz, Zabójco. To byłaby raczej bezcelowa śmierć.

Krasnolud skinął głową. Teclis jeszcze raz zebrał wokół siebie swoją moc magiczną, otulając nią siebie, krasnoluda i człowieka.

Kilka chwil później bąbel rzeczywistości ustąpił pod naporem. Czuł falę magicznej energii zderzającej się z jego delikatnymi splotami. W następnym momencie ściany załśniły i zniknęły, a oni znaleźli się z powrotem w kłębiącym się morzu magicznej mocy. To nie było dobre miejsce, by podejmować walkę z demonami. To było ich środowisko naturalne i zmysły demonów były znacznie lepiej dostrojone do takiego miejsca niż zmysły jakiegokolwiek śmiertelnika, nawet jego. Pomyślał, że może mógłby skupić swoją wolę na bąblu rzeczywistości i stworzyć miejsce bardziej odpowiadające jemu i jego towarzyszom, ale to byłaby strategia prowadząca donikąd. Musiałby utrzymywać bąbel zmagając się z połączonym wysiłkiem demonicznej hordy, która próbowałaby go rozedrzeć, a w swej masie okazaliby się silniejsi od niego, przynajmniej w tym miejscu i w tej chwili. Teraz bardziej niż czegokolwiek innego potrzebowali wydostać się stąd, a był tylko jeden sposób, by tego dokonać.

Pozwolił swojej ochronnej sferze zaklęć pomknąć swobodnie niesionej prądem. Ruszyła naprzód jak nadmuchany bukłak rzucony do strumienia. Teclis uplótł wokół jego brzegów najpotężniejsze i najbardziej bolesne zaklęcia ochronne i związał je najmocniej jak potrafił. Wysilił wolę, by jeszcze szybciej pomknęli wzdłuż strumienia energii w pożądanym przez niego kierunku. Przez chwilę pędzili coraz szybciej i wydawało się, że oderwą się od ścigającej ich hordy, ale potem, jak rekiny wężące krew, demony wznowiły pogoń.

Teclis czuł, że zbliżają się coraz bardziej do celu. Runy na toporze krasnoluda jarzyły się jaśniej. Twarz człowieka wydawała się napięta, co nie było zaskakujące zważywszy na miejsce, z którego go wyzwolono. Wkrótce wszyscy mogli znaleźć się w podobnych miejscach, jeśli nie znajdzie wyjścia. Albo ich ciała zostaną rozerwane, a dusze staną się żerem demonów.

Felix wyrzwał poza granice dziwnej, błyszczącej czarodziejskiej sfery, w której się unosili i zastanawiał się, czy to co widzi jest realne. Jego zetknięcie z demonami sprawiło, że zwątpił w swoje zmysły. Czy Gotrek i elf rzeczywiście pojawili się i uwolnili go, czy to była tylko wyrafinowana tortura wymyślona przez piekielny pomiot? W każdej chwili mógł znowu znaleźć się w tym cuchnącym złem lochu, w łapach koszmarnego stwora. Jego serce biło szybciej, a dłonie pociły się na samą myśl o tym. Przez chwilę miał wrażenie, że podda się tej strasznej wizji. Zdawało mu się, że chwieje się na krawędzi bezdennej otchłani. A jeśli rzeczywiście był martwy, a to naprawdę było piekło jakiegoś rodzaju?

Powoli, krok po kroku cofnął się od krawędzi. Jeśli to było piekło, to nader dziwne, a wątpił, by nawet wyobraźnia demonów dopuściłaby, żeby Gotrek pojawił się w towarzystwie elfa. To zbyt mało prawdopodobieństwo. Aby odwrócić uwagę od niepewnych myśli, skupił się na swoich towarzyszach.

Zabójca wyglądał na głęboko nieszczęśliwego. Rzucił mordercze spojrzenia w stronę elfa, a potem Felixa i mruczał do siebie po krasnoludsku. Felix nie był pewien, czym zasłużył sobie na takie spojrzenia, ale powoli zaświtało mu w głowie, że elf był czarodziejem i Gotrek musiał zawrzeć z nim jakiś układ, aby uwolnić Felixa. Z łatwością wyobrażał sobie, że dług honorowy takiego rodzaju nie należał do zobowiązań, których krasnolud podejmowałby się z ochotą.

Ale kim był ten nieznajomy i skąd się wziął? Wydawało się nieprawdopodobne, by po prostu wędrował przez te dziwne przejścia między wymiarami. Felix przyjrzał się elfowi. Nigdy wcześniej nie miał okazji przyglądać się elfom z tak bliska, chociaż za młodu widział paru na ulicach Altdorfu.

Teclis był wyższy od człowieka i znacznie szczuplejszy. W istocie miał dość kruchy wygląd, podobnie jak elfy, które Felix sobie przypominał. Był niezwykle szczupły, a jego skóra wydawała się przezroczysta. Miał długie dłonie, niezwykle smukłe i delikatne palce. Jego twarz była pociągła i odbijał się na niej ślad jakiegoś fizycznego cierpienia. To było oblicze, które mogłoby należeć do upadłego bóstwa, wykute przez wieki bólu. Oczy w kształcie migdałów były czyste, zimne i bezlitosne. Wąskie usta wykrzywiały się w złowróżbnym uśmiechu. Felix potrafił zrozumieć dlaczego krasnoludy były tak uprzedzone wobec elfów, jeśli wszystkie wyglądały podobnie. Elf wydawał się spoglądać na świat z bezustannym szyderstwem, oceniając wszystko podług wysokich standardów własnej rasy i stwierdzając, że nic z tego nie jest ich godne.

Uważaj – napomniął się Felix w myślach – nie wiesz tego. Być może wyciąga wnioski w świetle postawy Gotreka. Obcy nie wyrządził mu żadnej krzywdy, a wręcz pomógł go ocalić, a w tej chwili wyglądało na to, że robi wszystko, by zabrać ich z tego koszmarnego miejsca. Myśląc o tym Felix znalazł kolejne źródło swoich uprzedzeń.

Teclis był magiem i to najwyraźniej bardzo potężnym. W przypadku człowieka, jak Max Schreiber, Felix mógł to zaakceptować. Wiedział, że Max posiadał cechy wspólne dla wszystkich ludzi – Felix dzielił z czarodziejem zestaw tych samych wartości, ale spoglądając na tego elfa nie był pewien, czy może powiedzieć to samo. W tych zimnych, pięknych rysach było coś prawie równie obcego, jak w przypadku orka, albo wampira. Teclis mógł powierzchownie przypominać człowieka, w pewien sposób bardziej nawet niż Gotrek, ale Felix nie mógł przestać myśleć, że punkt widzenia elfa jest jeszcze bardziej nieludzki niż w przypadku Zabójcy.

Usiłował przypomnieć sobie wszystko, co jego nauczyciele powiedzieli mu o elfach. Wiedział, że byli starożytną rasą, ucywilizowaną, gdy ludzie ciągle jeszcze byli barbarzyńcami. Byli wielkimi żeglarzami, odkrywcami i równie wielkimi czarodziejami. Podobno bywali okrutni, zdegenerowani i oddani w pełni przyjemnościom. Elfi łowcy niewolników często najeżdżali wybrzeża Starego Świata, a śmiertelni ludzie nigdy już nie oglądali tych, których zabrano. Niektórzy uczeni twierdzili, że istnieją dwa rodzaje elfów – niektórzy oddani światłu, pozostali oddani ciemności i to ten drugi rodzaj zniewalał ludzkość. Inni twierdzili, że to była tylko wygodna wymówka, która pozwalała elfickim kupcom zrzucić odpowiedzialność za okrucieństwo swoich pobratymców, korsarzy. Kimże był Felix, by wiedzieć, komu uwierzyć? Jego doświadczenia w tej kwestii były nader ograniczone.

Niektórzy twierdzili, że elfy były nieśmiertelne, inni, że tylko niezwykle długowieczne. Ten elfi czarodziej mógł równie dobrze być tym samym Teclisem, który walczył podczas ostatniej wielkiej inwazji Chaosu za czasów Mangusa Pobożnego, ponad dwa stulecia lat wcześniej. Czy to było możliwe? Bardziej prawdopodobne, że po prostu otrzymał imię po tym potężnym czarodzieju.

Felix potrząsnął głową. Spoglądając na tę odwieczną i gładką twarz o nieodgadnionym wieku mógł uwierzyć, że to był ten sam mag. Może będzie mógł go o to spytać, gdy wyjdą z tego. Potem uderzył go wniosek płynący z tych przemyśleń – czy mogło się zdarzyć, że został uratowany przed demonami przez bohatera pradawnych czasów, którego imię czytał w księgach? Czy legendy nadal wędrowały po powierzchni ziemi w świetle dnia?

Nagle usłyszał okrzyk czarodzieja:

– Uwaga! Niebezpieczeństwo w pobliżu!

Rozdział 10

Felix zauważył, że prądy przecinające obcą przestrzeń wokół nich znowu się zmieniały. Ohydne twarze przyciskały się do krawędzi sfery. Niektóre z nich przypominały osoby, które kiedyś znał – Ulrikę, Maxa, Snorriego, Albrechta i wielu innych – ale ich oblicza były paskudnie zmienione, miały kły i były złowrogie. Niektóre z nich przypominały jego ojca i braci, a inne zupełnie niepodobne do nikogo, chociaż były równie dziwaczne i złe.

Niektóre były twarzami krasnoludzkich kobiet i dzieci, a także mężczyzn. Parę sugerowało odległe, rodzinne podobieństwo do Zabójcy. Inne były twarzami elfów, piękne i zabójcze. Były wśród nich twarze przystojnych elfich mężczyzn i pięknych kobiet, oraz potężna postać odziana w czarny pancerz inkrustowany runami. Felix usłyszał sapanie swoich towarzyszy jakby rozpoznawali niektóre twarze. Gotrek splunął z przekleństwem i wymierzył toporem w kierunku brzegu sfery.

Topór przeniknął przez nią i wbił się w jedną z wyszczerzonych twarzy. Rozległ się osobliwy wrzask, a sfera zadrżała jakby miała się zapaść. Elf wydał z siebie jęk bólu i krzyknął:

– Nie rób tego! Jeśli przerwiesz sferę, wszyscy zatoniemy w tym plugastwie. W tej chwili to jedyne co nas ochrania.

– Nie potrzebuję żadnej ochrony – odpowiedział gniewnie Gotrek.

– Nie bądź tego taki pewny, krasnoludzie – rzekł elf, a w jego melodyjnym głosie zabrzmiała poważna nuta, której wcześniej nie było.

– Nawet ten topór nie może ochraniać cię wiecznie w tych magicznych prądach. Wkrótce stałbyś się jak oni – jak te zagubione dusze, demony. Stałbyś się hańbą dla swojego klanu.

Elf dodał to ostatnie jakby po namyśle, ale Felixowi wydawało się, że dostrzega w tym ukryty zamiar. Gotrek skrzywił się.

– Już jestem hańbą dla mojego klanu.

– A zatem nie zdobędziesz szansy na odkupienie, a jedynie szansę, by pogłębić tę hańbę.

Chociaż czarodziej był elfem, z pewnością wiedział co nieco o krasnoludach. Gotrek zamilkł, nie licząc wymruczanych od czasu do czasu przekleństw.

Zanim Felix zdążył cokolwiek powiedzieć, w sferze rozległ się dziwaczny, wysoki dźwięk. To był odgłos, jaki mogły wydawać zachwycone dusze – spokojny, łagodny i wspaniały. Obiecywał wszystko, czego można było sobie zażyczyć. Pokój, jeśli miało się dość zmagania, szczęście, jeśli nużyła cię melancholia. Nawet bezbrzeżna radość wydawała się możliwa teraz i na zawsze.

Na początku wydawało się niedorzeczne, że te twarze potrafią śpiewać taką pieśń, ale potem Felix zrozumiał, że to było tylko subtelne zaklęcie, użyte przez demony by spróbować ich omamić. To była żalosna sztuczka, oczywisty wabik i równie łatwo było ją przejrzeć na wylot jak ignorować. A potem Felix przyjrzał się dokładniej i zauważył, że twarze zmieniły się. Teraz wydawały się przyjaźniejsze i uśmiechały do niego, jak mógłby uśmiechać się ktoś ukochany, kto właśnie wrócił po długiej nieobecności.

– Jeszcze nie mogą przebić się przez moją tarczę, o ile twój towarzysz nie pomoże im tym toporem – powiedział Teclis. – Ale to tylko kwestia czasu. Módl się do swoich człowieczych bogów, żebyśmy zdołali uciec, zanim tego dokonają. W tym miejscu nikt z nas nie znajdzie w sobie dość siły, by opierać im się dość długo.

Felix zastanawiał się, o co chodziło czarodziejowi. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że tamte istoty nie chciały wyrządzić im żadnej krzywdy. Były przyjazne, gościnne – wszystko, co stało się wcześniej, było tylko nieporozumieniem. One chciały podzielić się z nimi tajemnicą wiecznego szczęścia. Wystarczyło tylko zechcieć ich słuchać.

Felix w głębi duszy wiedział, że to nie była prawda. To były fałszywe obietnice demonów, ale w swej przestraszanej i zmęczonej części osobowości desperacko pragnął, by to co mówiły było prawdą, by na zawsze zakończyć te cierpienia i lęk. Zmówił modlitwę do Sigmara. W taki sposób najsprytniejsze demony działały na ludzi, kusząc ich w chwilach największej słabości, obiecując koniec ich znoju. Felix wiedział, że nie powinien chcieć im wierzyć, ale nie mógł nic na to poradzić. Co gorsze jednak, wiedział, że gdy jego pragnienie wzrasta, słabną chroniące go zaklęcia. Jego związek z demonami osłabiał bariery.

Dostrzegł kolejną twarz. Należała do stwora, który go dręczył. Teraz nie wyglądała na tak nikiemną. Sprawiała wrażenie zawstydzonej, przepraszającej. Wzywała go, by się zbliżył, aby stwór mógł go przeprosić. Na przekór sobie Felix poczuł, że musi odpowiedzieć.

Na zewnątrz sfery migwały mijane Ścieżki Pradawnych. Wszędzie wokół tłoczyły się demony, szykując się do chwili, gdy ustąpią zaklęcia ochronne.

Teclis wiedział, że pozostało już tylko kwestią czasu, zanim bariery znikną. Topór krasnoluda rozciął splot. Mając ku temu okazję elf mógł je spleść ponownie, ale w tej chwili mógł tylko utrzymywać rozdzarcie zwarte. Co gorsza, Felix Jaeger słabł. Nawiązał już połączenie z demonami w tamtym miejscu, gdy wpadł w ich łapy. Teclis wiedział, że jeśli mieli wyjść z tego z życiem, musi kiedyś przeprowadzić pewne egzorcyzmy oczyszczające, aby usunąć zamię z duszy człowieka i zerwać wszelkie pozostałe więzy ze stworami piekieł. Jeśli przeżyją... Teraz musiał znaleźć sposób, by to im się udało.

Rzucił okiem na krasnoluda i nie znalazł w nim śladu słabości. Ród krasnoludów wydawał się jeszcze bardziej odporny na urok Chaosu niż elfy – już w chwili stworzenia otrzymali ten upór. A nawet gdyby tak nie było, broń, którą nosił Gotrek Gurnisson uchroniłaby go przed tymi podstępami. Niewątpliwie kilka pierwszych stworów, jakie przebiłyby się przez magiczne bariery zginęłyby śmiercią ostateczną, ale Teclis nie wyobrażał sobie, by potem nawet potężny krasnolud zdołał przetrwać w tym miejscu.

Z frustracją wyczuwał, że zbliżali się do źródła zakłóceń, które śledził. Z każdym uderzeniem serca byli coraz bliżej wielkich impulsów mocy, która groziła zniszczeniem tej starożytnej sieci. Był pewien, że gdyby tylko mieli czas, udałoby mu się znaleźć źródło zakłóceń i zneutralizować je. W sensie odległości wewnątrz ścieżek nie byli już daleko. Niestety, pozostawało kilka zaledwie chwil zanim jego bariery zostaną rozbite i wszyscy wpadną do strumienia magii, by walczyć z demonami tak długo jak się da.

Gdy te myśli przebiegły przez jego głowę, zauważył w pobliżu wir mocy. To była ścieżka prowadząca do wyjścia – tego był pewien. Mając kilka sekund dotarliby do niej i powrócili do świata ludzi, elfów i krasnoludów. Syreni śpiew nabrał siły, a pazurzasta dłoń sięgnęła w głąb ochronnej sfery. Wszędzie wokół wyczuwał obecność demonów. Nie było innego wyjścia – jeśli mieli uciec, musieli zrobić to teraz i zmierzyć się z konsekwencjami tej decyzji później.

– Szykujcie się do walki – powiedział i wysłał ich na złamanie karku w stronę portalu.

Felix usłyszał elfa i przygotował się. Nie miał pojęcia, co się zaraz miało stać, ale domyślał się, że to nie będzie dobre. Prawie żałował, że elf wyrwał go z jego rozmarzenia, ponieważ czuł, że zbliżył się do zrozumienia mieszkańców tego dziwnego i cudownego miejsca bardziej niż jakikolwiek człowiek przed nim. Wiedział, że gdyby tylko mógł porozumieć się z tą dziwną inteligencją, mógłby osiągnąć wspaniałe rzeczy, znacznie wykraczające poza marzenia normalnych śmiertelników.

Wszystkie te myśli pierzchły, gdy poczuł nagłe, straszliwe przyspieszenie. Oderwali się od ścigających ich istot i popędzili w stronę wiru światła. Chwilę później przelatywali przez coś, co

wydawało się zwykłą atmosferą i wylądowali na twardej skale. Felix poczuł, że siła uderzenia wyrywa mu całe powietrze z płuc. Przetoczył się po ziemi usiłując wytracić prędkość. Domyślał się, że zdobył kilka nowych zadrapań.

Szybko poderwał się na nogi. Ponownie znajdowali się w długim kamiennym korytarzu, jak ten, do którego weszli z Gotrekiem zanim porwał ich wir obcej energii. Za nimi widoczny był świetlisty łuk, podobny do tego, który widzieli wcześniej, chociaż ten znaczyły inne runy. Gotrek był już na nogach, szybki jak kot, odwrócił się w stronę portalu. Elf w jakiś sposób unosił się w powietrzu na wysokości ramienia człowieka, otoczony dziwną, tajemniczą poświatą. Wokół jego różdżki pełgały wylądowania błyskawic, a klejnoty osadzone w opaskach wokół ramion i na wysokim hełmie emanowały osobliwym światłem. Jego twarz była równie *gmina*, jak Gotreka. Obaj wyglądali na gotowych do walki.

Felix zaczerpnął głęboko powietrza, ciesząc się z jego naturalnego zapachu, chociaż było wilgotne i niesło woń pleśni. Czymkolwiek oddychali na ścieżkach, było to o wiele bardziej rozrzedzone. Felix czuł lekkie zawroty głowy, ale trzymał się prosto i czekał na pojawienie się tego, co spodziewali się zobaczyć jego towarzysze.

I nie musiał czekać długo. Po kilku chwilach w blasku portalu pojawiły się demoniczne postacie, humanoidalne, ale skrzydlate, z kłami i z pazurami. Wypląły z przejścia niczym pływacy wynurzający się z wody. Felix nie ucieszył się na ich widok. Niektóre z postaci miały kobiece sylwetki, ale z ogolonymi głowami i wielkimi szczypcami jak u krabów. Wydzielały dziwny zapach. Obok nich pojawiły się psy o długich, chwytliwych jęzorach i łagodnych oczach saren, w których tliła się iskra złowrogiej kpiny. Felix widział już takie istoty podczas Oblężenia Praag. Fakt, że potrafił rozpoznać te stworzenia był wielce poruszający.

Ich przywódca był humanoidem o nietoperzowych skrzydłach przypominającym stwora, który torturował Felixa, ale ten wydawał się zarazem piękniejszy i bardziej przerażający. Za nim Felix dostrzegał więcej stworzeń przepychających się naprzód. Runy wokół portalu lśniły, a rdzawe wylądowania przeskakiwały po powierzchni wypełnionej światłem. Demony i ich ogary wyły, ale zbliżały się nadal. Było oczywiste, że uaktywniły jakieś pradawne zabezpieczenie przeciwko ich rodzajowi, ale cokolwiek to było, teraz wydawało się zbyt osłabione, by powstrzymać ich na długo.

Gotrek zaśmiał się i rzucił naprzód. Wielki topór rąbał demony rozrywając je na strzępy. Znikały w deszczu iskier i kłębach mdlącego, słodkiego odoru. Nie pozostały żadne zwłoki. Felix widział, że niektóre iskry usiłowały wrócić przez łuk, ale czerwone wylądowania zatrzymywały je i gasiły.

Nie bacząc na los swoich kamratów, coraz więcej demonów i ich bestii o długich pyskach parło przed siebie. Samą masą ciał odepchnęli Zabójcę od portalu. Gotrek nie przestawał ciąć i rąbać, niszcząc nadchodzących. Kilka demonów postanowiło poszukać łatwiejszego łupu i prześlizgnęło się bokami, mijając Zabójcę i idąc w stronę Felixa oraz elfa.

Felix stanął naprzeciw pierwszej demonicy. Wymierzyła ramieniem w jego głowę. Wielkie szczypce jak u homara wyglądały jakby były w stanie przełamać jego kark niczym gałązkę. Felix uchylił się pod nimi wykonując pchnięcie w górę i trafił napastniczkę w gardło. Zniknęła w chmurze iskier zostawiając po sobie tylko tę osobliwą, piżmową woń.

Felix walczył już z tymi stworzeniami i wtedy wydawały się znacznie trudniejsze do zabicia. Wątpił, by on stał się silniejszy, zatem mógł tylko domyślać się, że magia tego miejsca w jakiś sposób je osłabiała i zmniejszała ich wytrzymałość. Zdawało się, że o ile on i jego towarzysze mieli problemy na czarnoksiężskich sieciach ścieżek, o tyle tutaj przewaga była po ich stronie.

Skrzydlaty stwór, który go torturował przemknął ponad głową Zabójcy w stronę Teclisa. Uderzył

w otaczający elfa blask i odbił się od niego wrzeszcząc. Opanowany wściekłością i żądzą zemsty Felix skoczył naprzód wbijając miecz w pachwinę stwora, a potem obrócił ostrze. Także ten potwór zniknął, a jego esencja na próżno usiłowała powrócić do miejsca za portalem.

Felix uśmiechnął się ponuro i ruszył pomóc Gotrekowi, chociaż nie wydawało się, by Zabójca potrzebował jego pomocy. Już wyrąbał sobie drogę wśród napierających na niego demonów. Natarcie z drugiej strony osłabło i w tej chwili elf zaczął wyśpiewywać zaklęcie. Natychmiast, pozostałe stwory zostały wessane z powrotem do otchłani, rozpadając się w zetknięciu z czerwoną siecią światła pradawnych, jakby poszatkowały je cieniutkie, niewidzialne druty. Felix widział jak rudawe światło wydawało się gęstnieć i skupiać przybierając najpierw formę przezroczystej błony, a potem twardej, nieprzejrzystej pokrywy na portalu. Potrząsnął głową nie do końca rozumiejąc, co się dzieje.

– Zdaje się, że to wtargnięcie uruchomiło jakieś starożytne zabezpieczenia – powiedział elf. – Niestety, to uniemożliwi także nam ponowne użycie tego portalu przez jakiś czas, chociaż wątpię, by używanie go było dobrym pomysłem. Z pewnością tam czekają demony mając nadzieję, że jesteśmy na tyle głupi, by przedrzeć się do środka i pozwolić im na dopełnienie zemsty.

Gotrek głośno syknął przez zęby, ale nie odezwał się. Obecność elfa była dla niego męcząca. Wyglądał jakby marzył tylko o tym, żeby unieść topór i zacząć rąbać. Felix cieszył się, że krasnoludowi udawało się powstrzymać. Było jasne, że mieli honorowy dług wdzięczności wobec czarodzieja.

– Gdzie jesteśmy? Co to za miejsce? Jak się stąd wydostaniemy? – pytał.

– Jesteśmy wewnątrz artefaktu Pradawnych, a to nie czas, ani miejsce, by o tym dyskutować. A jeśli chodzi o to, jak stąd wyjdziemy – podążajcie za mną. Jeśli mogę prosić, panie krasnoludzie – dodał elf z przesadną uprzejmością. Palce Gotreka zacisnęły się na rękojeści jego topora. Felix zauważył jak pobiełały mu kłykcie. Rozsądny człowiek w tym momencie rzuciłby się do ucieczki, ale elf wydawał się niepomny wszystkiego. Felix zastanawiał się, czy jego nerwy wytrzymałyby napięcie tej chwili.

Ruszył za elfem i zaczął myśleć o jego słowach. Pradawni byli legendą, rasą boskich istot, które zniknęły ze świata dawno temu. Niektórzy uczeni twierdzili, że byli to ojcowie obecnych bogów wygnani przez swoje zbuntowane dzieci. Inni pisali, że sprowadzili na siebie jakąś kosmiczną zagładę i uciekli. Większość tomów nie mówiła o nich w ogóle nic. W najstarszych tekstach można było znaleźć tylko najbardziej niejasne wskazówki na ich temat.

Mimo to, elf wydawał się pewny tego co powiedział, a któż mógł to wiedzieć lepiej od niego? Felix zaczął zwracać większą uwagę na ich otoczenie, szukając śladów istot, które stworzyły te rzeczy. Kamienie wyglądały na obrobione z grubsza, ale znaczyły je glify dziwnych, gadzich wzorów. Felix nie był pewien, skąd to wrażenie, ale nie mógł mu się oprzeć. Może to były tylko ozdoby, a może symbole ochronne? Skąd mógł to wiedzieć? Max Schreiber zapewne miałby na ten temat teorię. Dlaczego nigdy nie było go w pobliżu, gdy był potrzebny?

Nagle, uderzyła go pewna myśl. Te korytarze stanowiły najwyraźniej połączenie między światem rzeczywistym i dziwnym światem za portalem.

– To przedsionek – stwierdził na głos.

– Słuszny domysł, Felixie Jaegerze – powiedział elf. – Tak. Bez wątpienia to miejsce stanowi pomost między naszym światem a miejscem, przez które biegną te ścieżki. Nie jest ani tu, ani tam. Tkwi pomiędzy dwoma światami.

– A to znaczyłoby, że na drugim końcu tego korytarza znajdziemy wyjście do naszego świata – domyślał się Felix.

- Mam taką najszczerzą nadzieję – rzekł Teclis. – Inaczej może okazać się, że utkniemy tutaj na zawsze.
- Pogrzebany na wieczność z elfem – mruknął Gotrek. – Istotnie, to jest przedsionek piekła.

Rozdział 11

Chociaż ze wszelkich sił próbował to ukryć, Teclisa ogarniała desperacja. Droga powrotna na Ścieżki Pradawnych została praktycznie odcięta w tym miejscu. Nawet gdyby zdołał przebić się przez zaklęcia ochronne starożytnych, bez wątpienia po drugiej stronie nadal czekałyby demony. Były nieśmiertelne, złe i nie musiały liczyć się z czasem. Nie mógł ryzykować licząc na to, że odeszły.

W głębi duszy przeklinał swoją decyzję, by ratować człowieka i krasnoluda. To kosztowało go wiele cennego czasu i energii podczas jego misji, a cóż dostał za swój wysiłek? Niewdzięcznego, gburowatego i żalostnego Zabójcę, oraz człowieka, który wydawał się być na krawędzi szaleństwa, albo już ustępował przed naporem Chaosu. Teclis wiedział, że później musi sprawdzić możliwość opętania przez demony. Z pewnością, gdy tylko wydostaną się ze ścieżek, należało przeprowadzić egzorcyzm.

Zrównał oddech z tempem kroków i wykonał uspokajające ćwiczenia umysłowe, które poznał jako uczeń. Co się stało, to nie odstanie. Nie było sensu tego żałować. Poza tym nie wierzył, by krasnolud i ten topór znaleźli się na jego drodze przez zwykły przypadek. Czuł w tym rękę bogów. Pytanie brzmiało – których bogów? O ile mógł stwierdzić, nie były to moce Chaosu, nie przy tej broni. Może Bogowie Przodkowie krasnoludów, a może jego własnego ludu. Spotkanie powiernika tego topora oraz najpotężniejszego elfiego czarodzieja tych czasów, właściciela różdżki Lileath i bitewnej korony z Saphery musiało mieć większe znaczenie.

Spokój powrócił. Teclis rozejrzał się po otoczeniu. Kamienie wydawały się mniej zniszczone i zepsute Chaosem niż te w Ulthuanie. Zadał pytanie, które dręczyło go od pewnego czasu.

– W jaki sposób znaleźliście się na Ścieżkach Pradawnych?

– To był przypadek – powiedział Felix Jaeger. – Ścigaliśmy czarnoksiężnika Chaosu i jego sługi, gdy pojawił się wielki demon i...

Teclis zaśmiał się cicho. Człowiek relacjonował to całkiem rzeczowo, chociaż mówił o rzeczach, które przeraziłyby wielu starych elfów.

– Coś cię bawi, elfie? – spytał krasnolud. Teclis potrząsnął głową.

– Twoje opanowanie w obliczu takich rzeczy wydaje mi się... odświeżające.

– W tamtej chwili nie byłem zbyt opanowany – odpowiedział mężczyzna. – Ale wszystko wydarzyło się tak szybko, gdy weszliśmy do przedsionka...

Niewątpliwie to była komora podobna do tej w Ulthuanie. Czarnoksiężnik Chaosu musiał ją otworzyć. To znaczyło, że zwierzoludzie, których widział nie zawędrowali na ścieżki przypadkiem. Zdawało się, że wyznawcy ciemności rzeczywiście zdobyli dostęp do Ścieżek Pradawnych. Musieli z nich korzystać, by poruszać się szybko między różnymi miejscami. Pytanie brzmiało, czy byli świadomi konsekwencji tego, co robili? Ale czy miało to jakieś znaczenie? Słudzy Czterech Potęg Zniszczenia byli na tyle szaleni, by nadal używać ścieżek, bez względu na to, że mogło to oznaczać zagładę Ulthuanu, a być może szczególnie dlatego, że miało to doprowadzić do zatopienia wyspiarskiego kontynentu.

– Dziwna sprawa, ale wydaje mi się, że widziałem już wcześniej tego czarnoksiężnika – powiedział Felix Jaeger.

– Tak?

– W Praag, podczas oblężenia. To był jeden z tych, którzy wezwali demony, ale robił także gorsze rzeczy.

– Gorsze rzeczy?

– Max Schreiber twierdził, że czarnoksiężnicy Chaosu czerpali moc mrocznej magii z Północy.

– Max Schreiber? Kto to taki?

– Nasz znajomy czarodziej.

– Wiedział o czym mówi. Jeśli demony zostały wezwane pod Praag, coś musiało zwiększyć poziom otaczającej je energii magicznej, aby mogły się objawić.

– Max powiedział coś podobnego. Wie więcej o takich rzeczach niż ja.

– Wiele czarodziejów nie wie tego co ty, Felixie Jaegerze.

– I dużo mi z tego przyszło.

Teclis zastanowił się nad tym. Ci osobnicy byli w Praag, podobnie jak czarodziej, którego ścigali. Przypomniał sobie o Praag i jego pradawnej, ukrytej tajemnicy, oraz o tym, że siły Chaosu atakowały to miejsce wciąż na nowo, a władcy Kislewa stale je odbudowywali. Człowiek niepomny ponurych myśli elfa mówił dalej opowiadając o ich przygodach w międzywymiarowym labiryncie. Teclis kiwał głową potakując, aż zbliżyli się do czegoś, co mogło być wyjściem.

Teclis zatrzymał się przed kamiennym łukiem i przyjrzał się runom, a następnie wypowiedział zaklęcie otwarcia. Wyszli do miejsca, które wydawało się kolejnym kamiennym korytarzem biegnącym w górę i ruszyli naprzód w milczeniu w stronę światła. Przed nimi wyrosło kolejne zapieczętowane przejście. Elf otworzył je zaklęciem. Chwilę później w jego twarz uderzył powiew zimnego, wilgotnego powietrza i zacinającego deszczu. Wyszedł przez portal prosto w kałużę i rozejrzał się krzywiąc usta z niesmaku.

Wiatr wciskał pukle włosów w oczy i Teclis odgarnął je z czoła. W oddali wyczuwał zapach bagna. Niebo nad nimi było ołowiane i pełne chmur. Wszędzie wokół wyrastały ciemne, ponure drzewa. Gdzieś w oddali zahuczał grzmot, a przez niebo przemknął jasny błysk pioruna. Wiatry magii wiały w tym miejscu w dziwny sposób. Ich energia przepływała gwałtownymi prądami po niebie. Musiał być ostrożny podczas rzucania zaklęć. A jednak, to pozwoliło stwierdzić, gdzie się znaleźli.

– Tak jak się spodziewałem – powiedział. – Jesteśmy w Albionie.

Felix jęknął słysząc słowa elfa.

– To niemożliwe – powiedział.

– Właśnie przebyłeś Ścieżki Pradawnych, walczyłeś z demonami i byłeś świadkiem powstania bąbla rzeczywistości, a teraz mówisz mi, że to jest niemożliwe? – odparł ironicznie Teclis.

– Ale Albion leży tysiące mil na północ od Starego Świata. To łąd oparów, olbrzymów i mgły... – Felix rozejrzał się wokół. To miejsce z pewnością wyglądało na wystarczająco zimne i wilgotne, by mogło być Albionem.

– Albion leży najwyżej setkę mil na północ od twojego kraju, Felixie Jaegerze – rzekł Teclis. – Okręty elfów mijają jego wybrzeża przez cały czas.

– Okręty elfów! – słowa wydarły się z ust Gotreka. Zupełnie jakby powiedział coś obscenicznego. Biorąc pod uwagę co Zabójca myślał o elfach i statkach, Felix nie dziwił się temu. Nadal zdumiewało go, że Zabójca nie wbił swojego topora w czaszkę czarodzieja.

– Ale Albion... – powiedział.

Nagle zdał sobie sprawę, jak daleko znalazł się od domu. Nawet jeśli to co powiedział elf było prawdą, Felix i Gotrek przebywali w Sylvanii – dziesiątki, jeśli nie setki mil od wybrzeża. W czasie, który wydawał się nie przekraczać jednego dnia przemierzyli wielką połąć kontynentu i pokonali morze. To była oszałamiająca magia. Rozejrzał się ponownie szukając potworów czających się w lesie. Nic nie wychodziło spośród drzew, ale to mogło zmienić się w każdej chwili.

Felix potrząsnął głową i naciągnął kaptur płaszcza, chroniąc się przed deszczem. Z poczuciem winy zrozumiał, że nie ma pojęcia, co stało się ze Snorrim lub Maxem, a nawet czy w ogóle jeszcze żyją. Teraz mogły minąć miesiące zanim dowie się tego, o ile w ogóle znajdą drogę powrotną do

domu. Felix nie był zachwycony myślą o ponownym wejściu na Ścieżki Pradawnych. Jeden raz wystarczył mu na całe życie.

– Jak wrócimy do domu? – spytał.

Portal był już zamknięty. Przez krótką, bardzo krótką chwilę chciał poprosić elfa, by otworzył przejście, aby mogli przez nie wrócić, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Wolałby raczej przepłynąć całą drogę do domu, gdyby miało do tego dojść.

– Musimy najpierw zająć się innymi sprawami – powiedział elf.

– My musimy? – spytał Felix. Czuł wdzięczność wobec elfa, ale nie był pewien, czy podoba mu się założenie, że automatycznie musi spełniać jego życzenia. Jeszcze mniej podobała mu się myśl, że czarodziej zasugeruje coś podobnego Gotrekowi. Krasnoludy były dumną rasą i drażliwą jak zubożały szlachcic pogrążony w długach. Ku jego zaskoczeniu, Zabójca nic nie powiedział. Wzruszył tylko ramionami i spytał:

– Co chcesz, żebyśmy zrobili? Zamierzam jak najszybciej spłacić swój dług.

– Wyjaśnienie tego zabierze trochę czasu – odparł elf. – A najpierw musimy oddalić się od tego miejsca. Kto wie, co może wyleźć przez ten portal?

– Nie dbam o to – powiedział Gotreka.

– Ja jednak tak. Trudno wyjaśnić takie rzeczy jak Ścieżki Pradawnych, gdy próbuje się powstrzymać natarcie demonów. Nie sądzę, by zdołały się stamtąd wydostać, ale wolę nie podejmować tego ryzyka.

– Przyznaję ci rację – powiedział Felix, który był jeszcze mniej chętny od elfa, by zmierzyć się z jakimikolwiek potworami, jakie mogły się zmaterializować. – Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć jakieś schronienie. Możesz nam wszystko wyjaśnić po drodze.

Ruszyli w dół wzgórza oddalając się od kamiennego kręgu. Deszcz wzmógł się. Błyskawica zabłysła znacznie bliżej. Grzmot zahuczał głośnie.

Teclis z zaskoczeniem stwierdził, że jego dwaj towarzysze szybko zrozumieli wyjaśnienia wydarzeń w Ulthuanie. Cokolwiek o nich powiedziec, Felix Jaeger i Gotrek Gurnisson nie byli głupi. Słuchali i przyjmowali to co mówił.

– Powiadasz, że jeśli niczego nie zrobimy, Ulthuan przepadnie pod falami? – spytał krasnolud. – Nie widzę żadnego problemu.

– Mogłem się spodziewać, że krasnolud powie coś takiego – odparł Teclis z niespodziewanym rozdrażnieniem. Opryskliwość krasnoluda działała mu na nerwy, a elf nie przywykł do powstrzymywania się wobec kogokolwiek.

– Cały lud elfów zostanie zniszczony – powiedział Felix Jaeger.

– Nie cały, ale większość – odparł Teclis.

– Nadal nie widzę problemu.

– Wobec tego, może zdołam to wyjaśnić – powiedział Teclis usiłując ukryć pogardę w głosie, nie do końca z powodzeniem. – Cóż wiesz o Pradawnych?

– Są legendą – odparł Gotrek Gurnisson. – To rasa bogów starczych od bogów. Niektórzy mówią, że oni stworzyli ten świat. Inni, że nigdy nie istnieli.

– Oni istnieli.

– Skoro tak twierdzisz, elfie.

– Badałem Księgę Ishy w Bibliotece Królów Feniksów. Została napisana w czasach przed Aenarionem. To zapis złotego wieku, gdy elfy i krasnoludy żyły w pokoju, a Pradawni nadal doglądali świata. Czytałem Księgę Valay i i...

– Co takiego? – parsknął krasnolud.

- Czytałem Księgę Valayii.
- Elf czytał jedną ze świętych ksiąg...
- Kopia tej księgi znajduje się w Bibliotece w Hoeth.
- Świat się zmienił. Teraz tylko Kapłanka Valayii zagląda do tych okutych żelazem tomów.

Kolejna myśl uderzyła Zabójcę.

- Czytałeś księgę spisana Wysokim Językiem krasnoludów?

– Elfy i krasnoludy nie zawsze byli wrogami, Gotreku Gurnissonie. W minionych czasach spisywane były słowniki i podręczniki gramatyki. Stary Krasnoludzki nie jest obecnie językiem zbyt często studiowanym przez elfy, ale mnie interesują takie rzeczy...

Krasnolud gapił się na Teclis, ale nic już nie powiedział. Wydawał się być na krawędzi wybuchu.

– Obie księgi twierdzą to samo. Pradawni władali potęgami pod wieloma względami przekraczającymi nawet moce naszych bogów. Nie tylko zmienili klimat naszego świata – uczynili to przesuując jego pozycję w przestrzeni. Zmienili pory roku i sami ukształtowali kontynenty.

Wzniesli Ulthuan z dna morskiego i uczynili go domem dla elfów.

- Oszczędź mi wykładów z elfiej mitologii – parsknął krasnolud.

– To nie są mity, to prawda. Oni użyli magii, która wręcz wymyka się wyobraźni, aby umieścić kontynenty na swoim miejscu i utrzymać Ulthuan ponad falami. Rozciągnęli sieć magii między biegunami tworząc siatkę sił, która otacza planetę. Ścieżki Pradawnych są jej częścią.

– Dlaczego? – zapytał człowiek. Najwyraźniej uwierzył w *to* bez trudu, ale przejawiał typowo ludzką ciekawość.

– Nie wiem. Któż odgadnie, czym kierowały się takie istoty? Nie ja! – Teclis zastanawiał się, czy powinien podzielić się z nimi swoimi podejrzeniami. Wszystkie wydarzenia kilku ostatnich godzin wydawały się potwierdzać jego teorie. Postanowił, że lepiej będzie mieć tych dwóch po swojej stronie. Tutaj byli jego jedynymi sprzymierzeńcami, potencjalnie bardzo znaczącymi.

– Możliwe, że cały projekt, przesunięcie planety, wzniesienie kontynentów, wyniesienie obu naszych ludów z ciemnoty barbarzyństwa było niczym więcej, jak tylko drobną częścią jakiegoś wielkiego kosmicznego planu, ale jaki był jego cel, tego nie wiem.

– Wiem jednak, że gdy Pradawni odeszli z naszego świata, przybył Chaos. Oba te wydarzenia są powiązane, tego jestem pewien. Pradawni wybudowali cały ten system tak, by łączył się z potężnym portalem na biegunie północnym, z bramą o rozmiarach i skali, przy której portale, przez które przebyliśmy wydają się dziecięcymi zabawkami. Podejrzewam, że Pradawni mogli go używać, aby przemieszczać się do innego świata, niewyobrażalnie odległego. Może byli jak żeglarze, którzy rozbili się tutaj, a to co zbudowali było boją sygnałową, albo szalupą ratunkową.

– Jakikolwiek był ich cel, odchodząc przeprowadzili jakiś potężny rytuał, który przynajmniej w części nie powiódł się. Stało się coś złego z portalem. Otworzył przejście do innego miejsca. Mroczne potęgi Chaosu wykorzystały to, by wejść do naszego świata i prawie udało im się go opanować. Do dzisiejszego dnia przejście pozostaje na północy przez większość czasu uspione, ale czasami wybucha jak wulkan.

– Bóg Grimnir wyruszył na północ, aby znaleźć przejście i spróbować je zamknąć. Tak napisane jest w Księdze Kamienia i Bólu, w czasach, gdy z nieba spadł deszcz ognia, a świat zmienił się na zawsze – powiedział Gotrek. Zabrzmiało to tak, jakby słowa wydarły się z niego mimo woli.

– A zatem nasze mity zgadzają się co do pewnych rzeczy, Gotreku Gurnissonie, bowiem także napisane jest w Księdze Ishy.

- Nadal nie rozumiem, co to ma do rzeczy ze Ścieżkami Pradawnych.

– Wszystkie te sprawy są powiązane ze sobą. Zanim powiem ci więcej, muszę dostać wasze

słowo, że nikomu o tym nie powiecie.

Felix skinął głową. Gotrek zastanowił się, jakby myśląc, czy w tych słowach ukryta była jakaś pułapka, a potem powiedział:

– Masz moje słowo.

– Wieki temu, nikczemni magowie próbowali zniszczyć Ulthuan. Chcieli tego dokonać rozpraszając sieć energii, która utrzymuje wyspę nad powierzchnią morza. Próba nie powiodła się dzięki wysiłkowi wielu bohaterskich elfich magów, którzy oddali swe życie, aby do tego nie dopuścić. Ustabilizowali system i ponownie utkali (wielką sieć, najlepiej jak potrafili. Odkryli jednak, że dzieło Pradawnych było bardziej uszkodzone, niż to sobie wyobrażali. Chaos używał Ścieżek Pradawnych jako środka umożliwiającego inwazję na nasz świat oraz jako źródła zepsucia. Miejsca, w których dotknął ziemi stały się miejscami splugawionymi. Moi przodkowie potrzebowali mocy zawartej na ścieżkach, aby ustabilizować Ulthuan. Podejrzewam, że uczynili to czerpiąc energię ze ścieżek.

– A teraz ktoś znowu otworzył te ścieżki – domyślił się człowiek.

– Magiczna energia potrzeba do utrzymania mojej ojczyzny rozprasza się i jeśli coś nie zostanie wkrótce zrobione, mój kraj zostanie zniszczony.

Gotrek Gurnisson zaklął. Odwrócił się do drzewa i uniósł topór. Rozległ się okropny trzask, gdy ściał je jednym ciosem. Wióry posypały się dookoła. Drzewo zaczęło się przewracać. Teclis sapnął – to był najbardziej niesamowity pokaz siły, jaki widział. Dąb miał obwód niemal taki jak jego ciało, a drewno było twarde. Gałęzie drzewa wywołały straszny hałas, gdy walące się drzewo uderzało o inne. Przez las przetoczył się łomot, jakby przedzierał się przez niego mastodont.

– Nienawidzę drzew prawie tak bardzo jak elfów – powiedział Gotrek Gurnisson.

– Co w ciebie wstąpiło, krasnoludzie? – zapytał Teclis.

– Właśnie dałeś mi możliwość pomszczenia Brody – odparł Zabójca.

– Co takiego? – spytał Felix.

– To stara opowieść – powiedział Teclis – i lepiej nie zagłębiać się w nią. Elfi król w haniebny sposób obraził krasnoludzkiego wysłannika. Dość powiedzieć, że na skutek tego czynu, elfy i krasnoludy stoczyły ze sobą najkrwawszą wojnę w historii. To obraza, jaką krasnoludy do dziś dzień pragną pomścić.

– Chcesz powiedzieć, że dopuściłbyś do zagłady całego zamieszkanego kontynentu, aby pomścić brodę? – Felix Jaeger zapytał krasnoluda. Nie mógł w to uwierzyć.

– Zamieszkanego przez elfy – odpowiedział krasnolud chrapliwym głosem. – I nie tylko po to, by pomścić ostrzyżenie brody, ale by zapłacić za liczne występki na koncie elfów, spisane w Wielkiej Księdze Uraz.

– No cóż, w takim razie to co innego – powiedział Felix Jaeger z ironią.

Teclis był zadowolony widząc, że człowiek jest po jego stronie, ponieważ przyszło mu na myśl, że najprostszy sposób w jaki Gotrek Gurnisson mógł zapewnić zagładę Ultimami, to użyć topora i ściać głowę Teclisowi. Po tym nikt już nie będzie w stanie na czas powstrzymać nadciągającej katastrofy. Teclis pomyślał, że może nadszedł czas, by użył swoich najbardziej zabójczych zaklęć. Lepiej było zabić krasnoluda, zanim krasnolud zabije jego. A jednak, miał jeszcze jedną kartę w ręku.

– Przysięgłeś mi pomoc – powiedział.

– O ile nie będzie pozbawiona honoru – rzekł Gotrek Gurnisson. – A decyzję w tej sprawie pozostawięś mnie.

Teclis zaklął w duchu.

– Mówią, że krasnoludy będą targować się nad układami, gdy świat będzie płonął.

– Mówią, że słowa elfa są równie śliskie jak smar maszynowy.

– To głupie – odezwał się człowiek. – Wy dwaj stoicie i wyklóacie się, gdy stawką są żywota całego narodu.

– Więcej niż tylko jednego narodu – powiedział Teclis. – Jeśli to cokolwiek zmienia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Stare sieci podpierają nie tylko Ulthuan. Przebiegają przez inne miejsca – Góry Krańca Świata, na przykład.

– Nie wierzę ci – rzekł krasnolud.

– Czyż nie nastąpił czas, gdy góry zatrzęsły się i ucierpiało wiele krasnoludzkich miast? Czyż skaveny nie wychynęły, by zająć jedną z waszych twierdz?

– Karag Osiem Szczytów – powiedział człowiek.

– Skaveny eksperymentowały kiedyś z machinami, które czerpały moc z sieci energii. Nie wiem, czy robiły to świadomie, czy przypadkowo. Znając szcurołuzi domyślam się, że to drugie. W każdym razie urządzenia okazały się zbyt zabójcze nawet dla nich...

– O ile to nie oni stoją za naszymi obecnymi problemami – powiedział Felix.

– Skąd można wiedzieć, co robią skaveny? O ile nie sprzymierzysz się ze szczurami, co nie jest wykluczone w przypadku elfów.

– Zdziałaliśmy wyczuwając ich czarnoksiężstwo i wysłaliśmy oddział magów i wojowników, aby je zniszczył. Niewielu powróciło, by opowiedzieć nam o bitwie.

– Musiała być sławna, skoro jest tak dobrze znana – zakpił Cottele Gurnisson.

– Nie wszyscy wojownicy pragną chwały – odrzekł Teclis, czując, że jego cierpliwość wyczerpuje się. – A ich imiona nie przetrwały dłużej. Niektórzy dobrowolnie oddali swoje życie, by inni mogli żyć dalej nie prosząc o nagrodę.

– A ty byłbyś jednym z nich, prawda elfie?

Teclis uśmiechnął się paskudnie.

– Nie mam zamiaru ginąć, jeśli mogę temu zaradzić – powiedział.

– Rozsądna decyzja – usłyszał mruknięcie człowieka.

– Jesteś ze mną? A może pragniesz wrócić do swojego świata? Z pewnością nawet krasnolud nie znajdzie niczego urągającego honorowi w oddaleniu nieszczęścia, które może pochłonąć nawet górskie twierdze.

– Aye, jeśli to co mówisz jest prawdą.

– Jeśli cię okłamuję, zabij mnie – rzekł Teclis.

– To się rozumie samo przez się – odparł krasnolud.

– Co chcesz, żebyśmy uczynili? – spytał człowiek. Wyraźnie zmagając się sam z sobą. Ostrożność i instynkt samozachowawczy walczyły z pragnieniem niesienia pomocy.

– Cokolwiek czynię, dwóch tak wielkich wojowników może pomóc – powiedział Teclis. – Obawiam się, że istotnie będę potrzebował mieczy i toporów, zanim to wszystko się zakończy.

– Tak też myślałem – powiedział mężczyzna. – Chodziło mi o to, co chcesz, żebyśmy zrobili już teraz?

– Musimy znaleźć źródło problemów i wyeliminować je. Musimy odszukać Wyrocznię Prawdomówców, kimkolwiek ona jest. Jeśli nie możemy teraz... cóż, jesteśmy w Albionie, być może blisko naszego celu, bowiem pisma mówią, że tutaj właśnie w zamierzchłych czasach znajdowały się największe świątynie Pradawnych. Tu leży główny węzeł starożytnej sieci, wielki splot wszystkich ich magicznych energii. Musimy go znaleźć i tam znaleźć sposób, by zamknąć ścieżki.

– Jesteś czarodziejem – powiedział Felix Jaeger. – Wiesz więcej o tych sprawach niż my.

Prowadź nas do świątyni, my pomożemy ci tam dotrzeć. Potem, wszystko będzie zależało od ciebie.

Człowiek spojrział na krasnoluda jakby oczekując potwierdzenia z jego strony i był wyraźnie zaskoczony, gdy nie doczekał się tego.

– Bardzo dobrze – rzekł Teclis. – Ale najpierw musimy odpocząć. Trzeba także przeprowadzić pewne rytuały.

– Rytuały? – spytał Felix.

– Przede wszystkim musimy się upewnić, że demony nie opętają cię raz jeszcze.

– Według mnie to dobry pomysł. Jak o to zadbasz?

– Istnieją zaklęcia, które mogę rzucić, aby zabezpieczyć twoją duszę i ciało oraz przerwać wszelkie więzy jakie mogły pozostać.

– Więzy? Chcesz mi powiedzieć, że te stwory z tamtego dziwnego, innego świata mogą mnie znowu znaleźć?

– O ile czegoś nie zrobię, to niemal pewne. Przyjdą do ciebie w twoich snach... na początek.

Mężczyzna zamilkł. Wyglądał na pogrążonego w myślach i przestraszonego. Krasnolud wyglądał tylko na rozgniewanego, ale to wydawało się normalnym stanem rzeczy.

– Wobec tego lepiej rzuć swoje zaklęcia – powiedział człowiek.

– To będzie trochę bolało – odparł elf.

– Domyślałem się tego – powiedział Felix. – Miejmy to już za sobą.

* * *

Teclis poprowadził ich leśną ścieżką, mając nadzieję, że tamci dwaj ruszą za nim. Zdumiała go odwaga człowieka. Zniósł zaklęcia egzorcyzmu prawie nie narzekając na ból, a Teclis wiedział, jak bardzo mogą być bolesne. Proces pozostawił jednak swoje znamię. Palce człowieka stale szukały amuletu, który dał mu Teclis. Elf zastanawiał się nad słusznością takiej decyzji. Warto było rozstać się z jednym z własnych zabezpieczeń, aby zapewnić ochronę swojego towarzysza przed opętaniem. Był prawie pewien, że jego zaklęcia były udane, ale wobec dziwnego przepływu magii w Albionie, lepiej było nie ryzykować. Istniały też inne powody, by dać człowiekowi talizman. Jeśli krasnolud zwróci się przeciwko Teclisowi, dobrze będzie mieć sprzymierzeńca, dobrowolnego lub nie.

Nawet teraz wyczuwał, wściekłość kipiącą w krasnoludzie i niepokój człowieka o czekające na nich niebezpieczeństwa. Pomyślał, że Felix Jaeger miał prawo być zaniepokojony. Ktokolwiek lub cokolwiek zdołało otworzyć Ścieżki Pradawnych istotnie było potężnym przeciwnikiem.

Wydał z siebie długie westchnienie. Potrafił zmierzyć się z tym niebezpieczeństwem, gdyby miało do tego dojść. W tej chwili jego największą troską było to, czy krasnolud nie zdecyduje się wbić mu topora w plecy. Teclis pomyślał, że jego brat opanowałby tę sytuację znacznie lepiej.

Rozdział 12

Felix szczerzej owinał się w przemoknięty płaszcz i obserwował jak wydechane powietrze zamienia się w parę. Panowała tu zima, ale różniła się od zimy w Imperium. W Imperium śnieg zalegał grubą warstwą na ziemi. Tutaj ledwo padał z deszczem, chociaż deszcz był tak zimny, że Felix miał wrażenie jakby tysiąc lodowych noży wbijało się w skórę. Grunt ustępował pod stopami. Niebo miało barwę ołowiu. Przez podłoże przebijały się kamienie. Felix stwierdził, że wolałby już śnieg. Tutaj wydawało się, że niebiosa płaczą razem z ziemią.

Mimo tego jednak, otoczeniu nie można było odmówić pewnego piękna. Czasami, gdy docierali do prześwitu między drzewami, dostrzegał faliste, postrzępione wzgórza, z których spływały pośpieszne i swawolne strumienie. Od czasu do czasu wydawało mu się, że dostrzega jelenia, albo jakąś inną płową zwierzynę, biegnącą przez las. W pewnym momencie, w oddali zauważył wąską kolumnę dymu wznoszącego się ku niebu. Na początku nie był tego pewien, ponieważ kolumna stapiała się z niebem stając się prawie niewidoczna, ale po kilku następnych milach nużącego marszu, wiedział, że zbliżali się do zamieszkałej osady, do której przez cały czas prowadził ich elf. Felix zrozumiał, że oczy elfa były znacznie bystrzejsze.

Zastanawiał się nad opanowaniem elfa. Nie potrafiliby zachowywać takiego opanowania mając Gotreka pomrukującego za swoimi plecami. Elf jednak nie wydawał się troszczyć o to. Schodził spokojnie i uważnie ze stoku, nigdy nie gubiąc kroku, bez względu na to, jak śliskie było podłoże. Przy całym swoim słabowitym wyglądzie, wydawał się niestrudzony. Przyglądając mu się Felix zauważył inne rzeczy. Jego własne buty były uwalane w błocie, które ochlapało także jego płaszcz i spodnie. Buty Gotreka były brudne, a smugi czerwonej gliny znaczyły jego obnażone ramiona. A jednak Teclis był tak czysty jakby dopiero wyruszyli w podróż. Jego buty błyszczały. Niebieskie szaty migotały. Nawet koniec laski nie był ubrudzony w miejscu, w którym stykał się z ziemią.

Felix zastanawiał się, jak to było możliwe? Czy ubranie elfa zostało zaczarowane tak, by odrzucać brud, czy może było to działanie jakiegoś zaklęcia? Słuchając Maxa Schreibera Felix przekonał się, że czarodzieje zużywali nieco swojej osobistej siły i wytrzymałości za każdym razem, gdy korzystali z magii, co wyczerpywało ich tak, jak bieg w wyścigu zmęczyłby zwykłego człowieka. Z pewnością nawet czarodziej tak potężny jakim wydawał się elf nie marnowałby swojej siły tylko po to, aby zachować czystość? A może jednak? Teclis poruszał się z kocią zręcznością, która jak domyślał się Felix była typowa dla elfów. Nie tylko to – za każdym razem, gdy wiatr powiał od elfa, Felix wyczuwał woń delikatnych, piżmowych perfum, które mogły okrywać kobietę. Szlachcice z Imperium nosili zapachowe kule, aby odpędzać smród ulicy, ale Felix słyszał o niewielu z nich, którzy korzystali z perfum. Pomyślał, że jest to kolejna dziedzina, w której elfy różniły się od ludzi.

Nawet przy całym wymyślnym okryciu głowy i biżuterii oraz delikatnych szatach z jedwabiu, w elfie nie było nic zniewieściałego. Był po prostu odziany według innych standardów niż ludzie, to wszystko. Ludzcy szlachcice ubierali się jak pawie na pokaz, aby okazać swoją zamożność. Może tak samo było u elfów? Ten elf miał w sobie coś arystokratycznego. Otaczała go aura dumy i obojętności, która tak drażniła Felixa u szlachty, ale jakoś nie przeszkadzało to w przypadku elfa. Nie odnosił wrażenia, że elf zachowuje się w ten sposób, aby pokazać mu jego właściwie miejsce, jako synowi zarozumiałego kupca, który miesza się z wyższą klasą – to była naturalna aura Starszej Rasy.

Felixowi przyszła do głowy pewna myśl – czy było możliwe, że pozy ludzkiej arystokracji stanowiły odbicie zachowania starszej i bardziej kulturalnej rasy? Zresztą, i tak nigdy nie znajdzie się na takiej pozycji, by się tego dowiedzieć. Poza tym, w obecnej sytuacji to i tak nie miało większego znaczenia.

Ponownie spojrzął na wznoszącą się kolumnę dymu i poczuł dreszcz niejasnego niepokoju. Byli tu obcymi, a Felix słyszał plotki, że wszyscy mieszkańcy Albionu to kanibale. Może to były tylko bajdurzenia żeglarzy? Słyszał także inne opowieści mówiące o ofiarach z ludzi i dziwnych potworach na bagnach. Cały ład okryty był nieprzenikliwymi mgłami i otoczony pierścieniem ostrych skał, przez co żeglarze rzadko tu przybijali, nie licząc rozbitków. Jeszcze mniej wracało, by opowiedzieć o niebezpiecznych przygodach. A kto wiedział, czy można było ufać tym opowieściom? Żeglarze nie słynęli z prawdomówności opowiadając w tawernach o swoich podróżach.

Spoglądając wstecz, koszmarne wędrowka przez Ścieżki Pradawnych zaczynała wydawać się sennym wspomnieniem. Felix wątpił, by ludzki umysł potrafił w pełni przyjąć to, co tam zobaczył. Wszystko to wydawało się tak nierzeczywiste, szczególnie teraz, gdy szedł przemoczony aż nazbyt realnym deszczem Albionu. Odsunął od siebie te niewesołe myśli.

Albioni Czy naprawdę byli w Albionie? Teclis wydawał się tego pewien, a był kimś, kto mógł o tym wiedzieć. A jeśli chodzi o jego stwierdzenie, że demony potrafią wyczuć Felixa i mogą nawet go znaleźć? Jego doświadczenie dowodziło, że to jest jak najbardziej możliwe. Felix widział już wcześniej takie stworzenia w Praag, oraz w Karag Dum. Nie wątpił w ich złowrogość, ani w fakt, że mogły wziąć do siebie jego ucieczkę z ich szponów. Ofiarował modlitwę dla Sigmara za ocalenie jego duszy, ale biorąc pod uwagę jak skuteczne były jego modlitwy w przeszłości, nie spodziewał się teraz żadnej pomocy ze strony Młotodzierzcy. Jego dłoń jeszcze raz powędrowała do ochronnego amuletu, który dał mu elf wraz z przykazaniem, by nigdy go nie zdejmował, nawet przed snem. To była piękna rzecz wykonana przez elfy. Łańcuszek był zrobiony z jakiegoś srebrnego stopu, a sam amulet był dyskiem wykładanym kością słoniową i zdobionym rzeźbionymi elfimi runami, cały ze srebra. Felix miał nadzieję, że jest równie potężny jak piękny. Myśl o tym, że jego duszę mogły pożreć demony nie była przyjemna.

Ponownie zwrócił swoją uwagę na Gotreka. Zabójca był jeszcze bardziej ponury niż zwykle. Jego zdrowe oko utkwione było w plecach elfa, jakby myślał o użyciu swojego topora na próbę. Pamiętając z jaką łatwością Gotrek zrąbał tamto drzewa Felix był jeszcze bardziej zdumiony opanowaniem elfa. A jednak nie spodziewał się, by Gotrek zaatakował elfa, w każdym razie bez ostrzeżenia. Uderzenie nieuzbrojonego przeciwnika od tyłu nie było w stylu Zabójcy.

Felix zrównał się Zabójcą, ale Gotrek tylko spojrzął na niego i odwrócił wzrok. Felix wzruszył ramionami i ruszył naprzód, aby porozmawiać z elfem. Gotów był zrobić cokolwiek, by odwrócić swoją uwagę od tego nieustannego, lodowatego deszczu.

– Czy jesteś spokrewniony z Teclisem, którzy walczył obok Magnusa Pobożnego?

– Ja nim jestem.

Felix z najwyższym wysiłkiem zatrzymał swoją szczękę na miejscu. Co innego było spekulować o czymś takim, a całkiem co innego uzyskać potwierdzenie. Elf spojrzął na niego ze złośliwym rozbawieniem.

– Długie są żywota elfów – powiedział.

– Krótka jest cierpliwość krasnoludów – mruknął Gotrek na tyle głośno, żeby go usłyszeli.

Felix nie całkiem wiedział co powiedzieć. Co można rzec, gdy spotyka się postać, o której czytało się w książkach historycznych będąc dzieckiem, kogoś, kto żył pośród współczesnych prapra-pra-dziadka? Felix domyślał się, że jego dawni profesorowie chcieliby zadać mu wiele pytań, ale w tej chwili czuł pustkę w głowie.

– Więc, jak to było? – spytał.

– Desperacko, brudno, krwawo i okrutnie – odparł czarodziej. – Jak podczas większości bitew. Widziałem jak przedwcześnie umierają moi przyjaciele. Teraz jest niewielu elfów i strata każdego to

tragedia.

– Mam inne zdanie – mruknął Zabójca. Elf zignorował go ze zdumiewającym spokojem. Felix wiedział, że sam nie zdzierzyłby tego.

– Czy naprawdę walczyłeś z Wiedźmim Królem z Naggaroth?

– Jestem zaskoczony, że słyszałeś o takich sprawach – powiedział Teclis.

– Mój ojciec jest kupcem. Często załatwia interesy w Marienbergu. Do dzisiaj jest tam kolonia elfów. Czasami wydostają się jakieś wieści. Można usłyszeć jakąś opowieść.

– Domyślam się. Kupcy zawsze plotkują. Przypuszczam, że to należy do ich zawodu.

Felix zauważył coś nowego u elfa. Mówił z tym samym akcentem, jak jego dziadek, gdy Felix był bardzo małym dzieckiem. W tonie jego głosu brzmiała archaiczna nuta, która wskazywała na znaczny wiek mówiącego, z czym kłócił się młodzieńczy wygląd elfa. Nagle elf przypomniał mu Hrabinę, prastarą wampirzycę, którą spotkał w Sylvanii. Felix wzdrygnął się. Tym razem nie z powodu zimna.

– Czy coś się stało? – spytał grzecznie elf. – Czy moje słowa obraziły cię?

– Nie. Tylko przypomniały mi o kimś, kogo kiedyś spotkałem.

– Sądząc po wyrazie twojego oblicza, to nie było przyjemne wspomnienie.

Felix był zaskoczony, że elf okazał się tak spostrzegawczy mając przed sobą człowieka; z drugiej strony można było się spodziewać, że po kilku stuleciach spotykania się z ludźmi zdobył pewną wiedzę o nich. Ponownie jego myśli wróciły do wampirów, a dalej do Ulriki, a to także nie było przyjemne.

– To był wampir – wyrzucił z siebie Felix.

Gotrek parsknął krótkim śmiechem. Felix domyślał się, że krasnolud uznał to porównanie za aż nazbyt trafne.

– Spotkałeś jednego z przebudzonych? – zapytał Teclis. Felix dostrzegł jego zainteresowanie.

– Właściwie, kilku z nich.

– Twoja kariera wydaje się interesująca, Felixie Jaegerze. Stale jestem zaskakiwany jak wiele udaje się wam ludziom upchać do waszego krótkiego życia.

Felix rozumiał, że Teclis nie zamierzał go obrazić, ale zaczynał rozumieć czego krasnoludy tak bardzo nie cierpiały u elfów. Ponownie przemyślał swoją wcześniejszą opinię o manierach elfa. Mówił tonem pełnym wyższości, chociaż nie miał takiego zamiaru, co tylko pogarszało sprawę.

– Dostrzegam, że w jakiś sposób cię obraziłem – powiedział elf. Brzmienie głosu zdradzało, że w najmniejszym stopniu o to nie dbał. Może uczucia i opinie pomniejszych istot nie miały znaczenia dla potężnego czarodzieja żyjącego od wieków. Felix zmusił się do pustego uśmiechu. Pomyślał, że może się zrewanżować.

– Ależ nie. To ja być może obraziłem ciebie niechcący przyrównując się do jednego z nieumarłych. Jeśli tak było, przepraszam.

– Nie trzeba przepraszać, Felixie Jaegerze. Nie obraziłem się.

I całe szczęście – pomyślał Felix. Ostatnia rzecz, której potrzebował, to rozgniewać tego potężnego maga. Obecna sytuacja wydawała się wystarczająco niebezpieczna, bez dodatkowych komplikacji.

– Co myślisz o przebudzonych? – w głosie elfa brzmiała prawdziwa ciekawość. – Dlaczego tak bardzo przypominam ci jednego z nich?

– Niezupełnie chodzi o to, że mi ich przypominasz – powiedział Felix ostrożnie dobierając słowa. – Myślałem tylko, że będąc tak długowieczną istotą możesz mieć podobne podejście i znajomość ludzkiego umysłu.

– Nie. Przebudzeni gardzą twoim rodzajem uznając go za swój żer – powiedział Teclis. – Istnieje

kilka fascynujących traktatów pochodzących z okresu waszych Wampirzyc Hrabów, które wystarczająco jasno objaśniają ich punkt widzenia. Na przykład Rozważania o Śmiertelności, Nieśmiertelności i Niemoralności Manheima.

– Nigdy o tym nie słyszałem – powiedział Felix. Był zaskoczony. Uważał siebie za niezłe czytane, a jednak nigdy nie słyszał o tym autorze, ani o księdze.

– Autor był jednym z przebudzonych, sługą któregoś z von Carsteinów. Uważał siebie za kogoś w rodzaju filozofa. Jego książki były drukowane dla wybranych czytelników i rozprowadzane pośród jego rodzaju. Niektóre z nich wpadły w ręce Finreira po wojnach z Wampirzycami Hrabami. Sprowadził je ze sobą do Ulthuanu.

– Wszelkie pozostałe egzemplarze zostały zapewne spalone przez łowców czarownic? – domyślał się Felix.

– Nie wiem – odparł elf. – To jest dopiero ohydna zbrodnia.

– Ohydna zbrodnia? Nie wydaje mi się. Co może być ohydne w niszczeniu dzieła jednego z tych złych stworów?

– Niszczenie wiedzy nigdy nie jest dobre – powiedział Teclis. – A kto może powiedzieć, co jest dobre, a co złe? Manheim uważał że nie jest gorszy niż ludzki chłop. W istocie uważał siebie za mniej złego, bowiem on nie zabijał swojego bydła, lecz starał się jak najlepiej dbać o jego dobrobyt.

– Coś takiego mógłby powiedzieć tylko elf – stwierdził Gotrek.

– Manheim to powiedział, nie ja. On nie był elfem.

– Porównywanie ludzi do bydła to przyznawanie sobie prawa własności nad nimi – powiedział Felix. – Czy niewolenie ludzi jest właściwe?

– Elfy czyniły tak w przeszłości. Ludzie nadal tak czynią.

– Krasnoludy nigdy – rzucił Gotrek.

– Tak, tak – zgodził się Teclis. – Czy mamy przyjąć to za dowód wyższości moralnej waszej rasy nad wszystkimi pozostałymi? W ten sposób przyznamy rację samym krasnoludom.

– Elfy nadal trzymają niewolników. Ludzi, krasnoludy, elfy – powiedział Gotrek. – Łowcy niewolników nadal atakują wybrzeża.

– To prawda – powiedział Felix.

– Mroczne elfy – odparł Teclis.

– A są jakieś inne? – spytał Gotrek.

Teclis zatrzymał się na chwilę i odwrócił się do Zabójcy. Wydawał się na krawędzi utraty opanowania. Gotrek warknął wyczekująco.

– Są krasnoludy, które czczą Chaos. Czy to oznacza, że wszystkie krasnoludy są wyznawcami Chaosu?

Kłykie Gotreka zbieleły, gdy zacisnął dłonie na toporze. Wyciągnął rękę i przesunął kciuk wzdłuż ostrza. Pojawiła się kropla jasnej krwi. Felix wiedział, że musi coś zrobić zanim dojdzie do wybuchu przemocy.

– Z pewnością tylko wyznawcy Chaosu skorzystają na tym, gdy teraz skłócimy się między sobą. Mamy misję do wypełnienia, która jest ważniejsza od błahych utarczek.

– W takich oskarżeniach nie ma nic błahego, człeczyno – rzekł Gotrek. W jego głosie brzmiała bardzo ostra nuta.

– Wskazywałem tylko na lukę w twoim rozumowaniu, a nie wysuwałem oskarżenia – powiedział Teclis.

– I raz jeszcze potwierdza się stare porzekadło: elf wypaczy znaczenie swoich słów, aby uzyskać dowolny cel.

– Domyślam się, że jest to porzekadło krasnoludzkie. Mógłbym odpowiedzieć przysłowiem elfów...

Felix zastanawiał się, co wstąpiło w tych dwóch. Gotrek rzadko bywał racjonalny, ale nie był głupi. Z pewnością dostrzegał konieczność współpracy w tym miejscu. Teclis wydawał się bardzo inteligentną istotą, ale najwyraźniej w krasnoludzie było coś, co doprowadzało go do białej gorączki. To przypominało oglądanie kota i psa mierzących się wzrokiem. Prawdę mówiąc, Felix zaczął czuć, że sam traci cierpliwość.

– Koty i psy, elfy i krasnoludy, ludzie i Bretończycy – powiedział.

– Co takiego? – spytał Teclis. Gotrek tylko łypnął okiem.

– To stary żart – odparł Felix. – Z Imperium, skąd pochodzę. Pomyślałem, że skoro wszyscy obnażamy nasze uprzedzenia, równie dobrze mogę pokazać moje.

– Czy podróż przez to piekło uszkodziła ci rozum, człeczyno? – spytał Gotrek.

– Jestem pewien, że to znakomity przykład waszego ludzkiego humoru – powiedział Teclis. Ton jego głosu był o wiele zimniejszy od wiatru. Cudownie – pomyślał Felix. Udało mu się odwrócić ich uwagę, ściągając gniew na siebie. Widział, że to była skuteczna strategia, ale nie był pewien, czy pożyje dzięki niej zbyt długo.

Felix wzruszył ramionami. Przemoknięty płaszcz wisiał niewygodnie na ramionach. Felix miał ochotę porównać ich zachowanie do dzieci, ale był przekonany, że to nie będzie dobre dla jego zdrowia. Zamiast tego powiedział:

– Może powinniśmy skupić się na sprawach bieżących? Wydawało mi się, że chcesz ocalić swój lud, Teclisie z Ultimami. I sądziłem, że ty, Gotreku, przysiągłeś mi pomóc.

Krasnolud najeżył się przez chwilę i Felix zatrwożył się o swoje życie, ale potem jak gotowy do walki pies, który postanowił nie skakać do gardła, Gotrek cofnął się i opuścił topór.

– Do czego to doszło, żeby krasnoludowi o jego słowie musiał przypominać człowiek – powiedział.

Faktycznie powiedział to jakby był odrobinę zawstydzony. Felix ucieszył się, że Teclis znalazł w sobie dość rozsądku, by tego nie skomentować z satysfakcją. Właściwie sam elf wyglądał na trochę speszonego. Felix pomyślał, że być może uda mu się jednak to przetrwać. Zastanowił się nad gwałtowną naturą swoich towarzyszy oraz nad ich sytuacją i stwierdził, że nie jest to jednak nic pewnego.

Stanęli na wzniesieni spoglądając w dół na nader niezwykłą wioskę. Nawet w nadciągającym mglistym zmroku wydawała się osobliwa. Została wybudowana pośrodku jeziora, wśród masy trzciny, a domy były wparte na palach, albo osadzone na szczycie małych, sztucznych wysepek. Właściwie, określenie „domy” nie bardzo do nich pasowało. Wyglądały na znacznie bardziej prymitywne od chłopskich chat w Sylvanii. Łączyły je groble błota i bali. Wewnątrz świeciły się ogniska. Kilku ludzi nadal przebywało na zewnątrz. Niektórzy siedzieli na groblach i łowili ryby. Inni dryfowali po jeziorze w kajakach. Paru z nich wyglądało jakby spacerowali po powierzchni trzęsawiska i Felix zaczął podejrzewać działanie magii, zanim po uważniejszym przyjrzeniu się nie zauważył, że chodzili na szczudłach.

Felix spojrzał na Teclis.

– Co teraz? – spytał.

– Równie dobrze możemy tutaj poszukać schronienia na noc. Tam będzie jedzenie, ciepło, a być może sanktuarium, gdzie będę mógł przeprowadzić potrzebne rytuały.

– A jakież to mają być rytuały? – usłyszeli głos z odległości wyciągniętego ramienia.

Zarówno elf i krasnolud zareagowali natychmiast. Gotrek uniósł topór i obrócił się w miejscu.

Teclis wznosił różdżkę i zatańczył wokół niej nimb światła. Felix był pod wrażeniem. Nigdy wcześniej nie znał nikogo, kto zdołałby podejść Zabójcę. Także elf nie wyglądał na kogoś, kogo łatwo jest zaskoczyć.

Przesunął dłoń do rękojeści miecza, ale nie dobył go.

– Pokój – odezwał się głos. Miał lekki, rytmiczny akcent, ale nie było w nim śladu słabości. – Nie potrzeba przemocy między nami. Zadałem tylko uprzejme pytanie.

– Tam skąd pochodzę – powiedział Felix – zwyczaj nakazuje, by człowiek przedstawił się, zanim zaczniesz przepytывать innych.

– A gdzie jest to miejsce, mój młody przyjacielu?

Felix wbił wzrok w ciemność, próbując dojrzeć, kim mógł być ten samobójczy szaleniec. Dał człowiekowi sposobność, by grzecznie przedstawił się dwóm najgroźniejszym osobnikom, jakich Felix kiedykolwiek spotkał, ale tamten najwyraźniej nie zamierzał z tego skorzystać.

Dostrzegął tylko sylwetkę starego mężczyzny, sękatego jak gałąź dębu i sprawiającego wrażenie równie twardego. Ubrany był w obcisłe spodnie i pleciony płaszcz we wzorze tartanu, który zlewał się z podszyciem. Na plecach miał przewieszony długi miecz. Opierał się na długiej włóczni, jakby to była laska. Miał mały i krótki nos, a szeroki uśmiech i żółte zęby wywoływały niepokojące wrażenie dzikości. W jasnoniebieskich oczach pojawiła się groźna iskra, gdy przyjrzał się Felixowi. Dziwne, kanciaste tatuaże pokrywały jego policzki i skroń.

– To Imperium – odpowiedział Felix.

Starzec zaśmiał się.

– Od długiego czasu nikt z Imperium nie przedarł się przez mgły. Od czasów mojego dziada, gdy przybyli ci piekielni zielonoskórzy.

– Masz na myśli orków – oni nie pochodzą z Imperium – powiedział Felix.

– Zajmują te same ziemie klanowe – odparł stary człowiek.

– A ludzie z Imperium przybyli w tym samym czasie? – zapytał Teclis. Stary człowiek spojrzał na niego z badawczym namysłem.

– Tylko twój lud przybywa i odchodzi jak im się podoba, pomocie Naggaroth – powiedział stary.

– A zanim ta noc dobiegnie końca, będzie o jednego z nich mniej, jeśli nie złożycie swojej broni.

Gotrek spojrzał tylko na niego z niedowierzaniem. Nieznajomy uniósł dłoń i dobył z siebie przeszywający gwizd.

Wśród wysokich traw pojawiło się dwudziestu łuczników. Felix był najbardziej zdumiony, gdy z bajora wynurzyło się więcej włóczników z gotowymi do rzucenia długimi harpunami.

– Nie potrzeba nam walki – powiedział Teclis.

– Obawiam się, że tak się stanie – odparł stary człowiek. – O ile natychmiast nie oddacie broni.

– Wyjmiesz mój topór z mojej zimnej, martwej dłoni – rzekł Gotrek. – Chociaż mierzi mnie, że muszę bronić elfa.

Felix spodziewając się w każdej chwili poczuć strzałę wbijającą się w jego plecy lub oko skulił się. Sprawy z pewnością nie wyglądały dobrze. Właśnie w tej chwili znowu zaczęło padać.

Rozdział 13

Stary człowiek wykonał kolejny gest i nagle w powietrzu błysnęły strzały. Felix rzucił się na płask mierząc w starca, ale ze zręcznością zaskakującą dla mężczyzny w jego wieku, stary przetoczył się już z powrotem za skałę, znikając z pola widzenia. Felix przeklął i spojrzał w tył, aby zobaczyć, czy Gotrek albo elf zostali trafieni. Zdumiało go to, co zobaczył.

Strzały odbijały się wokół nich, odpychane przez lśniąca sferę, w której centrum znajdował się elfi mag. Teclis wykonał następny ruch ręką i ludzie Albionii zastygli bez ruchu. Kilku wydało z siebie sapnięcie ze strachu, ale stali nieruchomi jak z kamienia. Felix spojrzał na tych, którzy wynurzyli się z wody jak syreny. Zauważył, że każdy z nich trzymał w ustach ściętą trzcinę, przez które zapewne oddychali. To była sztuczka o której słyszał, ale wymagała ogromnej cierpliwości, nie mówiąc o odwadze tego, kto chciałby z niej skorzystać.

Felix zajrzał za głaz i zobaczył stojącego tam starego człowieka. Był znieruchomiał. Po jego czole spływały krople potu, jakby usiłował oprzeć się zakłęciu. Felix przez bardzo krótką chwilę zamierzał przebić go mieczem, ale powstrzymał ten odruch. Był zmęczony i przestraszony, ale w tym przypadku nie było trzeba zabijać. Jeszcze nie.

– Twoja magia jest silna, słuگو Malekitha, ale Światłość zwycięży.

Felix spojrzał na elfa spodziewając się jego gniewu. Zamiast tego, elf wyglądał na rozbawionego.

– Zdaje się, że mamy kolejnego, kto dzieli twoją opinię o elfach, Gotreku Gurnissonie.

– Rozsądny człowiek – odparł Gotrek. – Z bólem będę musiał go zabić. A żaden to honor podnosić topór na ludzi, którzy stoją jak owce czekające na ubój.

– Twój słuگو prawdę powiada – rzekł stary człowiek. – Uwolnij nas i załatwmy to jak wojownicy.

Gniew spowił twarz Gotreka. Wyglądał, jakby zamierzał ruszyć z toporem na starego tu i teraz.

– Nigdy nie byłem słuگą elfa – powiedział.

Felix potrząsnął głową. Dyplomacja najwyraźniej nie była mocną stroną żadnego z obecnych. Przyjrzał się dokładniej staremu mężczyźnie. Jego twarz była wytatuowana w dziwne geometryczne wzory, które coś Felixowi przypominały. Nagle zrozumiał – to były runy ze stojących kamieni.

– Czy naprawdę tak bardzo znudziło ci się życie, starcze? – spytał. – Nie zadowala cię wydanie rozkazu ataku na potężnego czarodzieja, ale musisz jeszcze obrażać krasnoludzkiego Zabójcę. Istnieje cienka granica między odwagą i głupotą, a ty ją przekroczyłeś.

– Ty zaś jesteś najwyraźniej oczarowany przez elfią magię. Często to widywałem. Dobrzy ludzie nierzadko powracają jako niewolnicy w służbie Mrocznych.

– To jest nas już trzech – powiedział Felix.

Spojrzał na elfa szukając wskazówki. Max Schreiber mówił mu jak wyczerpująca potrafi być magia, ale elf nie okazywał żadnego wysiłku utrzymując w bezruchu dwudziestu wojowników. Felix zastanawiał się, co powinni zrobić. Nie mogli przecież po prostu poderżnąć gardeł tym ludziom.

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz – odezwał się Teclis. – Nie jestem słuگą Wiedźmiego Króla. W istocie, jestem jego wrogiem od wielu lat.

– Ty tak mówisz – powiedział starzec. – Ale mam na to tylko twoje słowo.

– Powiedz mi, czy nic dla ciebie nie znaczy, że trzymam cię w mej mocy, a jednak oszczędziłem wam życie, pomimo waszych oszczerstw wobec mnie i moich towarzyszy?

– To może być jakaś elfia sztuczka. Możesz chcieć nas zaczarować, albo sprowadzić na nas zagładę w jakiś mroczny i straszliwy sposób...

Ogień pojawił się w oczach czarodzieja, a potem elf przemówił słowami pełnymi groźby. Stał się

postać pełną niesamowitej mocy, nagle spowitą w dziwny majestat. Jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia.

– Jam jest Teclis z rodu Aenariona, pierworodnego Ulthuanu. Gdybym pragnął was zniszczyć, albo zacczarować, lub też sprowadzić zagładę na waszą żalną, barbarzyńską wioskę, tak już zostałyby zrobione i ani ty, twoi ludzie ani twoja dziecięca magia nie zdołałoby mnie powstrzymać, starcze.

Felix wierzył mu. W tej chwili elf wyglądał tak groźnie jak nigdy dotąd, a Felix w swoim czasie oglądał potężne demony. W tym momencie w samym elfie było coś demonicznego. A potem Teclis wzruszył ramionami i zakłęcie przysło. Nagle stary człowiek i jego ludzie znowu mogli się poruszać. Osunęli się na ziemię, a oręż wysunął się z ich odrętwiałych palców.

– Na szczęście dla was, nie uczyniłem tego – rzeki Teclis. – Potrzebujemy jedzenia, dachu nad głową i noclegu. Dasz nam to, a rankiem ruszymy w swoją stronę. Zostaniesz nagrodzony za kłopot.

Stary człowiek odezwał się takim głosem, jakby słowa wyrwały się z gardła wbrew jego woli:

– Aye, jak sobie życzysz. Tej nocy i tylko tej nocy będziecie gośćmi Mokradeł Crannog.

Felix słyszał już cieplejsze powitania. Ciekaw był, czy elf wiedział, co robi. Może obudzą się w nocy z nożami wbitymi w gardła? Spojrzał na elfa, a potem na Gotreka i stwierdził, że to niemożliwe, tak nie mogło się stać. Jakakolwiek śmierć czekała na tych dwóch, nie mógł to być nóż w ciemności wbity przez jakiegoś barbarzyńskiego tubylca.

* * *

Zeszli za barbarzyńcami na brzeg wody. Felix nie spuszczał z nich wzroku obawiając się, że pomimo słów swojego przywódcy w każdej chwili mogą odwrócić się i zaatakować. Wiedział, że gdyby tak się stało, doszłoby do masakry.

Na brzegu wody ludzie ruszyli prosto przed siebie. » Felix sapnął, bo wydawało mu się, że tamci stąpają po wodzie. Ich stopy ledwo zanurzały się pod powierzchnią, chociaż woda była wystarczająco głęboka, żeby zakryć wstawioną włócznię. Czy to mogła być jakaś nowa forma magii?

Teclis poszedł za nimi, podobnie jak Gotrek, który wzruszył tylko ramionami i parsknął przez nos. Wiedząc, że pozostali czekają na niego Felix wsunął stopę w wodę i rozwiązanie tajemnicy stało się jasne. Tuż pod powierzchnią znajdowała się wąska grobla, sprytnie ukryta, tak by była widoczna tylko z najbliższej odległości. Ludzie z Mokradeł Crannog najwyraźniej znali drogę na pamięć, ponieważ nie musieli spoglądać w dół. Tak jak Gotrek, który zawsze stąpał pewnie w takich sytuacjach. Po dokładniejszym przyjrzeniu się okazało się, że elf rzeczywiście unosi się tuż nad powierzchnią wody, bez wysiłku i niewątpliwie za sprawą magii. Felix musiał patrzeć pod nogi podążając groblą wijącą się jak wąż, aby utrudnić orientację napastnikom. To był prosty i skuteczny system, tak jak trzęsawisko albo fosa.

Gdy zbliżyli się do bramy, powitały ich kobiety uzbrojone w łuki i włócznie. Stały na niskim drewnianym podeście, który otaczał główną wyspę i zapewne stanowił centralne fortyfikacje tej osady. Było jasne, że czekały w ukryciu na swoich mężczyzn. Równie oczywiste było, że przynajmniej niektóre z kobiet były gotowe walczyć wraz z nimi.

– To nasi goście, Klaro – powiedział stary człowiek. – Nie są naszymi wrogami, przynajmniej przez tę noc.

– Ale jeden z nich to Mroczny.

Gotrek parsknął śmiechem.

– A drugi wygląda na jakiegoś pokurczonego demona.

Śmiech krasnoluda ustał gwałtownie, gdy ten potrząsnął groźnie ostrzem swojego topora.

– Jestem krasnoludem z Gór Krańca Świata – powiedział.

– Och, a cóż to może być takiego? – dopytywała się kobieta.

Gotrek nie raczył odpowiedzieć, chociaż wyglądał jakby miał zamiar ruszyć z toporem na bramę. Felix zadumał się nad izolacją tego miejsca. Sam wyrósł w mieście, gdzie często widywał elfy i krasnoludy przechadzające się ulicami. Przypuszczał, że ta drobna wioska pośrodku bagniska była nieco mniej kosmopolityczna.

– Niemniej, są to nasi goście – rzekł stary. – Mieli nas w swej mocy i nie zabili. Powiadają, że nie są naszymi wrogami i dopóki nie okaże się inaczej, musimy zawierzyć ich słowom.

– Ciekawam była, czemu żeście tam stali jak duże, przerażone płaksy? – spytała kobieta. – Azali to magicy?

– Jeden z nich jest nim i to nader potężnym. Bardziej nawet niż Mądra, chyba żebym się mylił.

– Nie podziękuj ci za to, żeś tak powiedział – stwierdziła kobieta.

– Będziemy tak stali całą noc gadając o tym, kobieto, czy otworzysz bramę? – spytał stary człowiek.

– Myślę sobie, że w takim razie otworzymy bramę.

Wroga zaskrzypiały otwierane i wkroczyli do środka witani zapachem torfowego dymu, nawozu i ryb, oraz szczekaniem psów i płaczem dzieci. Teclis uniósł dłoń do nosa i zakasłał cicho.

– Wąchałem już gorsze rzeczy – powiedział Gotrek.

– Wątpię, żebyś kiedykolwiek się kąpał – odparł elf. Felixowi zabrakło trochę czasu zrozumienie, że to był żart. Podejrzewał, że Gotrek nigdy nie domyśli się tego.

Rozglądał się, gdy szli ulicami. Mały chłopiec o policzkach upapranych sadzą spojrział na niego i wybuchł płaczem. Inne dzieci zaganiały ich matki. Przeszli do wielkiej, pokrytej torfowym dachem sali, która górowała nad centralnym kopcem. Spoglądały na nich nieprzyjazne oczy. Gdyby Felix musiał zgadywać, powiedziałby, że większość wrogości i strachu była wymierzona w Gotreka i Teclis, ale wieśniacy i tak zdolali zachować trochę także dla niego. Zapowiadało się, że to nie będzie przyjemna noc.

Izba była długa, niska i mizernie oświetlona przez pochodnie zanurzone w smole oraz lampy, które zawierały jakąś wonną oliwę. To miejsce wyglądało na pewnego rodzaju pomieszczenie mieszkalne i miejsce spotkań społeczności. Pod jedną ze ścian płonął wielki ogień. Drugą pokrywało coś, co wydawało się niewielkimi beczułkami spirytusu. Mężczyźni zrzucili płaszcze i siedli, gdzie kto mógł krzyżując nogi, kucając, albo jak tylko chcieli. Nie rozstawali się jednak z bronią i Felix zauważył, że u bramy nadal stali wartownicy.

– Jestem Murdo Mac Baldoch, witajcie w tej izbie – powiedział stary człowiek.

– Jestem Teclis z Ulthuanu. Dziękuję za waszą gościnę.

– Gotrek, syn Gurniego.

– Felix Jaeger z Altdorfu. Dziękuję za gościnę.

Murdo obszedł wkoło pomieszczenie i przedstawił po kolei każdego z mężczyzn. Felix dostrzegął na zewnątrz kobiety zaglądające do środka. Wyglądały na zaintrygowane i przestraszone, w równej mierze. Felix domyślał się, że nie widywały zbyt wielu nieznajomych w tej okolicy, a ci których widziały, byli zapewne wrogami. Fortyfikacje wiele mówiły o tym miejscu. Ludzie nie budowali takich umocnień bez wystarczającego powodu.

Stary podniósł kielich ze stojaka i odszpuentował jedną z beczulek. Uniósł się zapach silnego alkoholu, gdy nalewał złoty trunek. Ujął kielich, sam skosztował z niego, a potem podał go Teclisowi. Elf spojrział na napój, powąchał go i powiedział:

– Osławiona whisky z Albionu. Dziękuję.

Pociągnął łyk i oddał naczynie. Murdo powtórzył cały proces z Gotrekiem, który rzucił pogardliwe spojrzenie w stronę elfa, po czym wychylił puchar jednym łykiem. Ten wyczyn wywołał

westchnienia, które Felix uznał za wyraz podziwu ze strony tubylców.

– Ach, potrafisz pić, Gotreku Gurnissonie – powiedział Murdo.

– Jestem krasnoludem – rzekł Gotrek. – Whisky jest dobra – jak na człowieczy wywar.

– A zatem napijesz się jeszcze raz?

– Aye.

Murdo ponownie napełnił kielich Gotreka i podał drugi Felixowi. Felix powąchał go. Zapach alkoholu był bardzo silny. Pociągnął łyk i prawie się zakrztusił. Płyn sparzył język i uderzył mocnym oparem na dno gardła i prosto do nozdrzy. Smak był odrobinę dymny, ale nie był nieprzyjemny, jeśli przywykło się do niego. Z pewnością nie było to gorsze od kislevickiej wódki ziemniaczanej.

– Bardzo dobre – przyznał zauważając, że Gotrek wychylił drugi puchar i nie wyglądał ani trochę gorzej. Tym razem nastąpił ogólny zachwyt tubylców. Cokolwiek mogli myśleć o obcych, Albionczycy z pewnością doceniali kogoś, kto umiał pić. Jakby na dany sygnał, każdy z mężczyzn podniósł puchar i otworzył beczułkę. Wydawało się, że każdy ma swoją, albo może należały one do osobnych rodzin. Felix zauważył grupy mężczyzn pijących z tej samej beczułki, ale tylko tyle zdołał się zorientować.

Wszyscy zajęli miejsce pod ścianami, zasiadając plecami do nich i spoglądając w stronę wnętrza kręgu. Ktoś wyciągnął małe dudy i coś, co przypominało skrzypce, po czym zaczęła grać muzyka. Zapach pieczonego jedzenia powoli przyćmiewał wyziewy nieczystości.

– A cóż cię sprowadza do Albionu, czarowniku z Ulthuanu? – spytał Murdo. Jego twarz pozostawała bez wyrazu, ale w oczach widoczne było żywe zainteresowanie. Felix zauważył, że wódz tylko umoczył usta w swojej whisky, podczas gdy pozostali usiłowali powtórzyć wyczyn Gotreka. Felix widział także, że Zabójca przysłuchiwał się wszystkiemu, chociaż wydawało się, że gapi się tylko w ogień.

– Wykonuję misję – odpowiedział Teclis. – To są moi towarzysze.

– A więc to misja? Czyny czarowników mądre są, bez wątpienia. Nie będę naciskał dalej.

– Nie naciskasz, przyjacielu Murdo. Może będziesz mógł pomóc. Poszukuję Wyroczeni

Prawdomówców, albo jeśli to się nie uda, starożytnej świątyni, którą być może ostatnio zajęły siły ciemności.

Felix mógłby przysiąc, że iskra w oczach starego człowieka zabłysła jaśniej. Skinął głową.

– A cóż zamierzasz uczynić, gdybyś ją znalazł?

– Poprosiłbym ją o pomoc. Jestem w wielkiej potrzebie.

– Niezbyt często ktoś z twojego ludu przyznaje się do tego.

– To trudne czasy.

– Aye, prawdziwy koniec świata. Mówisz o świątyni – co wiesz o niej?

– Powiadają, że jest dziełem Pradawnych. Czy wiesz coś o nich?

Tym razem starzec wyraźnie skulił się w sobie. Felix zauważył, że palce mężczyzny dotknęły amuletu na jego piersi. Po raz pierwszy dostrzegł runy na kamiennym zakończeniu włóczni starca. Niewątpliwie był jakiegoś rodzaju czarownikiem.

– Wiem o nich, chociaż nie są to rzeczy, które roztropny człek opowiada wśród innych. To są święte tajemnice.

– A zatem, znają je tylko Prawdomówcy?

Stary człowiek wyglądał teraz na trochę wstrząśniętego.

– Jesteś nader mądry.

Elf wykrzywił usta w uśmiechu, który Felix wziął za parodię wyrazu skromności.

– Cóż zamierzasz zrobić, jeśli znajdziesz świątynię jakiej szukasz, a będzie ona zajęta przez

mroczne siły?

– Wypędzę je, a jeśli się nie da, zadbam, by nie mogły użyć do swoich nikczemnych celów mocy, jaka spoczywa wewnątrz świątyni.

– Zamierzasz zrobić to ty sam i twoi dwaj towarzysze? Postawiłeś przed sobą niełatwe zadanie.

– A zatem wiesz o rzeczach, o których powiadam?

– Wiem o tych rzeczach.

– Czy powiesz mi o nich? Nie mogę wyjawić wszystkich powodów, ale wierzę, że moja misja pomoże także waszemu ludowi.

– W jakiż to sposób?

– Czy ostatnio nie trzęsła się ziemia? Czy pogoda nie pogorszyła się?

– Pogoda zawsze jest zła w Albionie, ale ostatnio wydawała się szczególnie podła. Potężne burze smagają ziemię. Rzeki wylewają. Woda porywa całe wioski. Wielka klątwa spadła na naszą krainę, Teclisie z Ulthuanu. Najpierw zielonoskórzy zesłi z gór całymi hordami, a potem wydarzyły się te wszystkie rzeczy, które powiedziałeś. Niektórzy powiadają, że Bogowie Światła odwrócili swe oblicza od Albionu i Siedmioro nie spogląda już na nas.

– Jestem pewien, że te wszystkie sprawy są ze sobą powiązane – powiedział elf. – Żli ludzie obudzili starą magię. Te zaklęcia skupiają się na Albionie. Jeśli jest klątwa, jest też jej źródło, a to źródło można oczyścić.

– Także rzecz Wyrocznia, a ja jej wierzę. Powiada, że stare ścieżki zostały otwarte i wypełzają przez nie demony. Niektórzy twierdzą, że ona jest zbyt stara i opuścił ją dar widzenia, ale ja nie jestem tego pewien.

– Twoi ludzie są podzieleni w tej kwestii?

– Tyczy się to Prawdomówców.

– Ponownie mówisz o zakonie czarowników Albionu...

– Aye, jakże to, że takie sprawy są ci znane?

– Istnieją pewne teksty w mojej bibliotece w... ale ty jesteś pierwszym, jakiego spotkałem.

– Pierwszym i ostatnim, Teclisie z Ulthuanu. Nie jestem wielkim czarownikiem, zatem nie osądzaj potęgi mojego bractwa moją miarą.

– Nie jesteś najslabszym ze śmiertelnych czarodziejów, z jakimi się mierzyłem, Murdo i nie poczytaj sobie za wstyd, żeś mi uległ. W swoim czasie pokonałem samego Wiedźmiego Króla.

– Oto przechwałka, której niewielu ośmieliłoby się wygłosić nie lękając się sprowadzić na siebie gniewu Mrocznego.

– To najpełniejsza prawda.

Elf powiedział to z taką pewnością siebie, że stary człowiek zawahał się.

– Powiadają, że elfy mają srebrne języki – rzekł.

– Ja słyszałem o żółtych wątrobach – mruknął Gotrek. Przyglądał mu się potężny mężczyzna pokryty tatuazami. Gotrek spojrział na niego i wychylił kolejny kielich whisky.

– Na co się gapisz? – spytał mężczyzna.

– Nie wiem – odparł Gotrek – ale to gapi się na mnie.

Felix ocenił wojownika. Dorównywał szerokością Gotrekowi i wyglądał niemal tak samo brutalnie. Jego nos był zapewne wielokrotnie złamany, a uszy spłaszczone jak u zawodowego zapaśnika. Miał łysą głowę i długą ryżą brodę. Mężczyzna był umięśniony niczym kowal. Felix pomyślał, że wkrótce ten człowiek będzie martwy, jeśli sprowokuje krasnoluda.

Zdał sobie sprawę, że jeśli w tej zamkniętej przestrzeni wybuchnie walka, dojdzie do masakry. Jeśli przyłączy się czarodziej, wioska zostanie zapewne *zrównana z ziemią*, a ci indzie jak dotąd nie

wyrządzili im żadnej krzywdy. Wydawali się bardziej przestraszeni własnymi problemami i Felix rozumiał ich brak zaufania dla przybyszów. Musiał przyznać, że po przeżyciach kilku ostatnich dni, w tej chwili nie sam nie palił się do walki.

– Uważasz się za silnego, człowieczku – odezwał się nieznajomy szczerząc zęby. Splótł palce i trzasnął kłykciami.

– Jestem krasnoludem, ale widzę, że masz zbyt grubą czachę, że by to zapamiętać.

Cała izba zamilkła.

– Hejże, Culum – powiedział Murdo. – Oni są naszymi gośćmi i nie chcemy żadnych kłopotów.

– Myślałem raczej o odrobinie zabawy – odrzekł mięśniak.

– Jakaż to ma być zabawa? – spytał Gotrek.

– Potrafisz mocować się na ręce?

Gotrek roześmiał się.

– A potrafisz zadawać mądre pytania? – odpowiedział.

Felix z zadowoleniem zauważył, że whisky najwyraźniej na tyle złagodziła Zabójcę, że nie sięgnął po topór. Krasnolud stanął i rozprostował palce. Obaj zapaśnicy pochylili się nad ławą i chwycili za dłonie. Tubylcy zaczęli wykrzykiwać imię Culuma.

– Jeszcze nigdy nie przegrał walki – powiedział z dumą Murdo.

Felix zauważył między tymi dwoma rodzinne podobieństwo.

Napięły się wielkie muskuły. Felix przyjrzał się parze walczących. Culum był cięższy od Gotreka i miał szerokie ramiona, ale jego ręce nie były tak grube, a Felix wiedział, że krasnoludy bywały silniejsze od ludzi o zbliżonej wadze. Nigdy nie domyślił się, dlaczego tak było. A Gotrek był silny, nawet jak na krasnoluda.

Przyglądając się zmaganiom Felix zdał sobie sprawę jak ogromne siły zwały się w pojedynku. Culum wyglądał na zdolnego do wyrwania gołymi rękami drzewa z korzeniami. Jego mięśnie napęczniały, pot skropił mu czoło. Powoli, ale nieubłagane ramię Zabójcy cofało się. Współplemieńcy wiwatowali głośnie. Uśmiech na twarzy człowieka poszerzył się. Gotrek pociągnął łyk whisky używając wolnej ręki i wyszczerzył się pokazując swoje przegniłe zęby. Ruch jego ramienia w kierunku stołu zwolnił i zamarł. Felix był zdumiony, że Gotrek potrafił utrzymać ją pod takim kątem. Culum odwzajemnił uśmiech i nacisnął mocniej. Wielkie węzły ścięgien napięły się na jego karku.

A jednak ramię Gotreka ani drgnęło. Uśmiech Culuma zamierał w miarę, gdy człowiek naciskał coraz mocniej i mocniej. Żyłki na jego czole pulsowały, a oczy wyszły mu na wierzch jak u ryby. Gotrek zaczął naciskać. Ramię człowieka zadrżało, a potem zostało odepchnięte. Wiwatowanie tubylców ucichło. Odrobina po odrobinie ramię zostało zepchnięte z powrotem do pozycji pionowej, a potem powoli, jednostajnie ramię człowieka zaczęło przechylać się w stronę stołu. Dłoń walnęła w stół z łomotem i nastąpiła chwila całkowitej ciszy. A potem tubylcy zaczęli wiwatować i wykrzykiwać pochwały. Gotrek łypnął na nich, ale to nie powstrzymało ich przez biciem kielichami w ławę i wychwalaniem jego siły.

– Oto wyczyn, o którym harfiarze będą śpiewali przez wiele księżyców – rzekł Murdo. – Nie uwierzyłbym w to, gdybym sam tego nie ujrzał.

Po początkowym szoku nawet Culum wydawał się przyjmować to nieźle. Uśmiechnął się niewesoło i podał Gotrekowi dłoń. Zabójca uścisnął ją pospiesznie, a potem powrócił do picia.

Podano jedzenie: zupę, razowy chleb, ser i gotowaną szynkę. Ludzie wydawali się już przyjaźniejsi, ale mógł to być jedynie skutek whisky. Felix zauważył, że elf popijał swój napój, ale jego puchar nie wydawał się opróżniać po kolejnych łykach. Felix postanowił, że dobrze będzie

naśladować elfa. Chociaż teraz ci ludzie byli przyjaźni, wolał nie obudzić się z podejrzanym gardłem.

Gdy te mroczne myśli przemknęły mu przez głowę, zauważył, że elf i stary człowiek w trakcie rozmowy zawarli jakieś porozumienie. Spojrzał na Zabójcę, który ze smakiem zajął się pochłanianiem jedzenia. Felix zauważył, że topór Gotreka spoczywał w pobliżu. Pijany czy nie, krasnolud nie ryzykował. Felix był ciekaw, co działo się w umysłach ich niepewnych gospodarzy.

Rozdział 14

Następnego dnia Felixa obudził odgłos wody uderzającej o ściany wioski oraz stukot deszczu o dach. Było mu dość ciepło, więc odrzucił płaszcz, zauważając, że miecz leży w zasięgu rąk, tam gdzie go zostawił. Rozejrzał się po izbie i stwierdził, że większość ludzi nadał spała głośno chrapiąc. Teclis siedział na drewnianym krześle. Miał otwarte oczy utkwione w oddali. Wydawał się być pogrążony w transie. Nigdzie nie było widać Zabójcy.

Felix wstał i pomasaował się po plecach. Bolały go, a leżenie na sienniku niewiele pomogło. Wzruszył ramionami, schylił się i zapiął na biodrach pas z mieczem. Gdzieś w oddali czuł zapach smażonych ryb. Wyszedł na mgłę i deszcz. Natychmiast uderzyło go zimno, dzięki czemu zaczęło rozjaśniać się mu w głowie. Felix przeciągnął się, rozprostował ramiona i usiłował się rozluźnić.

W nocy dręczyły go dziwne sny – sny o demonach i stworach, jakie widział na Ścieżkach Pradawnych. Dotknął dla pewności elfiego amuletu i zastanowił się, co stałoby się, gdyby spał bez niego. Czy naprawdę było prawdopodobne, że mógł stać się ofiarą opętania przez demony? A może elf powiedział to tylko, żeby go nastraszyć? To była jedna z tych rzeczy, których nie był w stanie rozstrzygnąć. Teclis był czarodziejem, a on nie. Co więcej, Teclis był elfem, a Felix nie potrafił domyśleć się motywów, jakie nim kierowały. Nie miał pojęcia, co działo się za tymi zimnymi, skośnymi oczami. Przypuszczał, że myśli elfa mogły być równie obce jak myśli pająka, albo skavena.

– Dzień dobry, ładny chłopcze – usłyszał czysty głos za sobą.

– Dzień dobry, Klaro – odpowiedział Felix odwracając się, by spojrzeć na dziewczkę, która przywitała ich poprzedniego dnia u bram.

– Pamiętasz moje imię – ucieszyła się. – Dobra to rzecz. – Jestem Felix Jaeger – powiedział kłaniając się. Poczł się głupio, gdy dziewczyna zaśmiała się.

– Niezwykłe to imię.

– Nie tam, skąd pochodzę – odparł.

– Ach, a jest li to Imperium?

– Zdaje się, że wieści szybko tu się rozchodzą.

– Szybko jak dłubanka w strumieniu – powiedziała. – Mała to wioska, a my jesteśmy małym klanem i prawdę mówiąc, mężczyźni tak głośno wyli o wszystkim, że niewiasty musiały to słyszeć, chciały tego, czy nie.

Felix roześmiał się rozbawiony bardziej jej zachowaniem niż słowami. Wydawała się dowcipna i była urodziwa. Miała delikatną piegową cerę i włosy w kolorze rudawego brązu. Miała szerokie usta i jasnoniebieskie oczy.

– A wy zamierzacie zobaczyć się z Wyrocznią – powiedziała. – Ona zaś postanowi, co zostanie uczynione z twoim elfim przyjacielem i jego małym chowańcem.

– Na twoim miejscu nie nazywałbym go tak w obecności Gotreka.

– Czemuż to nie?

– Nie jest sługą, jest krasnoludem, a oni nie lubią być w żaden sposób wiązani z elfami.

– Jednakowoż wszyscy podróżujecie razem...

– Okoliczności są niezwykle – odpowiedział.

– Zaiste. Zaiste. To był dziwny rok, a wasze pojawienie jest nie mniej dziwną rzeczą. .

Felix poczuł rosnącą ciekawość.

– Ach tak? – zagadnął, zawieszając słowa w próżni. _ , >...

– Aye – odparła. – Takoz jest. Były wielkie burze i dziwne omeny. Błyskawice tańczyły na wzgórzach, a rogaci mężowie wędrowali po bagnach. Zielone skóry są wszędzie – zaraza na nich!

– Mówisz o orkach?

– Yrki, orkowie, zielone skóry, jak chcesz je nazywać. Są tak złe jak Mroczni, choć powiadają, że ci zbierają ludzi, co by ich zjadać, zamiast niewolić.

– Też o tym słyszałem, chociaż nigdy tego nie widziałem.

– A skądże mógłbyś to wiedzieć, ładniutki? Wyglądasz jak pacholę ze szkoły bardów i nie nosisz blizn, nie licząc tej na twym licu.

Felix nie poczuł się obrażony. Zrozumiał, że nie wyglądał, ani nie mówił tak, jak większość ludzi wyobrażała sobie wojownika. Sam zresztą nie uważał się za takiego.

– Mimo to, w swoim czasie zabiłem dość zielonoskórych – odpowiedział. – A może nawet kilku więcej.

– Och, dajże pokój.

– To prawda, chociaż skoro prawdę mówimy, to głównie Gotrek zajmował się zabijaniem.

– Chowaniec? Prawda to, że ma wygląd srogi, a ten topór wygląda jakby mógł zadać wiele bólu.

– Bo tak jest – przyznał Felix i powstrzymał chęć, by opowiedzieć jej kilka historii. Zrozumiał, że wyciągała z niego informacje dokładnie w ten sam sposób, w jaki on zamierzał wy dostać wiedzę od niej. – Ale mówiłaś mi o dziwnych wydarzeniach w tym roku.

– Aye. To był zły rok. Ryby nie brały dobrze, a jęczmień marnie rodził się na wzgórzach.

Powiadają, że klany w górach głodem mrą, a bestie z moczarów znowu polują.

– Bestie z moczarów?

– Wielkie złe stwory jakby mchem pokryte i silne, by drzewa wyrywać z korzeniami, gdyby chciały.

– Jak drzewce? – spytał Felix próbując skojarzyć ten opis z czymś sobie znanym. Chociaż, prawdę mówiąc, wszystko co wiedział o drzewcach pochodziło z książek. Podobno były sprzymierzeńcami elfów, żywymi istotami będącymi pół ludźmi, pół drzewami, silniejsze od trolli i zdolne miażdżyć kamienie swoimi sękatymi pięściami.

– Nigdy żem nie widziała drzewca, więc powiedzieć nie mogę.

Felix wzruszył ramionami i powiedział jej, co wie.

– A ty mi powiesz zaraz, że z nimi także żeś walczył? – spytała.

– Nie. W każdym razie, jeszcze nie, chociaż sądząc po moim losie, to tylko kwestia czasu.

– Cóż to ma znaczyć?

– Czasami zdaje mi się, że walczyłem z poławą potworów ze starych opowieści – odpowiedział.

– Ach, tak tylko gadasz.

Felix zaśmiał się.

– Nie, to prawda. Chociaż, uczciwie mówiąc, Gotrek zajął się większością zabijania. Ja właściwie tylko się przypatrywałem.

– Jakże to?

– Złożyłem przysięgę, by iść za nim i spisać jego zagładę. On przysiągł szukać śmierci w bitwie przeciwko najpotężniejszym i najpotworniejszym wrogom.

– Zatem nie zdaje się, by zbyt dobrze dotrzymywał swej przysięgi.

– Nie można powiedzieć, że się nie stara.

– Aye, ma to opętane spojrzenie. Widziałam je na obliczach tych, którzy ponoć słyszeli zew swych duchów śmierć zapowiadających, chociaż ten ma oblicze, które przestraszyłoby nawet śmierć samą.

– To prawda.

– Może zatem zechce poszukać jeden z bestii z mokradeł, by spróbować swego szczęścia z nimi?

– Nie mów tego zbyt głośno, może cię usłyszeć.

– Widzę zatem, że nie jesteś zbyt chętny ujrzeć jego zagłady?

– Zawsze myślałem, że coś na tyle twardego, by sprowadzić śmierć na Gotreka, zaraz potem sprowadzi śmierć na mnie. .

– Zatem powiadasz, żeś lękliwy przed śmiercią.

– A czy to nie przejaw rozsądku?

– Nie usłyszysz tu wiele mężów takie rzeczy mówiących. I nie gadałabym tego zbyt głośno na twym miejscu będąc, albo pomyślą, żeś nie całkiem mężczyzna.

– Ach tak?

– Tutaj mąż dumny jest z odwagi swej i uczynków. Opowiada o nich przy każdej sposobności. To chełpliwa gromada, ale mają czym się chełpić.

Felix nagle przypomniał sobie o Teclisie. Może elf lepiej pasowałby do tego opisu. Dziewczyna źle odczytała jego uśmiech.

– Nie osądzaj ich źle – powiedziała. – To sroga mężów gromada.

– Mam zatem nadzieję, że oni nie osądzą źle mnie.

– Nie martwiłabym się, gdybym była tobą, Felixie Jaegerze. Niewielu jest tutaj takich, co popełniliby taką pomyłkę.

– Obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Nie przybyliśmy tutaj szukać kłopotów. Przybyliśmy, aby wypełnić własną misję.

– To jest Albion, chłopcze, kłopoty same cię znajdą. A skoro o tym mowa, oto mój małżonek...

Felix uniósł wzrok i zobaczył podchodzącego Culuma. Spoglądał na nich groźnie. Felix natychmiast pożałował swojego swobodnego zachowania. Nie przyszło mu na myśl, że osoba tak wygadana i uwodzicielska jak Klara mogła być czyjąś żoną. Wyraz twarzy Culuma zapewnił go, że jeśli jeszcze raz popełni taki błąd, skutki będą fatalne. Felix szybko odszedł. To Gotrek szukał śmierci, nie on.

Zabójca spojrzął nad drewnianym wałem na zbierające się mgły. Deszcz i zimno nie robiły na nim wrażenia. Felix powitał go, życząc dobrego ranka.

– Co w nim dobrego, człeczyno?

Nadal jesteśmy żywi – zamierzał odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że to nie byłoby właściwe.

– A co w nim złego? – skontrolował.

– Przysiągłem pomóc parchatemu elfowi – powiedział.

– A dlaczego to zrobiłeś? – spytał Felix.

Gotrek łypnął tylko na niego.

Felix zrozumiał, że krasnolud uczynił to, aby mu pomóc. Nie był czarodziejem. Nie znalazłby go, gdyby nie pomoc elfa. Felix był naprawdę zdumiony i szczerze wdzięczny.

– Jestem pewien, że to żadna hańba dla ciebie – powiedział wreszcie.

– Pomagam jednemu z postrzygaczy bród – odparł.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Te elfy obcięły niegdyś włosy krasnoludzkie, jak owcy.

– To takie złe?

– Nie ma większej obrazy dla krasnoluda.

Felix zadumał się nad tym. Nic nie wiedział o religijnych tabu krasnoludów, ale łatwo było mu uwierzyć, że wiele z nich dotyczyło zarostu twarzy.

– Nawet jeśli tak było, czy to naprawdę wystarczający powód do tak długiej wrogości między Starszymi Rasami?

– Aye, człeczyno, tak jest. Tym bardziej, że broda należała do brata krasnoludzkiego króla. Żaden krasnolud nie spocznie, póki taka zniewaga nie zostanie pomszczona. A jeśli nie zmaże tej urazy za swego żywota, przechodzi ona na jego potomków.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie zadzierał z krasnoludami – powiedział Felix.

Gotrek zignorował go pogrążony w ponurych myślach.

– Ale to nie jedyny powód. Elfy zdradziły nas, mordowały nasz lud atakując z zasadzki, używały nikczemnego czarnoksięstwa, by spadać na nas zniecka. Zdradziły nasze zaufanie i nasze pradawne sojusze. Brały niewolników i poświęcały ich dla swoich mrocznych bogów.

– Nie wydaje mi się, by Teclis chciał poświęcać kogokolwiek dla Mrocznych Bogów.

– A kto wie, co sobie myśli elf? Kto to powie, czy kłamią, czy tylko naginają prawdę tak jak kował gnie gorący metal?

Felix przyjrzał się swojemu towarzyszowi.

– Męczy cię to, ponieważ on może mówić prawdę?

– Aye, człeczyno, tak jest. Nie dbam o to, czy wyspa elfów Zatonie, czy będzie pływać. Świat będzie lepszy bez tych wystrojonych, wyperfumowanych, szpiczastouchych...

– Ale?

– Ale jeśli on mówi prawdę o tym, co może spaść na Góry Krańca Świata i ziemie ludzi? Mój lud zawarł pradawne przysięgi przymierza z waszym, a my nie zapominamy naszych przysięg...

Gotrek wydawał się niemal zawstydzony. Felix domyślał się, że to z powodu przyrzeczenia danego elfowi, które był już gotów złamać.

– Gotreku, jeśli istnieje najmniejsza szansa, że ma rację, musimy mu pomóc. To ryzyko, którego nie możemy podjąć.

– Aye, człeczyno, doszedłem do tego wniosku. Chociaż, gdy sprawa zostanie załatwiona, może jeszcze się policzymy.

– Świetnie – mruknął Felix cicho, mając nadzieję, że nie usłyszy go nawet Zabójca. – Jest czego oczekiwać.

– Aye – rzekł Gotrek – Istotnie.

Felix naciągnął ciaśniej płaszcz i wpatrzył się w mgłę. Zdawało mu się, że zbliżają się wielkie groźne sylwetki, ale miał nadzieję, że to były tylko zarysy drzew.

Gdy wrócili do wielkiej izby, powitał ich Teclis.

– Rozmawiałem z Murdo. Zgodził się zabrać nas do Mądrej.

Felix spojrzał na starego czarownika.

– Teraz mówisz inaczej – powiedział. – Wczoraj byliśmy pomiotem Mrocznych. Dzisiaj jesteś gotów nam pomagać.

– Powiedzmy, że nic tak dobrze nie pokazuje charakteru człeka – albo elfa, lub krasnoluda, jeśli już o tym mowa – jak wspólne picie.

Felix zastanowił się nad tym. Nie był pewien, czy może ufać staremu. Z drugiej strony, wydawało się, że nie ma większego wyboru.

– Nienawidzę łodzi prawie tak bardzo, jak nienawidzę elfów – powiedział Gotrek, gdy wgramolili się na pokład barki.

– Cieszę się, że podzieliłeś się tym z nami – rzekł Felix rozglądając się, by sprawdzić, jak Teclis i właściciele łodzi z Mokradeł Crannog przyjęli to oświadczenie. Z zadowoleniem stwierdził, że postanowili je dyplomatycznie zignorować. – Przypuszczam zatem, że wołałbyś dostać się na miejsce piechotą?

– Aye, gdybym miał wybór, człeczyno.

– Woda nakryłaby cię z głową, gdybyś spróbował – powiedział Murdo, a potem widząc ostre spojrzenie Zabójcy dodał – Mnie też.

Felix z zaskoczeniem przyglądał się, jak Murdo i dwudziestu wojowników wchodzi na pokład za nimi. Wydawało się, że ludzie z Mokradła Crannog przydzielili im straż honorową. Felix był mniej zadowolony widząc, że był wśród nich Culum. Osilek mijając Felixa spojrzał na niego podejrzliwie. Felix pomyślał, że ten człowiek nie powinien być tak zazdrosny, ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu coś innego.

Przyjrzał się łodzi. Miała dziwną konstrukcję. Była płaskodenna o bardzo niewielkim zanurzeniu, zupełnie inna niż statki, które żeglowały po Rei ku – w istocie bardziej przypominała rzeczną barcę. Felix przypuszczał, że powodem były stosunkowo płytsze wody. W końcu znajdowali się na wielkich mokradłach, a nie otwartym morzu lub wielkiej rzece. Niektórzy z mężczyzn chwycili długie drągi i zaczęli odpychać łódź odpływając od wyspy. Kobiety na palisadzie przyglądały się w milczeniu, a kilkoro dzieci machało na pożegnanie. Gdzieś w oddali dudziarz zagrał coś, co brzmiało jak żałobna pieśń pożegnalna. To nie było zbyt wesołe pożegnanie.

– Dlaczego wszyscy wyglądają na takich szczęśliwych? – spytał ironicznie Gotrek.

– Żadnej podróży przez wielkie bagno nie można lekceważyć, Gotreku Gurnissonie – powiedział Murdo. – Jest tu wiele dziwnych niebezpieczeństw – potwory bagiennne, demony z trzęsawisk, żywi umarli. Na tę krainę spadły wszelkie klątwy. Kto wie, kiedy i czy w ogóle zobaczymy jeszcze nasze domy?

Felixowi nie podobał się wyraz zainteresowania, który pojawił się na twarzy Zabójcy.

– Jeśli pojawi się któryś z waszych potworów bagiennych, zostawcie je dla mnie – powiedział. – Posmakują mojego topora.

– Dobrze powiedziane – odparł Murdo.

Niektórzy z ludzi wzięli łuki i włócznie, po czym stanęli rozglądając się uważnie. Wydawało się, że bardziej interesuje ich to, co mogą usłyszeć, niż co mogli zobaczyć. Felix przypuszczał, że powodem była mgła ograniczająca widoczność.

Stary Murdo stał na podwyższeniu z przodu statku i wybierając drogę, gdy docierali do rozwidlenia kanału. W czasie podróży Felix zdał sobie sprawę, że oprócz wszystkich innych cech bagna stanowiły także rozległy labirynt mulistej wody i niestałej ziemi. Wątpił, by zdołał kiedykolwiek znaleźć drogę powrotną na Mokradła Crannog. To mogło być częścią planu.

– O co chodzi, Felixie Jaegerze? – spytał Teclis. – Wyglądasz na zamyślonego.

Felix wiedział, że otwarta łódź gdzie każdy mógł go usłyszeć nie była dobrym miejscem na dzielenie się podejrzeniami. Sytuacja między nimi i ludźmi Albionii była wystarczająco delikatna. W tej chwili to od tubylców zależało, czy dotrą do celu.

– Zastanawiałem się, jak po wszystkim wrócimy do domu – powiedział.

Elf zaśmiał się.

– Dobrze, że patrzysz optymistycznie w przyszłość, Felixie Jaegerze.

– Jak to?

– Kto powiedział, że po wszystkim wrócimy do domu?

– Zawsze lepiej mieć jakiś plan.

– Zajmiemy się tą sprawą, gdy przyjdzie jej czas – odrzekł elf i ponownie skupił uwagę na szlaku wodnym. Wyglądało na to, że próbuje zapamiętać ich trasę. Felix pomyślał, że być może elf był do tego zdolny i przeklinał mgłę z deszczem.

– Czy tak zawsze jest? – spytał Murdo.

– Zwykle nie jest tak ładnie – odpowiedział z szerokim uśmiechem Dugal, jeden z ludzi z Crannog.

Felix śmiał się, dopóki nie zdał sobie sprawy, że człowiek nie żartował.

Na początku podróży Felix zauważał tylko odgłos wody chlupoczącej o boki łodzi oraz świst drągów wsuwanych w wodę. Czasami jeden z mężczyzn coś burknął i milkł jakby speszony tym, co uczynił. Po pewnym czasie Felix zaczął wychwytywać inne dźwięki – krzyki ptaków, powarkiwania zwierząt, odległe, ukradkowe chlupnięcia, jakby coś dużego wślizgnęło się do wody. Powietrze było przejmująco wilgotne i pachniało zgnilizną. Coś w tym bagnie przypominało mu stary, na wpół zrujnowany dom nad rzeką, do którego wybrał się kiedyś wraz bratem, gdy jako dzieci szukali przygód. Tutaj też wyczuwał aurę opuszczenia i zimnego mroku. Miał to samo wrażenie, że tuż poza zasięgiem wzroku poruszają się jakieś istoty. Spoglądając wstecz na tamtą dawną wyprawę Felix był pewien, że najgorsze rzeczy w tamtym miejscu były zaledwie wizjami podsuwanymi przez własną wyobraźnię. Tutaj nie był tego tak pewien.

Albion był nawiedzoną krainą. Nie trzeba było być magiem jak Teclis lub Max Schreiber, by o tym wiedzieć. To dało się wyczuć. W tym miejscu działały stare potęgi, silna magia unosiła się w powietrzu, którym oddychali. Pomyślał o opowieści Teclisa, który twierdził, że wyspa była integralną częścią magicznej materii świata, i teraz był w stanie w to uwierzyć.

Wszędzie wokół dostrzegał pokręcone drzewa wznoszące się nad mętną wodą. Przypominały groźne trolle. Wyglądały bardziej jak niekształtne złe olbrzymy niż rośliny. Między gałęziami przebiegały jakieś stworzenia. Raz coś spadło na pokład łodzi przed nim i zaczęło pełzać po deskach. W pierwszej chwili Felix pomyślał, że to był wąż, ale potem zauważył, że stworzenie było podzielone na segmenty i przypominało owada. Culum zdeptał je stopą w ciężkim sandale i spojrzał na Felixa, jakby żałował, że stworzenie nie było jego gardłem.

Murdo zbliżył się, by przyjrzeć się ścierwu. Felix obejrzał szczątki wraz z nim. Przypominało wielką stonogę, ale miało szczęki, podobne jak u mrówki.

– Drzewołaz – powiedział stary człowiek. – Masz szczęście, że cię nie użądlił.

– Jadowity? – spytał Felix.

– Aye – widziałem raz ugryzionego człowieka. Zanim można go było opatrzyć, jego ramię spuchło, szerniało i nabiegło jadem. Musieliśmy je odciąć. Mimo to umarł bredząc o demonach i potworach. Niektórzy z pozostałych szamanów i czarowników gromadzą jad i używają go w niewielkich ilościach, by sprowadzać wizje. Myślę jednak, że to droga do szaleństwa.

Teclis podszedł i spojrzał na truchło insekta. Jego oczy lśniły zainteresowaniem.

– Ciekawe – powiedział przewracając stworzenie na grzbiet sztyletem. – Nigdy nie widziałem tak wielkiego okazu.

Felix zdumiewał się, jak można było z takim spokojem mówić o czymś tak obrzydliwym. Sam widok stworzenia wywoływał w nim dreszcze. Jego odnóża poruszały się pomimo, że korpus został zmiażdżony w połowie długości. Teclis wyciągnął ze swojej szaty małą torebkę i ostrożnie otworzył głowę owada odsłaniając gruczoły jadowe. Wyjął je ostrzem noża i umieścił w sakwie. Wykonał gest i wypowiedział słowo, a torba została zapieczętowana.

– Nigdy nie wiadomo, może później będą miał okazję tego spróbować.

– Dekadencki golibroda – dobiegł ich głos z tyłu łodzi. Felix był pewien, że należał do Gotreka.

* * *

Felix usiadł w głębi łodzi i słuchał odgłosów zapadającego zmierzchu. Dźwięki brzmiały nieco inaczej. Zaśpiewy ptaków przycichły i były mniej melodyjne. Czasami przelatywało z łopotem nad nimi coś dużego i skrzydlatego. Z wody wynurzały się lśniące robaki, które krążyły wokół jak zagubione dusze. Cienie wydłużyły się. Całe otoczenie nabrało dziwnego i raczej niepokojącego piękna.

- Jak długo jeszcze? – spytał Murdo. Starzec stał niewzruszony, nie okazując zmęczenia, chociaż tkwił na swoim miejscu przez większość dnia.
- Cóż za niecierpliwość, chłopcze. Dotarcie do Mądrej zabierze nam więcej niż dzień na wodzie, ale nasza podróż na dzisiaj dobiegła już prawie końca. Zacamujemy w pobliżu Nawiedzonej Cytadeli.
- To brzmi zachęcająco – ironizował Felix.
- Nie trzeba się lękać. To miejsce stało opuszczone przez dziesięć pokoleń.
- Miejmy nadzieję – powiedział Felix, gdy z mgły wynurzył się olbrzymi, złowieszczo wyglądający zarys kamiennej budowli.

Rozdział 15

Ludzie z Mokradeł Crannog zatrzymali barkę tuż poza zasięgiem lotu strzały z wyspy. Uczynili to po prostu wbijając drągi w dno i przywiązując do nich łódź długimi, konopnymi linami. Na dziobie i rufie stało dwóch mężczyzn. Pozostali wyciągnęli mięso, chleb i ser z sakw, po czym zaczęli pociągać whisky z flaszek, mieszając je z czymś, co pachniało jak piwo nalewane z wielkich skórzanych bukłaków. Murdo zaproponował trochę Felixowi.

– Lepiej napij się tego. Tutejsza woda często bywa niezdatna do picia i nawiedzana przez występne duchy zarazy.

Felix poczęstował się. To było cienkie piwo, słodowe i rozwodnione. Słyszał, że niektórzy twierdzili, iż proces warzenia oczyszcza wodę. W każdym razie cieszył się, że miał cokolwiek do picia. Teclis stał na dziobie przyglądając się ruinom. Mgła rozstąpiła się częściowo i nad głowami majaczyły księżycy. Przyjrząwszy się kamiennym ścianom Felix domyślał się, że budowla nie została postawiona przez ludzi. Ta konstrukcja miała w sobie coś, czego nie do końca potrafił ogarnąć.

– Brama jest zbyt niska i przysadzista – powiedział Gotrek, jakby odgadł jego myśli. – W kamieniach wyryte są runy. Można je dostrzec pod mchem.

– Jeśli widzi się tak dobrze w ciemności, jak krasnolud – odpowiedział Felix, chociaż nie wątpił, że Zabójca ma rację.

– To miejsce nie zostało zbudowane przez mój lud, ani twój – stwierdził Gotrek. – Ani przez elfy. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Ja widziałem – powiedział Teclis. – Na wybrzeżach Lustrii. W jednym z porzuconych miast slannów, zarośniętym przez parną dżunglę.

– Myślałem, że slannowie to tylko legenda – powiedział Felix.

– Przekonasz się, że w wielu legendach kryje się prawda, Felixie Jaegerze.

– Uczyli mnie, że oni wymarli dawno temu. Zostali wygnani z ziemi przez bogów, zgładzeni ogniem, powodziami i zarazami, jako karą za ich występki.

– Sądzę, że nadal żyją – powiedział z rozważą elf, tak jakby zastanawiał się nad własnymi słowami. – Sądzę, że w sercu Lustrii nadal istnieją miasta, w których praktykują swoje pradawne obrzędy.

– Dlaczego tutaj miałyby się znaleźć forteca slannów? Jesteśmy daleko od Lustrii.

– Nie wiem. Slannowie lubią miejsca, gdzie jest ciepło. Są zimnokrwistą rasą i chłód sprawia, że stają się ospali. To miejsce jest bardzo stare – może gdy zostało zbudowane klimat był inny? A może były inne powody? – elf miał chyba pewne pojęcie, jakie mogły być te powody, ale nie chciał o nich rozmawiać. – Nigdy bym nie przypuścił, że znajdziemy coś takiego tutaj, w sercu Albionu.

– Nie znaleźliście tego – powiedział Murdo. – Wiemy o tym miejscu od stuleci.

– Chciałbym bliżej się temu przyjrzeć – powiedział elf.

– Rankiem – odparł Murdo. – Wtedy będzie więcej światła i bezpieczniej.

– Nie potrzebuję światła – rzekł Teclis. – I nie lękam się niczego, co możemy tu znaleźć. A jutro musimy ruszać dalej.

– A zatem proponujesz wyjście na ląd?

– Owszem.

– Wobec tego będę ci towarzyszyć, podobnie jak Culum i Dugal. Przysięgłem ci pomagać, a okryłaby mnie hańba, gdyby stała ci się krzywda.

Felix spojrzał na Gotreka wiedząc już co powie Zabójca.

– Dokądkolwiek może pójść elf, krasnolud także pójść może.

Felix wzruszył ramionami. W tym miejscu było coś, co mu się nie podobało – jakaś niesamowitość, która nie miała nic wspólnego z tym, że to miejsce było opuszczone. Wywoływało raczej wrażenie jakiejś dziwnej, nieludzkiej obecności kryjącej się w ruinach. Felix wmawiał sobie, że to była tylko jego wyobraźnia, podsycana późną godziną, mgłą i rozmową o przedludzkich slannach.

W głębi ducha wiedział jednak, że to było coś więcej.

Mężczyźni z Mokradeł Crannog przepchali barkę bliżej brzegu, do miejsca gdzie wielki korzeń drzewa przebiegał przez pęknięty mur i zniknął pod wodą niczym palec jakiegoś olbrzyma kurczowo trzymającego się krawędzi wyspy. Teclis wyskoczył z łodzi i swobodnie wylądował na korzeniu, przebiegł wzdłuż pniaka i zniknął za murem.

Gotrek poszedł następny. Jego topór z łatwością wbił się w drewno i krasnolud podciągnął się na jego trzonku. Z kocią zręcznością, tak jak elf, on także zniknął cicho w wyrwie muru. Wokół nich zawirowały świecące robaczki.

– Niektórzy mówią, że to są dusze zmarłych, którzy potonęli na bagnach – powiedział Dugal. – Znaczący, świetliki.

Nikt mu nie zaprzeczył. Felix wyskoczył w górę, wlaź na gałąź i ruszył dalej. Murdo i Culum podążyli za nim. Kilku pozostałych współplemieńców podało im pochodnie. Felix wysunął ręce i z zaskoczeniem stwierdził jak mokra, śliska i oślizgła była ta powierzchnia. Poczuł, że palce zaczynają się ześlizgiwać, po czym rozpaczliwie i niezgrabnie podciągnął się. Powierzchnia gałęzi także wydawała się śliska i mokra. Zdumiewał się z jaką łatwością Teclis i Gotrek pokonali tę przeszkodę i sięgnął po podawaną mu pochodnię. Z szeroko rozłożonymi ramionami, z pochodnią w jednej dłoni i mieczem w drugiej, szedł ostrożnie wzdłuż konaru i zagłębił się w ruinach konstrukcji zbudowanej przez Starszą Rasę.

* * *

– Spójrzże tylko na to – powiedział Dugal, przeklinając cicho.

– Nic dziwnego, że ludzie unikają tego miejsca – stwierdził Teclis.

Felix zrozumiał co miał na myśli, gdy spojrzał w dół na ruiny. W obrębie murów kryło się wiele mniejszych budynków. To co mogło być łączącymi je ulicami, teraz stało się kanałami, a w najlepszym razie bardzo leniwymi rynsztokami słonawej wody. Między niektórymi budynkami rozwieszały się wielkie pajęczyny. W niektórych wisiały splątane truchła wielkości dużych zwierząt lub ludzi.

– Nie chciałbym spotkać pająka, który utkał coś takiego – powiedział Felix.

– Ja chciałbym – odrzekł Gotrek, przesuając groźnie kciuk wzdłuż ostrza swojego topora.

– Już się napatrzyłeś? – Felix spytał elfa. Miał nadzieję, że mag będzie zniechęcony i zechce wrócić. Felix mógł jednak domyśleć się, że Teclis nie okaże więcej rozsądku od Gotreka.

– Jest coś dziwnego w tym miejscu – powiedział Teclis. – Wyczuwam tu moc, jak w kamiennym kręgu. Może znaleźliśmy kolejne wejście na Ścieżki Pradawnych?

– Doskonale – powiedział z ironią Felix. – Czy to dlatego chciałeś, żebyśmy zwiedzili to miejsce – bo już wcześniej coś wyczułeś?

– Po części, tak. Ale jestem naprawdę tym zainteresowany.

– Założę się, że tak jest.

Felix mógłby przysiąc, że gdzieś w oddali dostrzegł poruszenie czegoś dużego. Wskazał to pozostałym.

– To pająk – powiedział Teclis. – Wielki. Zaczynam rozumieć co się dzieje na tych bagniskach. Te pokręcone drzewa i świecące, zmutowane insekty potwierdzają moje domysły. Wypaczyła je moc

ukryta w ruinach. Jej zły wpływ musiał splugawić wszystko w promieniu kilku mil.

– A więc to dlatego niezdrowo jest pić wodę w tej okolicy – powiedział Murdo, jakby słowa elfa zgadzały się z czymś, o czym wiedział już od dawna.

– Z pewnością. Nie pijcie i nie jedzcie niczego, co tutaj znajdziecie.

– Dzięki za przypomnienie – powiedział Gotrek. – Zamierzałem urządzić ucztę.

– Nigdy nic nie wiadomo z krasnoludami – odparł Teclis. – Słyszałem, że żywicie się ślepyimi rybami i grzybami znajduwanymi w najciemniejszych głębiach pod górami.

– A do czego zmierzasz?

– Nie wiadomo, co krasnolud może zjeść.

– Zabawnie to słyszeć od kogoś, kto zjada słowicze języki skowronków marynowane w owczych wymiocinach.

– W auszpiku – sprostował Teclis.

– To przecież to samo, prawda?

– Będziemy tu stali przez całą noc dyskutując o kulinariach, czy ruszymy dalej? – spytał Felix. Elf i krasnolud wbili w niego wzrok. Felix zaczynał podejrzewać, że w jakiś chory sposób ci dwaj czerpią przyjemność z wymiany uszczypliwości.

Ruszyli wzdłuż ściany. Po prastarych śliskich schodach zeszli nad brzeg wody. Murdo sprawdził głębokość włócznią i okazało się, że sięga tylko do bioder. Wokół nich wirowały świecące robaki.

Felix spojrzał na nich.

– Chyba nie myślicie poważnie, żeby przez to przechodzić, prawda? Kto wie, co czai się w tej breji?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, człeczyno – powiedział Gotrek z chlupotem wskakując w wodę. Zatrzymała się w połowie wysokości piersi krasnoluda. Idąc, Gotrek ostrożnie trzymał topór nad wodą. Teclis ruszył za nim, ale jego stopy nie zanurzyły się pod powierzchnią. Zamiast tego stąpał swobodnie nad nią. Jego piękne obuwie nie wydawało się nawet odrobinę zamoczone.

Pozostali poszli za Gotrekiem trzymając wysoko pochodnie, aby nie zgasły. Felix przez chwilę chciał zaproponować, że poczeka na nich, dopóki nie wrócą. W tej śmierdzącej, zastałej wodzie było coś, co mu się nie podobało. Czuł, że każdej chwili coś może wynurzyć się spod jej powierzchni i porwać go. Zatrzymał się na moment, a potem zacisnął zęby i wszedł do wody. Ciecz otoczyła go z chlupotem. Była cieplejsza niż się spodziewał. Zapach zgnilizny nasilił się.

Spowolniony przez wilgotny opór wody parł naprzód śladem pozostałych. Nie był zachwycony. Otaczali go barbarzyńcy i wielkie zmutowane owady. Tkwił po pas w śluzie, pośrodku zamglonego, nawiedzonego trzęsawiska setki mil od domu – czy mogło być gorzej?

W tej chwili zauważył, że ukąsił go owad i miejsce ukąszenia zaczęło puchnąć. Pomyślał, że bogowie udzielili mu odpowiedzi na jego pytanie. Spojrzał na Teclisa nienawistnym wzrokiem. To było bardzo denerwujące, że elf był tak spokojny, czysty i opanowany, gdy wszyscy pozostali cierpieli. Poczłł irracjonalną ochotę, by ochlapać go błotem, albo pociągnąć za jego płaszcz, żeby elf także unurzał się w breji. I znał przynajmniej jedną osobę, która poparłaby go, gdyby to uczynił.

Usiłował wziąć się w garść. Był po prostu zmęczony i przestraszony, więc próbował skupić agresję na najbliższym celu. Jeśli wydarzenia miały potoczyć się tak, jak to wszystko wyglądało, wkrótce mógł mieć inne zmartwienia. I wiedział, że to właśnie napawało go prawdziwym lękiem.

Idący z przodu zbliżyli się do czegoś. Pień przewróconego drzewa przebiegał między dwoma budynkami nad stojącą wodą. To wyglądało jak prymitywny most. Felix ciekaw był, czy to było dzieło jakiejś rozumnej istoty. Tylko tego potrzebowali – myślących wielkich pajaków. Chociaż nie

rozumiał na co pająkom most.

– To wygląda jak robota ludzi – usłyszał Teclisa.

– Słyszałem opowieści o mutantach i innych degeneratach mieszkających głęboko na bagnach.

Może wybrali to przekłete miejsce na swoje schronienie?

– Przypomnijcie mi po co tu przyszliśmy? – spytał Felix, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Byli zbyt zajęci wdrapywaniem się na pień. Potem podeszli do otworu w pobliskim budynku. Felix postanowił pójść za nimi.

Budowla wewnątrz była ciężka, wycięta z wielkich, tytanicznych bloków skalnych. Kamieni nie spajała zaprawa, ale bloki były tak przemyślnie ułożone, że wydawały się niemożliwe do poruszenia. Tego wrażenia nie rozpraszały nawet porosty, gałęzie i korzenie biegnące wzdłuż szczelin.

Wydawały się bardziej organiczną częścią tego miejsca, fragmentem ogólnego wzoru niż przypadkowym wtargnięciem przez naturę. Felix przekonywał sam siebie, że ponosi go wyobraźnia.

Zauważył, jak Gotrek przesuwając swoje krótkie paluchy po kamiennej ścianie. Przyglądając się uważniej stwierdził, że Zabójca szukał dalszych dziwnych wzorów runicznych. Znowu wszystkie miały proste kąty i przypominały tatuaże mężczyzn z Mokradeł Crannog. Felix był ciekaw, jakie znaczenie miały te znaki.

Woda kapłała z sufitu nad nimi, tworząc kałuże na podłodze. Stworzenia o błyszczących ślepiach umykały przed światłem ich pochodni i Felix cieszył się, że zauważał je tylko przelotnie. Nie przepadał za tak wielkimi stworzeniami, które szurały odnóżami. Weszli do komnaty i zobaczyli kości zaścieniające podłogę. Zostały rozbite do wyssania szpiku. Zabójca także im się przyjrzał.

– Ludzkie – powiedział. – Albo moja matka była trollicą.

Murdo i Dugal potaknęli.

– I zjedli ich na surowo – powiedział Teclis drząc lekko. Felix nie sądził, by to sprawiało jakąkolwiek różnicę. Wątpił, żeby mieszkańcy tego miejsca potrafili rozpałać ogień. Chwilę później zdumiewał się co w niego wstąpiło. Zastanawiał się nad trudnością rozpalenia ogniska, żeby upiec ludzi. Kiedyś po prostu uciekłyby z krzykiem z takiego miejsca. Teraz zaskakiwały go i trochę przerażały własne reakcje. Wiedział, że przebył daleką drogę od domu nie tylko w sensie dosłownym.

– Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu – powiedział Gotrek.

– Może wyszli na zakupy? – powiedział Felix.

Elf uniósł dłoń i otoczyło ją lśnienie, jaśniejące, aż dorównało blaskowi słońca. Cała komnata wypełniła się półcieniami. W pierwszej chwili Felix skulił się spodziewając zobaczyć jakiegoś wielkiego potwora, który ich zaatakuje, ale potem zauważył, że uwagę elfa przyciągnął masywny kamienny stół pośrodku podłogi. Teclis położył na nim dłoń i ogień rozprzestrzenił się pochłaniając mech i liszaje, które wyschły i zniknęły w kłębach dziwnie pachnącego dymu. Gdy to uczynił, Felix zobaczył odkryty wzór na powierzchni stołu. Wzór wyglądał dziwnie znajomo, chociaż Felix za nic nie mógł domyśleć się dlaczego.

– Co to takiego? – spytał.

Elf nie odrywał wzroku od blatu.

– Jeśli się zbytnio nie mylę, w co wątpię, to jest mapa.

Linie wyryte na stole rzeczywiście mogły tak wyglądać.

– Mapa czego? – pytał Felix.

– Świata.

Felix zaśmiał się, rozumiejąc dlaczego to wyglądało znajomo. Część wzoru przypominała posiadane przez jego ojca mapy Starego Świata. Tylko część jednak.

– Nie może być. Nie ma żadnego lądu tak blisko wybrzeża Tesalii – zauważył. – Gdyby istniał, odkryliby go nasi żeglarze.

Teclis przesunął palcem wzdłuż części wzoru. To był pierścień wysp otaczający centralne morze.

– To wygląda jak Ulthuan – rzekł. – Ale nim nie jest. Nie całkiem.

Ponownie przesunął dłoń.

– To wybrzeże Północnej Lustrii, ale w niewłaściwym miejscu. A to zimne piekło Naggaroth, ale jego położenie w stosunku do obszaru, który powinien być Ulthuanem nie zgadza się.

– Może twórca mapy nie miał tak bystrych oczu jak my? – zasugerował Gotrek. Felix nie był pewien, czy nie usłyszał w tym kpiny.

– Możliwe – odparł Teclis. – A może to mapa świata z innego czasu? Kiedy kontynenty były inne. Mówią, że Pradawni przesuwali lądy i umieścili je w nowych miejscach zgodnie ze swoim wielkim planem.

– A może – podpowiedział Felix – to mapa pokazująca, jak świat miał wyglądać ostatecznie?

– To jest, Felixie Jaegerze, myśl przerażająca – powiedział Teclis.

– Dlaczego?

– Ponieważ możliwe, że nadal ktoś zamierza do tego doprowadzić. Felix spojrzał na elfa, nie całkiem wiedząc, co odpowiedzieć.

– Może plany Pradawnych nie zostały ukończone? Może coś je przerwało? Może otwarcie ścieżek to znak, że obudziły się inne rzeczy?

– To szaleństwo – rzekł Felix nie potrafiąc zapanować nad myślami.

– Czy na pewno, Felixie Jaegerze? Mamy do czynienia z dziełem istot tak dalece przewyższających ciebie i mnie, jak my przewyższamy owady. Jak możemy ocenić co dla nich było szalone, a co nie? Równie dobrze mogliśmy doszukiwać się szaleństwa u bogów.

– Bogowie Chaosu są szaleni – stwierdził Gotrek.

– Może nie jest tak z ich punktu widzenia, Gotreku Gurnisssonie.

– Tylko elf mógłby powiedzieć coś takiego.

– Zapewne dlatego, że nie podchodzimy tak sztywno do rozumowania.

– Ani do moralności.

– Tylko elf i krasnolud mogą się wyklócać o takich sprawach rozmawiając o końcu świata – powiedział Felix. Obaj spojrzeli na niego groźnie. – Jeśli kontynenty rzeczywiście zaczną przesuwać się jak dywany, nasze ludy i miasta zostaną zmielone na pył.

– Jeśli... – powiedział Gotrek. – Na razie usłyszeliśmy tylko luźne spekulacje szpiczastouchego wielbiciela drzew, który wyśpiewuje swoje zakłęcia, gdy...

– Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, że on ma rację, trzeba coś zrobić – powiedział szybko Felix, zanim kłótnia zdążyła rozpuścić się na dobre. – Ziemia się zatrząsie, góry spluną deszczem ognia, pył spaczenia spadnie z nieba...

Jeszcze wypowiadając te słowa Felix zdał sobie sprawę, że opisuje wydarzenia z legendarnej ery przed Sigmarem i powstaniem Imperium. Zauważył, że ta myśl uderzyła także elfa.

– Może to wszystko stało się już wcześniej? – rzekł Teclis. – Podczas Wieków Zarania, jeszcze przez Wojnę o Brodę, gdy elf i krasnolud byli sojusznikami przeciw wspólnemu wrogowi.

– To nie krasnoludy zdradziły złożone przysięgi – powiedział z rozdrażnieniem Gotrek.

– Prawda – przyznał elf. – Ale odsuwając na chwilę ten łatwy do przewidzenia wtęt muszę przyznać rację Felixowi Jaegerowi. Jeśli istnieje najmniejsza możliwość, by coś takiego miało się wydarzyć, wówczas należy zapomnieć o naszych odwiecznych sporach... na inny czas, ponieważ wiem jak nieprawdopodobne jest, by krasnolud kiedykolwiek porzucił urażę.

– Zdaje mi się, że wyciągacie daleko idące wnioski na podstawie jednej starej mapy. Kto powiedział, że to ma coś wspólnego z Pradawnymi i ich dziełem? – spytał Murdo.

Felix pomyślał, że w głosie starego pojawiło się coś dziwnego. Ciekaw był, czy pozostali to zauważyli.

– Cały Albion jest połączony z tymi tworamami – rzekł Teclis. – To węzeł ich dzieła. Stanowił bardzo ważną część ich wielkiego planu rzeczy, nie mniejszą niż Ulthuan. Ta forteca jest częścią większej całości, jestem tego pewien.

Murdo wyglądał na zakłopotanego, jakby elf poruszał sprawy, o których lepiej było nie wspominać.

Felix zastanawiał się, jak wiele Murdo naprawdę wiedział o tych rzeczach. Znał więcej pradawnych sekretów niż chciał się do tego przyznać.

– Może powinniśmy już wracać? – spytał Felix.

– Jeszcze nie – odparł mag. – Jesteśmy blisko wejścia do kolejnego portalu. Czuję to. Musimy to zbadać, zanim odejdziemy. Musimy zbliżyć się do serca tej budowli.

– Bałem się, że powiesz coś takiego – powiedział Felix. Elf zaśmiał się, jakby usłyszał żart.

Mgła zbliżyła się, gdy wyszli z komnaty. W jakiś sposób opary przenikały przez ściany. Świeące insekty unosiły się wśród nich. Ich brzęczenie drażniło uszy Felixa. Ugryzienia pokrywały całą skórę. Zauważył, że żaden z owadów nie zbliżył się nawet do elfa, chociaż dręczyły wszystkich pozostałych. Felix uznał to za irytujące. Elf prowadził ich coraz bardziej w głąb starożytnej budowli, przez labirynt kamiennych ścian, od którego kręciło się Felixowi w głowie. Czasami dochodzili do ślepych zaułków i byli zmuszeni cofać się po własnych śladach. Czasem przejścia skręcały pod kątem prostym bez dostrzegalnego powodu. Elf nie wydawał się zaskoczony. Kiwał tylko głową, jakby to było potwierdzeniem jakiś jego domysłów.

Felix podszedł do Gotreka, który znacznie lepiej czuł się w takich miejscach.

– Potrafisz nas stąd wyprowadzić? – spytał szeptem.

– Aye, człeczyno, żaden krasnolud nie zgubiłby się w tak prostym labiryncie. Znalazłbym drogę powrotną z zawiązanymi oczami, gdyby było potrzeba.

– Nie sądzę, by to było niezbędne. Chociaż byłby to czyn zdumiewający.

– W tym miejscu jest coś dziwnego.

– Co takiego?

– Ten labirynt został zbudowany pozornie bez planu i zamysłu. Spójrz na lewo, a zobaczysz ślepy koniec. Na prawo, jeśli pójdziemy w tę stronę, z pewnością okaże się, że gdy korytarz skręci, także doprowadzi do ślepego końca.

– Skąd ta pewność?

– Tu jest wzór. Oczywisty.

– Nie dla mnie – odparł Felix.

– Nie jesteś krasnoludem wychowanym w bezkresnych korytarzach Karaz-a-Karak.

– Prawda. Jaki dostrzegasz wzór?

– O ile się nie mylę, taki sam jaki widzieliśmy na kamieniach na Ścieżkach Pradawnych i wryty na kamiennych ścianach kurhanu w Sylvanii, oraz na murach tej budowli. Przypomina nawet wzory tatuaży na twarzach naszych przyjaciół.

– Pamiętasz to wszystko? – spytał zdumiony Felix.

– Krasnoludy mają dobrą pamięć nie tylko do uraz.

Felix pomyślał o tym i stwierdził, że zapewne była to prawda. Nigdy nie słyszał, by Zabójca skłamał. Ale jeśli tak było, wówczas to wszystko stanowiło element wielkiej układanki, której Felix

nie do końca rozumiał. A jeśli elf miał rację, zapewne nigdy jej nie pojmie. Jego umysł nie był w stanie zrozumieć stworzeń, które budując coś takiego mogły dorównywać potędze bogów.

Labirynt biegł dalej aż znaleźli się w komorze u szczytu wielkiej jamy. Sufit powyżej zapadł się i tony skał spadły do otworu miażdżąc wszystko, co leżało poniżej. Ciężkie pajęczyny stworzyły nowe sklepienie i zatrzymywały część blasku słonecznego. Deszcz przesiąkał przez nie i zimne krople wywoływały u Felixa dreszcze.

– Jesteśmy w centrum tego miejsca. Wejście do ścieżek znajduje się dokładnie pod nami – powiedział Teclis.

Rozległ się szalony i ponury śmiech Gotreka.

– A zatem nie pójdziesz dalej. Daj mi stu krasnoludzkich górników i miesiąc, a może przebijemy się przez te skały. Może. O ile nie użyjesz swej magii, nie ma przejścia.

– Te skały nadal są częściowo chronione przez runy – stwierdził Teclis. – Dziesięciu magów mogłoby w dziesięć dni oczyścić to miejsce, ale nie ma na to czasu.

– Więc co teraz? – spytał Felix.

– Wróćmy i poszukamy innej drogi do naszego celu – powiedział Teclis spoglądając na Gotreka, jakby prowokował go, by coś powiedział.

Krasnolud zeszywniał i rozejrzał się wokół przekrzywiając głowę, jakby nasłuchiwał. Jego postawa wyrażała najwyższą uwagę i gotowość do walki.

– Coś się zbliża – powiedział Gotrek unosząc topór. – I wątpię, by było przyjazne.

Rozdział 16

– Co to takiego? – spytał Felix.

– Nic naturalnego – odrzekł Zabójca.

Ludzie już przygotowali swoją broń. Dugal i Murdo stanęli z uniesionymi włóczniami. Culum dobył wielki miot z kamienną głowicą. Teclis położył dłoń na swoim mieczu. Wzdłuż klingi przepłynęły srebrne runy.

Istoty, które wychynęły z wyjść po drugiej stronie nie wyglądały do końca jak pająki. Przed wszystkim kroczyły wzdłuż krawędzi wielkiej jamy tylko na sześciu długich, pajęczych odnóżach – Felix pomyślał, że to zabawne jak udawało mu się zauważać takie szczegóły w podobnych chwilach. Poza tym stwory miały niepokojąco ludzkie twarze umieszczone wysoko na korpusach. Oczy płonęły inteligencją, której nie posiadał nigdy żaden pająk. Ich boki płamiły świecące grzyby. Z ust dobywało się dzikie, głośnie zawrodo. Było ich może tuzin. Felix zauważył, że z przodu ciał stworzeń znajdowały się dwa mniejsze, chwytne ramiona. Może to jednak one zmiażdżyły tamte kości. Kilka z nich podbiegło do ścian i weszło na nie przywierając do nich. Za pajakami przybyła gromada ludzkich mutantów. Pokręcone istoty naznaczone stygmatami Chaosu, które spoglądały na pająki z mieszaniną strachu i zachwytu wchodziły do wielkiej sali wszystkimi przejściami. Byli uzbrojeni we włócznie, proce i pałki.

– Może powinniśmy stąd wyjść? – powiedział Felix.

Gotrek ruszył wzdłuż krawędzi jamy w kierunku pierwszej pajęczej istoty. Teclis uniósł ramiona i wysłał falę złotego ognia w ludzi. Kilku z nich rzuciło włócznie, które zapaliły się opadając w stronę maga i czerniejąc w locie. Wrzaski odbiły się od pradawnych ścian, gdy ich skóra stopiła się i spłynęła jak wosk. Mimo to, pająki nadal nadciągały. Gdy dotykały ich magiczne płomienie, plamiste wzory na ich bokach lśniły jaśniej i stwory wydawały się poruszać szybciej. Felix podejrzewał, że mogły być odporne na zaklęcia.

Teclis uniósł się w powietrze zajmując pozycję ponad centrum wielkiej jamy, po czym wykonał gest dłonią. Z jego rąk wystrzeliły błyskawice, które siekły po kamieniach. Iskry poderwały się z kałuży wody. Felix zobaczył jak mutant o gadzim pysku wyleciał w powietrze na kolumnie wyładowań. Pająki zignorowały to i nadchodziły.

– To starożytni demoniczni strażnicy – krzyknął Murdo. – Oszczędź swoich zaklęć.

W międzyczasie Gotrek dotarł do pierwszego pająka. Jego topór rąbnął w opancerzony bok. Zamiast przebić się jak normalnie bywało, wbił się głęboko w chitynę i utkwiał tam. Felix zadrżał na myśl jak odporne musiały być te stworzenia skoro wytrzymały przerażającą siłę ciosów Zabójcy. Czy było możliwe, że nadszedł ich koniec, tu w tym zapomnianym przez bogów padole w głuszy Albionu?

Nie miał więcej czasu na takie rozmyślenia. Dostrzegając kątem oka poruszenie wykonał unik. Pocisk wyrzucony z procy rozbił się o kamienną ścianę za nim. Felix przeklął i nie zatrzymywał się, szukając osłony. Zastanawiał się, czy nie powinien zdusić pochodni, przez którą stawał się tak dobrym celem. Wokół było dość światła, by widzieć, ale musieli wrócić kamiennymi korytarzami. W obecności pozostałych to nie będzie problemem, ale jeśli się rozdziela...

Nad sobą zauważył wielkiego demonicznego pająka, który poruszał się po ścianach. Strumień nici przedniej wystrzelił z jego bulwiastego odwłoku i trafił w podłogę obok Felixa. Człowiek uskoczył to tyłu, aby uniknąć lepkiej substancji i zauważył, że z przerażającą szybkością zbliża się do nich następny pająk. Zeskoczył ze ściany i wylądował pomiędzy Albionczykami rozpraszając ich. Felix natychmiast przekonał się, że to było działanie celowe.

– Nie dajcie się im żywcem! – krzyknął Murdo. – Złożą w was swoje jaja i uczynią takimi jak oni.

Felix stwierdził, że to dopiero była paskudna perspektywa i zakręcił pochodnią, by zabłysła jaśniej. Gdy stwór zbliżył się do niego, Felix rąbnął go w twarz pochodnią mając nadzieję, że oślepi potwora. Chwilę później jego miecz wbił się w twardą chitynę odnóży. Wymierzył w najślabszy punkt przebijając się przez staw. Istota zawyla z bólu, gdy jej noga odpadła. Czarny płyn buchnął z rany i zamknął ją. Kolejne odnoże wystrzeliło przed siebie. Uderzyło Felixa z siłą ciosu młota, przewracając na plecy. Pochodnia wypadła ze zdrtwiałych palców.

Przetoczył się na bok, gdy istota wyrosła nad nim i jeszcze raz opuściła przednią nogę. Felix zauważył na niej haki, które mogły obedrzeć skórę do kości. Ledwo udało mu się ich uniknąć, ale hak zaczepił o płaszcz przyszpilając Felixa do podłogi. Używając lewej ręki Felix rozpaczliwie usiłował zwolnić zapinkę płaszcza, jednocześnie dźgając w górę mieczem. Ostrze przebiło podbrzusze stwora i czarna ropa wyciekła z rany. Parzyła w zetknięciu ze skórą człowieka. Felix pomyślał, że być może to nie był dobry pomysł, a potem zauważył nogi zbliżających się mutantów.

Smród był powalający. To był odór pleśni, zgnilizny oraz czegoś starego i stęchłego, na dokładkę zmieszany ze smrodem przypominającym zgniłe jaja i skisnięte mleko. Poczul od tego nudności. Zmusił się jednak, by zacisnąć zęby i oburącz chwycił rękojeść miecza. Obrócił ostrze i dalej rozcinał ranę. Pałaca krew parzyła jego dłonie. Pajęczak zawył głośniej. Felix miał ochotę przyłączyć się to tego wycia, ale nie zrobił tego.

Mignęła błyskawica i zatańczyły płomienie. Wir złotego ognia omiółł pomieszczenie. Felix poczul, że jest ciągnięty pod pajakiem, który znowu ruszył w stronę ściany. Przyciskał głowę do piersi, aby nie rozbić jej o kamienie. Kark bolał go od tego wysiłku, a mięśnie napinały się jak liny pod skórą. Poczul jak miecz wysuwa się z rany. Rozejrzał się i stwierdził, że większość mutantów uciekała nie potrafiąc oprzeć się oślepiającej energii, którą czarodziej elfów uwolnił w komnacie. Felix wyrwał swój miecz i upadł na podłogę. Nad nim istota, którą ranił zapadała się jak przebity balon wypełniony żółcią, gdy potykając się w pośpiechu uciekała w stronę cienia.

Gdzie indziej sprawy nie miały się tak dobrze dla jego drużyny. Gotrek pokonał swoją bestię po prostu rąbiąc ją na kawałki. Bez względu na to jak twarde były pajaki, nie były na tyle odporne, by długo wytrzymać uderzenia straszliwego topora. Jednak Felix widział jak trzy kolejne stwory zaczęły otaczać Zabójcę, wyrzucając ze swoich odwłoków lepka, pajęczą substancję, która spowalniała krasnoluda. Jeszcze dwa nacierały na ludzi z Mokradeł Crannog. Jeśli istniały jeszcze inne stwory, nie było ich widać.

Felix popędził w stronę Gotreka. Jednym skokiem znalazł się na grzbiecie pajaka. Palcami uchwycił drobną sierść, która pokrywała grzbiet i wciągnął się na górę. Istota zaryczała, jakby zrozumiała co zamierza człowiek. Usiłowała sięgnąć grzbietu małymi przednimi ramionami, aby go złapać, ale kończyny były zbyt krótkie, a pozostałe odnoża tak ustawione, że nie mogły go zrzucić. Felix zacisnął zęby i wbił miecz w tył humanoidalnej głowy stworzenia. Jego palce były już zdrtwiałe od trucizny, w której wcześniej się unurzały i rozpaczliwie pragnął ranić stwora, zanim całkiem zeszytnieją.

Gdy ostrze uderzyło, twarz potwora zawyla dziwacznie, jak ludzkie dziecko. Demoniczny pajak zaczął wierzgać i rzucać się na boki usiłując zrzucić swoje brzemię. Felix trzymał się mocno i nie przestawał kłóć, aż szamotania stwora zaczęły wreszcie słabnąć. Gdy pajak zataczał się w przód i w tył, Felix zdążył rzuć okiem na pozostałych.

Culum częściowo rozbił na miazgę pajaka swoim ciężkim młotem, a Murdo wbijał włócznię w jego wrażliwe ślepia. Dugal jednak krzyknął, gdy porwały go w górę dwie potworne szczękoczułki. Pajak, który go chwycił cofnął się w stronę wyjścia. Felix chciał pomóc, ale nic nie mógł zrobić.

Wokół elfiego czarodzieja opadła fala ognia, która pochłonęła Gotreka. Felix był zdumiony widząc tak zdradziecką sztuczkę. Czy Teclis oszalał, skoro chciał zabić najpotężniejszego wojownika w samym środku tej rozpaczliwej walki? A może od początku był w zмовie z tymi nikczemnymi demonami? Czy jego umysł został zatruty przez jakąś złą magię? Felix poczuł rozpacz ogarniającą jego zdrętwiałe i obolałe ciało. Jeśli elf był przeciwko nim, wszelka nadzieja przepadła.

Jednak kilka uderzeń serca później metoda kryjąca się za szaleństwem czarodzieja stała się jasna. Płomienie zamigotały wokół Gotreka pochłaniając lepkie sieci, które groziły jego unieruchomieniem. Sekundę później potężny cios topora rozrząbał korpus jednego ze stworów. Obie połowy poruszały się przez chwilę, a potem upadły na ziemię. Szamotanie stwora pod Felixem ustawało. Czas był najwyższy, bowiem zdrętwiałe palce człowieka z coraz większą trudnością utrzymywały miecz. Pchnął jeszcze raz na wszelki wypadek, a potem puścił się i przetoczył, aby zmniejszyć wstrząs po zderzeniu z podłogą.

Szybko poderwał się na nogi i pobiegł pomóc Dugalowi. Myśląc, że odnalazł słaby punkt stwora, wymierzył w miejsce, gdzie noga łączyła się z korpusem i pancerz wydawał się mniej zwarty. To było trudne uderzenie i jego pierwszy cios chybił. Drugie pchnięcie trafiło w cel. Miecz znalazł słaby punkt w pancerzu i wbił się z łatwością. Felix jeszcze raz obrócił ostrze. Istota wierzgnęła i skrzyła się w agonii, zrzucając Dugala. Chwilę później Culum i Murdo byli już na niej tłukąc ją młotem i dźgając z mściwą nienawiścią. Stwór szybko wycofał się w ciemności, zostawiając ich samych, by mogli zobaczyć, jak Gotrek masakruje swojego przeciwnika.

Felix przyjrzał się Dugalowi. Człowiek przestał krzyczeć. Leżał nieruchomo, zimny jak trup. Felix zauważył dziury w jego koszuli. Wyjął nóż i rozciął ją. Ciało pod spodem było posiniaczone i powoli krwawiło w miejscach, gdzie szczęki przebiły skórę. Widząc przerażenie w oczach mężczyzny było jasne, że jest nadal świadomy i wie, co się z nim dzieje.

Murdo przykucnął obok Dugala. Przesunął dłońmi nad raną i wyszeptał inkantację. Z jego wytatuowanych palców przeskoczyło na ranę światło. Oczy Dugala zamknęły się i jego oddech stał się jeszcze płytszy. Stary człowiek potrząsnął głową.

Teclis opadł na ziemię niczym liść i klęknął obok Murdo.

– Piękne zaklęcie. W tej chwili nie mogę zrobić więcej – bez odpowiednich ziół lub dostępu do pracowni alchemicznej. Mogę tylko spowolnić rozprzestrzenianie się jadu.

– To powinno wystarczyć – powiedział Murdo. – Jeśli zdołamy donieść go do Wyroczni na czas. Nikt nie ma takich zdolności uzdrowicielskich jak ona.

Przez oblicze elfa przemknął wyraz pewnego niezadowolenia. Felix pomyślał, że elf nie mógł być aż tak próżny. Uniósł dłonie i spojrzał na nie zastanawiając się, czy było możliwe, by żółc pająka mogła zatruć także jego. Dłonie były pokryte sinym barwnikiem i bardzo go bolały.

Elf spojrzał na nie i wypowiedział słowo. Iskra przeskoczyła z jego dłoni na rękę Felixa. Niebieska powłoka stwardniała, popękała i odpadła płatami zabierając ze sobą wierzchnią warstwę naskórka. Dłonie Felixa były teraz różowawe i bolały jeszcze bardziej, jakby ktoś połał otarcia alkoholem. Płynny ogień pomknął żyłami na wierzchu dłoni. Ściągnęła szarpnęły i zadrżały, a potem zwiotczały.

– Jeśli był tam jakiś jad, został oczyszczony, Felixie Jaegerze – powiedział elf.

– Dzięki, chyba – odparł Felix. Jego dłonie nadal piekły i trzymanie miecza sprawiało mu ból. Jednak, skoro alternatywą była śmierć, wołał już to.

– Teraz nic już tu po nas – powiedział Teclis spoglądając ponownie w głąb jamy. – Lepiej ruszajmy. Szybko.

Gotrek spojrzał z zadumą w stronę pajaków i Felix domyślał się, że krasnolud ma zamiar

zapolować na nie. W tej chwili Felix nie miał na to ochoty. W końcu jednak krasnolud potrząsnął głową i odwrócił się, by pójść za nimi. Culum niósł Dugala z taką łatwością, jakby to było dziecko. Miał taki wyraz twarzy, jakby to wszystko stało się przez Felixa.

Pojawili się w blasku księżyca. Lśnił w ciemnej, oleistej wodzie zalewającej częściowo budynku. Pozostali tubylcy powitali ich z niepokojem.

– Myśleliśmy, że porwały was demony – powiedział niski, krępy mężczyzna jeszcze bardziej wytatuowany od pozostałych. – Chciałem pójść was szukać.

– Nie trzeba, Logi – odpowiedział uprzejmie Murdo. – Jesteśmy z powrotem.

– Dugał nie wygląda dobrze – zauważył Logi.

– Ukąsił go jeden ze stworów, które tam czyhały.

– To nic dobrego.

– Nie.

Felix zauważył, że wszyscy tubylcy spoglądają na niego ciężkim wzrokiem, jakby oni także oskarżali go za to co się stało ich pobratymcowi. Kilka niepokojących sekund zajęło mu zrozumienie, że w istocie spoglądali na stojącego za nim elfa. Czarodziej nie dawał po sobie poznać, by to zauważał, ani przejmował się tym chociaż nie mógł nie dostrzec wrogiej gromady. Felix zazdrościł mu opanowania, a może to była po prostu arogancja.

Nie mówiąc słowa, elf zbliżył się do Dugala, który leżał na mokrym drewnianym pokładzie na dnie barki. Przechylił głowę na bok, jakby zastanawiał się nad czymś, a potem zaczął powoli wyśpiewywać coś, co brzmiało jak pieśń żałobna. Na początku nic się nie stało, a potem Felix zobaczył jakby promienie większego księżyca skupiały się na różdżce elfa. Powoli laska rozjaśniała się delikatnym światłem. Felix zauważył, że elf ciągle przywoływał imię Lileath, bez wątpienia jakiegoś boga, albo bogini z jego panteonu. Pozostali patrzyli z dłońmi spoczywającymi na broni, niepewni co się dzieje. Pomimo bolących dłoni Felix uczynił to samo. Zauważył, że jego skóra zaczyna mrowić i poczuł, jak włosy stają mu dęba na karku. Wyczuł dziwną obecność, unosząc się tuż poza zasięgiem wzroku, ale gdy tylko odwracał głowę, niczego nie mógł dostrzec. Miał tylko niepokojące wrażenie, że cokolwiek to było stało tam, tuż na krawędzi widzialności.

W końcu z laski elfa rozwinęła się sieć światła. Długie srebrne nici, jakby utkane z księżycowego blasku, odwinęły się z różdżki jak z wrzeciona. Zeskoczyły z różdżki na skurczonego, jęczącego Dugala i owijały go, aż zaczął błyszczeć niczym księżyc odbijający się w wodzie. A potem zaczęły powoli blednąć, zostawiając mężczyznę pozornie bez zmiany. Felix zastanawiał się, czy tylko on zauważył, że pierś mężczyzny przestała wznosić się i opadać. Nie musiał czekać długo.

– Zabiłeś go – powiedział Culum, podnosząc groźnie swój młot.

Elf potrząsnął głową. Wielki mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął piersi Dugala.

– Jego serce nie bije – stwierdził.

– Poczekaj – odrzekł Teclis. Oblicze Culuma przesłonił wyraz niepewnej koncentracji. Milczenie pogłębiło się, gdy mijały długie chwile.

– Poczuję tętno – powiedział Culum. – Ale teraz zamarło.

– Czekaj dalej.

Felix zliczył następne trzydzieści własnych szybkich uderzeń serca, zanim Culum znowu skinął głową.

– To zaklęcie zatrzymania – powiedział Teclis. – Spowolniłem jego funkcje życiowe – oddech, bicie serca, wszystko. Dla niego czas mija w ułamku prędkości dla reszty nas. Rozprzestrzenianie się jadu zostało spowolnione i wydłużył się czas, jaki pozostał do śmierci.

– Jego ból także trochę się zmniejszył – dodał elf, jakby po namyśle.

- Ale i tak umrze? – spytał cicho Murdo.
- O ile wasza Wyrocznia nie zrobi czegoś dla niego, to tak się stanie – odparł Teclis.
- A zatem lepiej ruszajmy żwawo.
- Chcesz ruszać teraz? Przy tym świetle i mgle? Nie wiem jak zamierzasz to uczynić.
- Skoro potrzebujecie światła, mogę wam je dać – powiedział Teclis.

Murdo skinął głową. Potężny błysk rozświetlił noc. Przez chwilę Felixowi wydawało się, że to Mannsleib spadł na ziemię i osadził się na końcu różdżki elfa, a potem zobaczył, że to był tylko zimny blask kolejnego zaklęcia. Rozprostował palce, zauważając, że ból zaczął już ustępować i rozpoczęło się gojenie z nienaturalną prędkością.

Tubylcy wyciągnęli drągi i zaczęli odpychać łódź prowadząc ją przez zamglone kanały. Ze starożytnego, nawiedzonego miasta za nimi dobiegło dudnienie. Felix był ciekaw co to mogło znaczyć i obawiał się, że nie zapowiadało to niczego dobrego.

- Chyba będziemy ścigani – powiedział.
- Jeśli to są te zmienione istoty, niczego nie musimy się lękać – burknął Gotrek.
- Podejrzewam, że w tych bagnach czają się gorsze rzeczy – powiedział Felix.

Zabójca wyglądał na niezwykle zamyślonego. Wciągnął nosem zimne powietrze, a potem przesunął grubymi palcami po wielkim grzebieniu swoich farbowanych włosów.

- Aye, człeczyno, myślę, że możesz mieć rację – powiedział, jakby z wesołością.
- Dla Felixa to była najgorsza z możliwych odpowiedzi.

Rozdział 17

Świt nadchodził powoli. Białe światło słoneczne opornie przebijało się przez gęstniejącą mgłę. Felix siedział skulony z tyłu łodzi słuchając uderzeń wody o dziób i drągi, oraz porannego świergotu ptaków. Za nimi cichło dudnienie. Dla Felixa brzmiało to jak łomot serca wielkiego potwora, który żył na bagnach.

Przesunął palcami po szczecinie zarostu i potarł zaczerwienione oczy. Nie spał najlepiej na twardych, mokrych deskach łodzi, zbyt świadom faktu, że w pobliżu leżał konający Dugal. Milczenie mężczyzny było osobliwe i rzucało cień strachu na całą załogę. Wszyscy wiedzieli jak blisko był śmierci i działało to im na nerwy. Felix domyślał się, że nawet bardziej niż jemu. W końcu umierający był dla niego praktycznie nieznanym, a tamci z nim wyrastali.

Potrząsnął głową i zmówił modlitwę do Sigmara. Chociaż nie wierzył już w jego łaskawość, trudno było porzucić stare nawyki. Felix zamyślił się jak często musiał ostatnio to robić. Jak często musiał siedzieć i patrzeć na śmierć kogoś, kto nie do końca był nieznanym? Wydawało mu się, że setki razy. Czuł się jakby miał tysiąc lat. Czuł, że wyczerpuje go ciągłe napięcie. Zadawał sobie pytanie: gdyby tamtej pijackiej nocy wiedział jak to będzie, czy przysięgłby pójść za Gotrekiem? Ze smutkiem stwierdził, że odpowiedź była twierdząca.

Dugal mógł umierać, ale Felix nadal jak najbardziej był wśród żywych i wiedział o tym doskonale. Nawet to gęste, cuchnące powietrze smakowało lepiej i dostrzegał przebliski dziwnego piękna wśród trzęsawisk. Ogromne kwiaty kwitły na długich pnączach zwieszających się z gałęzi nad głowami. Wielkie lilie unosiły się na szerokich liściach płynących kanałami. Nawet wodorosty zarastające drogę wodną, które spowalniały ich ruch, wydawały z siebie dziwny, oszałamiający zapach.

Na przedzie stał Teclis, nieruchomy jak figura zdobiona dziób żaglowca. Jego dziwna, jakby rzeźbiona twarz, nie okazywała żadnych ludzkich emocji, a elf nie wydawał się bardziej zmęczony, niż drewniana rzeźba. Gdy światło świtu przedarło się przez powagę zarośli, elf pozwolił wygasnąć swojemu zaklęciu, a teraz tylko przyglądał się, jak Murdo kieruje łódź cichymi komendami wskazując ludziom przy drągach, by skręcili w lewo lub w prawo wybierając właściwy szlak.

Nic w wyglądzie elfa nie wskazywało na jego wiek. Wyglądał tak młodo i zdrowo, jak młodzieniec mający za sobą osiemnaście wiosen. A jednak miał w sobie coś, co mówiło o jego latach – Felix nie całkiem potrafił stwierdzić, co to było takiego. Może ten opanowany wyraz twarzy. Może aura mądrości, która go otaczała, a może podpowiadała to tylko wyobraźnia Felixa.

Gotrek siedział oparty o drewniany kadłub równie nieruchomy jak elf, i równie uważny. Cokolwiek wyczuł minionej nocy, nie pojawiło się, ale to nie zmniejszyło uwagi krasnoluda. Raczej wprost przeciwnie. Jego brutalna twarz mogła należeć do jakiegoś pierwotnego posągu. Wyglądał na starego i potężnego jak jakiś wojowniczy bóg z zarania świata. Topór sprawiał wrażenie jeszcze starszego. Felix ciekaw był, jakie historie mogłaby opowiedzieć ta broń, gdyby była obdarzona głosem.

Podniósł się powoli i przeszedł przez całą długość statku, uważając, by nie potrącić śpiących ludzi. Mężczyźni z Mokradeł Crannog brali wachty i odpoczywali na zmianę. Najwyraźniej byli zdecydowani utrzymywać barkę w ruchu, aż dotrą do ostatecznego celu, gdzie może uda im się pomóc ich kamratowi. Felix prawie czuł wzrok Culuma wbijający się w jego plecy. To zaczęło działać mu na nerwy. Miał ochotę wytłumaczyć, że tylko rozmawiał z tamtą dziewczyną, ale wiedział, że to w niczym nie pomoże. Spotykał już ludzi w typie Culuma. Wielki mężczyzna postanowił go nie lubić i nic, cokolwiek powiedziałby Felix, nie mogło zmienić jego zdania.

Felix stwierdził jednak, że jeśli miało dojść między nimi do przemocy, niech tak się stanie. W tej chwili nie mógł na to poradzić. A jednak, nie mógł powstrzymać się od zazdroszczenia elfowi jego magicznych umiejętności.

Teclis stanął na dziobie i chłonał wszystko, co widziały jego oczy. Zdawał sobie sprawę, że może już nigdy nie będzie płynąć tą drogą i chciał zachować ją w pamięci. W ostatnich czasach rzadko doświadczał całkowicie nowej sytuacji i chciał posmakować wszystkiego, co miała do zaoferowania.

Patrzył na oślizgłe gałęzie, z których zwieszały się pnącza i wielkie, złowrogo wyglądające kwiatostany. Jego bystre oczy dostrzegały zaczajone stonogi i jadowite pająki, a także spoczywające na liściach pobłyskujące ważki o oczach jak klejnoty. Widział cienie i srebrne kształty ryb poruszających się w mętnym bagnie. Czuł zapach co najmniej siedmiu różnych rodzajów narkotycznych kwiatów i przysięgał sobie, że jeśli będzie miał ku temu okazję, wróci w to miejsce, spróbuje i skataloguje je. Jeśli przeżyje, będzie miał na to mnóstwo czasu.

Wyczuwał wrogie spojrzenia ludzi skupione na sobie i to go bawiło. Czuł się jak dorosły otoczony przez bandę rozgniewanych dzieci. Mogli się stroszyć i wyglądać groźnie, ale nie byli w stanie nic zrobić, by mu zaszkodzić. Powstrzymał się od uśmiechu. Wiedział, że zaczyna zachowywać się jak wszystkie elfy, którymi tak pogardzał, gdy spoglądały z wyższością na młodsze rasy. Zdumiewał się, jak łatwo to samo zaczęło dotyczyć jego samego.

Może była to tylko reakcja na wydarzenia ubiegłej nocy. Był wstrząśnięty spotykając stworzenia tak odporne na jego magię. Najwyraźniej takie zostały stworzone. Bez wątplenia byli to strażnicy pozostawieni przez Pradawnych, by chronić ich świątynną fortecę przed wszelkimi intruzami. Minęło wiele czasu odkąd Teclis spotkał coś, przed czym nie mogła go ochronić jego magia i to wytrąciło go z równowagi bardziej, niż mógłby przypuszczać.

A jednak, w pewien sposób cieszył się z tego. To był dreszcz niepokoju podczas walki, jakiego nie doświadczył od dawna. Uczucie, że ryzykuje życiem, które tak rzadko się pojawiało. Dzięki temu prawie poczuł się znowu młodszy. Prawie.

Zastanawiał się nad naturą wroga spotkanego tej nocy. Jego teoria nie była do końca czczą spekulacją. Pewne ukryte księgi wskazywały na to, że Pradawni pozostawili strażników, ale te istoty zostały spaczone przez Chaos. Czy było możliwe, że tysiąclecia wystawiania się na działanie energii przesączaających się przez portal pod wieżą mogły ich zmienić? Podejrzewał, że tak być mogło. Bez względu na to jak bardzo odpornymi uczynili Pradawni swoje kreatury, musiały ulec spaczeniu nie mniej niż same ścieżki. Chaos wypaczał żywe istoty znacznie łatwiej niż materię nieożywioną. Teclis podejrzewał, że z biegiem czasu to samo mogło przydarzyć się elfom. W końcu, w Ulthuanie było więcej magicznych portali, bram i przejść niż w jakimkolwiek innym miejscu na planecie, nie mówiąc o wyższej koncentracji energii magicznej.

Może zmiana już się dokonała? Może rozdział między mrocznymi elfami i jego własnym ludem miał przyczyny czysto fizyczne? A może jego ród także zaczął się zmieniać. Tysiąclecia mogły wpłynąć także na nich. Z pewnością, pewne rzeczy uległy zmianie. Obecnie rodziło się mniej elfów. Czy były inne zmiany? Tylko Malekith i jego przerażająca matka wiedzieliby na pewno, a Teclis wątpił, by zdołał wyciągnąć od nich tę prawdę, nawet gdyby spotkali się gdzieś indziej, niż na polu bitwy.

Nie po raz pierwszy poczuł pociągnięcie mrocznej strony swojej natury. Może mógłby kiedyś zorganizować taką wizytę? Możliwe, że doszłoby do wymiany wiedzy. Prawie zaśmiał się z własnej głupoty. Jedyne co mógłby zdobyć po wizycie w Naggaroth, to wiedza o bólu, jaki zadaliby mu na torturach oprawcy mrocznych elfów. Nie, ta droga została zamknięta na zawsze.

Czuł na plecach spojrzenie krasnoluda. Zaczął myśleć o Gotreku Gurnissonie. To była zagadka, którą musiał pewnego dnia rozwikłać. Jego topór był bronią o niesamowitej mocy, a to pod wieloma względami zmieniło krasnoluda. Znaki wypisane na jego aurze stały się znacznie wyraźniejsze podczas bitwy tej nocy, gdy krasnolud i broń zdawały się być jednym. Podczas walki moc przepływała w obie strony – tego był pewien, chociaż nie rozumiał, w jaki sposób tak się działo. Wiedza prastarych krasnoludzkich mistrzów run była ogromna. Pradawni wyjawili im tajemnice, które zatrzymali nawet przed elfami. Ach, gdyby mieć tylko rok na badania tej broni! Uśmiechnął się. To była możliwość równie realna, jak wyciągnięcie wiadomości od Wiedźmiego Króla mrocznych elfów i tylko marginalnie mniej niebezpieczna.

A jednak, krasnolud mógł stać się wielkim sprzymierzeńcem w próbach, jakie na nich czekały. Spotkanie z pajęczymi demonami pokazało Teclisowi, że istnieją sytuacje, gdy topór może być przydatny. Podobnie nie należało lekceważyć człowieka, Felixa Jaegera. Mężczyzna był odważny i sprytny. Może bogowie zesłali ich, by mu pomóc?

Zastanowił się nad umierającym – za takiego bowiem należało go uważać. O ile Wyrocznia nie miała zdolności przekraczających wszelkie pojęcie, los Dugala został już przypieczętowany. Wszystko co uczynił Teclis spowolniło tylko nadejście śmierci, a zrobił to raczej z powodów dyplomatycznych niż dla samej chęci niesienia pomocy człowiekowi. Musiał sprawiać wrażenie, że chce mu pomóc, inaczej za los człowieka szybko zaczęto by obwiniać Teclisa, który nadal potrzebował sojuszników w postaci ludzi z Mokradeł Crannog, przynajmniej w obecnej chwili. A w niczym nie zaszkodzi, by tubylcy myśleli, że los jego towarzysza związany jest z czarodziejem. Zwłaszcza w tych trudnych okolicznościach.

Oczywiście, jeśli Dugal umrze, to się zmieni. Był na to przygotowany, jeśli miało do tego dojść. Nie życzył Dugalowi ani jego współplemieńcom niczego złego, ale jeśli miałby dokonać wyboru między przetrwaniem jego samego i Ulthuanu, a ich życiem – nie było nad czym się zastanawiać. Teclis wiedział, że poświęciłby wszystkich obecnych, włącznie ze sobą i jeszcze tysiąc razy więcej, jeśli to byłoby niezbędne, by zachować królestwo elfów.

Prawie wyczuwał zimne, surowe spojrzenie osądzającego go krasnoluda. Wmawiał sobie, że to nierealne i było tylko projekcją jego wątpliwości. W podobnych okolicznościach Gotrek Gurnisson dokonałby takiego samego wyboru. Nie miało znaczenia, co sobie myślał krasnolud. W tej chwili był po prostu kolejnym narzędziem, którego Teclis musiał użyć, by osiągnąć swoje cele.

Ta myśl rozbawiła go. Może krasnoludy miały prawo osądzać ich tak krytycznie? Zastanowił się przez chwilę nad tym i stwierdził, że pod tym względem przewyższał krasnoluda. Żaden krasnolud nigdy by nie przyznał, że elf mógłby mieć rację w takich sprawach. Byli surowi, niezmienni, uprzedzeni i nie potrafili przebaczać – zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Mimo wszystko, nawet to można było wykorzystać.

Felix patrzył na otwarte niebo. Przynajmniej bagno zostało za nimi i ustał deszcz. Nawet ugryzienia muszek i komarów chwilowo wydawały się mniej irytujące. Przed nimi wyrastało pasmo niskich, jałowych wzgórz, wznoszące się ku wielkim szczytom okrytym śnieżnymi czapami. Po zboczach gór, spływały setki małych rzeczek i strumieni, zbierających wodę z nieustannych deszczów i zlewających ją na bagnach. Kilku promieniom słonecznego światła udało się przebić przez ołowiane chmury i przesyć mrok. Felix pomyślał, że ta kraina miała swoje surowe, ale jednak, piękno.

Ludzie z Mokradeł Crannog umilkli. Stali się nerwowi, jakby opuszczenie trzęsawisk wywarło na nich odwrotny efekt niż na Felixa. Rozglądali się wokoło uważnie jak mieszcuchy nagle pozostawieni pośrodku lasu. Felix zrozumiał, że opuszczali ziemię, które znali i dotarli do krainy

mniej lub bardziej nieznaney, a to wzbudzało ich niepokój. Felix tak wiele razy dokonywał już podobnych przejść, że ledwo je zauważał. Czy to możliwe, że minęło zaledwie kilka dni, odkąd wędrował po zaśnieżonych lasach Szwecji? Wydawało mu się, że minęło znacznie więcej czasu. Zdumiewające było, jak szybko umysł przyjmował zmiany otoczenia, gdy był do tego zmuszony.

Przyjrzał się swoim towarzyszom. Zabójca wyglądał ponuro i obojętnie jak zwykle. Teclis był wyraźnie zadowolony z widoku słońca. Rozprostował ramiona jakby na powitanie. Murdo wyglądał na mniej podenerwowanego niż pozostali, przypominał raczej człowieka, który dokonuje podróży, jaką przebywał już wielokrotnie wcześniej. Culum po prostu gapił się na Felixa, jakby po cichu nienawidził go za to >tylko, że tam był. Nagle dzień wydał się Felixowi mniej radosny, a wiatr odrobinę zimniejszy.

Pchali barkę przez otwarte jezioro w stronę brzegu. Felix widział szare kamienie na dnie. Niektóre były ostre jak miecze i mogły rozorać łódź, gdyby w nie uderzyła. Murdo kierował nimi uważnie. Przed nimi majaczyły góry. Powyżej samotny, wielki orzeł rozwinął skrzydła, by złapać wiatr i leniwie przeszukiwał wzrokiem okolicę w poszukiwaniu żeru.

Felix był ciekaw jakie inne rzeczy mogły na nich czekać, także rozglądając się uważnie. Tę ziemię splugawiła stara, potężna magia i Chaos. Z pewnością nie widzieli jeszcze wszystkich potworów.

Dotarli do brzegu, wciągnęli łódź w wysoką trawę i chaszczę, gdzie pozostawała częściowo ukryta. Połowa mężczyzn została jej pilnować. Pozostali poszli z przybyszami do jaskini Wyroczni. Felix nie ucieszył się zauważając, że Culum należał do ich eskorty. Przynajmniej ręce miał zajęte noszeniem nieprzytomnego Dugala.

– Pójdziemy wzdłuż strumienia do jego źródła – powiedział Murdo. – Jeśli coś nas rozdzieli, znajdźcie go i idźcie wzdłuż niego. Doprowadzi was z powrotem do jeziora i łodzi. Jeśli pójdziecie w górę strumienia, dojdziecie w końcu do domostwa Wyroczni. Niewątpliwie znajdzie was, jeśli sama zechce.

Pozostali zaśmiali się nerwowo, co sprawiło, że Felix zaczął myśleć, jaką rolę mogła pełnić ta Wyrocznia w społeczności Albionu. Postawa mężczyzn wyrażała w równym stopniu szacunek i strach. Podejrzał, że nie było to zaskakujące, skoro była wiedźmą. W jego umyśle pojawił się obraz starych czarownic z bajek zasłyszanych za młodu, a także bulgoczących kotłów i uczt z ludzkiego mięsa. Mimo starań, nie mógł wyrzucić tych obrazów z głowy.

– Wypatrujcie orków – powiedział Murdo.

– Orków? – spytał Felix.

– Aye, ostatnimi miesiącami wiele razy widziano zielonoskórych na tych wzgórzach. Coś je poruszyło. I to bardzo.

Jak zwykle wyglądał, jakby wiedział więcej niż chciał powiedzieć. Felix zastanawiał się, jakie tajemnice ukrywa Murdo.

Rozdział 18

Felix idąc oddychał ciężko i przeklinał nieustanny deszcz. Grunt wznosił się stromo. Spod stóp osypywał się żwir. Podążali za krzywizną rzeki i przez wiele długich godzin zobaczyli tylko dzikie, długorogie owce i kilka kóz. Mężczyźni z Mokradeł Crannog maszerowali beznamiętnie, tak uważni, jak mogli być tylko ludzie, którzy wyszli ze znanego im otoczenia. Gotrek wydawał się wesoły mogąc znowu znaleźć się wśród jałowych wzgórz i widząc dalekie góry. Zimny powiew nie przeszkadzał mu i nawet powrót deszczu nie działał na niego przygnębiająco. Teclis wydawał się zajęty, skupiając się na czymś bardzo oddalonym od tego miejsca. Gdy Felix podszedł do niego, zadrżał zauważając, że deszcz nie dotykał szaty elfa. Zamiast tego, powstrzymywany jakąś niewidzialną barierą zatrzymywał się na grubość włosa od ubrania. Z bliska tworzyło to wokół elfa migoczącą aureę, która wzmacniała jego nieziemski wygląd.

– Co to takiego? – spytał Felix, nie będąc pewnym, czy mądrze jest przerywać koncentrację czarodzieja.

– Przez te wzgórza przenikają prądy magii, silne, stare i spaczone. Chaos głęboko dotknął tę krainę, nie tylko na powierzchni.

– Widziałem już o wiele gorsze rzeczy – powiedział Felix, myśląc o krainie, przez którą wraz z Gotrekiem wędrowali w poszukiwaniu zaginionego miasta Karag Dum. Elf spojrzał na niego i zmarszczył brew z niedowierzaniem.

– Północne Pustkowia Chaosu – dodał Felix.

– Byłeś tam? I wróciłeś nieskażony! To zdumiewający wyczyn, Felëxie Jaegerze.

– Wolałbym go nie powtarzać – powiedział Felix. Był pewien, że krasnolud nie podziękowałby mu za podzielenie się z elfem opowieścią o podróży latającym statkiem, Duchem Grungniego, więc powstrzymał się przed jej opowiedzeniem. Zamiast tego powiedział:

– Powiadasz, że te ziemie są spaczone – w jaki sposób? Czego możemy się spodziewać?

– Myślę, że skażenie w tym miejscu sięga głęboko. Z jakiegoś powodu Albion przyciągnął wielką ilość mrocznej energii magicznej. Słyszałem opowieści o Pierścieniach Ogama, wielkich kamiennych kręgach, które przyciągają te siły i w jakiś sposób sprawiają, że stają się niegroźne. Może kiedyś to była prawda, ale podejrzewam, że teraz kręgi nie działają prawidłowo. Wszystkie zaklęcia w końcu rozwiewają się, wszystkie urządzenia kiedyś przestają działać. Może kręgi nadal przyciągają mroczną magię, ale ich zdolność do jej magazynowania lub oczyszczania zmniejszyła się lub znikła? Może to ma coś wspólnego z otwarciem Ścieżek Pradawnych? To wszystko może być częścią większej całości. Nie wiem. Wiem jednak, że w pobliżu znajduje się kamienny krąg, który zakrzywia przepływ magii w tym miejscu i zmienia pogodę. Może to właśnie wywołuje deszcz? Z pewnością to deszcze są powodem wyjałowienia większości tych wzgórz.

– Jak to? Wszyscy wiedzą, że deszcz jest potrzebny, by wyrastały zboża.

Teclis wzruszył ramionami.

– W większości przypadków to prawda. Ale powodzie nie pomagają w uprawie.

– Trudno zalać wzgórza – zauważył Felix. – Przynajmniej, jeśli masz na myśli powódź. Woda spływa ze stoków. Nie zatrzymuje się na nich.

– Aye, ale jeśli jest wystarczająco silna, porywa ze sobą wierzchnią warstwę gleby zostawiając tylko nagą skałę, na której może rosnąć tylko mech i porosty.

Przyglądając się otoczeniu Felix dostrzegł, że elf miał rację. W pobliżu szybko płynącej rzeki widział tylko skały i kamienie, na których nie rośło nic poza kilkoma odpornymi roślinami zakorzenionymi w splachetkach ziemi uwięzłej pomiędzy głazami. Dopiero z dala od rzeki zauważał

zielen. Felix zamyślił się nad tym.

Niektórzy z jego profesorów historii naturalnej utrzymywali, że świat został ukształtowany przez siły żywiołów – wiatr, deszcz, wulkany i lód. Twierdzili, że różne krainy wyglądały tak z powodu ścierania się tych elementów. Inni, w tym kapłani, twierdzili, że świat wyglądał tak dlatego, że takim stworzyli go bogowie. To co Teclis powiedział o Pradawnych, którzy rzeźbili kontynenty mogło wspierać tę teorię. To co powiedział o zmianach rodzaju gleby odpowiadało pierwszej. Czy możliwe było, że obie są prawdziwe? A może żywioły stanowiły tylko narzędzia, którymi posłużyli się bogowie?

Nie, to nie mogło być prawdą. Musiały minąć wieki, jeśli nie tysiąclecia, zanim rzeka odarłaby góry do kości. Ale może postrzeganie czasu Pradawnych różniło się od naszego – może dla nich stulecia mijały w okamgnieniu?

– Wyglądasz na zakłopotanego, Felixie Jaegerze. O czym rozmyślasz?

Felix powiedział elfowi.

– Być może Pradawni wykorzystali żywioły tak jak myślisz, ale nasze legendy mówią co innego. Oni nie musieli czekać tysiące lat, by erozja i sity geologiczne wykonały swoje dzieło. Potrafili rozcinać płyty tektoniczne ostrzami kosmicznego ognia i wyrównywać z ziemią góry swoimi zaklęciami. I tak właśnie uczynili. Wyrzeźbili kontynenty, tak jak można wyrzeźbić posąg.

Felix nie był pewien, czy jest już gotów zrezygnować ze swojego pomysłu.

– Mówisz o nich, jakby byli artystami pragnącymi ukończyć swoje dzieło sztuki. A jeśli przypominali raczej ogrodników? Może przycięli gałązkę tutaj, trochę podlali tam? Zasadzili ziarno, które osiąga ostateczną formę po upływie wieków. Może nie ukształtowali kontynentów dokładnie według swojego planu, a jedynie wprowadzili w ruch pewne siły, wiedząc, że w końcu, pewnego dnia, osiągną zamierzony cel?

Felix spodziewał się usłyszeć jakąś kpinę, ale zamiast tego elf zamyślił się.

– To oryginalna myśl, Felixie Jaegerze. Taka, której nie brałem pod uwagę. Podobnie jak żaden elf, o którym wiem. To co powiadasz może być prawdą, lub nie, ale dało mi coś do przemyślenia.

– Cieszę się, że mogłem przydać się jednemu ze Starszej Rasy – odpowiedział ironicznie Felix. – Daj mi znać, gdy zakończysz swoje przemyślenia.

– Możesz już wtedy nie żyć, Felixie Jaegerze. Możliwe, że nie dojdę do żadnych wniosków w ciągu stu lat, jeśli w ogóle.

Felixa lekko wstrząsnęła nagła przepaść, jaka otworzyła się w konwersacji i to pozwoliło mu pojąć własną śmiertelność. W Imperium niewielu ludzi osiągało wiek sześćdziesięciu lat. Pięćdziesięcioletni mężczyzna był uważany za starego. Felix mógł od dawna spoczywać w grobie, podczas gdy ta młodo wyglądająca istota nadal będzie rozmyślała nad jego słowami. To obudziło w nim pewien żal.

– Jeśli tego dożyjesz. Wszyscy możemy zginąć w ciągu najbliższych dni.

Stok nachylał się coraz bardziej stromo. Wędrówka była coraz trudniejsza. Szli górską ścieżką, a pochylona ziemia zmoczona deszczem stawała się niebezpieczna. Felix ciężko łapał powietrze i jego pot zaczął mieszać się z deszczem nasączającym ubranie.

Rozejrzał się. Szczyty wydawały się teraz większe, a chmury grubsze. Bagna za nimi stały się niską, ciemną masą drzew i wody. Wydawało mu się, że w mroku dostrzega wielką, kamienną budowlę Nawiedzonej Cytadeli, ale to mogła być tylko jego wyobraźnia.

Kraina wokół nich wyglądała teraz bardziej ponuro. Deszcz splukiwał nawet jej przyćmione kolory. Woda w rzece szumiała głośniejsze, kłębiąc się białą pianą w miejscach, gdzie nurt uderzał o skały i wpadał w wąskie kanaliki. W ciągu tych paru ostatnich godzin słonecznego światła minęli

kilka kolejnych wodospadów, które zrosiły ich twarze, tak że dało się to odczuć nawet mimo deszczu. Tu i tam masywne skały o wiele wyższe od człowieka osłaniały drogę z obu stron niczym wartownicy. Czasami Felixowi wydawało się, że dostrzega w nich pewne podobieństwo do prastarych posągów, których zarysy zamazał czas i nie do końca potrafił pozbyć się tego wrażenia.

Mężczyźni z Mokradeł Crannog sapali głośniejsze i cięższe od niego. Nie byli ludźmi gór, a ta bezustanna wspinaczka męczyła ich. Felix wiedział jak wielki był to wysiłek dla nieprzyzwyczajonych ud i łydek. Wystarczająco często wędrował po Górach Krańca Świata, by poznać ten ból.

Z każdą minutą było coraz zimniej i bardziej mokro, a Felix zaczynał czuć, że zimno wdarło się tak głęboko w jego kości, że żaden ogień nigdy go całkiem nie usunie. To było jak zimno grobu. Tylko krasnolud i elf nie okazywali zmęczenia. Gotrek szedł niestrudzony jak spacerowicz podczas letniej przechadzki po parku w Altdorfie. Teclis był jeszcze bardziej irytujący – mimo swojego kruchego wyglądu i kulejącego chodu, nie zdradzał najmniejszych oznak zmęczenia. Felix podejrzewał, że sprawiała to moc zaklęć, które chroniły czarodzieja przed wilgocią i zimnem, ale i tak nie było łatwiej patrzeć na elfa. Felix pomyślał, że elf mógłby przynajmniej rozciągnąć swoją tarczę na resztę z nich. Samolubny, elfi bękart.

Jego palce odnalazły amulet, który dał mu elf. Teclis twierdził, że ochroni go przed demonami. Nie był tak samolubny, przynajmniej jeśli to co powiedział Felixowi było prawdą. Felix nie dręczyły już złe istoty, ale minęło dopiero kilka dni, które mógł brać pod uwagę. Z drugiej strony, nie ulegało wątpliwości, że Teclis uratował ich na Ścieżkach Pradawnych. Nawet Gotrek musiał to przyznać, chociaż przez zaciśnięte zęby. To był temat, na który lepiej było nie rozmawiać z krasnoludem, jeśli można było tego uniknąć. Krasnolud był wystarczająco drażliwy, w najlepszym razie.

Za nim zazgrzytały kroki na żwirze. Spojrzał i z zaskoczeniem zobaczył, że Murdo zrównał się z nim.

– Przyglądałem ci się – powiedział stary człowiek.

– I co zobaczyłeś?

– Nie dostrzegłem żebyś był pod wpływem jakiegoś uroku i walczyłeś śmiało przeciwko pajęczym demonom. Myślę, że jesteś tym, za kogo się podajesz, a twoi towarzysze także są tymi, kim się mienią.

– Dziękuję.

– Problem w tym, że jeśli przyjmę to do wiadomości, muszę przyjąć wszystko co twierdziliście, a to przerażające, chłopcze.

– Tak, przypuszczam, że tak jest. Żyjemy w przerażających czasach.

– Aye, pogoda pogorszyła się, a orki i zwierzoludzie wyleźli ze swoich warowni. Wojna wstrząsa tą krainą. Są plotki o innych rzeczach, o złych magach na tych ziemiach.

– Pełno ich na wszystkich ziemiach – powiedział kwaśno Felix. – Dlaczego wasza miałaby się różnić?

– Bowiem na naszej ziemi każdy mężczyzna i niewiasta, którzy okazują znaki talentu, są wprowadzani do bractwa, które przysięgło chronić nasze pradawne zwyczaje, gdzie rosną pod okiem swych braci. Sam mam talent, wystarczający, by widzieć, że wasz Teclis jest potężniejszy od każdego maga, który żyje teraz w Albionie, a może nawet od magów, którzy kiedykolwiek tu żyli. A on się boi, chociaż dobrze to ukrywa. To mnie przeraża.

– Myślę, że jesteś mądrym człowiekiem.

Murdo skinął głową.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Felix.

– Ponieważ, myślę, że zaczęliśmy z niewłaściwej nogi, a wszyscy jesteśmy na tej samej łodzi, która ma dziurę w dnie. I chcę, żebyś wiedział, że do czegokolwiek dojdzie, możesz polegać na ludziach z Mokradeł Crannog.

– Dobrze to wiedzieć, ale czemu mówisz to mnie? Dlaczego nie powiesz tego Teclisowi lub Gotrekowi?

– Bo ty jesteś człowiekiem i łatwiej powiedzieć to tobie. A ci dwaj nie należą do takich, przed którymi można otworzyć swą duszę.

Felix pomyślał jednak, że te słowa mogły być zdradzieckie, a stary uznał, że jego łatwiej będzie omamić niż nieludzkich towarzyszy. Ale nie do końca potrafił w to uwierzyć. Stary tubylec wydawał się szczerzy do bólu i naprawdę przerażała go tamta para, czemu Felix nie mógł się dziwić. Znał Gotreka od lat, ale nadal miewał kłopoty z porozumieniem, a elf roztaczał wokół siebie taką aurę, że mogła speszzyć nawet Imperatora Karla Franza.

Powiedziawszy swoje Murdo wrócił do swoich ludzi, jakby oczekując na to, co zrobi Felix. Ten wzruszył ramionami. Wspomni o tych słowach pozostałym, gdy i jeśli nadejdzie taka potrzeba.

Od pewnego czasu coś dręczyło go na dnie umysłu i właśnie w tej chwili postanowiło wrócić. Felix zawsze zamierzał pewnego dnia spisać opowieść o Gotreku, gdy nadejdzie jego nieunikniony kres, ale może powinien zacząć spisywać już niedługo, na wypadek, gdyby coś mu się stało, zanim historia dobiegnie końca. Podczas wędrówek widział rzeczy warte wzmianki w opisie tych podróży i spotkał postacie, które z pewnością zostawią swoje imiona w opowieściach i legendach. Może, jeśli uda mu się kiedykolwiek wrócić do Imperium, powinien spisać wspomnienia swoich wędrówek z Gotrekiem i zostawić je w jakimś bezpiecznym miejscu. Na przykład u jego brata, albo u Maxa Schreibera, zakładając, że czarodziej jeszcze żył. Felix rozprostował ramiona i podjął decyzję. Zrobi to i to już wkrótce, gdy tylko znajdzie ku temu okazję.

Pojawiła się kolejna niepokojąca myśl. W przeszłości często musiał liczyć się z możliwością śmierci, jego własnej lub innych osób. Bywały chwile, gdy myślał, że zaraz zginie, ale teraz, z jakiegoś powodu, w tym odległym miejscu nabrał co do tego pewności. Może sprawił to pobyt w lochu demonów, albo może spotkanie z wiecznym elfem, który mówił o upływie czasu – coś uzmysłowiło mu dobitnie jego własną śmiertelność.

Nawet gdyby udało mu się uniknąć wszystkich mieczy, złych duchów i zębów potworów, gdyby nie padł ofiarą zarazy, choroby lub wypadku, pewnego dnia go zabraknie. Śmierć była tak pewna jak nadejście następnego dnia, może tylko odrobinę bardziej odległa w czasie – teraz Felix odczuwał po raz pierwszy tak silną potrzebę, by zrobić coś co go upamiętni, by zapisać swoje imię obok imion Gotreka, Teclisa i innych, których spotkał.

W tamtej chwili wydawało mu się, że zbliża się do zrozumienia tego co musiał czuć Zabójca, gdy Felix przysięgał mu zapisać jego losy. Pomyślał, że tak właśnie robi – opíše losy swoje i krasnoluda oraz wszystkich innych, których spotkał. Były pewne rzeczy, które powinny zostać zapamiętane. Zakładając, że przeżyje, by je spisać, gdy to wszystko się skończy. Stwierdził jednak, że to nie będzie epicki poemat. Teraz nie potrafił już sobie wyobrazić, by był w stanie skomponować coś takiego. To będzie książka, albo seria książek opowiadających o wszystkim co im się przydarzyło, tak wiernie na ile pozwoli mu jego pamięć. *Moje Podróże z Gotrekiem*, albo *Dzieje i Śmierć Zabójcy Trolli*. Coś takiego.

Pomyślał o tym i o wszystkich książkach jakie czytał jako młodzieniec i student na uniwersytecie, po czym zaczął rozmyślać, o czym chciałby się wtedy dowiedzieć. Z pewnością musi napisać coś o Albionie, ponieważ niewiele było o nim wiadomo w Imperium. Istniała możliwość, że doda coś do

sumy tej wiedzy i będzie mógł tym się podzielić – zakładając, że przetrwają nadchodzącą inwazję Chaosu i to, co może się stać, jeśli Teclis mówił prawdę.

Wzruszył ramionami. Musiał założyć, że ktoś to przetrwa. To było postanowienie na przyszłość, gdy być może nadejdą lepsze czasy, a Chaos zostanie pokonany. Chociaż w tamtej chwili taka możliwość wydawała się bardzo odległa, musiał przyjmować, że to może się zdarzyć. To był drobny, być może uczyniony na próżno gest wiary w obliczu wydarzeń o kosmicznym zagrożeniu. I to był jego gest. W jakiś sposób sama ta myśl sprawiła, że poczuł się odrobinę lepiej, chociaż nie był do końca pewien, dlaczego. Cofnął się i przyłączył do starego Prawdomówcy.

– Opowiedz mi o swojej ziemi – poprosił Murdo.

– Czego chcesz się dowiedzieć? Iv’

Idąc słyszeli przed sobą nabierający sił grzmot pędzącej wody, odbijał się echem od skał, niczym huczący głos rozniewanego olbrzyma. Felix był zaniepokojony. Taki odgłos mógł przytłumić zgiełk zbliżającej się armii, a widoczność już była zła z powodu chmur, mgły i dzikiego otoczenia pełnego skał, wśród których wędrowali.

Rzeka w tym miejscu była węższa i płynęła szybciej, a kilka razy mijali olbrzymie wodospady walące się z góry wody, wokół których ścieżka rozdzielała się i łączyła wyżej. Robiło się ciemniej i znajdowali się wysoko na zboczu góry. Felix usiłował nie myśleć, że te góry są nawiedzane przez orki i skoncentrował się na tym co opowiadał mu stary Murdo.

W normalnych okolicznościach Felix byłby zafascynowany, bowiem wytatuowany człowiek okazał się interesującym gawędziarzem, prawdziwą skarbnicą *wiedzy i opowieści* o jego ziemi. Felix dowiedział się, że ludzie z Albionu byli podzieleni na wiele plemion zamieszkujących wzgórza i niziny. Plemiona były spokrewnione i kiedyś, nie tak dawno temu, żyły podczas złotego wieku pokoju, który skończył się z nadejściem orków i innych łupieżców zza morza. Wyglądało na to, że mroczne elfy zdołały w jakiś sposób przeniknąć wieczne mgły, jakie otaczały zaklętą wyspę, co potem powtórzyli inni. Felix natychmiast pomyślał w jaki sposób on, Gotrek i Teclis przybyli do tego miejsca, ale nie poruszył tego tematu. Przybysze sprowadzili ze sobą wojnę. Felix próbował zrozumieć całą sytuację.

Orki przybyły kilka stuleci wcześniej, początkowo nieliczne, ponieważ byli to rozbitkowie na wyspach. Szybko się rozmnażali i wszędzie się zaroili. Tylko zjednoczenie plemion dokonane przez bohatera imieniem Konark pozwoliło ludziom wreszcie zwyciężyć i zepchnąć orki z powrotem w góry. Orki skryły się pośród prastarych ruin w niedostępnych dolinach.

Czasami wybuchały wojny, niezbędne by utrzymać je w tych ryzach. Teraz zdawało się, że orki znowu się rozmnożyły i coś wypędziło je z gór na równiny. Przeniknęły nawet na wielkie bagna, które od wieków chroniły ludność z Mokradel Crannog. Orki były złe, ale myśl o czymś na tyle nikczemnym i potężnym, by przegnać je z gór była jeszcze gorsza. Teraz plemiona ludzi potrzebowały przywódcy, który zjednoczy je raz jeszcze, albo zostaną wybite. Powiadano, że w tych właśnie górach bohater imieniem Kron, który uważał się za potomka Konarka połączył kilka plemion. Felix zrozumiał, że Murdo pomagał im, ponieważ miał nadzieję, że Teclis zdoła rozwiązać zagadkę kryjącą się za nagłą napaścią orków, a może nawet je powstrzyma. Felix też miał taką nadzieję.

Zastanowił się nad tym, czego się dowiedział. Zdawało się, że żadna część świata nie była wolna od problemów. Wielki kontynent Starego Świata był pustoszone przez Chaos. Ulthuanem szarpały trzęsienia ziemi. Albion nękały orki i potworne burze. Felix nie zdziwiłby się słysząc, że nawet w dalekim Kataju zdarzały się kataklizmy. Może wszyscy prorocy przepowiadający koniec świata mieli trochę racji?

Ponownie skupił uwagę na Murdo. Powoli ogarniał pewien obraz Albionu. Wyspa była mniej

zaawansowana od Starego Świata. Sekret wytwarzania prochu strzelniczego był tu nieznanym, a pancerze cięższe od skóry były rzadkością produkowaną przez plemiona na wybrzeżu, na którym głównie budowano większe miasta i osady. Wielkie kamienne kręgi, skupiska magicznych sił i energii, oraz inne pozostałości po starożytnych były wszechobecne. Zrujnowane miasta, nawiedzone wieże, dziwne labirynty otwarte ku niebu, których ściany pokrywały mistyczne runy. Niektórych z tych miejsc strzegły potworne, zmutowane olbrzymy, innych pilnowały dziwaczne stworzenia, takie jak hipogryfy, mantykory i inne demoniczne mutanty. Znano tu większość bóstw Starego Świata, ale najwyraźniej traktowano je raczej jako większe duchy niż istoty boskie, które znał Felix. Ulryk był wilczym duchem wojny i zimy. Taal, bóg natury, był uważany za najważniejszego. W Imperium istniały pewne prymitywne ludy, które nadal wyznawały Dawną Wiarę i słowa Murdo przypominały Felixowi to co kiedyś o nich czytał. O Sigmarze tutaj nie słyszano, co nie zaskoczyło Felixa.

Krasnoludy były istotami z legend i starych podań. Jeśli kiedykolwiek istniały tu krasnoludzkie miasta, już zniknęły. Felix nie dziwił się – Albion był wyspą, a krasnoludy nie przepadały za statkami. Z tego co usłyszał od Gotreka, ich okręty parowe były stosunkowo nowym odkryciem w historii sięgającej tysiącleci wstecz. Elfy były tutaj znane jako Mroczeni i miały reputację istot występnych i zdradzieckich. Ludzie bali się Chaosu i znali cztery potęgi ciemności, ale Murdo szeptem zapewniał, że nigdy nie należy wypowiadać ich imion, aby nie zwracać na siebie uwagi złych mocy. Starzec nie miał pojęcia o geografii świata poza jego wyspą, nigdy nie słyszał o Arabii ani o Kataju. Bretonia pojawiała się w legendach opowiadanych przez żeglarzy-rozbitków. Kislev był lodową wyspą na północy świata. Imperium stanowiło kolejną wyspę, większą i rządzoną przez trzech cesarzy, którzy stale ze sobą walczyli. Felix uśmiechnął się słysząc tę zniekształconą wersję historii swojego kraju, a potem zdał sobie sprawę, że jego własne pojęcie o Albionie zanim tu przybył wydawałoby się Murdo równie dziwaczne. Musiał sobie także przypominać, że być może stary człowiek powtarzał mu tylko zasłyszane opowieści. Z pewnością wierzył, że jest to prawda, ale był niewykształconym wieśniakiem z maleńkiej, odciętej od świata osady na wielkim bagnie na krańcu świata. Felix stwierdził, że w jego relacjach mogło być wiele nieścisłości.

Mimo to, szczegóły dotyczące obszarów w pobliżu jego domu wydawały się wystarczająco trafne. Felix postanowił zachować otwartość umysłu dopóki nie doszuka się jakiejś sprzeczności w tym, co mówił Murdo. Naciągnął szczelniej płaszcz i przyjrzał się okolicy. Wyszli na brzeg szerokiej, płaskiej skalnej półki, którą w większości wypełniało jezioro bulgoczącej wody zasilane przez wielki wodospad, który opadając z wysoka rozbijał wodę o skały poniżej. Jezioro otaczały wielkie głazy pokryte wilgotnym, zielonym mchem, poza miejscem, w którym woda przelewała się nad skałami, by kontynuować podróż na dół. Wszędzie unosiła się para wodna. Hałas przypominał ryk wielkiej rannej bestii.

Felix dopiero po kilku chwilach zauważył martwe ciała otaczające brzeg jeziora. Po kilku następnych chwilach zrozumiał, że należały do kobiet. Podbiegł do najbliższej. Była młoda, zgrabna i zginęła od włóczni wbitej w plecy. Sądząc po krwawej pianie na ustach, udusiła się własną krwią. Włócznia leżała obok jej zimnych, zaciśniętych palców. Felix zauważył zieloną dłoń wystającą z wody, a wir zielonkawej krwi powiedział mu, że leżał tam martwy ork.

– Na oddech Taala – mruknął Murdo. – To Laera, przywódczyni dziewiczej straży Wyroczeni. W pobliżu są pozostałe – wygląda na to, że pozabijały je orki.

Felix rozejrzał się. Teraz zauważył, że niektóre z obiektów, które brał za porośnięte mchem głazy były w rzeczywistości trupami orków. Mgła i blednące światło oszukało jego oczy.

– Gdzie teraz są te orki? – spytał Felix.

Kamienie zgrzytnęły, gdy Gotrek stanął na brzegu jeziora. Splunął niedbale na zanurzone ciało

orka.

– Jeśli są tutaj, znajdziemy je – powiedział.

– Cudownie – odrzekł Felix. – Nie mogę się doczekać.

Wokół nich mężczyźni z Mokradeł Crannog szykowali się do bitwy.

Rozdział 19

Ludzie z Mokradeł Crannog stanęli z gotową bronią. Culum delikatnie położył Dugala na ziemi i odwiązał kamienny młot. Teclis uważnie badał okolicę wzrokiem, jakby spodziewając się, że w każdej chwili może na nich spaść z otaczających zboczy dzika horda zielonoskórych. Gotrek zarechotał radośnie i machnął kilka razy swoim toporem, jak leśnik szykujący się do ścięcia drzewa.

– Może udało im się pokonać orki? – zasugerował Felix.

– Nie, chłopcze. Gdyby tak się stało, zatrzymałaby nas dziewicza straż. Zawsze tak było.

– Może orki odeszły?

– Te ciała jeszcze nie ostygły, człeczyno – powiedział Gotrek. – Ta walka wydarzyła się nie dalej niż godzinę temu.

– Dlaczego to zawsze przydarza się nam? – spytał na głos Felix, a potem pożałował tego.

Spojrzenia rzucone przez tubylców pokazywały, że nader łatwo było im uwierzyć, że trzej towarzysze byli w jakiś sposób odpowiedzialni za to wszystko. Bez względu na to co powiedział Murdo, wyglądało na to, że większość mężczyzn nie ufa im. A może to dotyczyło tylko Teclisa, skoro większość zabójczych spojrzeń wymierzona była w elfa?

– Właśnie, dlaczego? – spytał Teclis. – Nie przez zwykły przypadek orki uderzyły ledwie kilka godzin przed nami, prawda? – Sprawiał wrażenie, jakby mówił do siebie i nie oczekiwał żadnej odpowiedzi od innych.

– Co teraz? – spytał Felix.

– Wyrocznia jest poniżej, jeśli nie dostały jej orki. Może jej dziewicza straż do tej pory jest z nią czekając na wsparcie? – powiedział Murdo.

– Jeśli są tu jacyś zielonoskórzy do zabicia, zabierajmy się za to – powiedział Gotrek z entuzjazmem, który nie podobał się Felixowi.

– Poniżej? – dopytywał się Felix. – Gdzie dokładnie? Nie widzę żadnych jaskiń.

W odpowiedzi Murdo podszedł do brzegu jeziora, do zbocza gdzie opadał wodospad. Wydawało się, że zniknął w wodzie, a potem podążyli za nim Albiończycy, jeden za drugim, zostawiając Dugala ukrytego za skałami.

Pchany ciekawością Felix podszedł do miejsca, gdzie zniknęli ludzie. Widział, że za ścianą spadającej wody była przestrzeń szeroka na dwóch ludzi. Biegła tam kamienna półka, ale nie zauważył nikogo. Gotrek minął go i wszedł na półkę ignorując spadające obok tony wzburzonej wody i on także jakby zniknął w ścianie. Felix ruszył za nim i po dziesięciu krokach zobaczył po lewej stronie otwór jaskini. Wewnątrz byli ludzie i Zabójca. Patrzyli na następne martwe ciała kobiet i orków. Felixa bardzo wstrząsnął ten widok. Nie przywykł do widoku tak wielu martwych dziewcząt. Mijając je zauważył także, że większość z nich była piękna.

Teclis przybył za nimi i przyjrzał się otoczeniu. Minął Felixa, którego opryskała woda odepchnięta przez zaklęcia maga. To wydawało się dość niegrzeczne, ale Felix nie zamierzał się odzywać, szczególnie, że i tak był już przemoknięty. Teclis wykonał gest dłonią i jaskinię wypełniło światło. Felix zobaczył, że pieczara biegnie głębiej w ciemności pod górami.

– Tunele pełne orków – powiedział. – Czy może być gorzej?

– Czy może być lepiej? – odparł Gotrek.

W dziwnym, upiornym świetle wywołanym przez elfa jego cień tańczył groźnie na ścianach.

Murdo macał w zagłębieniach ścian, aż znalazł pochodnie. Teclis podpalił je słowem. Na początku Felix zastanawiał się, po co zadają sobie ten trud, skoro elf potrafił oświetlić im drogę, ale potem przyszło mu na myśl, że coś może mu się stać. To nie była wesoła perspektywa.

Gotrek przesunął się na przód, Murdo szedł za nim z zapaloną pochodnią w jednej dłoni i włócznią w drugiej. Logiczne było, że w tej ciemnej podziemnej przestrzeni krasnolud powinien prowadzić; czuł się tu lepiej niż jakikolwiek człowiek, albo elf. Felix szedł obok Teclisa z obnażoną bronią. Tubylcy ruszyli za nimi.

Gotrek z pewnością siebie zanurzył się w mroku. Felix wziął głęboki oddech.

– No to idziemy – powiedział.

Wszędzie widoczne były ślady walki. Uzbrojone wojowniczkę stoczyły desperacką walkę w obronie przejścia w głąb jaskiń. Leżały tam, gdzie spotkała je śmierć, otoczone ciałami orków i goblinów. Kiedyś, nie tak dawno temu, Felix czuł współczucie na widok zwłok goblinów małych jak dzieci. To już minęło. Przepadło wszelkie współczucie. Teraz wyglądali tylko jak małe złośliwe potwory, ze swoimi wyłupiastymi oczami i rzędami ostrych jak brzytwy zębów z zadziornymi. W pewien sposób były równie przerażające jak ich więksi pobratymcy, orki. Zwykle atakowali gromadami. Wielkie orki nie musiały tak robić.

Jak dotąd pochodnie i magiczne światło okazywały się zbędne. W niszach ścian tkwiły lampy oliwne, które zapewniały blade, migotliwe oświetlenie. Miejscami zostały przewrócone lub rozbite, ale mokra podłoga w tunelach musiała zgasić każdy płomień. Powietrze wypełniał delikatny zapach z oliwy lamp i jakiegoś kadzidła, które zostało do niej dodane.

Felix poczuł, że ciężar góry zaczyna działać na niego. Stał się przenikliwie świadomy masy kamieni i skał unoszących się tuż nad nim, gotowych, by go zmiążdżyć. Ledwo pomny co robi wyęczał słuch, by usłyszeć trzask pękającej ziemi, gdy góra zacznie się walić. Niczego nie usłyszał, ale to nie powstrzymało go przed wyobrażaniem sobie różnych rzeczy. Poczuł na przykład, że z każdym krokiem staje się coraz cieplej.

Spojrzenie na elfa powiedziało mu, że Teclis dawał sobie radę niewiele lepiej od niego. Elf wyglądał na wielce zaniepokojonego, po raz pierwszy odkąd Felix sięgał pamięcią. Jego ramiona były zgarbione i skulone, chociaż miejsca w tunelu było dość nawet dla kogoś o jego wzroście. Felixowi nikt nie musiał mówić, że elf odczuwał napięcie związane z przebywaniem pod ziemią silniej od niego.

Tylko Zabójca wydawał się beztroski. Wyprostował się i kroczył z jeszcze większą pewnością siebie niż zwykle. Felix mógłby przysiąc, że krasnolud pogwizdywał nawet jakąś dość wesołą melodyjkę. Tym niemniej Gotrek trzymał swój topór w gotowości. Nagle zatrzymał się, wciągnął powietrze i powiedział:

– W pobliżu są orki. Mnóstwo orków.

Tunele biegnęły coraz głębiej. Podłoga stała się mniej wilgotna. Na początku Felix zastanawiał się, kto mógłby chcieć mieszkać w tak zimnym, mokrym miejscu, ale teraz było ciepło, a w powietrzu unosił się piżmowy zapach. Zrozumiał, że tutaj było przytulnie przez cały rok, nawet podczas mroźnej zimy.

– Jak żyje ta Wyrocznia? – Felix zapytał Murdo. Nie był zaskoczony, że dobył z siebie tylko szept, a stary człowiek odpowiedział podobnie cicho. Próbował tylko ukryć swój niepokój. Wiedział, że głupio było hałasować, gdy w pobliżu mogły być orki, ale nie mógł się powstrzymać. – Skąd zdobywa jedzenie?

– Plemiona przynoszą dary, a dziewicza straż trzyma kozy i owce na powierzchni powyżej. Myślę, że orki mogły je znaleźć i przyszły za nimi tutaj.

– To wydaje się logiczne – zgodził się Felix. – Ale dlaczego one tutaj mieszkały? Dlaczego nie w jakimś bardziej dostępnym miejscu?

– To miejsce jest święte, Felixie Jaegerze. Pobłogosławiła je światłość. Pierwsza Wyrocznia

spotkała się tutaj z Wielkimi Duchami, po tym jak zabłądziła wędrując po górach. Bogowie powiedli ją do schronienia w tych jaskiniach podczas śnieżycy, gdy ścigały ją wilki. W głębi znalazła ołtarz światła, który obdarował ją magicznymi mocami.

Przez chwilę Teclis wyglądał na mniej niespokojnego i w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania. Felix spodziewał się, że tak działo się z każdym czarodziejem, gdy słyszał o czymś związanym z magią.

– To był starożytny artefakt? – zapytał.

– Nie wiem, Teclisie z elfów. Nie jestem wtajemniczony w te sekrety. Wiem, że w zamian za odjęcie wzroku jej oczu, dał jej inny rodzaj widzenia. I wiem, że od tego pierwszego dnia, do dzisiaj w tym miejscu była Wyrocznia. Przybywają, gdy są wzywane z dowolnego miejsca w Albionie, gdzie mieszkały.

– Wzywane? – spytał Felix.

Murdo wzruszył ramionami.

– Wiedzą, gdy nadchodzi ich czas, aby przybyć tutaj, podobnie jak stara Wyrocznia wie, gdy wybija godzina jej śmierci. Światło daje im tę wiedzę.

Felix zastanawiał się, ile z tego było zwykłymi przesadami, a ile prawdą. W swoim czasie widział tak wiele dziwnych rzeczy, że wszystko wydawało się możliwe. Pomyślał, że spotkanie z tą Wyrocznią mogło okazać się ciekawe. W dowolnych okolicznościach innych niż te.

Tunel rozszerzył się przechodząc w serię pieczar. Felix zauważył, że to były kiedyś komory mieszkalne. Na ziemi leżały rozrzucone sienniki. Wszędzie walały się podarte i poszarpane ubrania, a złote obręcze na szyje i błyszcząca biżuteria odbijały światło. Było tu więcej ciał, a z przodu dobiegły odgłosy walki. Horda zielonoskórych zamykała wejście do pieczary. Próbowali przedrzeć się do środka pomimo zaciętego oporu. Popędzała ich postać w ciemnym płaszczu uzbrojona we włócznię z kamiennym grotem.

Gotrek nie potrzebował większej zachęty i z ogłuszającym rykiem popędził naprzód, tak prędko jak pozwalały mu jego krótkie nogi. Albionczycy ruszyli za nim, szybko doganiając go długimi susami. Felix postanowił trzymać się blisko Zabójcy, a elf najwyraźniej pomyślał to samo. Wydłużył lekko swój utykający krok i znalazł się za Gotrekiem. Idąc rozłożył ramiona i zaśpiewał. Przed nim wybuchła ściana płomieni, a powietrze wypełniły wrzaski i wycie umierających orków i goblinów.

Ludzie z Albionu zatrzymali się, nie mogąc przedrzeć się przez rozszalałe płomienie. Felix czuł żar w miejscu, w którym stał. Zupełnie jakby obok znajdowało się otwarte palenisko. Wydawało się, że nic nie przeżyje tego straszliwego żaru.

Mylił się. Ze zwierzęcym rykiem z płomieni wyskoczył potężny ork. Jego odzienie tliło się. Zielonkawa skóra była miejscami osmalona na czarno, ale to go nie zatrzymało. Chwilę później wyskoczył kolejny, a potem następny. Wszyscy byli wielcy, więksi od ludzi i znacznie bardziej muskularni. Ich żółtawe kły ociekały pianą. Wielkie krzywe szable połyskiwały w masywnych pięściach. Ślepa orków wypełniała szalona nienawiść i nierozumna furia. Było ich tylko jakieś pół tuzina, ale gdy ludzie z Mokradeł Crannog zobaczyli jak wyskakują z płomieni, ogarnęła ich groza. Felix w pełni podzielał to uczucie. Przywódca orków, jeszcze większy niż pozostali nosił hełm z brązu zakończony byczymi rogami. Burknął coś do kamratów w swoim grubiańskim języku i podchodząc roześmiali się jak szaleńcy.

Felix nie wątpił, że Albionczycy uciekliby w tej chwili, gdyby Gotrek ruszył się z miejsca. Sam Felix był tego bliski. Zamiast tego zajął pozycję nieco po lewej stronie i odrobinę z tyłu za Zabójcą oceniając, że w tym miejscu najlepiej będzie chronił jego pleców. Teclis przesunął się na prawo zaciskając w lewej dłoni lśniący runiczny miecz, a w prawej laskę płonąca mocą.

– Spokojnie, chłopcy – powiedział Murdo. – Te zielonoskóre diabły są nam winne krew, za to co tu zrobiły.

To wystarczyło. Mężczyźni uformowali szyk bitewny po każdej stronie trzech towarzyszy. Culum uniósł groźnie swój młot. Felix patrzył na nadchodzące zielone olbrzymy. Czuł suchość w ustach i słyszał łomotanie swojego serca. Nagle poczuł się słaby, a wszystko wydawało się dziać znacznie wolniej niż zwykle. Zignorował to wrażenie, którego tak często doświadczał podczas walki i przygotował się na uderzenie. Nie musiał czekać długo.

Zobaczył jak jeden z orków skacze naprzód i nadziewa się na barierę z włóczni. Niezrażony tym rzucił się naprzód, złapał za kark jednego z ludzi i powalił następnego swoją szablą. Więcej włóczni wbiło się w jego ciało. Ale stwór walczył dalej rechocząc obłąkańczo. Jego nienaturalna witalność wywoływała wrażenie, że normalna broń nie może go zabić. Drugi ruszył na Culuma. Posypały się iskry, gdy ostrze zderzyło się z młotem, a wielki człowiek cofnął się odepchnięty siłą, która przekraczała jego własną.

Dwa orki ruszyły na Gotreka. Nie czekał na nich, ale rzucił się naprzód, uniknął ciosu szabli i trafił tył kolana orka wracającym ciosem. Bestia runęła przed siebie niezdolna ustać na odrąbanym kikucie nogi. Drugi cios Zabójcy spotkał szablę, która częściowo go odbiła. Gotrek parsknął z pogardą i wymierzył kolejny cios, po którym ork odskoczył do tyłu rozpaczliwie unikając trafienia, które rozdarłoby jego żebra.

Ale to Teclis zaskoczył Felixa. Okazując nie mniej śmiałości od Gotreka skoczył naprzód, by zmierzyć się z przywódcą orków. Stwór był wyższy nawet od elfa i znacznie cięższy. Pod jego błyszczącą zieloną skórą napinały się ścięgna grube jak postronki. Warknął coś po orkowemu i zaśmiał się, gdy elf odpowiedział w tym samym języku. Gardłowe sylaby zabrzmiały dziwacznie wypowiedane wysokim głosem elfa.

– Czekaj! – krzyknął Felix, wiedząc, że ich sytuacja może stać się jeszcze bardziej rozpaczliwa, gdyby elf został zabity. – Zostaw go dla mnie.

Ruszył naprzód w stronę orka, ale było już za późno. Herszt zielonoskórych uderzył z prędkością i furią letniej burzy. Jego cios spadł jak uderzenie pioruna, ale elfa po prostu już tam nie było. Poruszając się tak szybko, że umykał wzrokowi uniknął ciosu orka i jego miecz wbił się w ramię stwora. Ork ryknął z wściekłością i wymierzył cios, który mógłby ściąć elfa, gdyby trafił. Teclis uskoczył na bok wykonując jakby dworski ukłon i miecz mignął nad jego głową. Wracające cięcie wyprowadził w górę z siłą odwijającej się sprężyny. Ostrze trafiło w żebra orka, upuszczając zielonkawej krwi. Tylko oszałamiająca prędkość wodza orków uchroniła go przed wbiciem miecza w jego wnętrzności. Ciosy wymieniane między tymi dwoma były zbyt szybkie, by Felix zdołał je śledzić. Elf ustępował pola wdzięcznie cofając się jak woda spływająca po kamieniu. Ork napierał warcząc potężnie, aż znalazł się przy Felixie. W swojej wściekłości całą uwagę skupił na kpiącym elfie, który tanecznym krokiem ustępował przed nim ubliżając mu w jego własnym języku i zadając swoimi ripostami tuziny małych ran.

Dostrzegając okazję Felix skoczył naprzód. Jego ostrze trafiło orka w bok, przebijając się pod żebrami i docierając prosto do żołądka. Felix wyciągnął je i ponownie rzucił się na orka, atakując jak umierający skorpion, który raz za razem uderza. W tej fatalnej chwili nieuwagi orka, miecz elfa trafił go w oko i stwór padł, martwy zanim zdążył upaść na ziemię.

– To nie było zbyt sportowe, Felixie Jaegerze – stwierdził Teclis.

– To nie są zawody – odpowiedział gniewnie Felix, zirytowany beztróską elfa. – Możesz zginąć tutaj tak samo jak wszyscy inni.

– Czyż to nie dodaje dreszczyku emocji? – spytał Teclis groźnym głosem. Felix zastanawiał się,

czy elfowi nudziło się aż tak bardzo.

– A kto ocali Ulthuan, jeśli tutaj polegiesz? – odparł Felix wracając do walki. W tym momencie dostrzegł, że postać w czarnym płaszczu unosi dłoń. W kierunku Felixa popłynęła fala magicznej mocy. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że ludzie wokół niego zamienili się w demony. Dookoła słyszał przerażone jęki ludzi z Mokradeł Crannog. Opanowało go irracjonalne pragnienie, by odwrócić się i uciec. Widział, że inni także się zawahali. Na ich twarzach odmalowało się przerażenie, jakby zobaczyli przed sobą wcielenia ich najgorszych koszmarów.

Amulet na piersi Felixa zaśnił i człowiek poczuł jak przepływa przez niego ciepło rozpraszające lęk. Usłyszał zimny śmiech i zrozumiał, że dobiegał od elfa. Odgłos tej ponurej wesołości był w pewien sposób bardziej przerażający nawet od wzbudzonego magicznie strachu.

– Próbujesz swojej prostej magii na mnie, Albiończyku? Odbiję ją do ciebie, zdwojoną i jeszcze raz zdwojoną.

Elf wypowiedział zaklęcie i postać w czarnym płaszczu wydała z siebie wysoki wrzask czystego przerażenia, po czym chwyciła się za pierś i upadła. Ludzie z Albionu uspokoili się i walczyli dalej.

Gotrek ścigał orka, aż przyparł go do ściany. Jego topór mignął raz jeszcze i pierś stwora zapadła się buchając wszędzie wnętrzościami wyrwanymi siłą ciosu. Felix rozejrzał się chcąc sprawdzić, co robią Albiończycy. Culum nareszcie dostrzegł lukę i rąbnął młotem prosto w łeb potwora. – Siła uderzenia zerwała głowę z ramion, która zmiażdżona z jednej strony poleciała w górę i spadła na ziemię tocząc się jak piłka. Wylądowała u stóp człowieka, zupełnie jakby wielkolud zrobił to specjalnie. Głowa spoglądała na niego z zajadłą nienawiścią w gasnącym świetle swoich ślepi.

Pozostałym tubylcom udało się otoczyć ostatnich dwóch orków i osaczali ich jak psy szczujące jelenia. Sypnęły się iskry, szybkie jak języki węzów i przeszły zielone ciało. Krwawiące z dziesiątek ran orki wreszcie padły. Zabrały jednak ze sobą do piekła kilku ludzi. Pozostała tylko połowa mężczyzn z Mokradeł Crannog.

Gotrek ruszył w kierunku przejścia, z którego dobiegły odgłosy walki. Felix wszedł za nim do ostatnich jaskiń.

Były tam gobliny, martwe orki i więcej zabitych kobiet. Kilka amazonek nadal broniło się, walcząc z kłębiącą się hordą krzywonogich goblinów. Za nimi stała otulona w biel postać, którą kobiety pragnęły chronić za cenę własnego życia. Felix popędził naprzód wyprzedzając Zabójcę i przeskoczył kilka ostatnich kroków, które dzieliły go od goblinów.

Trzymając miecz oburącz ciął nim wokół siebie, zabijając wiele małych potworów zanim zobaczyły co na nich spadło. Ich śmiertelne okrzyki przeraziły pozostałych, którzy rozpaczliwie odwrócili się, by zmierzyć się z nowym zagrożeniem. Dało to kobietom dość czasu, by mogły oderwać się od walki.

Cudownie – pomyślał Felix – sam przeciwko hordzie zielonoskórych. Oto dokąd prowadziło bohaterstwo. Walczył jednak dalej desperacko zapierając się nogami. Wiedział, że Zabójca nie może być daleko. I nie zawiódł się. Po chwili nad jego ramieniem błysnął potężny topór i rozciął na pół wyjącego goblina. A potem Gotrek wbił się w nich jak wir zniszczenia. Nic nie przeżyło w obrębie łuku zakreślanego przez jego topór. Ciosy krasnoluda rozbijały tarcze ignorując zastawy małych stworów. Mieli takie szanse powstrzymać Zabójcę jak Felix gdyby próbował zatrzymać szarżującego byka.

Chwilę później przybyli Albiończycy i rzeź dobiegła końca. Po wszystkim – pomyślał Felix spoglądając na scenę mordu. Odwrócił się, by zobaczyć rząd włóczyń wymierzonych w swoją pierś.

Rozdział 20

Kobiety były uzbrojone we włócznie i małe skórzane tarcze. Nie wyglądały przyjaźnie. Felix nie rozumiał, dlaczego celowały w niego tak groźnie włóczniami. Czy nie pomógł ich ocalić? Czy nie zabijał orków? W każdym razie próbował się nie ruszać. Pomyłki się zdarzały. Nieporozumienie mogło z łatwością okazać się fatalne, gdy w grę wchodziła broń.

– To święta ziemia – powiedziała jedna z kobiet. Prawie dorównywała wzrostem Felixowi, a jej włosy były związane w liczne warkocze. Twarz i ramiona pokrywały tatuaże, które nadawały wojownicze dzikiego, barbarzyńskiego wyglądu.

– Przepraszam, następnym razem uszanuję wasze zwyczaje i pozwolę orkom zarznąć was na waszej świętej ziemi. – Nie potrafił ukryć goryczy w swoim głosie. Kobieta spojrzała na niego, jakby miała zamiar go zaatakować. Felix przygotował się, by uskoczyć.

– Spokojnie, Siobhain – odezwał się drżący głos. – Jest tu obcy i pomógł uratować życie nam wszystkim. Ma prawo być tutaj.

– Ale on nie jest naszej krwi – powiedziała Siobhain. – Każdy głupi to widzi...

Zamknęła usta jak zatrzasujące się stalowe sidła, jakby właśnie zdała sobie sprawę, co powiedziała. Rumieniec, widoczny nawet w bladym świetle, pojawił się pod tatuażami na jej twarzy. Chwilę później Felix zrozumiał, dlaczego tak się stało. Stara kobieta, do której to powiedziała miała oczy powleczone mleczną bielą. Z całą pewnością była niewidoma. Dziewczyna spojrzała na Felixa takim wzrokiem, jakby to wszystko była jego wina. Felix wzruszył ramionami.

– Jesteś Felix Jaeger – powiedziała stara kobieta. Felix z trudem utrzymał zamknięte usta. Skąd mogła znać jego imię? Gołąb pocztowy, kurier, który nocą wyslizgnął się z Mokradeł Crannog – było mnóstwo innych wyjaśnień, jakie podpowiadała racjonalna część jego umysłu, ale wiedział, że nie ma racji. W grę wchodziła magia. Ta starucha najwyraźniej była wiedźmą.

– Miło cię spotkać – powiedziała stara kobieta wykonując palcami zawity gest, który mógł być częścią zaklęcia albo błogosławieństwa. Felix skulił się, ale nic się nie stało.

– Mnie też jest miło – odpowiedział kłaniając się z największą gracją, z jaką zdołał. Wydawało mu się, że należy uczynić coś takiego. Wyczuwał, że uwaga starej odrywa się od niego i wykorzystał tę okazję, by się jej przyjrzeć. Była wysoką kobietą o ostrych rysach twarzy, ale nadal piękną. Nosiła szaty z grubej szarej wełny. Miała warkocze splecione w sposób jeszcze bardziej zawity niż u Siobhain. Na jej twarzy także widniały tatuaże, ale wydawały się wyblakłe i prawie niewidoczne, jak linie na pergaminie, który zbyt długo leżał na słońcu. Felix zastanawiał się, jak mogło się to stać.

– Ty także witaj, Teclisie z Ulthuanu. Jesteś pierwszym ze swojego rodzaju, który od tysiącleci postawił stopę w tym miejscu.

W głosie elfa odezwała się ironia.

– O ile wiem, jestem pierwszym z mojego rodzaju, który kiedykolwiek postawił stopę w tym miejscu, Wyrocznio.

– A zatem nie wiesz wszystkiego – powiedziała stara. Jej głos zabrzmiał teraz ostro i groźnie. Felix przypuszczał, że przywykła do traktowania jej z większym szacunkiem. Z pewnością tubylcy wydawali się zalęknieni jej widokiem. Można to było odczytać z wyrazu ich twarzy.

– Byłem tego świadom przez więcej stuleci niż zdołałaś przeżyć – odparł Teclis. Ton jego głosu był równie ostry.

Bogowie, strzeżcie nas przed próżnością czarodziejów – pomyślał Felix. Dziwny uśmiech przemknął po twarzy starej kobiety, zupełnie jakby wiedziała co pomyślał. Gotrek słysząc, słowa elfa warknął i wystąpił naprzód.

– Jestem Gotrek, syn Gurniego – powiedział nie dając starej kobiecie czasu, by mogła wymienić jego imię. – Kim ty jesteś?

Dziewicza strażniczka i tubylcy wyraźnie oburzyli się słysząc ton jego głosu. Ich dłonie zacisnęły się na broni. Gotrek wyglądał na całkowicie obojętnego w obliczu zbliżającego się wybuchu przemocy. Felix żałował, że nie potrafi podzielić opanowania krasnoluda.

– Ty także jesteś witany, Zabójco.

Jeśli Gotrek zdumiał się, skąd wiedziała kim jest, na jego twarzy nie pojawiła się żadna oznaka.

– Porzuciłam moje imię, gdy przyjąłam tytuł Wyroczni.

Zabójca wzruszył ramionami. Udało mu się wykonać nawet ten gest w groźny sposób. Felix zastanawiał się, czy przebyli całą tę drogę tylko po to, by wdać się w walkę z ludźmi, którzy powinni być ich sprzymierzeńcami. Coś trzeba było zrobić i to szybko.

– Jak te orki dostały się tutaj? – zapytał. – To nie jest miejsce, do którego można po prostu zabłądzić.

– Zostali tu doprowadzeni – powiedziała Wyrocznia.

– Doprowadzeni! – zawołał Murdo. Był wyraźnie wstrząśnięty.

– Aye, Murdo Mac Maldochu, doprowadzeni.

– Jaki człek z plemion mógłby ich tu doprowadzić? Z pewnością nikt nie mógłby w ten sposób odwrócić swego oblicza od światłości.

– To nie był zwykły człowiek z plemion, Murdo. To był jeden z Rady. Siobhain, przydad się na coś! Ty i Mariach przynieście do nas ciało nieznanego w czarnym płaszczu.

Zapadło milczenie, aż dwie wojownicze dziewice wróciły niosąc ciało czarnoksiężnika.

Wyrocznia zbliżyła się do niego i odsunęła kaptur odsłaniając pociągłą, bladą twarz w tatuażach. Rysy mężczyzny wykrzywiało przerażenie nawet po śmierci. Ślina nadal tkwiła na jego ustach. Wyglądał, jakby umarł z czystego strachu.

Twarz Murdo zbieleła.

– Baldurach! – krzyknął. W jego głosie były strach i niedowierzenie. Ramiona starca opadły, a on wbił wzrok w podłogę u swoich stóp. – A zatem zostaliśmy zdradzeni i to przez jednego z naszych – powiedział bardzo cicho.

– Są tacy, którzy słuchają podszeptów Mrocznego Ducha – powiedziała Wyrocznia.

– To nie miejsce, by o tym mówić – odparł Murdo spoglądając znacząco na trzech towarzyszy. Felixowi wydawało się, że tym wzrokiem ogarnia także swoich ludzi, choć mogła to być tylko jego wyobraźnia.

– Jeśli nie tutaj, to gdzie? – spytała Wyrocznia. – Ci trzej muszą usłyszeć, co jest tutaj mówione. Odeślijcie pozostałych.

Wskazała na strażniczki, które zaczęły wyprowadzać mężczyzn. Wyrocznia odwróciła się i weszła w głąb jaskini. Zrobiła to ze swobodą i wdziękiem, nie zdradzając faktu, że była ślepa. Felix poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Tłumaczył sobie, że musiały istnieć inne zmysły niż wzrok. A może ona po prostu tak długo przechadzała się tymi pieczarami, że zapamiętała wszelkie przeszkody? Jeszcze raz coś mu powiedziało, że tak nie jest.

Gotrek i Teclis podążyli za nią. Magiczne światło elfa przybladło nieco, ale nadal dawało dość iluminacji, by można było widzieć. Murdo spojrzał na niego wzrokiem, który mógł oznaczać strach, szacunek lub zdumienie, po czym dał Felixowi znak, by szedł za nimi. Felix ruszył w głąb półmroku. Ciężki krok starego człowieka powiedział mu, że Murdo szedł tuż za nim.

Ta komora była mniejsza. Ściany pokrywały bardziej abstrakcyjne wzory, który wydawały się przedstawiać jakiś kosmiczny labirynt. Pośrodku znajdowało się ciężkie, kamienne jajo o idealnym

kształcie, na którym wyryte były podobne wzory. Od samego patrzenia na nie Felixowi lekko kręciło się w głowie. Na szczycie kamiennego jaja widniało wgłębienie, w którym coś leżało.

– Czy jesteś pewna, że chcesz pokazać to tym przybyszom? – spytał Murdo.

– Są tego częścią – odparła Wyrocznia.

Siadła ze skrzyżowanymi nogami w cieniu jaja i wskazała, by siedli podobnie. Felix i Teclis przyłączyli się do niej. Gotrek oparł się o ścianę nonszalancko trzymając topór oburęcz. Murdo zerknął na niego, a potem on także zasiadł.

– O co chodzi?

– Gromadzą się mroczne cienie, Murdo. Istoty dawno uwieszone zostały uwolnione. Niektórzy z naszych braci i sióstr odwrócili się od prawdy i światła, a teraz służą temu, co pragnęliśmy ukryć. Starożytne braterstwo zostało rozbite. Nadszedł czas rozłamu i chaosu.

– Niemożliwe!

– Nie, Murdo, to jest możliwe. Jesteśmy tylko śmiertelnikami, a to jest nieśmiertelne. Jesteśmy słabi i podatni na zepsucie. Niektórzy ulegli. Tak jak to przewidziałam.

– Że też to musiało stać się za naszego czasu! Pradawny pakt został zdradzony!

– Jednak tak się stało. A orki znalazły drogę do serca tego świętego miejsca. Powinniśmy być wdzięczni, że Baldurach przyprowadził tylko orki, a nie coś gorszego.

Felix zastanawiał się, czy elf i krasnolud byli równie zagubieni jak on. Nie pokazywali tego po sobie. Teclis wydawał się skupiać na wszystkim co było mówione. Gotrek tylko gapił się przed siebie, jakby był znudzony.

– Powiadasz, że oni są tego częścią.

– Tak. Przybysze weszli do Świątyni Pradawnych. Otworzyli ścieżki starożytnych. Czyniąc to pozostawili przejście, przez które może uciec prastary wróg.

– Kim jest ten wróg, o którym mówisz? – spytał Felix.

– Prastary duch ciemności, uwieszony dawno temu, związany potężnymi zaklęciami u zarania historii. Pożąda mocy i władzy nad wszystkim.

– Został uwieszony za pomocą energii ścieżek i mistycznych sieci – domyślał się Teclis. Brzmiał jak lekarz konsultujący przypadek gorączki. Wyrocznia skinęła głową.

– To był jedyny sposób. Żaden śmiertelnik nie zdołałby inaczej zgromadzić takiej mocy.

– A teraz, gdy strumienie mocy zostały zakłócone, jego okowy zaczęły słabnąć.

– Tak. Chociaż to nie jest twój problem. Twoje troski są bardziej palące. Pragniesz zapobiec zatonięciu swojej ojczyzny, nieprawdaż?

– Tak. Skąd to wiesz?

– Myśli i wizje przenikają przez Ścieżki Pradawnych podobnie jak żywe istoty. Rozmawiałam z tymi samymi nieumarłymi istotami, które rozmawiały z tobą. Powiedziały mi o twoim nadejściu. Nasze losy są splecione. Musimy bowiem oczyścić Świątynię Pradawnych i jeszcze raz zamknąć ścieżki, albo twoja ziemia zostanie stracona.

– My musimy to zrobić? – spytał Felix. – Dlaczego my?

– Bowiem nikt inny w Albionie nie ma mocy ani wiedzy, by uczynić to co należy. Świątynia jest w rękach nikczemnych potęg Chaosu. To one pchnęły orki i związały boga, którego wyznają zielonoskórzy.

– Związali boga? – zdumiał się Felix. – Z całym szacunkiem, ale myślę, że istoty, która potrafią uczynić coś takiego są odrobinę poza naszym zasięgiem.

Nie rozglądał się z obawy, że elf albo krasnolud sprzeciwią się. Milczeli.

– To nie jest prawdziwy bóg, Felixie Jaegerze. To jeden ze stworów Pradawnych, strażnik

pozostawiony, by strzegł ich świątyni i tworów.

Felix pomyślał o pajęczych istotach, z którymi walczyli na bagnach. To wspomnienie nie zwiększyło jego entuzjazmu wobec stawianego przed nimi zadania.

– Cóż to może być za potwór?

– Jeden z gigantów Albionu, Felixie Jaegerze.

Felix stłumił jęk. Nie musiał patrzeć na Zabójcę, by wiedzieć, jak bardzo go to zainteresuje.

– Giganci zostali stworzeni dawno temu przez Pradawnych, by strzegli ich skarbów i tajemnic. Są niemal nieśmiertelni, ale mówi się, że z upływem lat zmienili się w zdegenerowaną parodię szlachetnych istot, jakimi kiedyś byli. Zaczęli czcić Chaos i dokonywać innych nikczemnych czynów. Stali się podłymi, krwiożerczymi stworzeniami, które polują na wszelkie istoty słabsze od nich, ale nadal w dziwny sposób wykonują swoje obowiązki, zmuszani zobowiązaniem, jakie nałożyli na nich Pradawni. Pojawili się w dziwnych miejscach i uczynili z nich swoje leża, wypełniając je złupionymi skarbami.

Było coraz gorzej – skarby i potwory! Felix dziwił się, że Gotrek jeszcze nie zaczął ślinić się z radości.

– I powiadasz, że jeden z nich uległ potęgom Chaosu?

– Aye, Magrig Jednooki, najpotężniejszy ze starych olbrzymów, w swoim czasie zabójca smoków i behemotów, zanim jego mózg okryła mgła i zanim zaczął pożądać ludzkiego mięsa.

– Och świetnie, czyli to nie jest zwykły, olbrzymi potwór? – powiedział Felix.

– Nie. Jest wielki jak góra i potrafi rozbijać mury zamkowe jednym ciosem swej pałki.

– A teraz został zmuszony do służby Chaosowi? – spytał Teclis.

– Aye, przez Kelmaina i Lhoigora, dwóch najnikczemniejszych i najpotężniejszych ze wszystkich sług Zmieniającego.

Stara kobieta wykonała gest i w lśniącej mgle, która zasnuła przestrzeń między jej dłońmi pojawił się obraz. Pokazywał dwie miniaturki czarnoksiężników, bliźniaków-albinosów – jednego odzianego w czerń, drugiego w złoto. Ich głowy były łyse lub ogolone, a palce przypominały szpony.

– Znam ich – powiedział Felix nie potrafiąc ukryć zaskoczenia w głosie. – Poszliśmy za jednym z nich na Ścieżki Pradawnych. I to oni byli pod Praag z hordą Chaosu – dodał pośpiesznie, zanim jego słowa mogły zostać źle zrozumiane.

– Aye – odezwał się Gotrek. – To oni. Doradzali Arekowi Pazurowi Demona i jego wodzom. Wezwali te wielkie żywe maszyny oblężnicze i demony, które szturmowały mury.

– To wasi starszy wrogowie? – spytał Murdo.

– Nie staną się dużo starsi, jeśli zblizną się do mojego topora – powiedział Gotrek.

– To dobrze, – rzekła Wyrocznia – bowiem są to źli ludzie i bardzo pilnie trzeba ich zabić.

Felix podsumował wrogów.

– Jeden olbrzym, dwóch czarnoksiężników o wielkiej mocy, co jeszcze? Trzy smoki?

– Magowie mają swoje straże, a każdego dnia sprowadzają przez ścieżki coraz więcej wojowników Chaosu. Zamierzają użyć pradawnych dróg, by najechać wiele krajów. Albo nie wiedzą, albo nie dbają o konsekwencje tego, co czynią.

– A zatem dodajmy jeszcze armię Chaosu. Dobrze – nic trudnego. Mamy po prostu wyjść i wyzwąć ich wszystkich na pojedynki?

– Nie wydaje mi się, byś traktował to całkiem poważnie, Felixie Jaegerze – powiedziała Wyrocznia.

– Zauważyłaś, prawda? Teraz rozumiem, dlaczego nazywają cię Wyrocznią – Felix nie potrafił się powstrzymać.

Dłoń Murdo sięgnęła po nóż.

– Okaż trochę szacunku...

– Albo co? Zabijesz mnie? Zdaje się, że wasza Wyrocznia i tak bardzo stara się wysłać nas na pewną śmierć.

Felix wiedział, że zabrzmiało to histerycznie i z przekąsem, ale nie mógł nic na to poradzić. Tak właśnie się czuł. Wydawało się, że wypadł z deszczu pod rynną. Jak ich trzech mogło cokolwiek zdziałać w takich okolicznościach? To było niemożliwe. Tam była armia potworów. Był gigant. Było dwóch najpotężniejszych i najnikczemniejszych magów na powierzchni planety. Nie miało znaczenia jak wielkim wojownikiem był Gotrek, ani jak potężnym czarodziejem był Teclis – przeciwnicy przytłaczali ich swoją potęgą. Potrząsnął głową usiłując zapanować nad sobą. Co w tym było nowego? Już wcześniej zmierzył się z przytłaczającymi siłami i przeżył. On i Zabójca wywalczyli sobie wyjście z wielu mrocznych miejsc. To miało być tylko jeszcze jedno. Spojrzał na Wyrocznię.

– Proszę o wybaczenie – powiedział cicho. – Jestem po prostu zmęczony i przestraszony.

– To zrozumiałe w tych okolicznościach, Felixie Jaegerze. Dobrze, że jesteś tego świadom.

– Przez chwilę nie miałem pojęcia jak tego dokonamy.

– A teraz już masz? – powiedział Teclis uśmiechając się.

– To proste – odparł. – Potrzebujemy tylko armii, by zająć wojowników Chaosu. Gotrek i ja zabijemy olbrzyma, a ty zajmiesz się czarownikami. Nic prostszego.

– Dobry plan, człeczyno – powiedział Gotrek. Felix pomyślał, że wyczuł odrobinę ironii w głosie Zabójcy, ale nie był tego pewien. – A jeśli elf nie da sobie rady z tymi czaromrukami, ja to zrobię.

– Żałuję, że nie podzielam twojej pewności siebie, Gotreku Gurnissonie – powiedział elf. Ton jego głosu nie uspokoił Felixa.

– Myślę, że część z tego o co prosisz da się zorganizować – powiedziała Wyrocznia. – To tylko kwestia szukania w odpowiednim miejscu.

Cudownie – pomyślał Felix – ślepa kobieta radzi mi jak czegoś szukać. Zatrzymał jednak te myśli dla siebie. Ślepa kobieta uśmiechnęła się jednak, jakby i tak je odczytała.

– A teraz, Teclisie z elfów – powiedziała. – Musisz to wziąć, a ja wyjawię ci jak tego użyć, po czym obejrzę Dugala.

Podniosła amulet ze szczytu zawile zdobionego jaja. Felix widział, że był wykonany z kamienia i pokryty już znanymi runami. Ponieważ było jasne, że zamierzała powierzyć to tylko elfowi, wstał, skłonił się i wyszedł.

– Mam nadzieję, że nauczy go jakiś potężnych czarów – powiedział, gdy przyciszona rozmowa oddaliła się za nim. – Będziemy tego potrzebowali.

Rozdział 21

Felix szczerzej owinał się w płaszcz. Wiatr w tych górach był zimniejszy. Gdy przechodzili szczytem góry, zobaczył jak złudny może być widok. To co wyglądało na łańcuch wysokich szczytów było w rzeczywistości wieloma przecinającymi się łańcuchami górskimi, a między nimi leżało wiele dolin i jezior.

Tutaj wysoko, śnieg nadal leżał na ziemi, a roślinność była uboga. Dzikie życie reprezentowały jedynie wysoko latające ptaki i kilka dzikich owiec, które odbiegały strachliwie widząc ludzi. Poniżej rozciągało się więcej lasów sosnowych, które w niektórych miejscach spływały niemal *pod same* brzegi jezior. Na północy Felix zauważył coś, co wyglądało jak jałowa dolina. Zamyślił się, co mogło sprawiać, że jedna dolina była żyzna, a druga jałowa, a potem wzruszył ramionami. To było kolejne z pytań, na które zapewne nigdy nie znajdzie odpowiedzi.

Za nimi tubylcy z Mokradeł Crannog szli rozciągnięci w linii. Na przedzie kolumny szła dziewczyna strażniczka, którą Wyrocznia wyznaczyła na przewodniczkę. Elfi mag i krasnolud stali na szczycie wzniesienia rozglądając się wokół. Felix domyślał się, że to nie piękno krajobrazu przykuło ich uwagę, ale skupisko okrągłych, kamiennych wież, które przywarły do następnego grzbietu góry. To były masywne, toporne budowle, które miały odeprzeć obłężenie. Ich jedyną ozdobę stanowiły wszechobecne runy, które były odbiciem wzorów tatuaży na twarzach wojowników. Runy zostały wymalowane jaskrawymi kolorami na kamieniach. Niewątpliwie miały jakieś tajemnicze znaczenie. Felix stwierdził, że powinien spytać o to elfa.

Z jednej z wież wyszła grupa wojowników, którzy pobiegli wzdłuż grani w ich stronę. Było ich kilkudziesięciu, pobieżnie licząc i wszyscy byli uzbrojeni. Felix przysunął się do Gotreka i Teclisa. Nie wątpił, że słudzy Wyroczni zostaną ciepło powitani, ale nie był pewien, jak będzie w przypadku nieznajomych. Stwierdził, że w tych okolicznościach lepiej zachować ostrożność.

Felix uznał, że ludzie z Carn Mallog bardziej przypominali niedźwiedzie niż wilki. To byli wielcy mężczyźni, silnie zbudowani, o hardych obliczach. Ich włosy były długie i kudłate, a twarze porastały brody niemal dorównujące długością krasnoludzkim, zaczesane i skręcone w różne fantazyjne formy. Policzki i zbrojne ramiona pokrywały tatuaże. Wielkie dwuręczne miecze wisiały na plecach. W dłoniach zaciskali długie włócznie. Odzienie składało się ze skórzanych kaftanów i wełnianych kiltów. W najlepszym razie ramiona okrywały proste płaszcze. Niektórzy zamiast nich nosili niedźwiedzie lub wilcze skóry. Ci wydawali się najważniejsi. Spoglądali nieufnie na Teclisa i Gotreka. Ich wzrok jasno wskazywał, że nieufność dotyczyła także Felixa.

– Ci ludzie mają miecze – powiedział Felix do Gotreka. – Ludzie z Mokradeł Crannog ich nie mieli. Jak myślisz, dlaczego tak jest?

– Trudno obrabiać metal na bagnach, człeczyno – odparł krasnolud.

– Murdo ma miecz – sprzeciwił się Felix.

– Domyślałem się, że zdobył go od ludzi z gór. Kopalnie i złoża metali znajdują się głównie w górach i na wzgórzach.

– Dlaczego tak jest?

Krasnolud wzruszył ramionami.

– Zapytaj bogów – odparł. – To oni złożyli tam metal. Krasnoludy tylko go wykopują.

Felix domyślił się, że nie otrzyma lepszej odpowiedzi. Teclis obojętnie przyjął spojrzenia ludzi ignorując ich otwartą wrogość. Murdo przyprowadził do nich wielkiego jak niedźwiedź mężczyznę I szybko dokonał prezentacji. Okazało się, że mężczyzna zwał się Bran MacKerog i był wodzem ludzi z Carn Mallog. W jego powitaniu nie było cienia serdeczności, a tylko nieufność i być może ostrożny

szacunek.

– Składam wam dzięki za pomoc Wyroczni – powiedział. – Światłość czuwa nad nią.

– Podziękowania nie są potrzebne – rzekł Felix widząc, że jego towarzysze nie zamierzają odpowiedzieć. – Zrobiliśmy tylko to, co zrobiliby dowolni ludzie na naszym miejscu.

Gdy tylko to powiedział, zrozumiał, że to nie było właściwe. Wątpił, by Gotrek lub Teclis podziękowali mu za porównanie ich do ludzi. Zauważył, że przez głowę Brana przemknęła już myśl, że żaden z tych dwóch nie był człowiekiem. Mimo swojego brutalnego wyglądu, w jego zimnych, niebieskich oczach i na surowej twarzy widoczna była żywa inteligencja. Felix wątpił, by wodzowie plemion górskich wybierani byli tylko ze względu na swoje urodzenie.

– Wypijecie whisky z nami – powiedział.

Felix nie był pewien, czy to było pytanie, polecenie, czy zaproszenie.

– Tak zrobimy – odpowiedział pośpiesznie, na wypadek, gdyby pozostali zrozumieli to opacznie. Ruszyli w stronę wież, gdy noc zaczęła zbierać się wokół szczytów jakby okrywając je płaszczem.

Teclis utykając szedł z jednej strony Murdo, a Siobhain z drugiej. Wrócili ze swoich rozmów wraz z ludźmi z Mokradeł Crannog. W ciągu dni, gdy doszli tak daleko wydawało się, że ludzie go zaakceptowali. Felix przypuszczał, że znacznie ułatwiła to Wyrocznia. Starzec i dziewczyna rozmawiali swobodnie w obecności elfa, przynajmniej dopóki pozostawali poza zasięgiem słuchu pozostałych. Teclis przysłuchiwał się a jednocześnie jego umysł rozważał tajemnice, jakie wyjawiała mu Wyrocznia. Wyraźnie nim wstrząsnęły.

– Jest źle – powiedział Murdo. – Orki znowu gromadzą się w górach. Plotka mówi, że szamani podburzyli ich, by spróbowali odbić swoją dolinę. Pojawił się wśród nich jakiś prorok. Zdaje się, że żyli tam tak długo, że zaczęli uważać to miejsce za swoje.

– Ach, tak? – powiedział Teclis. Najwyraźniej jego podejrzenia okazywały się słuszne. Świątynia stanowiła klucz do tego wszystkiego. Leżała pośrodku wielkiej sieci Ścieżek Pradawnych i tylko stamtąd można było ponownie zamknąć te magiczne drogi, chociaż cena, jaką trzeba było za to zapłacić mogła być wysoka. Zastanowił się jeszcze raz nad innymi sprawami, o których powiedziała mu stara kobieta. Czy naprawdę było możliwe, że Prawdomówcy poznali pewne sekrety Pradawnych, których nie poznały nawet elfy?

– Zaiste, Teclisie z Ulthuanu, tak właśnie się stało – odpowiedziała kobieta. Uśmiechnęła się do niego dość dziwnie i mówiąc dotknęła jego ramienia. To sugerowało interesujące możliwości, jeśli jego podejrzenia były słuszne.

Uśmiechnął się i wrócił do wcześniejszych myśli. Coś takiego z pewnością byłoby ciosem dla próżności jego ludu, gdyby okazało się to prawdą i stało się powszechnie wiadome. Według Wyroczni utworzenie zakonu Prawdomówców sięgało legendarnych czasów, gdy Pradawni chodzili po ziemi. Dlaczego nie powiedzieli o tym elfom? Pradawni musieli mieć swoje powody. Może między nimi istniały rozłamy, jak w każdej innej rasie? Może nie chcieli, by tylko jedna rasa posiadała całą wiedzę magiczną? W końcu, podarowali umiejętność rzeźbienia run tylko krasnoludom.

– Zdaje się, że możemy zmierzyć się nie tylko z armią wyznawców Chaosu, ale także z armią zielonoskórych – powiedział Murdo. Zapatrzył się na odległe szczyty, jakby podejrzewał, że mogą ukrywać wrogów.

– To nie byłoby dobrze – powiedział Teclis zwracając uwagę ponownie na człowieka. – Musimy dotrzeć do Komnaty Tajemnic w Świątyni Pradawnych, jeśli mam wykonać to, co należy zrobić.

– Pomogę ci, jak tylko będę umiał – zapewnił Murdo. – W każdy możliwy sposób.

– Podobnie jak ja – powiedziała Siobhain.

Teclis był przekonany, że w jej oku dostrzegł błysk. No cóż, w ciągu wieków wiele ludzkich kobiet uznawało go za atrakcyjnego, ale w tej chwili musiał skupić swój umysł na innych rzeczach.

Wydawało się, że Pradawni przewidzieli nadchodzącą katastrofę i nauczyli tych ludzkich czarodziejów, jak przygotować się do niej. Wielkie kamienne kręgi miały za zadanie wiązać i kontrolować energię Chaosu. Jeśli to co powiedziała Wyrocznia było prawdą, wówczas to nie elfi czarodzieje zmienili losy pradawnej bitwy przeciwko Chaosowi, ale uczynili to Prawdomówcy i ich kamienne kręgi. Ściągając magiczną moc Chaosu w krytycznym momencie zapobiegli czarnoksiężskiemu atakowi na świat, chociaż za cenę skażenia własnej ziemi, gdy okazało się, że kamienne kręgi działają nazbyt skutecznie.

Może to był prawdziwy powód dlaczego Ścieżki Pradawnych zostały skażone? Może sprawiła to magiczna energia ściągnięta do nich z Albionu? Teclis odrzucił tę teorię. Za mało wiedział o tym. Przypomniawszy sobie co Wyrocznia powiedziała mu o świątyni oraz amulecie, który teraz wisiał na jego piersi.

Okazało się, że nie pozostał ani jeden Prawdomówca, który miałby wystarczającą moc, by użyć amuletu, więc przypadło to w udziale Teclisowi. Miał tylko nadzieję, że podoła temu zadaniu. Dotknął amuletu swoimi długimi palcami. Oczywiście, że podoła. Był Teclisem, największym czarodziejem obecnie na świecie. Jeśli on nie zdoła zamknąć ścieżek, nikt tego nie dokona. A to była najbardziej przerażająca myśl. Jeśli on tego nie dokona...

Przed nimi zamajaczyły pierwsze wielkie kamienne wieże. Wyglądało na to, że pojawiły się w samą porę przed zapadnięciem nocy. Wkrótce zamierzał porozmawiać z Branem i pozostałymi na temat planu Wyroczni. A potem... Uśmiechnął się do kobiety. Odwzajemniła uśmiech. Teclis postanowił, że weźmie co podaruje mu los.

– A więc, jak wielką armię ma twoje Imperium, Felixie Jaegerze? – spytał Bran. Natychmiast wszyscy otaczający go wielcy mężczyźni wyjęli słuch.

– Nie znam dokładnej liczby, ale wiele regimentów – odparł Felix. Podczas drogi do wieży wódz górali okazywał wielkie zainteresowanie Imperium i jego uzbrojeniem. Felix domyślał się, że wojna ma swoje prawa, a tamten okazywał tylko zawodowe zainteresowanie. Albo wyciągał z niego informacje z myślą o inwazji w przyszłości. W każdym razie, pytania i rozmowa stale krążyły wokół kwestii potęgi militarnej.

Felix nie bał się tej myśli. Z tego co widział wśród ludzi z Albionu Imperium nie miało się czego obawiać. O ile mógł stwierdzić, tubylcy nie znali prochu strzelniczego; nie mieli zorganizowanych szkół magii bitewnej, ani dostępu do machin wojennych, takich jak czołgi parowe i działa organowe. Ich rzemiosło metalowe wydawało się prymitywne w porównaniu z osiągnięciami ludzi z Imperium i krasnoludów. A jednak coś było w wodzu górali, jawna ambicja w jego oczach, która sprawiała, że Felix ostrożnie dobierał słowa.

– Powiadasz, że twój lud to kupcy? Nie wojownicy? – Ludzie z jego straży tręcali się łokciami i zaśmiali się, jakby ich wódz opowiedział dowcip. Felixa zaczynało to już męczyć.

– Mój ojciec jest kupcem.

– Nie o to mi szło. Powiadasz, że bogactwo twego narodu płynie z kupiectwa. Czy bardzo to bogaty lud?

Felix uśmiechnął się zimno. Bran patrzył na niego wzrokiem rozbójnika czającego się na bogatego kupca, albo złodzieja łapiącego na właściciela sklepu. W jego oczach pojawiła się wyraźna chciwość.

– Bardzo bogaty – odparł Felix. Jeśli ten zaściankowy wódz pragnął snuć fantazje o złupieniu Imperium, dlaczego mu tego bronić? – Ale krasnoludy mają jeszcze więcej złota niż my... – dodał

złośliwie.

– Aye, ale jeśli ich wszyscy wojownicy wyglądają jak Gotrek Gurnisson, trudno byłoby im to zabrać.

Felix natychmiast zrozumiał, co to znaczyło. Wódz uznał Gotreka za reprezentanta wszystkich krasnoludów, a Felix reprezentował ludzi z Imperium. Felix nie zamierzał się obrazić. Oczywiście prawdą było, że Gotrek wyglądał na znacznie groźniejszego niż on, chociaż w tych założeniach było coś uwłaczającego.

– Możesz się przekonać, że lud Felixa Jaegera jest bardziej hardy niż ci się wydaje – rzekł Murdo, który zbliżył się do nich. – On sam z pewnością jest hardy.

Felix był zaskoczony widząc go. Murdo trzymał się wcześniej Teclisa. Oglądając się za siebie zobaczył, że elf szedł blisko Siobhain. Z pewnością nie mogło dziać się to, o czym myślał Felix. A może tak było? Może Murdo był po prostu dyskretny?

– Pomówimy więcej o tych sprawach, gdy znajdziemy się w wieży – powiedział Bran. Najwyraźniej nie chciał kontynuować rozmowy w obecności Prawdomówcy. – Teraz muszę rozmówić się z moimi dowódcami. Cieszę się z naszego spotkania, Felixie Jaegerze. I cieszę się, że widzę ciebie, Murdo MacBaldochu.

Wielki góral odszedł, a Murdo roześmiał się.

– Dobry człęk z tego Brana, ale zachłanny i zuchwały jak łupieżca.

– Zauważyłem – stwierdził Felix.

– Dobra rada – powiedział Prawdomówca. – Nie mów mu zbyt wiele o bogactwach swojej ojczyzny, albo zapomni o pilniejszych sprawach i spróbuje namówić cię na wyprawę przeciwko twojemu Imperium.

– Czy wszyscy wodzowie są tacy jak on?

– Niestety, większość z nich. Wolą urządzić najazdy zamiast hodować własną trzodę. Dlatego właśnie tak trudno naszym ludziom zjednoczyć się, gdy nie grozi nam największe niebezpieczeństwo.

– No cóż, teraz już wam to grozi, prawda?

– Owszem, Felixie Jaegerze. Owszem.

Gdy drzwi do wieży zostały zagrodzone, Felix poczuł się jak więzień. Ściany były masywne i grube, a wewnątrz ciemne i cuchnęło niemytymi ludzkimi ciałami, zwierzętami i dymem palonego drewna. W półmroku panował tłok. Felix wiedział jak łatwo w takich okolicznościach byłoby wbić sztylet w czyjeś plecy. Chyba, że ktoś widział w ciemnościach, tak jak elf lub krasnolud.

Wmawiał sobie, że nie było czego się obawiać. Przybyli z błogosławieństwem Wyroczni i nikt ich nie zaatakuję. Taki czyn był niewybaczalną zniewagą wobec niej i ich bogów. Felix uśmiechnął się kwaśno do siebie. Miał na to tylko ich słowo. A czyż to nie stara jasnowidząca wskazała, że są tacy, którzy działają przeciwko niej i jej podobnym? Felix zastanawiał się, kim dokładnie byli ci, którym nazywała podobnymi do niej.

Czuł się jakby znowu został uwięziony w wielkim labiryncie. Nie znalazł tego miejsca. Nie mógł niczego przyjmować za pewnik. Spojrzał na krasnoluda. No cóż, prawie niczego. Mógł być pewny, że Zabójca będzie jak zwykle zadziorny. Felix nie przypuszczał, by to była dobra cecha, gdy tkwili stłoczeni w zamkniętej fortecy z hordą uzbrojonych mężczyzn. Wątpił, by nawet Gotrek dał sobie radę z nimi wszystkimi.

Przyjrzał się otoczeniu szukając wyjścia. Nie dostrzegł żadnego. To miejsce było barbarzyńsko proste. Była tam tylko jedna, wielka izba, pośrodku której płonął wielki ogień podsycany drewnem. Dym unosił się przez serię otworów w drewnianych podłogach powyżej, by uciec przez szczyt wieży. Felix zrozumiał, że cała wieża była jednym, wielkim kominem. Z tego co rozumiał wynikało, że

każda z tych wielkich wież należała do jednej rodziny, a wszystkie rodziny stanowiły część większego klanu. Na tym polegała organizacja społeczna w tej części Albionu.

W cieniu, w którym stał słyszał głosy mówiących. Jeden z nich był huczącym głosem Brana.

– Posłaliśmy gońców do innych klanów z wieścią o waszym przybyciu. Spotkają się z nami pod Kręgiem Og. Zielonoskórzy posunęli się za daleko atakując święte jaskinie.

– Aye – zgodził się Murdo. – To prawda.

– Pora się napić – powiedział Bran.

Wszyscy goście zostali poprowadzeni do długiej ławy i przyniesiono whisky. Wszyscy znajdowali się nie dalej niż docierał donośny głos wodza. Bran klasnął w dłonie i skrzypkowie oraz dudziarze zaczęli grać, gdy wniesiono tace jedzenia. Wkrótce Teclis i Murdo siedzieli z obu stron wodza tłumacząc mu do obu uszu sytuację i odpowiadając na jego dociekliwe pytania. Najwyraźniej szybko przyjmował do wiadomości wydarzenia, nawet popijając whisky i żując owczą goleń. Felix czuł, że jego uwaga zaczyna dryfować – nasłuchiwał się o magicznych ścieżkach i katastrofach na całe życie, a whisky przyjemnie paliła go w żołądku. Pomyślał, że może powinien tu zostać, gdy inni stąd pójdą. Potem zdziwił się, do czego już doszło, żeby coś takiego uważał za przyjemną fantazję.

Poczuł, że ktoś cicho poruszył się obok niego. To była Morąg, jedna z dziewięciu strażniczek. Była ładna, miała piegowatą twarz, krótki nos i śmiało przycięte rudawo brązowe włosy. Uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech.

– Powiedz mi coś o elfie – poprosiła. – Jak długo razem wędrowaliście?

Felix jęknął i zaczął mówić.

Uderzenie pucharu o ławę ponownie zwróciło jego uwagę na Teclisa i Brana.

– Nie! To szaleństwo – powiedział Bran. – Nie powiodę moich ludzi w taką pułapkę.

W jego głosie słychać było gniew.

– Jeśli nie wskażesz nam drogi do doliny, o której mówiła Wyrocznia, nikt tego nie zrobi. Klątwa nie opuści twojej ziemi. I po części to będzie twoja wina.

Głos elfa był przekonujący, ale Bran bez trudu oparł się jego logice.

– Orki znają drogę. Będzie pilnowana. Poczekajcie, aż zbiorą się klany, a potem wywalczymy sobie przejście.

– Nie mamy czasu – odparł Teclis. – Zebranie armii zajmie miesiące, a my nie możemy sobie już pozwolić na stratę kolejnych tygodni. Zostało nam co najwyżej kilka dni.

Felix nagle skoncentrował całą uwagę na rozmowie. To było coś nowego. Sądził, że zamierzali wkroczyć do doliny z armią, a teraz wyglądało na to, że plan się zmienił. Felix pomyślał, że dobrze by było poznać wcześniej takie szczegóły.

– Powiadam ci, że przełęcze będą pilnowane.

– Zielonoskórzy koncentrują swoje siły w świątyni. Zostawią co najwyżej niewielki oddział.

– Niewielki oddział wystarczy, by zatrzymać nas na przełęczy. Nawet gdybym zabrał wszystkich swoich wojowników, niemożliwe będzie przebicie się wobec tak zartego oporu.

– Jestem czarodziejem o wielkiej mocy. Jestem pewien, że to będzie trudne, jednak nie niemożliwe.

– Nie dbam o to, czy władasz mocą bogów, nie idę z tobą – powiedział Bran. – Nawet jeśli wkroczysz do doliny, będzie pełna orków.

– Jeśli zdołamy dostać się do doliny, ufam, że zdołam ukryć nas przed wścibskimi oczami, przynajmniej dopóki nie dotrzemy do świątyni.

– A jeśli ci się nie uda? Przyłączę się do Wysokiego Króla pod Głazami Og i zbrojnie zajmiemy się zielonoskórzy.

– Kraj może nie przetrwać do tego czasu – powiedział Murdo. – Jeśli moc z wnętrza świątyni zostanie uwolniona...

– Nie, Murdo – powiedział Teclis. – Widzę, że szlachetny Bran już postanowił swoje. Nie naciskaj go. Sami ruszymy naprzód. W końcu, gdy dotrzemy do Komnaty Tajemnic, będzie nas mniej do podziału jej skarbów...

– Skarbów? – spytał Bran. W jego głosie pojawiła się całkiem nowa nuta. – Opowiedz mi o tych skarbach!

– Nie. Już postanowiłeś. Po co chcesz słuchać o skarbach?

– A dlaczego ludzie chcą słuchać o skarbach? Mów, elfie! – Gotrek rzucił mu pogardliwe spojrzenie, ale Felix widział, że on także nakłonił ucha.

Noc trwała. Morąg odeszła. Felix upijał się coraz bardziej, aż ledwo był w stanie utrzymać otwarte oczy. Znalazł zaciszne miejsce po wielką drewnianą podporą i otulił się w płaszcz. Pomimo hałasów pijaństwa, niemal natychmiast zapadł w głęboki sen.

Rozdział 22

W bladym blasku słonecznym poranka, w górskich dolinach, wydarzenia poprzedniej nocy wydawały się snem. Felix robił co mógł, by ignorować bolącą głowę i wzburzony żołądek. Koniec z whisky dla mnie – pomyślał. A jednak, przynajmniej opowieść elfa o skarbach zrobiła swoje. Felix ledwo przypominał sobie hałaśliwe pijackie toasty wznoszone za skarby Pradawnych. Zastanawiał się, czy naprawdę istniały, czy były tylko wabikiem na chciwego Brana. Czy naprawdę ktokolwiek wierzył, że zdołają położyć ręce na pradawnych skarbach? Szanse były jak tyśiąc do jednego.

Spojrzał na Zabójcę. Pomimo wielkich ilości spożytego alkoholu Gotrek nie wyglądał ani trochę gorzej niż przed nocną pijatyką. Felix szczerze żałował, że nie czuł się w ten sposób. Znowu popatrzył wzdłuż ścieżki. Było tam wielu górali i mieszkańców bagien z Mokradeł Crannog, a także dziewicza straż Wyrocni. Elf szedł swobodnie konwersując z Siobhain, jakby całkowicie nieświadomy pełnych podziwu spojrzeń kobiet i zazdrosnego wzroku wielu z mężczyzn. Felix zaczynał rozumieć, dlaczego elfy były tak nie lubiane. Niechęć mężczyzn była prawie namacalna.

W tej chwili szli wzdłuż stromego zbocza i Felix wolał nie ryzykować, że ktoś przypadkowo zepchnie go z krawędzi. Szli bardzo wąską ścieżką prowadzącą pod górę. Było bardzo zimno, a pod sobą widzieli chmury. Felix zerknął na Zabójcę. Krasnolud wydawał się zaskakująco wesoły.

A dlaczego by nie? – pomyślał Felix. Byli z powrotem w przeklętych górach, a przed nimi widniała wizja samobójczej wyprawy na ziemię wroga. Najprawdopodobniej wkrótce Zabójca doczeka się swojej zagłady. Felix wzruszył ramionami. Z tym kacem nie dbał o to zbyt wiele. Brnął dalej pod górę czując się jak tyśiącletni starzec.

– O czym myślisz? – spytała kobieta, Siobhain. Wydawała się zatroskana.

– O wielu rzeczach. O żadnej nie mogę teraz mówić – odpowiedział. Dotrzymywała kroku, chociaż Teclis widział, że bardzo chciała dowiedzieć się więcej. Zastanawiał się, czy robił co należy. Jak dla niego to wszystko toczyło się zbyt powoli. Teraz wyczuwał już przed nimi rozszalałą magię. Wydawała się tak namacalna, iż był zdziwiony, że inni tego nie dostrzegają nawet bez magicznego wzroku.

To co teraz robił było szaleństwem. Te góry pełne były orków. W świątyni było pełno wyznawców Chaosu, a wszystko co miał, to ta mała banda barbarzyńców, krasnolud i niechętny szermierz z Imperium. Szanse na sukces były niezmiernie małe. A jednak, co innego mógł zrobić?

Jakie miał możliwości? Mógł zostawić tę małą armię i sam wyruszyć do świątyni. Okrywając się zaklęciami osłon i ukrycia być może zdołałby dotrzeć nie wykryty do serca kompleksu świątynnego, ale co potem?

Kelmain i Lhoigor byli potężnymi magami, a przyszłoby im walczyć na swoim terenie, zapewne otoczonym ich własnymi zaklęciami ochronnymi. Może zdołali nawet wykorzystać do swych celów magię obronną Pradawnych?

Chociaż Teclis był pewien swoich sił, szanse nie przemawiały na jego korzyść. Jeśli nie zdoła szybko wyeliminować magów Chaosu, ich strażnicy zdołają pokonać go fizycznie. Wystarczy jeden cios miecza, a jego długie życie dobiegnie końca. A wiedział, że to mógł być nie tylko miecz. Tam były wszelkiego rodzaju potwory służące Chaosowi, oraz ten olbrzym, o którym mówiła Wyrocnia. Potrzebował obrony, jeśli miał zbliżyć się do Ścieżek Pradawnych i walczyć z wrogą magią, a to wymagało czegoś więcej niż magii. Potrzebował armii i topora Gotreka Gurnissona, przynajmniej w tej chwili.

Zastanowił się nad parą towarzyszy. Im dłużej przebywał wśród nich, tym wyraźniej widział działającą rękę przeznaczenia. Czuwała nad nimi jakaś moc – dobra, czy zła, tego elf nie był pewien,

ale nie wątpił, że działały tu jakieś stare i potężne siły, które postrzegał tylko chwilami.

Uśmiechnął się. Stawał się przesądny jak jeden z elfów Athel Loren. Los, szansa, czy ręka bogów – to nie miało znaczenia. Wiedział, że prawie na pewno będzie potrzebował ich pomocy, zanim to się skończy. Uwolniona energia przed nimi wysyłała w niebo wielkie fale mocy, widoczne tylko dla maga. Patrząc na taką potęgę rozumiał, że nie uda się jej utrzymać zbyt długo. Miał tylko nadzieję, że nadejdą w porę.

Dałby wiele, by dowiedzieć się więcej o tym, co w tej chwili robili jego wrogowie.

Kelmain spojrzął na Magriga z kamiennej platformy na stoku zikkuratu. Olbrzym zerknął na niego swoim jedynym okiem. Nie jesteś zbyt urodziwym stworem, prawda? – pomyślał Kelmain przyglądając się zmutowanej twarzy i wielkiemu, cuchnącemu cielsku. Cóż, nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na to ile stoczył bitew. Ostatnia walka z jego nieodżałowanym bratem musiała być poważna, skoro olbrzym stracił oko, a tamten życie.

– Małe zielone skóry idą! Magrig zabić wiele, ale wiele więcej przyjść – odezwał się Magrig głosem przypominającym grzmot na niebie. – Wielu ich jest i mają silną magię. Może zbyt wielu nawet, by Magrig ich zmiażdżyć.

– Jestem pewien, że dasz z siebie wszystko – powiedział Kelmain.

Przyjrzał się odległym wzgórzom okrytym dziwną, zmutowaną roślinnością. Bagienny smród otaczającego lasu drażnił jego nozdrza niemal tak silnie, jak odór giganta. Zastanawiał się, dlaczego olbrzym wydawał się tego dnia taki przerażający. Z pewnością, emanował potężną fizyczną mocą istoty o rozmiarach wieży obelżyckiej, ale nie o to chodziło – w końcu drobny rozumek olbrzyma nadal pozostawał pod pewną kontrolą zaklęcia wiążącego. Tak było od chwili, gdy zaskoczyli go we śnie, kiedy po raz pierwszy wyszli z portali tego starożytnego kompleksu. Nie, z pewnością nie tracił nad nim kontroli.

Zrozumienie przyszło po chwili. Oczywiście – z tą przysadzistą, ciężką sylwetką, jego czerwonymi, zbitymi włosami i jednym, pustym oczodołem olbrzym przypominał mu potwornie wielką karykaturę Gotreka Gurnissona. Kelmain zastanawiał się, czy to mogło coś znaczyć. Czy był to omen? Może powinien złożyć na ofiarę jeńców, których przyprowadzili zwierzoludzie i obejrzeć ich wnętrzności szukając znaków? Czy było możliwe, że krasnoludowi udało się w jakiś sposób uciec ze ścieżek? Nie. Chociaż był potężny, nie był magiem. Zostanie tam uwięziony do końca świata.

Z drugiej strony, zaczynało brakować czasu. Lhoigor mówił, że ścieżki stawały się coraz trudniejsze do kontrolowania. Niektóre z nich już teraz wyrzucały z siebie stałe erupcje chaotycznej energii, a szaleństwo zaczęło przenosić się z Pokrętnych Ścieżek na te jeszcze niezmiennione. Niejeden z jego uczniów i wojowników zaginął bez powrotu i Kelmain miał wokół siebie mniej wojowników Chaosu, niż chciałby tego w chwili, gdy szczepy zielonoskórych gromadziły się na wzgórzach. Zdawało się, że ich podziw i lęk dla Magriga zaczął ustępować. Może to nie był wcale tak dobry plan?

Zastanawiał się, dlaczego zatem ich władcy kazali go wykonać? Dlaczego magowie stale utrzymywali ołtarz poniżej obmywany krwią serc ludzkich ofiar? Dlaczego przez cały dzień i noc wysilali się wraz z uczniami powstrzymując dziwną siłę, która próbowała zamknąć ścieżki? Ciekaw był, czy to mogła być robota tych przeklętych elfów. A może to było coś innego, jakaś paskudna niespodzianka, jaką starożytni zostawili, by uniemożliwić intruzom używanie ich zabawek? Jeśli tak było, to im się nie uda. Chaos rządzi tym światem. Nic ich nie powstrzyma. Nic.

Kelmain wyczuwał plugawą magię zielonoskórych działającą na tych wzgórzach. Może ich szamani mieli jakieś pojęcie o tym co tu się działo i zamierzali ich powstrzymać? Na niewiele im się zda ta wiedza.

– Zostań w świątyni i zmiażdź wszystko, co tędy wejdzie – powiedział Magrig. – Ale przyjdź, jeśli cię wezwę.

– Słucham i jestem posłuszny, o pradawny – odpowiedział Magrig. Kelmain był zadowolony słysząc, że olbrzym zwraca się do niego tak, jak dawno temu przywykł mówić do swoich stwórców. Jeszcze raz wyczuł zielony przebłysk magii orków. Zastanowił się co oni knuli, po czym odwrócił i zszedł schodami do serca zikkuratu.

Zarkhul ocknął się z transu. Był niespokojny, chociaż czuł bezpieczne otoczenie masy tysięcy orków i czerpał moc z ich obecności. Przybyli w to miejsce z całej wyspy. Walczyli, by przyłączyć się do swoich klanów wzywani prastarym instynktem zbiorowym swojego rodzaju. Działo się coś złego. Wyczuwał to. Pogoda pogorszyła się. Magrig, śpiący bóg, któremu od tak dawna składali ofiary, zwrócił się przeciwko swojemu ludowi i teraz wizje szamana głosiły czas śmierci i głodu dla szczepów.

Bliźniaczy bogowie zielonoskórych raz za razem zsyłali na niego obrazy ziemi, która rozpadała się i pochłaniała orków, ohydnych zwierzoludzi Chaosu wybiegających ze świątyni jak larwy z trupa, nieba w kolorze krwi, z którego padał deszcz ognia i plugawego pyłu spaczenia. Był przekonany do szpiku kości, że jeśli nie odbiją miasta i nie wypędzą obcych z jego świętych murów, wówczas katastrofa zabierze cały jego lud. Bogowie przemówili do niego. Dali mu pewność siebie i aurę władzy, która sprawiła, że posłuchali go wodzowie, chociaż wielu z nich było jego zaprzysięgłymi wrogami, którzy często walczyli z nim o kontrolę nad tym, czy innym zikkuratem.

Teraz wszystkie szczepy działały jak jeden, jak stado bawołów szarżujące na wspólnego wroga. Takie rzeczy zdarzały się, gdy przemawiali bogowie. Teraz wszyscy zapomną o sporach i ruszą za nim do wielkiego mordu. Aaargh! Będą musieli. Bo w swojej ostatniej wizji zobaczył, że czasu było coraz mniej i musieli działać jak najszybciej, aby zapobiec nieszczęściu.

Poczuł, że coś szarpnęło go w myślach i otworzył swoje duchowe oczy. Duch szamana Guraga unosił się przed nim, niewidoczny dla wszystkich poza nim. Przemawiał głosem, który mógł usłyszeć tylko Zarkhul.

– Ludzie z gór nadchodzą sekretnymi ścieżkami. Sprzymierzyli się z elfami.

– Zbierz swój oddział i zgnieć ich na miazgę! Wyssij ich szpik! – odparł Zarkhul przemawiając wewnętrznym głosem.

– Aye, tej nocy pożremy ludzkie mięso i elfie mięso też.

Duch zamigotał i zniknął, gdy Gurag wrócił do swojego ciała. Zarkhul uznał to za dziwne, że ktoś tak otyły cieleśnie mógłby prezentować się jako równie dumny i muskularny wojownik w formie duchowej.

Porzucając tę myśl herszt orków skupił uwagę na zikkuratach świątynnego miasta poniżej. Całe życie, walki na jego ulicach przeciwko dawnym rywalom, zapewniło mu znajomość najlepszych miejsc do ataku, a także tajemnych przejść pod miastem. Przy odrobinie szczęścia przybysze nie wiedzą o nich. Usypie z ich czaszek górę wysoką jak piramida, na ofiarę dla Bliźniaczych Bogów. Na jego szczycie znajdzie się czaszka Magriga i jego dwóch dziwnych, ludzkich sług. Dopiero gdy złoży tę ofiarę, bogowie zostaną ubłagani. Tylko wtedy katastrofa zostanie zażegnana.

Teraz potrzebował tylko znaku od szamanów, którzy mieli mu pokazać kiedy rozpocząć atak. Miał nadzieję, że nie będzie czekał zbyt długo.

W oddali mignęła błyskawica i zahuczał grzmot. Zarkhul zastanawiał się, czy to był znak. Uznał, że tak nie jest. Podobna pogoda zdarzała się tutaj zbyt często, by poczytać to za omen.

* * *

Felix maszerował górskimi ścieżkami ani trochę nie uspokojony po rozmowie z elfem. Powietrze

było tu zimniejsze, a pogoda zmieniała się gwałtownie, jak zwykle działo się to w górach. W dolinie poniżej widoczne były chmury, które powoli wspiwały się po zboczu góry, aż stały się mgłą, przez którą nawet najbliżsi ludzie wydawali się rozmazanymi kształtami. Felix zastanawiał się, czy spowodował to elf, czy była to sprawka ich wroga, a potem zrozumiał, że jest mu wszystko jedno.

Z mroku przed nim wyszła przysadzista postać. Felix uspokoił się słysząc przed sobą burkliwy głos krasnoluda mruczącego coś po krasnoludzku. Nagle rozległ się grzmot, a w oddali mignęła błyskawica. Blask rozproszył się we mgle w krótkim, intensywnym lśnieniu, a potem zniknął. Felix pomyślał, że to mogło być niebezpieczne i piorun mógł uderzyć w niego. Czuł się bardzo odkryty, jak insekt idący po okiennej szybie, gdy w każdej chwili mogła go zgnieść wielka dłoń.

– Przekłęta pogoda – powiedział.

– To dziwne – powiedział Gotrek. – Przez całe lata spędzone w górach nigdy nie widziałem, żeby chmury nadpływały tak szybko, a piorun był tak silny.

– Pogoda tu, w Albionie, to przekleństwo – odparł Felix.

– Może masz rację, człeczyno. Tu działa coś niezwykłego, to pewne. Z mgły wyłonił się Murdo, cicho jak duch.

– Głazy Og.

– Rozumiem, że mają jakieś znaczenie? – zagadnął Felix.

– Czasami. W okolicy kamiennych kręgów pogoda często jest zaburzona. W ostatnich latach stała się o wiele gorsza.

– A więc te kręgi utrzymują wielką moc magiczną?

– Aye, to dzieła starożytnych.

Wyglądało na to, że mógłby powiedzieć więcej, gdyby zechciał, ale nie zamierzał tego zrobić. Może rzeczywiście tak było. Zawsze trudno było stwierdzić takie rzeczy, jeśli chodziło o różnych czarowników. Czasami byli tajemniczy i nieodgadnieni, ponieważ o czymś wiedzieli. A czasami działo się tak, ponieważ ukrywali swoją ignorancję. Felix jako laik nie mógł tego ocenić.

– Dlaczego orki przybyły tutaj w tym samym momencie co my? To chyba nie może być zbieg okoliczności?

– Któż wie, jak to jest z zielonoskórými? Czasami zdaje się, że dopada ich masowe szaleństwo i bez wyraźnego powodu robią coś wszystkie razem. Zupełnie jak lemingi rzucające się z urwiska, albo wędrujące ptaki. Może ich bogowie przemawiają do nich? Może głazy są święte także dla orków? W miejscach mocy zazwyczaj łatwiej zwrócić uwagę bogów i wielkich duchów.

– Cóż, dzisiaj może być dobra okazja, by to zrobić – powiedział Felix. – Ta pogoda z pewnością nie jest naturalna.

– Nie – zgodził się Murdo. – Nie jest. Może gdy uda wam się wykonać zadanie, świat wróci do normalności, o ile prawdą jest to, co powiada elf.

– Może – odparł Felix.

Nastąpił kolejny rozbłysk światła rozproszony we mgle, a potem grzmot, tym razem znacznie bliżej, a cała góra jakby zadrżała. Felix ledwo powstrzymał się, by się nie skulić, tak nagle i gwałtownie nastąpiło to uderzenie. Zastanawiał się, jak wielkie bywały tu lawiny, a potem stwierdził, że woli tego nie wiedzieć. Sądząc po rozwoju wydarzeń, domyślał się jaką uzyskałby odpowiedź. Kilka chwil później w twarz uderzył zacinający deszcz. Był zimny jak górski lód.

– Doskonałe – rzucił. – Tylko tego mi dzisiaj brakowało.

Słowa nie zdążyły przebrzmieć, gdy w ciemności rozległ się krzyk.

– Jak zwykle, za wcześnie to powiedziałem – stwierdził odwracając się w stronę źródła hałasu. , , , , Felix biegł wśród mgły i zamieszania. Niektórzy z górskich wojowników dobyli wielkich mieczy,

inni wyciągnęli włócznie i rozglądali się wypatrując nowego zagrożenia. Dookoła, w półmroku rozległy się donośne okrzyki bojowe, które zdradziły obecność wielkich orków, a także bełkot i piski goblinów.

Rozdział 23

Nagle w mroku rozległ się łoskot broni uderzającej o broń, po którym nastąpił trzask kości i krzyk rannych ludzi. Felix wpadł na coś dużego i odbił się. Chwilę zajęło mu zrozumienie, że zderzył się z plecami orka. W następnej chwili wbił miecz w jego kręgosłup. Pomyślał, że to jest dobra chwila na rycerskie zachowanie.

Walka była koszmarem. Miał tylko kilka krótkich chwil, by zdecydować, czy cień wynurzający się z chmury jest człowiekiem, czy potworem. Jeśli to był ork, uderzał, jeśli człowiek, usiłował zatrzymać cios. Nie był pewien, czy udawało mu się to za każdym razem. Czuł mrowienie skóry. W każdej chwili spodziewał się ciosu z niespodziewanej strony, który zmiażdży jego ciało i wyśle *krzyczącą* duszę do mrocznego królestwa Morra. Słyszając odgłosy dookoła domyślał się, że to zdarzało się aż nader często.

Musiał poruszać się ostrożnie, ponieważ wiedział, że za krawędzią ścieżki otwierała się przepastna otchłań. Nie miało sensu uskakiwać przed ciosem wroga, gdyby miał wpaść w przepaść. Ta wizja niemal go sparaliżowała. Stał przez chwilę niezdolny do ruchu, przerażony myślą o upadku w mrok poniżej. Gdzieś po jego lewej stronie nastąpił błysk światła, złotego lśnienia, które nie było błyskawicą, ale efektem rzucanego przez elfa zaklęcia. Wiedział, że Teclis walczy w ciemności o życie.

Nieco bliżej, z dołu dobiegł dziki okrzyk Gotreka. Po nim nastąpił odgłos rąbanego mięsa, gdy topór uderzył w ciało wroga. Siłą nawyku Felix skierował się w stronę tego dźwięku, wiedząc że podczas dzikiej walki, takiej jak ta, najbezpieczniej będzie znajdować się w pobliżu Zabójcy.

Teclis przeklinał mgłę i dziwne strumienie magii przenikające góry Albionu. Jego zaklęcia ochronne ostrzegły go zaledwie na chwilę przed atakiem. W tej jednej chwili rozciągnął wokół siebie zaklęcie tarczy.

– Trzymaj się mnie – rzucił do Siobhain i dobył miecz. To nie był zwykły rycerski gest z jego strony. Potrzebował kogoś, kto mógł pilnować jego pleców i był pewien, że kobieta nie wbije w nie włóczni.

– Jestem z tobą – odpowiedziała Siobhain.

Prądy magii płynęły tu leniwie. Jeśli się nie mylił, wszystkie były ściągane do Głazów Og, które zapewne były przyczyną tej paskudnej pogody. Przez chwilę zamierzał skierować wiatry magii do siebie, ale porzucił ten pomysł. Istniała zbyt wielka szansa wystąpienia dziwnych efektów ubocznych. Kamienie silnie zniekształcały magię. W takim przypadku musiał czerpać ze swojej mocy i tej zgromadzonej w ródźce Lileath. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Szybko utkał sieć widzenia, wysyłając macki magii dookoła siebie. Wskażą mu obecność orków i zielonoskórych, oraz ostrzegą, gdy któryś z nich zbliży się na trzydzieści kroków. Następnie ściągnął do siebie zwykły wiatr, który przeciął mgłę. Przez chwilowo rozdzielone chmury dokładnie zobaczył ścieżkę. Pędziło ku niemu pół tuzina orków. Prychnął i posłał w ich stronę wiązkę niszczycielskiej energii. Ryknęli z wściekłości i bólu, gdy pocisk wbił się w nich odzierając kości z ciała, tak jak przygotowane mięso odpada w stawach. Jeden ze stworów, który znalazł się na samym brzegu zaklęcia był tylko lekko poparzony. Skoczył naprzód z oszałamiającą prędkością. Oburącz unosił wielką krzywą szablę, gotowy ściąć czarodzieja.

Teclis ustąpił na bok i machnął w dół laską przewracając orka. Gdy stwór upadł na pysk, elf wbił miecz poniżej kołnierza hełmu z precyzją chirurga rozrywając tętnicę szyjną i rdzeń kręgowy. Stwór w ciekawy sposób zwinął się w spazmie tracąc kontrolę nad funkcjami ruchowymi, a potem zaczął umierać. Teclis nie widział powodu, by zakończyć jego cierpienia i odwrócił się, szukając nowego

celu. Siobhain wbiła swoją włócznię w plecy orka.

Horda małych zielonoskórych popędziła naprzód. W stronę elfa pomknęła fala krótkich oszczepów. Nie miał czasu na nic wymyślnego. Wypowiedział słowo mocy i fala płomieni pochłonęła większość pocisków. Uskoczył na bok, aby zaraz potem usłyszeć stukot włóczni uderzających o kamienie.

Rozzłoszczony, że tak nikczemne stwory zmusiły go do nagłej obrony ruszył prosto na nich. Jego miecz błyskał przebijając oczy lub tchawice. Gobliny odpowiadały swoją bronią, ale ich ciosy były częściowo odbijane przez pole energii, które elf utkał już wokół siebie. To było subtelne zakłęcie jego własnego pomysłu, które wykorzystywało siłę uderzenia przeciwnika przeciwko niemu samemu. Im mocniej uderzali, tym silniej odbijała się ich broń. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że przeciwnik mógł uderzyć na tyle silnie, by przełamać zakłęcie. Dlatego lepiej było poruszać się i wykonywać uniki.

Teclis uśmiechał się już. Podejrzewał, że w każdym elfie kryła się żądza walki i coś, co niektórzy nazywali okrucieństwem. Podczas walki to wychodziło na wierzch. Widział jak maska kultury opada z twarzy wielu wojowników z jego rasy na tyle często, by rozpoznać to samo u siebie. Nie napawało go to odrazą, którą mogło wywołać u człowieka. Była to zaledwie kolejna interesująca emocja, której doświadczył i która, prawdę mówiąc, sprawiała mu przyjemność. Może to właśnie było piętno krwi Aenariona?

Roześmiał się i z zaskoczeniem zauważył, że śmiech wywołał trwogę na twarzach Siobhain i ludzi wokół niego. Oczywiście, może oni nie czuli radości bitwy płynącej w ich żyłach. W końcu nie byli elfami. Poza tym nie mogli zrozumieć, co to znaczyło dla niego. Uniknął kolejnego ciosu i wbił koniec laski w obutą stopę goblina. Mała kreatura zawyla z bólu i złapała się za paluchy, podskakując niemal komicznie przez kilka sekund, zanim nabił ją na swój miecz.

Z całą pewnością ludzie nie mogli tego zrozumieć. W młodości był Teclisem słabym, Teclisem kaleką, Teclisem żalonym. Tak było, zanim nauczył się wzmacniać za pomocą zaklęć i mikstur. Teraz oddychał z taką samą łatwością jak inne elfy, a jedynym śladem dawnej słabości było nieznaczne utykanie, które sprawiało, że był odrobinę tylko wolniejszy i poruszał się z odrobinę mniejszą gracją od innych elfów. Kiedyś te stwory pokonałyby go. Kiedyś jego brat musiałby go chronić przed nimi. Ale to już minęło. Myśląc o tym wyciągnął miecz, za którym trysnęła zielona krew, a potem pchnął nim naprzód przebijając kolejnego stwora. Teraz mógł zająć się sobą i cieszyć się bitwą, jak należało.

Jego śmiech stał się głośniejszy i ludzie zaczęli się odwracać. Tylko Siobhain walczyła obok niego, ale nawet jej twarz pokazywała strach. Przez jego umysł pędziły myśli. Poruszał się tak szybko, że wydawało mu się, że mija wieczność między kolejnymi ciosami. To było dziwne, że jedynym elfem jakiego znał, który najwyraźniej nie czerpał żadnej przyjemności z dzikiej zabawy bitwy był jego brat – najprawdopodobniej najbardziej zabójczy elf jaki kiedykolwiek żył. Teclis zastanawiał się, dlaczego tak się działo.

– Dlaczego tak się dzieje? – zapytał goblina, który wyrzygał swój ostatni posiłek, gdy miecz trafił go w brzuch. Stwór oczywiście nie rozumiał elfickiego i spojrzał na niego jak na szaleńca. W tej sytuacji było coś tak niezmiernie komicznego, że Teclis zaśmiał się jeszcze głośniej. Śmiał się jeszcze, gdy przez ciemność nocy przedarł się wielki pocisk magicznej mocy i pogrążył go w morzu bólu.

Felix słyszał rozbrzmiewający we mgle okrutny, przerażający śmiech. Nie wiedział czy to był jakiś ork śmiejący się z umierającego przeciwnika lub demon wezwany przez jednego z ich szamanów. Nie. W tym śmiechu było coś znajomego.

– To elf, człeczyno – odezwał się Gotrek obok niego.

Krasnolud uderzył ciosem od siebie w nacierającego orka i przerwał go wpół. Felix zasłonił się ramieniem unikając oślepienia przez deszcz posoki, a po chwili musiał zająć się innym orkiem. Cofnął się parując cios i przeklinał półmrok, przez który dwukrotnie trudniej było skupić się na błyskającym ostrzu wroga. Poczł, że coś trzasnęło pod butem. Wszedł na leżące zwłoki. Walczył o zachowanie równowagi i musiał odbijać ciosy orka unikając zepchnięcia i potknięcia się o przeszkodę. Słyszał jak w ciemności oddalają się bojowe okrzyki krasnoluda.

To był bład. Felix był silnym mężczyzną, ale ork był silniejszy. Jego ciosy prawie wyrywały mu miecz z dłoni. Wiedział, że nie wytrzyma długo takiej walki. Musiał zaryzykować i zakończyć to szybko. Schylił się pozwalając szabli orka przemknąć nad głową, a potem pchnął naprzód swoim mieczem, przesywając brzuch orka. Stwór zawył ogłuszająco i uderzył go swoją ciężką pięścią. Siła uderzenia wywołała gwiazdy przed oczami Felixa. Ból był zniewalający. Felix potoczył się w jedną stronę, a ork w drugą, po czym pochłonęła go mgła, Zewsząd dobiegały odgłosy bitwy i ten okropny, przesywający śmiech.

Felix zmuszał się do koncentracji, walcząc, by ustać na nogach zamiast po prostu upaść na śliską od krwi ziemię. Utrzymanie wyprostowanej pozycji było niezmiernym wysiłkiem. Dookoła słyszał drobne kroki. Otoczyły go małe zielonkawe sylwetki odziane w skórzane kaftany z kapturami. Zbliżając się rechotały i podskakiwały.

Felix stwierdził, że to nie wyglądało dobrze. Nastąpił błysk zielonkawego światła i okropny śmiech elfa ustał.

Teclis walczył o zachowanie przytomności. Wiedział, że miał szczęście. Jego magiczne bariery pochłonęły większość impetu uderzenia, ale ból i tak szarpnął każde zakończenie nerwowe, gdy elf zmusił się do przyjęcia i rozproszenia zabójczej energii, która go przeniknęła.

Był zły na siebie, że okazał się głupcem zamiast zachować przejrzyistość myśli. Do tego prowadziło poddawanie się morderczej żądzy. Zaskoczył go ktoś władający mocą. W dodatku zdolny. Ukrywał się i gromadził swoją moc aż znalazł się wystarczająco blisko, by uwolnić cios, który mógł być zabójczy. I prawie mu się to udało. A jednak, nie do końca.

Teraz, gdy zrzucił osłonę niewidzialności, dla magicznego wzroku Teclisa szaman orków stał się równie widoczny jak boja sygnałowa płonąca na szczycie góry podczas bezchmurnej nocy. Uśmiechnął się, widząc zielonkawo-żółte lśnienie energii zielonoskórych, które otaczało jego przeciwnika. To była znana mu sygnatura szamanów. Pobierali energię w jakiś niezwykle sposób. Aura rozjaśniła się, gdy szaman uwolnił kolejny pocisk. Tym razem Teclis był przygotowany i jego własne kontrzakęcie rozplotło wiązkę obcej energii zanim przebyła połowę odległości między nimi. Teclis odpowiedział uderzeniem mocy, ale zasłona orka była szybka i mocna. Miał przewagę będąc w pełni energii i jego zmysły były ostre. Teclis nadal musiał zmagać się z konsekwencjami pierwszego ataku szamana. Miał nadzieję, że to nie okaże się fatalne w skutkach.

Co gorsza, jego sieć ostrzegawcza zaalarmowała go, że z obu stron zbliżało się więcej zielonoskórych – podchodziło ich co najmniej trzech. Zastanawiał się, gdzie była dziewczyna. Niestety, zapewne zaginęła gdzieś w tej przeklętej mgle. Elf był odsłonięty, gdy swoją uwagę skupiał na szamanie. Mógłby spróbować obronić się fizycznie, ale zapewne powaliłby go szaman. Mógłby zająć się szamanem, ale wtedy tamci mogli ściąć go szablami. Mógł podzielić swoją uwagę i walczyć z niepełną efektywnością na obu frontach. Żadna z tych możliwości nie była zbyt atrakcyjna. A jednak, musiał dokonać wyboru i to szybko. Śmierć zbliżała się coraz bardziej.

Felix z wysiłkiem stanął na równe nogi postanawiając przynajmniej zginąć stojąc. Widząc, że ich ofiara zamierza podjąć walkę, gobliny zwolniły.

– Nie jesteście zbyt odważne, co? – powiedział wyciągając groźnie miecz. Gobliny przed nim cofnęły się, ale pozostałe wykorzystały jego rozproszenie uwagi, by rzucić się na niego z lewej i z prawej strony. Ostrzegło go tylko szurnięcie obutej stopy na kamieniach. Machnął mieczem w obie strony odpychając je i zakreślił się w miejscu na wypadek, gdyby zbliżały się z tyłu, a potem jeszcze raz obrócił się, aby zmierzyć się z pierwszymi atakującymi, którzy ponownie zebrali się na odwagę i znowu się zbliżali.

Pomyślał, że to prowadziło donikąd. Jeśli zostanie w miejscu, zginie. Działając instynktownie rzucił się naprzód. Uderzając mieczem wbił się w zbitą masę zielonoskórych roztrzaskując je swoją większą masą i gwałtownością. Uderzał wściekle na lewo i prawo słysząc zgrzytanie ostrza na kościach oraz wrzaski konających wrogów. Chwilę później wyrwał się i znalazł się z powrotem w sercu bitwy. Stał przed Murdo i Culumem oraz ludźmi z Mokradeł Crannog.

– Cieszę się, że was widzę – powiedział przyłączając się do ich szeregów, gdy szykowali się do odparcia kolejnego szturm orków i goblinów.

Teclis podskoczył rzucając zaklęcie lewitacji. Kończąc skok uniósł się w powietrze, mając nadzieję, że to zbije z tropu jego przeciwników i pozwoli mu oddalić się od ich mieczy. Z dołu dobiegły zawiedzione warknięcia, gdy zielonoskórzy zdali sobie sprawę, że ich ofiara uciekła. Tak jak zamierzał, mgła ukryła jego ruchy.

Jednak nie udało mu się skryć przed szamanem. W górę pomknął koszmarny zielony blask, wulkaniczna fala mocy, którą odbił z największym trudem. Zabójczy wstrząs po pierwszym ciosie już minął i Teclis mógł skoncentrować się na tym, co działo się w tej chwili. Zamknął zaklęcie przeciwnika w kuli energii, a potem rzucił w niego pocisk mocy. Kontrzaklęcia szamana wytrzymały przez chwilę, następnie zaczęły znikać jedno po drugim. Przeładowane talizmany zapłonęły żywymi iskrami. Postać szamana stała się świetlistym posągami ze stopionego brązu w kształcie potwornie otyłego orka, a potem od jego ciała odpadło mięso, szkielet zniknął i czarownik przepadł na zawsze z tego świata.

Teclis uniósł się nad pole bitwy i przed chwilę stał ponad kłębami mgły. To było niemal boskie przeżycie. Słyszał poniżej zgiełk walki, ale przez chwilę nie był jej częścią. Mógł swobodnie rozważyć swoje możliwości.

Nie chcąc ponownie dać się zaskoczyć, Teclis wysłał naprzód magiczne macki ostrzegawcze, które miały ostrzec go o obecności jakiegokolwiek wrogiemu maga lub zaklęcia. To nie dawało mu pewności – wątpił, by tak szeroki zasięg czaru zapewniał wykrycie kogoś pozostającego pod działaniem zaklęcia ukrycia, ale miał nadzieję, że wyczuje coś dziwnego. Trudno było to zrobić w Albionie, gdy strumienie magii były tak bardzo zakłócane przez obecność kamiennych kręgów.

Nic. To dobrze. Teraz mógł uwolnić trochę mocy i zobaczyć co da się zrobić z tymi napastnikami. Właśnie w tej chwili coś pomknęło w ciemności w jego stronę. Usunął się i to coś przeleciało obok niego. Powiew szarpnął szatą. Przez chwilę zobaczył niewiarygodny widok – wyglądało to jak goblin w szpiczastym hełmie łopoczący wielkimi, skórzanymi skrzydłami. Teclis potrząsnął głową niedowierzając własnym oczom. Stwór musiał zostać wystrzelony z katapulty – to było jedyne wyjaśnienie. Słyszał jego szalony chichot, gdy stworzenie zniknęło z pola widzenia we mgle, a potem przepadło w otchłani poniżej.

Teclis rozejrzał się wokół. Na skupisku skał powyżej dostrzegał więcej goblinów i kilka dziwnych machin, za pomocą których wyrzucali się w powietrze. Zastanawiał się, czy było możliwe, że te samobójcze stwory przez cały czas spadały na walczących, a on o tym nie wiedział? Z pewnością na to wyglądało. Nawet gdy patrzył, kilka kolejnych goblinów wyleciało w górę i zniknęło w kłębach mgły. Chwilę później rozległy się krzyki.

Teraz ich przywódca wskazywał na niego. Teclis widział jak niektóre z machin zostały odwrócone w jego stronę. Uderzył burzą światła oczyszczając półkę skalną kolejnymi falami czystej magicznej energii. Machiny i lotnicy zapłonęli. Gdy Teclis był pewien, że zajął się widocznymi przeciwnikami zastanowił się, co należało robić dalej.

Rozdział 24

Felix stanął ramię w ramię z Murdo i Culumem, po czym zaczęli wycinać sobie przejście przez masę orków i goblinów. Skała pod stopami była śliska od skroplonej pary i posoki. Pochyłość także nie pomagała utrzymać równowagi. Niepewna krawędź ścieżki była powodem stałego niepokoju, a we mgle nie sposób było ocenić kto zwycięża.

Felixa bolały ręce po walce z orkami. Oddychał ciężko. Ciekaw był, co stało się z Zabójcą i elfem. Jeśli cokolwiek stało się któremuś z nich, ich sytuacja stanie się nader niewyraźna. Był obcym na ziemi, o której wiedział bardzo niewiele.

Bitwa stała się serią wymian zasłon, cięć i pchnięć, gdy tylko zbliżył się do niego jakiś przeciwnik. Pilnował pleców towarzyszy, a oni pilnowali jego. W wirze bitwy odeszły w niepamięć osobiste zatargi i wrogość. Nie raz odbił cios wymierzony w kark Culuma. Kilkakrotnie wielki człowiek z młotem wyskoczył z ciemności, aby rozbić na miazgę łeb orka, który zaatakował Felixa.

Najdziwniejsze ze wszystkiego były goblino o nietoperzowych skrzydłach, które wydawały się spadać z nieba nabijając ludzi na swoje szpiczaste hełmy i spychając ich z krawędzi urwiska. Zielonoskórzy najwyraźniej nie dbali o własne życie. Piana wylewała się z ich ust, a szeroko rozwarte ślepia wskazywały na efekt jakiegoś narkotyku. Felix widział już coś takiego w górach Krańca Świata, na granicy Imperium. Dziwiło go, że zobaczył coś równie zaskakująco i odrażająco znajomego tak daleko od domu.

Gdzieś we mgle rozległ się grzmot i zamigotało złote światło. Felix uspokoił się nieznacznie wiedząc, że elfi czarodziej nadal walczył. Niejeden raz wydawało mu się, że słyszy donośny okrzyk bojowy Gotreka.

W końcu, po czasie, który wydawał się wiecznością w piekle, zgiełk bitwy przycichł. Krzyki orków zamierały i zaczął w nich pobrzmiwać strach, gdy cofały się w mgłę. Wrzaski, chichoty i obłąkane bełkoty goblinów cichły w oddali. Stopniowo zaczęły przeważać głosy ludzi, a okrzyki bojowe ustąpiły pytaniom o zdrowie braci, towarzyszy i rodaków.

Felix spoglądał na Murdo i zastanawiał się, czy wygląda choć w połowie tak źle jak stary człowiek. Krew kapiała z twarzy i ramion Prawdomówcy, czerwona krew ludzi i zielona orków. Odnosił kilka ran. Pasma skóry na czole zostało odarte i odsłoniło różowe, krwawiące ciało pod spodem. Murdo wyciągnął rękę i wymruczał inkantację, a rana zamknęła się zostawiając tylko świeżą, różową bliznę. Felix zauważył, że sam ma kilka nacięć na ramionach i piersi, ale kolczuga uchroniła go przed większymi obrażeniami.

Jakby za ustąpieniem złego zaklęcia mgła rozstąpiła się odsłaniając scenę straszliwej rzezi. Ścieżkę pokrywały ciała martwych ludzi, orków i goblinów, a nawet kilku wielkich i bezkształtnych potworów, których Felix nie potrafił nazwać. Mężczyźni z Garn Mallog walczyli dzielnie, ale poległa prawie połowa z nich. Pozostała zaledwie jedna piąta początkowej liczby wyprawy wojennej z Mokradeł Crannog. W powietrzu nad nimi, otoczony aurą mocy unosił się elf. Felix czuł zapach spalenizny i zobaczył stojące w płomieniach dziwne, drewniane maszyny na urwiskach powyżej.

Gotrek szedł między zabitymi jak plujący posoką demon wojny. Wyglądał na okrutnie zadowolonego z siebie i kopał przed sobą odcięty łeb herszta orków, jak dziecko bawiące się piłką.

– Widzę, że jeszcze żyjesz – powiedział Felix.

– Aye, człeczyno, żyję. To były słabe stwory i nie warto by było umierać przez nie.

Felix spojrział na stosy martwych ludzi i zastanawiał się, czy oni zgodziliby się z wyrażoną przez Zabójcę oceną ich przeciwników. To wydawało się mało prawdopodobne.

– Może znajdziemy coś bardziej śmiertelniejszego podczas naszej misji? – odparł z przekąsem.

Gotrek wzruszył ramionami i łypnął na elfa jakby zirytowany, że nadal widzi go żywego. A może zastanawiał się, czy czarodziej byłby wystarczająco godnym przeciwnikiem, by zadać kres jego udręce? Felix miał szczerą nadzieję, że tak nie jest. A potem zauważył, że elf na coś wskazywał.

– Lepiej zobaczmy, co on znalazł – powiedział Felix.

Pod nimi widzieli wielką dolinę otoczoną górami. Pośrodku doliny, w centrum pierścienia kłębiących się ciemnych chmur dostrzegali olbrzymią budowlę oświetlaną przez błyskające wyładowania.

– Świątynia Pradawnych – domyślił się Felix.

– Istotnie – potwierdził Teclis. – To Świątynia Pradawnych.

Felix przyjrzał się budynkom. Musiały być wielkie, skoro były widoczne z tej wysokości. Każdy został zbudowany w formie zikkuratu, schodkowej piramidy z siedmioma szerokimi poziomami. Każdy poziom oznaczony był przez runy i prowadziła do niego rampa z poziomu poniżej. Dziwne rampy i tunele łączyły zikkuraty biegnąc między drzewami, które pochłonęły resztę miasta. Lśniące światła wewnątrz wskazywały, że to miejsce było zamieszkane, nawiedzone, albo działała w nim jakaś niewypowiedziana magia – być może wszystkie te trzy możliwości były prawdziwe.

Gotrek potrząsał głową jakby z niedowierzaniem.

– O co chodzi? – spytał Felix.

– Coś mi to przypomina, to wszystko.

– Co takiego?

– Zikkuraty krasnoludów chaosu.

– Myślisz, że mogą mieć z tym jakiś związek? – zapytał Teclis.

– Nie wiem, elfie. Ani nie chcę zgadywać dalej.

– Jak sobie życzysz – odparł elf. – Powiem pozostałym, żeby trochę odpoczęli. Rankiem będą potrzebowali wszystkich sił.

Ścieżka wiła się w dół zbocza, kierując się w stronę ukrytej doliny. Wszyscy poruszali się ostrożnie, nie do końca wierząc w zapewnienia elfa, że okrywają ich jego zaklęcia. Tego ranka nie zauważyli żadnych orków, ale nigdy nic nie było wiadomo.

– Jesteś pewien, że twoja magia działa? – spytał Felix. – Nie widzę żadnej różnicy.

Elf uśmiechnął się do niego z wysiłkiem.

– Jesteś w obrębie zaklęcia.

– Jak to działa?

– Oszukuje ciekawskie oczy i odbija magię jasnowidzenia. Tylko jeśli ktoś zbliży się na dziesięć kroków, może nas zauważyć. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę zachować koncentrację i utrzymać zaklęcie, dopóki nie znajdziemy się pod osłoną drzew.

Idąc Felix zauważył zmianę w ich otoczeniu. Powietrze było cieplejsze i unosił się w nim nieprzyjemny zapach zgnilizny, gorszy od odoru zepsucia, który wyczuwał na bagnach. W miarę jak schodzili, wzrastała wilgotność i pojawiało się coraz więcej roślinności. Na początku tylko kilka sękatych czarnych drzew przywierało do zbocza góry swoimi korzeniami wczepionymi w skałę i glebę. Okazało się, że jest to straż przednia wielkiej armii roślin, hordy potężnych drzew i zarośli. Żadne z nich nie wyglądało ani trochę naturalnie. Grzyb pokrywał ich konary. Pnącza dusiły je niczym węże. Dziwne zwierzęta biegały pośród wielkich pni. Ogromne, błyszczące pajęczyny zatrzymywały blade światło słoneczne. Felix nie miał ochoty oglądać stworzeń, które je utkały.

Gotrek przyjrzał się okolicy i splunął.

– Nienawidzę drzew prawie tak bardzo jak nienawidzę elfów.

Teclis roześmiał się.

– Co złego zrobiły ci drzewa, Gotreku Gurnissonie? – spytał. Felix zastanawiał się, czy elf lubił ryzykować życiem. Zabójca nie był kimś, kogo warto było prowokować.

Gotrek zerknął za siebie. Ludzie z Carn Mallog szli w milczeniu. Kilku zrzuciło futra z powodu rosnącej temperatury. Bran szedł obok Murdo i Siobhain. Na jego twarzy błyszczała cienka warstwa potu. Wyglądał na podenerwowanego i trochę speszonego. Cokolwiek wcześniej myślał, było jasne, że nie podobał mu się pomysł wchodzenia głębiej do tego spaczzonego miejsca. Felix nie mógł powiedzieć, by go winił, ponieważ sam zaczął wreszcie rozpoznawać delikatnie drażniący zapach siarki w powietrzu.

– Spaczeń – mruknął. – Nie jest dobrze.

– Masz rację, Felixie jaegerze – powiedział Teclis. – To rzeczywiście klątwa pradawnych.

Felix spojrzał na elfa. Wreszcie był pewien, że znalazł się w obecności kogoś, kto mógł odpowiedzieć na jego pytania i w odróżnieniu od Zabójcy z chęcią wykazywał się swoją wiedzą.

– Czym jest spaczeń? – zapytał świadomy, że nie tylko on słuchał. Jego pytanie najwyraźniej zaprzętało myśli wszystkich.

– To surowa substancja Chaosu – odparł Teclis. – Utwardzona, zbita, oczyszczona lub wszystko na raz. To czysty produkt mrocznej magii.

– Widziałem raz, jak zjadał to skaven – powiedział Felix.

– A zatem to musiał być nader niezwykły skaven, bowiem spaczeń jest bardzo trujący, nawet dla mutantów takich jak szczuroludzie. Czytałem, że niektórzy z Szarych Proroków mogą przyjmować pewne ilości rafinowanej formy tej substancji i czerpać z niej energię. Jeśli tak jest, nie wyobrażam sobie, by pozostawali w pełni zdrowych zmysłów, ani zdrowi przez długi czas, chociaż ich moce czarnoksiężskie mogą być wielkie.

Felix pomyślał o czarnoksiężniku szczuroludzi, którego tak często spotykali z Gotrekiem. Opis podany przez elfa dobrze pasował do tego stwora.

– Spaczeń pochodzi z Morrslleiba, księżycy Chaosu – powiedział Murdo. – Jego kawałki odrywają się i spadają na ziemię wielkimi deszczami meteorów. Takie deszcze regularnie padają na Albion. Coś je przyciąga. Może to kamienne kręgi? Może to jest ich cel?

– Nie wydaje mi się – powiedział Teclis, ale widząc irytację na twarzy starca, poprawił się. – Powiem to inaczej. Przypuszczam, że Morrslleib może być zbudowany ze spaczenia i z pewnością deszcze meteorów jakie opisałeś były notowane przez wielu elfich kronikarzy, ale nie sądzę, by Morrslleib był jedynym źródłem spaczenia. To tylko wielki, dziwny fenomen astronomiczny. I nie wydaje mi się, by kręgi kamienne miały za zadanie przyciągać meteory, chociaż rzeczywiście mogą tak działać. Sądzę, że mają inną funkcję.

– Być może masz rację – zgodził się Murdo, najwyraźniej nie chcąc kłócić się z elfem.

– To wszystko bardzo interesujące – powiedział Felix – ale bardziej niepokoją mnie efekty, jakie ta substancja może wywołać u nas.

– W powietrzu są tylko śladowe ilości – powiedział Teclis. – Poza tym, tak czy inaczej wątpię, żebyśmy pozostali tu wystarczająco długo, by wywarło to na nas jakiś większy wpływ.

– To bardzo pokrzepiające – odpowiedział Felix. Powstrzymał się przed wskazaniem, że elf był zapewne chroniony przez swoją magię, ale pozostali nie.

Ścieżka opadała zakolami w dół zbocza. Otaczająca ich roślinność gęstniała. Z podszycia dobiegały liczne dziwne warknięcia, posapywania i odgłosy wielkich bestii poruszających się wśród gałęzi. Wojownicy Brana wyraźnie stali się jeszcze bardziej nerwowi. Rosło napięcie. Gotrek obracał głowę w jedną i drugą stronę, jakby szukał zagrożenia wśród drzew.

- Teraz widzę, dlaczego olbrzym został spaczony – powiedział Teclis – jeśli to jest jego legowisko. Tysiąc lat w tym miejscu wypaczyłoby umysł każdego.
- Jeśli jego umysł nie był wypaczony od samego początku – zauważył Gotrek.
- Jego forma fizyczna również mogła zmutować – dodał elf, ignorując Zabójcę.
- W jaki sposób? – spytał Felix czując nagłą suchość w ustach.
- Zapewne jest większy i nosi liczne stygmaty Chaosu. Może posiadać wiele mutacji, które sprawiają, że trudniej będzie go zabić.

Felix pomyślał o trollu, z którym kiedyś wraz z Gotrekiem walczyli pod ruinami Karagu Osiem Szczytów. Ktoś zawiesił kawałek spaczenia na jego szyi i stało się z nim to wszystko, co opisał elf. Felix zadumał się nad głębią wiedzy czarodzieja. Wydawało się, że wie o wielu rzeczach. Pomyślał, że zapewne był to jeden z przywilejów życia przez całe wieki i bycia potężnym czarodziejem. Warto będzie to zaznaczyć, gdy rozpocznie spisywanie swojej kroniki przygód Zabójcy. Niektórzy uczeni będą gotowi zapłacić już tylko za taką informację, chociaż Felix nie był pewien, czy chce by jego dzieło zainteresowało ludzi takiego rodzaju. Przez to jego książka mogła zainteresować łowców czarownic, a także imperialnych cenzorów. Może powinien wobec tego przemilczeć te sprawy?

Cienka warstwa ziemi okrywająca skalistą ścieżkę stawała się grubsza, w miarę jak schodzili do doliny i zmieniała się w okropne czarno-brązowe błoto, które przywarło do butów Felixa i wydawało chłupot, gdy unosił stopy podczas marszu. Coś mokrego i oślizgłego dotknęło jego twarzy. Wzdrygnął się na myśl o palcach topielców, albo mackach jakiegoś wyjątkowo odrażającego potwora. Zamiast tego zobaczył, że było to tylko pnącze zwieszające się z gałęzi powyżej. Gałęzie nad nimi tworzyły łukowate przejście przez gęsty las, który ich otaczał. Felix zdumiewał się nad zmianą otoczenia. Jeszcze kilka godzin wcześniej trzęśli się z zimna na zamglonych wierzchołkach gór. Teraz znajdowali się w ciepłym lesie przypominającym dżunglę z opowieści o Czarnym Kontynencie, które czytał za młodu. Cisza pogłębiała się. Felix słyszał własny oddech. Był pewien, że zaraz zdarzy się coś strasznego.

Długie chwile ciągnęły się, powolne jak ślimaki pełzające po ścianie. Felix westchnął głęboko czując w pewien sposób ulgę. Szedł przed siebie i znalazł się nad brzegiem wielkiej kałuży wypełnionej brązową i mętną wodą. Krawędzie otaczającej ją ziemi tworzyły rodzaj zbiornika, który utrzymywał ciecz i było w tym kształcie coś niewyraźnie znajomego.

Potrząsnął głową zastanawiając się dlaczego masywny kształt oglądany tutaj, w głębi dziczy Albionii mógł wydawać się znajomy dla mieszkańca z Altdorfu. Powoli w jego umyśle pojawiło się zrozumienie i przerażenie, gdy zaczął rozpoznawać ten zarys. Powtarzał sobie, że nie powinien tak reagować. To był zwykły przypadek, który sprawił, że kałuża wyglądała właśnie w ten sposób.

- To odcisk stopy – powiedział Teclis.
- Aye – potwierdził Gotrek z pewną ponurą satysfakcją. – To prawda.
- Nie może być – zaprzeczył cicho Felix. Zbadał szerokość wielkiego odcisku. Mierzył dokładnie dwa jego kroki. Gdyby Felix położył się wzdłuż wgłębienia, dorównywałoby mu prawie długością. – Stworzenie, które je zostawiło musiało być co najmniej sześć razy wyższe ode mnie.
- Więc o co chodzi, człeczyno?

Felix zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział, zdając sobie sprawę, że nie może uwierzyć, by coś tak wielkiego chodziło po ziemi w ludzkiej formie. Z drugiej strony, tylko dlatego, że obawiał się spotkania z takim stworem, nie oznaczało, że nie mógł on istnieć. W przeszłości natknął się na wiele ogromnych potworów, dlaczego nie miał być nim gigant?

Usiłował przypomnieć sobie, czy któryś z hałasów jakie wcześniej usłyszeli nie mógł być stąpaniem takiego potwora. Skąd mógł to wiedzieć? Czy takie rozważania miały jakiś sens? Zamiast

tego zaczął myśleć o spotkaniu z takim stworem, usiłując wyobrazić sobie jego rozmiary. W najlepszym razie mógł dosięgnąć mu do łydki. Tnąc go mieczem przypominałby dziecko, które atakowałoby go szpilką. Stwór mógł podnieść go jedną ręką i odgryźć mu głowę jednym kęsem. Szybko wyrzucając ten obraz z umysłu odwrócił się do Teclisa i powiedział:

- Mam nadzieję, że znasz jakieś zaklęcia do zapanowania nad olbrzymami?
- Powiadają, że olbrzymy Albionu to zmyślne stworzenia i bardzo odporne na magię.
- A jednak ci magowie Chaosu kontrolują jednego z nich.
- Być może te doniesienia nie są całkiem wiarygodne. Może stwór zawarł przymierze z Chaosem?

Może oni mają dostęp do zaklęć, których ja nie znam, Felixie Jaegerze? Jestem jednym z największych czarodziejów, to prawda, ale nie wiem wszystkiego.

– Oto historyczna chwila – parsknął Gotrek. – Być może po raz pierwszy w spisanej historii świata elf przyznał się do tego. Nie zapomnij o tym napisać, człeczyno.

– Nie zapomnij napisać o wszystkim – powiedział Teclis – jeśli przeżyjesz.

Gdzieś w oddali ryknęło coś wielkiego. Na zawołanie odpowiedziały rogi i bębny.

– Zdaje się, że to nie tylko olbrzymy – powiedział Teclis. – Słychać także orki i gobliny.

– To dopiero ulga – powiedział Felix gdy ruszyli dalej ścieżką.

Rozdział 25

Ścieżka biegła dalej przez cuchnący las. Błoto było coraz gęstsze, ale nie zauważyli więcej ogromnych śladów, za co Felix był głęboko wdzięczny losowi. Zamiast tego las stawał się coraz bardziej plugawy, drzewa bardziej wypaczone, a zwierzęta gorzej zmutowane. Zobaczyli jelenia o dwóch głowach. Nad nimi poruszały się pająki wielkie jak ludzka pięść i błyszczące jak klejnoty. Przekroczyli strumień czarnej wody, w której widoczne było blade połyskiwanie lśniących drobin. Felix domyślał się, że woda w tym miejscu była skażona przez spacje. Jego obawy zostały potwierdzone, gdy Teclis powiedział:

– Przekażcie dalej: nie pić wody, ani nie jeść czegokolwiek co pochodzi stąd, bez względu na to, czy wygląda na jadalne.

– Nie sądzę, by komukolwiek trzeba było to mówić – powiedział Gotrek.

– Lepiej się upewnić – odparł elf. Po raz pierwszy krasnolud nie sprzeciwił się.

Powietrze stawało się coraz gęstsze i trudniejsze do oddychania, zupełnie jak to bywa przed burzą. Nagle Felix poczuł tęsknotę za czystym powietrzem i zimnym deszczem w górach. Przeskakiwał z kamienia na kamień nad strumieniem, nie chcąc, by ta skażona woda zetknęła się choćby z jego butami. Zastanawiał się, czego się obawiał. Zmutowanych butów? Ta myśl wcale nie wydawała się zabawna. Słyszał o dziwniejszych rzeczach w nawiedzonym mieście Praag. Przeklinał wszystkich bogów. Zdawało się, że jego przeznaczeniem jest odwiedzić wszystkie najgorsze miejsca na świecie. Pragnął, by przynajmniej raz misja Gotreka zaprowadziła ich do haremu szejka Arabii, albo do Pałacu Imperatora. Pomyślał, że przy jego szczęściu okazałoby się, że te miejsca zostały opanowane przez mutantów, albo zamieszkane przez złych magów.

Zaczęło padać. To był deszcz cieplejszy niż w górach i Felixowi nie podobało, gdy krople dotykały jego skóry. Wiele z nich przepłynęło między liśćmi i gałęziami tych chorych, sękatych drzew. Bogowie tylko wiedzieli jakie trucizny mogły zawierać.

Rozejrzał się ponownie. Wydawało mu się, że nad sobą zauważył błysk ślepi szerokich jak spodki. Skupił się. Między zielenią pleśni dostrzegł paskudną twarz z ostrymi zębami. Zanim zdążył wypowiedzieć choćby słowo, trafiła w nią rzucona włócznia i zwłoki goblina upadły z chłupotem w lepkie błoto.

– Ciekawe ilu jeszcze ich tu zostało? – spytał.

Siobhain wyciągnęła z trupa włócznię. Wojownicy Albionu ruszyli dalej. Felix oczyma wyobraźni zobaczył dzikie gobliny o szerokich ślepiach wypatrujące spomiędzy ocienionego podszycia. To nie poprawiało jego nastroju.

Zmusił się, by pomyśleć o tym co się tam działo. Najwyraźniej, nie tylko oni interesowali się Świątynią Pradawnych. Czy orki miały zamiar przejąć ją dla siebie, czy chodziło o coś bardziej nikczemnego?

Teclis potrząsnął głową.

– Widzę, że ponownie będę musiał okryć nas płaszczem niewidzenia – powiedział.

– Nie wysilaj się za bardzo, elfie – odparł Gotrek.

Ostatnie obite i ocalałe orki Guraga weszły powłócząc nogami do obozu Zarkhula. Spojrzał na ich pobitego wodza. Zwał się Kur.

– Co się stało?

– Gurag został zabity przez elfa. Przeszli po nas. Są w dolinie. Maszerują do świątyni.

Zarkhul zastanawiał się, czy to był znak, na który czekał. Być może. Wszystkie szczepy były już zebrane, wrócili po przejęciu kamiennych kręgów, a szamani zebrali ich moc. To była dobra chwila

do ataku.

– Łapcie za miecze! Możecie dowieść wszystkim swojej odwagi. Ruszamy do miasta!

Potężny ryk rozległ się nad zebraną hordą, gdy jego słowa rozbrzmiały jak magiczna fala wśród szeregów. Był pewien, że nawet najodleglejsze klany krzyczały jednym głosem w odpowiedzi na jego rozkaz. W chwilach takich jak ta orki działały jak jedno ciało władające jednym mieczem, a on był ich przywódcą.

Przed nimi wznosił się szczyt wzgórza. Felix, Gotrek, Teclis i Murdo wspinali się na zbocze. Trzymali się cieni drzew i poruszali cicho, chociaż Felix nie wiedział, jak ktokolwiek zdołałby ich usłyszeć przez stały łomot deszczu. Na wierzchołku wzgórza zobaczyli, że ziemia przed nimi była czysta. Do miejsca gdzie stała świątyni prowadziła dzika, otwarta i skalista droga.

Najbliższy zikkurat był wielki jak pagórek. Kompleks świątynny zajmował powierzchnię większą niż wiele miast ludzi. Może tylko rozległe granice Altdorfu sięgały dalej niż inne miejsca, jakie oglądał Felix. Nad okolicą unosiła się aura niezwykłej starości i osobliwości. Bez trudu mógł uwierzyć, że żadna ludzka istota nie mogła wybudować tego miejsca, ani nawet istota odrobinę przypominająca człowieka, jak elf lub krasnolud. Na bokach budowli wykute były wielkie glify wyglądające jak wielokątne labirynty o prostych załomach, które wydawały się przyciągać wzrok. Musiał z trudem odwracać spojrzenie, by oczy nie śledziły zawiłych wzorów. Miał wrażenie, że gdyby do tego dopuścił, gdyby prześledził je do końca, mógłby uzyskać dziwną kosmiczną wiedzę, ale nie tego szukał. Przeczuwał, że aby zrozumieć te runy musiałyby daleko odrzucić człowieczeństwo i zdrowy rozum.

Uderzyła go pewna myśl.

– Mapy – powiedział.

– Co, człeczyno? – spytał Gotrek.

– Te runy to mapy, ścieżek, ich układu, albo czegoś wspólnego z... – urwał zdanie. Zdał sobie sprawę, że dla pozostałych musiał brzmieć jak szaleniec.

– Może masz rację – powiedział elf. – To interesująca teoria. A może to bariery ochronne? Symbole same z siebie mogą zawierać reprezentacje zaklęć. To są wzory o mistycznej mocy. Przypuszczam, że w ten sposób działają magiczne runy krasnoludów.

– Przypuszczaj sobie co chcesz – odparł Gotrek – ale to nie przybliży nas do celu.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, zikkurat zatrzęsł się.

– A nam kończy się czas – powiedział Teclis. – Moc w środku zaczyna wrywać się spod kontroli.

– Wchodzimy? – spytał Felix.

– Wchodzimy – zgodzili się pozostali. Gdy to powiedzieli, wokół doliny zabrzmiały bębny. Orki najwyraźniej także podjęły decyzję. Murdo wrócił rozmówić się ze swoimi ludźmi, a Bran do swoich. Dziewicza straż uniosła w gotowości swoje włócznie.

Zanim się zorientowali, wszyscy zbiegali jak szaleni w dół wzgórza, biegnąc jak najszybciej i wykorzystując skały jako osłonę. Felix nie był pewien, dlaczego to robili. Jakiś instykt podpowiadał im, aby możliwie szybko przebiegli przez otwartą przestrzeń. Ściany starożytnej świątyni nie obiecywały schronienia ani bezpieczeństwa, ale wydawało się, że lepiej wybrać to niż pozostanie w odkrytym miejscu.

Widok jednego biegnącego człowieka wystarczył, by cała zdenerwowana załoga ruszyła za nim. Gdy zbliżyli się do wielkich, kamiennych budowli Felix doznał wrażenia jakby przyglądała im się jakaś potężna, trudna do zlokalizowania świadomość ukryta we wnętrzu świątyni Pradawnych, a on chciał jak najszybciej zniknąć z pola jej widzenia.

Prawie poczuł ulgę, gdy postawił stopę na pierwszej rampie wspinającej się po boku piramidy. Był mniej zachwycony, gdy spojrzął za siebie. Cały las na wzgórzach otaczających piramidę ożył nagle tłumem orków. Wychodzili spośród plugawych drzew całymi tysiącami, pokrzykując i śpiewając. Felix zastanawiał się, co mogło ich tu przyznać, wiedząc, że nie ma drogi powrotu. Przeciwno tak wielu nie mieli żadnej szansy odwrotu. Zobaczył jak horda orków zaczyna zbiegać ze wzgórza poruszając się z niepowstrzymaną siłą lawiny. Felix pomyślał, że może przed chwilą wyczuwał tylko wymierzone w nich spojrzenia orków, ale wiedział, że się myli.

– Oto twoja zagłada – powiedział do Gotreka wskazując na potężną horde.

– Moja zagłada czeka wewnątrz tej piramidy – odrzekł Gotrek nie spuszczać wzroku z pleców elfa. Felix nie był do końca pewien, co to miało znaczyć, ale to przeraziło go jeszcze bardziej niż widok tych wszystkich orków.

– Co teraz? – spytał Teclisa.

– Do środka – odparł. – Jesteśmy blisko węzła tej mocy, wyczuwam to. Nasza misja prawie dobiegła końca.

Za nimi rozległy się okrzyki bojowe zielonoskórych.

– Tak czy inaczej, myślę, że masz rację – stwierdził Felix.

Felix ocenił rozmiary łuku, pod którym przeszli. Przekraczał dziesięciokrotnie wzrost człowieka i był wystarczająco wielki, by mogły pod nim przechodzić olbrzymy z jego wyobrażeń. Nie był tym zachwycony. Jakby brakowało im zmartwień.

Wnętrze było oświetlone przez dziwne zielone światła osadzone w suficie. Przypominały Felixowi te, które widział na Ścieżkach Pradawnych. Kamienne ściany także przypominały wejście na ścieżki, chociaż w znacznie potężniejszej skali. Dlaczego tajemniczy Pradawni postanowili zbudować tu tak wielkie przejścia? Co tak wielkiego chcieli zabrać z Albionu? A może jego wyobraźnia była zbyt ograniczona, by odpowiedzieć na te pytania? Może portale były tak duże z zupełnie innego powodu? Może ich rozmiary, kształt i forma miały jakieś mistyczne znaczenie, którego nie był w stanie objąć rozumem? Może stanowiły część jakiś runów, które potrafili odczytać tylko bogowie? W tamtej chwili to zresztą nie miało znaczenia. Jeśli orki miały położyć na nich swoje łapy, wszelkie podobne domysły szybko się skończą. Pełen niepokoju przeszedł pod łukiem i wkroczył do wielkich, ponurych korytarzy w głębi.

Gdy znaleźli się w środku, ściany zadrżały jeszcze raz.

– Musimy się spieszyć. Do Komnaty Tajemnic!

Ściany wokół nich zatrząsły się ponownie i światła na suficie zamarły. Kilku z ludzi jęknęło ze strachu. Ciemną komorę wypełnił nagle przerażający mrok. Teclis pewnym krokiem wyszedł przed nich. Z końca jego laski wypłynęło światło, które oświetliło drogę i przegnało zbliżające się stworzenia poza zasięg jasnego kręgu. Felix zauważył wielkie nietoperzowe kształty unoszące się w ciemnościach pod sklepieniem. Jeszcze raz poczuł przejmującą obecność olbrzymiej masy kamieni napierającą na nich ze wszystkich stron. Znajdował się we wnętrzu sztucznej góry i coś dręczyło go w głębi duszy.

Z każdym krokiem w głąb pradawnej ciemności utwierdzał się w przekonaniu, że to miejsce było nawiedzone. Nie był pewien, przez co – może przez duchy Pradawnych, może przez duchy dawno zmarłych innych istot – ale był pewien, że coś tam było. Bardzo często wydawało mu się, że w chwili gdy weszli do komnaty, jakieś wielkie i głębokie cienie poruszyły się i cofnęły zatrzymując tuż poza zasięgiem ich wzroku, gdzie czekały i przyglądały się ze złośliwą inteligencją, aż postawią niepewny krok, albo po prostu zgubią się w wiecznej ciemności.

Co gorsze jednak, zapach spaczenia w powietrzu był coraz silniejszy. Felix czuł narastające

ciśnienie w uszach, w głębi głowy i ustach, które rosło aż do bólu. Nawet zęby go bolały. Nie wątpił, że elf miał rację. Zbliżali się do serca najpotężniejszej magii do jakiej Felix kiedykolwiek się zbliżył. Czuł jak wokół nich budziły się od dawna uspięne moce.

Nawet Gotrek zdawał się to wyczuwać. Poruszał się ostrożnie i czujnie obracał głowę z boku na bok. Felix zauważył, że runy na toporze krasnoluda zaczęły lśnić własnym, wewnętrznym światłem. Felix wiedział z doświadczenia, że to nigdy nie znaczyło nic dobrego.

Za nimi słyszał pogłos okrzyków orków. Dźwięk huczał w starych komorach jak grzmot. Zwierzęce ryki zostały wielokrotnie wzmocnione, aż stały się donośne jak głos rozgniewanego boga. Oczami wyobraźni Felix wyobrażał sobie wielką armię zielonoskórych wdzierającą się do korytarzy. Powoli i nieubłaganie niepowstrzymana zielona fala wypełniała całą strukturę.

Felixowi wydało się dziwne, że zaszli tak daleko nie napotykając na żaden opór. W przeszłości przekonał się, że siły Chaosu nigdy nie porzuciły swojego łupu bez walki. O ile oczywiście to nie była pułapka. Ta nagła myśl wstrząsnęła nim. Czy byli wabieni coraz głębiej w piramidę, by spotkać tam swoją śmierć? Czy zostaną poświęceni w jakiś niewymownie okrutny sposób podczas przerażającego rytuału? A może już zostali połknięci żywcem przez olbrzymiego boga, którym była sama piramida?

Usiłował odsunąć od siebie te myśli i zauważył coś jeszcze. Amulet, który dał mu elf stał się na tyle ciepły, że czuł go na piersi. Dotknął go palcami i zaskoczony przekonał się, jak bardzo był gorący, a potem zauważył, że zapisane na nim wdzięcznym, płynnym pismem elfów runy świeciły się. Coś uaktywniło jego ochronną moc.

Teraz, w oddali, słyszał inne dźwięki, ryki zawołań bojowych, uderzenia broni o broń. Gdzieś ludzie, lub istoty podobne do ludzi wyśpiewywali imiona mrocznych bogów. Orki odpowiadały gardłowymi okrzykami we własnym zwierzęcym języku. Jak dotąd, na ścieżce, którą szli nie spotkali niczego. Jeszcze bardziej wskazywało to na pułapkę, zupełnie jakby wchodzili do gardła ogromnej bestii, która w każdej chwili mogła połknąć ich do swojego wielkiego żołądka. Felix zacisnął dłoń na rękojeści miecza, jakby trzymając go silniej mógł w jakiś sposób zapanować nad swoim strachem.

Natychmiast do umysłu Felixa wdarła się inna myśl. Nie znajdowali się w cielsku jakiejś wielkiej bestii – byli uwięzieni we wnętrzu ogromnej, piekielnej maszyny, podobnej do machin, które krasnoludy używały do obróbki rudy i metali, tylko że ta przerabiała dusze i wytwarzała... co? Nie potrafił zgadnąć. Nagle poczuł, że nie może doczekać się działania. Jego nerwy były napięte, a brwi pokrywał zimny pot. Nie mógł znieść oczekiwania na jakąkolwiek straszną śmierć, która miała ich zabrać. Musiał zwalczyć chęć, by pobiec naprzód do walki, by zanurzyć się w bezrozumnej rzezi, by zatopić świadomość w odmętach bitewnego szału.

Amulet na jego piersi nagrzewał się coraz bardziej. Runy na toporze Gotreka lśniły jaśniej. Aura rozświetlająca talizmany Teclisa była niemal oślepiająca. W dziwnym blasku dostrzegał twarze pozostałych ludzi. Wszyscy wyglądali dziwnie i dziko, a ich cienie przypominały sylwetki zgarbionych małp. Rysy twarzy zdawały się wyrażać pierwotną nienawiść i żądzę przemocy. Culum patrzył na niego złowrogo. Twarz Siobhain wydawała się wykrzywiona obłąkaną nienawiścią. Bran zerkał ukradkiem dookoła, jakby obawiał się, że ktoś z jego ludzi wbije mu włócznię w plecy i zabierze przywództwo. Wszyscy zdawali się pogrążeni w jakimś szalonym śnie.

Elf spojrział na niego i przez jego nienawistną, obcą twarz przemknęła troska.

– To przez to miejsce – powiedział. – Wypacza wasz rozum. Chaos i magia Pradawnych splotły się tworząc coś, czego śmiertelnicy nie mogą ścierpieć zbyt długo. Zachowajcie spokój. Wytrzymajcie to. Wkrótce dotrzemy do celu.

Jakby kpiąc z jego uspokajających słów odgłosy przemocy nasiliły się, a cała piramida zadrżała

niczym uderzona wielkim miotem. Światła ponownie zabłyśły, a w powietrzu rozległo się dziwne, wysokie buczenie. Felix wolał nie myśleć co było w stanie sprawić, że tak wielka kamienna budowla trzęsa się jak przestraszone zwierzę. Wyczuwał, że uwalniały się siły, które mogły rozbić cały świat jak jajko. Żałował, że nie był w jakimkolwiek innym miejscu jak najdalej stąd.

Przed nimi otwierał się ku niebu wielki plac. To miejsce miało kiedyś swoje sklepienie, na co wskazywał fakt, że wszędzie wałały się rozbite kamienie. Potężne kamienne kolumny pięły się w górę, by podtrzymywać sufit, który już nie istniał. Na nich także widoczne były ślady zniszczenia. Mech zarastał pokrywające je zawiłe rzeźbienia. Plamy w kolorze ochry podkreślały niektóre linie i zakrywały inne.

W górze, na niebie kłębiły się ciemne chmury pobłyskując na czerwono, jakby skażone pyłem spaczenia. Wielkie pioruny biły w dół. Musiały uderzać już bardzo blisko. Widok otwartego nieba nasilił klaustrofobię Felixa, zamiast ją złagodzić. Uzmysłował sobie, że za kilka chwil znowu zanurzą się w nieprzeniknione ciemności. Powietrze w tym miejscu nie było świeże. Czuć było zapach zepsucia innego rodzaju. Teclis wypowiedział w języku elfów coś, co mogło być przekleństwem i ruszył w stronę podstawy jednej z kolumn.

Jej wierzchnia warstwa całkiem odpadła i z kamienia wystawała biała dłoń. Felix zbliżył się i zajrzał przez ramię elfa. Zobaczył, że to nie była ludzka ręka. Miała tylko trzy kości palcowe, a i te były szersze i grubsze niż palce jakiegokolwiek człowieka. Elf uderzył w kamień końcem swojej laski i skała odpadła odsłaniając szkielet, który tylko z grubsza przypominał ludzki.

Szkielet runął naprzód i upadł na podłogę. Elf musiał użyć swojej magicznej mocy, ponieważ kości nie rozpadły się na tysiąc odłamków, jak spodziewał się tego Felix. Zamiast tego poruszył się jakby ożywiony. Przez chwilę Felix przeraził się, że istota wróciła do jakiegoś rodzaju życia po śmierci, podobnie jak szkielety i żywe trupy, z którymi walczył w ruinach Drakenhof. Inni także cofnęli się gwałtownie. Tylko Gotrek i elf stali w miejscu.

Nie widząc bezpośredniego zagrożenia Felix ostrożnie podszedł. Szkielet należał do istoty niemal dorównującej mu wzrostem i szerszej od niego – kształt głowy i układ kończyn sugerował coś zbliżonego do płaza. Felix pomyślał, że gdyby skrzyżować ropuchę z dużą małpą, szkielet stwora wyglądałby podobnie.

– Slann – powiedział Teclis. – Jeden z Najstarszej Rasy, wybranych sług Pradawnych. Został zamknięty tu, pośród tych kolumn. Znaleźlibyście podobne szkielety w podstawach każdej kolumny. Zostali tu pogrzebani żywcem.

– Ale dlaczego? – spytał Felix.

– To była część jakiegoś rytuału, który miał uświęcić to miejsce. Ich dusze miały stać się strażnikami. Może to były ofiary dla czegoś, co czcili Pradawni? A może powód był tak obcy, że nigdy nie bylibyśmy w stanie go zrozumieć? Kto to wie? Pewnego dnia, gdy będziemy mieli więcej czasu, wrócę tutaj i zbadam to miejsce. Kto wie, jakie kryje tajemnice?

– To nas donikąd nie prowadzi – powiedział Gotrek unosząc groźnie topór. – Prowadź, elfie. Pokaż nam serce tego czegoś.

Teclis wyrwał się z zamyślenia, ale zatrzymał się, by po raz ostatni spojrzeć z ciekawością na szkielet. Felix rozumiał to zainteresowanie. Jak wiele czasu minęło, gdy to stworzenie żyło i chodziło w blasku słońca? Co najmniej tysiąclecia. Przed narodzinami Imperium. Przed powstaniem pierwszych ludzkich cywilizacji w starożytnej Nehekarze. Jak wtedy wyglądał świat? Jakich dziwnych cudów była świadkiem ta istota? Przez krótką chwilę Felix zrozumiał część uroku nekromancji. Gdyby tylko można było zmusić takie stworzenie, by przemówiło i wyjawilo swoje sekrety. Zadrzał i odwrócił wzrok zdumiewając się, skąd przyszły mu do głowy tak mroczne myśli.

Pomyślał, że to miejsce naprawdę wywierało na niego swój wpływ.

Wszyscy jak jeden mąż opuścili wielki podwórzec i wrócili w głębiny świątyni.

Felix idąc przyglądał się korytarzowi wokół niego. W tym miejscu był szeroki jak droga i jedyne co podtrzymywało sufit to łuki wspornikowe wystające ze ścian co jakieś pięćdziesiąt kroków. Jeśli istniały tu jakieś komory łączące się z korytarzami, zostały ukryte tak przemyślnie, że były niewykrywalne. Od chwili odkrycia szkieletu w podstawie kolumny Felix spodziewał się, że wszędzie wokół niego były ukryte komory, ciała i sekrety. Z łatwością wyobrażał sobie zapieczętowane komnaty, w których legły legiony płazich ciał na ofiarę dla swoich perwersyjnych bogów i gdzie złowieszcze maszyny pulsowały energią pradawnej magii.

Nad głową dziwacznie lśniły zielonkawe światła. Dawały bladą i upiorną iluminację, która więcej ukrywała przed wzrokiem niż rozświetlała. Cienie tańczyły groteskowo, gdy światła migotały i rozbłyskiwały. Były dowodem istnienia tajemnej energii, która pulsowała falami wstrząsającymi ziemię. Ponownie Felix zobaczył wizję wielkiej, skomplikowanej i absolutnie niepojętej maszyny. Ale był gotów uwierzyć, że były tu skupione sity, które potrafiły powoli i niepowstrzymanie przesuwać całe kontynenty.

Gdy uderzyła go ta myśl, usłyszał jeszcze raz odbite echem odgłosy bitwy w wielkiej budowli.

* * *

Zgiełk zacieklej walki zbliżył się jeszcze bardziej. Felix wpatrywał się w głęboki mrok. Przy następnym skrzyżowaniu walczyły dziko orki i zwierzoludzie. Dwie potężne i rozpędzone fale potworów spotkały się i żadna z nich nie chciała oddać pola. Felix nie potrafił stwierdzić, kto wygrywał, ani nie dbał o to. Chciał tylko wyjść z tego miejsca i znaleźć się daleko od otaczającego ich wiecznego mroku.

Teclis uniósł dłoń i gestem nakazał im zatrzymać się. Dookoła wszyscy mężczyźni i kobiety przygotowali broń, pochylając włócznie i wyciągając miecze. Felix nie był pewien, jaki użytek będą miały tak wielkie miecze w tych korytarzach, choć przejścia były szerokie. Wątpił czy było tam dość miejsca, by więcej niż dwóch lub trzech uzbrojonych w ten sposób ludzi mogło walczyć obok siebie. W ograniczonej przestrzeni mogli okazać się niemal tak samo groźni dla swoich przyjaciół, jak ich wrogowie.

– Nie – powiedział elf. – Nie będziemy walczyli. Jeszcze nie. Musimy znaleźć inną drogę.

Czekali z napięciem, aż bitwa skieruje się w ich stronę, ale tak się nie stało. Zamiast tego walczący oddalili się od nich znikając w głębi budowli. Mała armia ludzi znowu zaczęła iść naprzód.

Dotarli do kolejnej rampy. Ta prowadziła w głąb. Z dołu wydobywał się ohydny smród skażonej spaczeniem zastalej wody i starej zgnilizny. Pleśń przywierała do ścian w formie dziwnej czarnej substancji, która wydawała się trująca. Przeżarła nawet pradawne płaskorzeźby i utworzyła nowe groteskowe kształty, które mogły wyobrażać gargulce i potwory, choć nimi nie były.

Nie zatrzymując się Teclis poprowadził ich w wieczną ciemność. Felix spojrzał na krasnoluda, ale ten wydawał się pogrążony we własnych mrocznych myślach, zamknięty w sobie, jak często bywało tuż przed najbardziej gwałtownymi wybuchami wściekłości.

Nawet ta opadająca rampa była wielka. Opadała stromo w mrok, który stawał się coraz głębszy, gdy coraz rzadziej świeciły światła na suficie. Felix szedł na czele kolumny, obok elfa i krasnoluda. Ich obecność wydawała mu się uspokajająca nawet w tym miejscu. A potem jego oczy zobaczyły coś, co go oszołomiło.

Droga przed nimi była zablokowana przez coś, co wyglądało jak wielka, rozbita ściana kolców. Podeszedł bliżej i zobaczył, że to nie były kolce, ale kości, części kolejnego, znacznie większego

szkieletu. Przed nim spoczywała monstrualna klatka żebrowa. Szedł wzdłuż popękanego kręgosłupa w stronę przypominającej ludzką czaszki, która została rozbita tytanicznym ciosem.

To był szkielet olbrzyma. Zamykał cały korytarz, jego rozmiary doskonale odpowiadały stworzeniu, jakie Felix wyobraził sobie, gdy zobaczył wielki odcisk w leśnym błocie.

– Nie wydaje mi się, by ten został pogrzebany podczas jakiegoś pradawnego obrzędu – powiedział Felix.

Próbował *znaleźć* jakieś stygmaty mutacji, ale nie dostrzegł żadnych. Kości były wielkie, proporcjonalnie znacznie grubsze niż u zwykłego człowieka, gdyby osiągnął takie rozmiary i Felix domyślił się, że olbrzym był za życia znacznie grubszy niż mógłby być człowiek równie wysoki. A jednak, nie znalazł żadnych rogów ani kleszczy. Brakowało kilku kości z nóg i ramion, ale widział leżące w pobliżu ich pogruchotane i połamane szczątki. Przypomniał sobie w jaki sposób orki i zwierzoludzie kruszyli kości, by wysysać szpik. Próbował stłumić szarpiący nim dreszcz.

– Co mogło zabić i pożreć olbrzyma? – spytał, nie spodziewając się odpowiedzi.

– Inny olbrzym – odpowiedział ponuro Gotrek.

Przeszedł pod wielkimi żebrami i zatrzymał się, by przyjrzeć się im uważnie, jakby oceniał własne szanse przeciwko takiej istocie. Felix był ciekaw, co działo się w jego głowie. W porównaniu z tym wielkim stworem nawet potężny topór Gotreka wydawał się czymś mniejszym od dziecięcej zabawki. To nie była pokrzepiająca myśl. Odcisk, który zobaczyli na zewnątrz był świeży i w umyśle Felixa pojawił się obraz olbrzymiego kanibala na tyle silnego, by zabić nawet jednego ze swoich potężnych pobratymców.

Widząc twarze wszystkich ludzi dookoła domyślał się, że myśleli o tym samym. Z wyraźną niechęcią wznowili marsz w kierunku głębi piramidy.

Rozdział 26

Teclis badał wiązki mocy, które wyczuwał wokół. Był już blisko. Blisko czarnego serca tajemnicy, dla której rozwiązania przekroczył kontynenty. Blisko źródła straszliwych erupcji mocy, które oznaczały zagładę dla jego ojczyzny, jeśli nie zostaną powstrzymane. Czuł wokół siebie przepływ potężnych energii, silniejszych nawet niż te, które utrzymywały kamienie strażnicze Ulthuanu. W porównaniu z tymi były jak górskie strumyki przy nurcie wielkiej rzeki Reik.

Działo się tu coś nieprawidłowego. Prądy energii nie były stale. Szarpały się. W jednej chwili wybuchały potężnie, a w drugiej zamierały, zupełnie jakby ktoś czerpał ich olbrzymią energię, ale nie był w stanie nad tym zapanować, a w istocie zmagał się z nią. Ta myśl przeraziła go pomimo doskonałego opanowania jakie zwykle zachowywał. Fakt, że ktoś przebudził tego uspiętego demona nie znając jego prawdziwego imienia spowodował, że uwolnił całą jego moc bez środków by je kontrolować w pełni, co było bardziej przerażające niż myśl, że ci złoczyńcy służyli Chaosowi.

Jeśli bowiem potęga, która unosiła kontynenty i potrafiła przesuwac światy na orbicie została uwolniona bez żadnego nadzoru, wówczas być może bliski był koniec świata. Z pewnością oznaczało to koniec tej świątyni i zapewne wyspy, a w nieuniknionej konsekwencji, Ulthuanu. Co gorsza jednak, częściowa kontrola nad mocą, której oznaki widział w tym miejscu oznaczała obecność potężnych czarnoksiężników, być może przerastających go umiejętnościami. Nie podobała mu się perspektywa starcia z takimi przeciwnikami.

W istocie miał niewielki wybór. Musieli iść dalej, aby dostać się do samego środka i to szybko. Poprowadził ich w dół, w stronę serca piramidy. Wszędzie wokół szalała moc. Dookoła toczyła się bitwa.

Droga kończyła się olbrzymim łukiem. Za nim znajdowała się komora z wieloma wejściami. Felix przyjrzał się temu. Nie widział żadnego ładu ani sensu w rozplanowaniu tego miejsca. To był wielki labirynt zbudowany według zasad, których nie potrafił zrozumieć. Po nad nimi znajdowało się wiele galerii i chodników. Przed nim otwierała się przestrzeń, a gdy podszedł do brzegu i spojrział w dół zobaczył więcej galerii poniżej. To wyglądało jak wielka studnia.

Jeszcze raz przypomniało mu się dziwne miasto, w którym wraz z Gotrekiem i Snorrim zgubili się podczas wyprawy przez Pustkowia Chaosu. Czy istniał jakiś związek między tym miejscem, a tamtym? Z pewnością dostrzegał pewne podobieństwa w architekturze, ale ta świątynia została zbudowana w jeszcze większej skali, Oczami wyobraźni nagle zobaczył dziesiątki takich miejsc rozrzuconych po całym świecie i połączonych siecią dziwnych sił, które tworzyły wzór zbyt skomplikowany, by pojęły go śmiertelne umysły.

Z zamyślenia wyrwało go pojawienie się hordy orków na galerii powyżej i po drugiej stronie. Ich przywódca był jakiegoś rodzaju szamanem i trzymał laskę zakończoną czaszką. Krzyknął i wskazał na nich. To tyle, jeśli chodzi o zaklęcia ukrycia – pomyślał Felix. Zauważywszy ludzi poniżej, orki uniosły swoje łuki i posłały w ich stronę chmurę strzał. Odległość była znaczna, ale nie można było liczyć na to, że nie doleci żaden z pocisków. Felix skulił się za kamienną balustradą. Dookoła niego zastukały strzały. Nadleciała druga fala i Teclis podpalił pociski zaklęciem. Widząc to, zielonoskórzy wstrzymali ogień i zaczęli wykrzykiwać pogroźki i zniewagi w swoim plugawym narzeczu. Gotrek odpowiedział im we własnym języku, po czym dołączyli do niego ludzcy wojownicy. Elf wydawał się zajęty ponaglaniem ich do wznowienia wędrówki.

Orki zaczęły biegać wzdłuż galerii usiłując znaleźć jakiś sposób, by dostać się do swoich przeciwników. Felix, zobaczył zwierzoludzi i zakutych w czerń wojowników Chaosu, którzy wynurzyli się z innego wejścia i wpadli prosto na zielonoskórzy. Rozpętała się monstualna walka.

Felix zdumiał się nad ich szczęściem. Dlaczego nie natrafili na żaden opór? Dlaczego wojownicy Chaosu skupiali się na zielonoskórych? Nagle zrozumiał przyczynę. Tamci stanowili większe zagrożenie. W końcu zielonoskórzy byli wielką armią w porównaniu z tą małą grupą. Może wodzowie Chaosu nie zauważyli wśród nich ludzi? Felix pomyślał, że jeśli tak było, pozostawało tylko kwestią czasu zanim naprawią swoje niedopatrzenie.

Jego przypuszczenia okazały się słuszne niecałe sto kroków dalej od miejsca, w którym o tym pomyślał. Elf wyprowadził ich z wielkiego balkonu, przez który weszli do wielkiej komnaty zawierającej następane dziwne kolumny. Słupy lśniły osobliwym, zielonym światłem. Felix wyczuwał przepływającą przez nie moc. Wzdłuż ich całej wysokości rozświetlały się wielkie runy. Nagle w wyjściu po drugiej stronie komnaty pojawiła się horda zwierzoludzi. Na ich czele stał odziany w czarny pancerz wojownik Chaosu, na którego piersi błyszczał lśniący symbol Oka Chaosu.

Na widok intruzów zwierzoludzie zaczęli wykrzykiwać pogroźki i nawoływania do swoich mrocznych bóstw, po czym rzucili się naprzód. Wojownicy Albionii zderzyli się z nimi pierś w pierś. Po kilku chwilach pomiędzy kolumnami rozpętała się szaleńcza bitwa.

– Trzymajcie się blisko – powiedział Teclis. – Nie możemy pozwolić, żeby coś mnie tu zatrzymało. Czas się kończy.

– Podobnie jak moja cierpliwość – powiedział Gotrek. Gdy to powiedział, powalił stwora o wilczym łbie uzbrojonego w ciężką włócznię, a potem rozszczepił koziogłowego od gardzieli do pachwiny. Felix odbił cios kolejnego olbrzyma o głowie kozła, a potem pchnął mieczem ponad jego włócznię. Stwór wrzasnął odskakując, by uniknąć przebicia. Jego plecy zetknęły się z jedną ze lśniących kolumn. Natychmiast wrzaski stwora nasiliły się i powietrze wypełnił okropny smród palącego się ciała. Gdy stworzenie padło, Felix zauważył że jego ramiona i kręgosłup stały się szerniałym, zwęglonym kawałkiem mięsa. Zabijając stwora miał wrażenie, że uwalnia istotę od straszliwej agonii.

Gotrek i Teclis parli naprzód. Krasnoludzki topór i miecz elfa opadały w równym rytmie. Felix stwierdził, że Teclis przewyższał umiejętnościami nawet mistrzów szermierki wśród ludzi, ale jego zdolności daleko ustępowały krasnoludowi. Za każdego zwierzoczłeka zabitego przez elfa *Zabójca* powalał czterech. A jednak Felix pomyślał, że jak na słabowitego czarodzieja, elf zdecydowanie dobrze sobie radził. Co pewien czas zatrzymywał się, wypowiadał słowo mocy i wykonywał gest dłonią. Z jego łaski wyskakiwała wiązka energii, która dezintegrowała wrogów.

Ich trójka utworzyła klin, za którym wojownicy Albionu wycinali sobie drogę między nieludzkimi przeciwnikami. Krasnolud i elf byli niepowstrzymani, przynajmniej przez siły, które w tamtej chwili stanęły naprzeciwko nich. Albionczycy nie mieli tyle szczęścia. Felix widział, jak szeregi wokół Brana topnieją, powalane przez zdesperowanych zwierzoludzi. Murdo i Culum ruszyli mu na pomoc, przebijając się przez tłum potworów, dzięki czemu ocalili króla wzgórz i oderwali się od napastników. Gotrek i wojownik Chaosu zetknęli się. Przez kilka krótkich chwil gwiazdny metal topora zderzał się z wykutą w piekle czarną stalą, a potem czempion Chaosu poległ i jego oddziały zaczęły uciekać w popłochu.

– Napierać, napierać! – krzyczał Teclis. – Musimy dostać się do serca piramidy, zanim będzie za późno.

W jego głosie był taki przymus, że nawet Gotrek mu się nie sprzeciwił. Piramida zadrżała jeszcze raz. Lśnienie wokół pokrytych runami kolumn stało się oślepiające, a potem gwałtownie przygasło. Blask palii ciało w miejscach, gdzie zetknął się z martwymi lub żywymi. Felix pospieszył słysząc desperację elfa i nie chcąc doczekać swojego końca w tym miejscu.

Im głębiej wnikali w głąb piramidy, z tym większą trudnością Teclis utrzymywał ich w ukryciu

przed zaklęciami widzenia i ostrzegania. Już raz jego koncentracja zawiodła i zobaczył ich szaman orków. Strumienie magii stawały się chaotyczne, częściowo z powodu przyciągania mocy, która skupiała się w centrum, a częściowo z powodu wielkich fal energii uwalnianych przez zielonoskórych szamanów i czarnoksiężników Chaosu. Ci drudzy wydawali się niezbyt silni w porównaniu z pierwszymi, ale w takich okolicznościach wprowadzali kolejne niewiadome do układu.

Każde rzucone zaklęcie było jak ziarenko piasku wrzucone na pustynię. Samo z siebie było niczym, ale najdrobniejszy dodatek ciężaru i nacisku jaki to tworzyło mógł spowodować, że cała wydma osunie się i utworzy nowy kształt. Tak działo się tutaj. Może pewnego dnia, jeśli dożyje, przeniesie swoje teorie na ten temat na papier. W tej chwili miał inne sprawy na głowie.

Aby uniknąć dodawania energii szalejącemu wirowi, czerpał z mocy zawartej w różdżce i z jego osobistego zasobu, co było niezwykle wyczerpujące. Posiadał pewne sproszkowane korzenie i zioła, które mogły mu pomóc, ale wolał ich nie używać jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Ceną jaką trzeba było zapłacić za przyływ energii była utrata koncentracji i ostrości uwagi, a w tej sytuacji potrzebował pełnej jasności umysłu.

Jego oddział był zbyt mały, by ryzykować wplątanie się w kolejną walkę. Czas uciekał. Musiał znaleźć najbezpieczniejszą drogę do serca tego labiryntu i zmierzyć się z przebywającymi tam czarnoksiężnikami. Potrzebował mieczy ludzi i krasnoluda, aby go osłaniali. Wiedział, że będzie musiał zaryzykować rzucenie własnego zaklęcia i zaufać, że jakikolwiek inny obecny mag będzie zbyt zajęty tkaniem magii bojowej, by zauważyć coś tak subtelnego jak to co planował Teclis.

Wskazał pozostałym, by zaczekali, zaniknął oczy i wymruczał zaklęcie Wszechwidzenia. Na początku jak zwykle nie było żadnej zmiany, a potem granice jego postrzegania zaczęły się rozszerzać jak powolnie nadymający się bąbel. Nagle był w stanie wyjść z własnego ciała i widzieć wszystko w obrębie trzystu sześćdziesięciu stopni wokół. Kręciło mu się w głowie, gdy jego umysł usiłował przywyknąć do widzenia, do jakiego nie był przygotowany. Usiłował patrzeć z perspektywy jaka była niedostępna normalnym śmiertelnikom. Gdyby nie dekady ćwiczeń i dyscyplina stuleci, wątpił, by zdołał tego dokonać. O ile wiedział, żaden człowiek nigdy nie osiągnął mentalnej elastyczności niezbędnej do przeprowadzenia tego rytuału bez użycia potężnych narkotyków halucynogennych. Ale nawet gdyby tak było, zaklęcie nie mogło być dla nich zbyt użyteczne. Wydawało się, że tylko elfy potrafiły tego dokonać i to oczywiście Pradawni nauczyli ich tego. Może slannowie także to potrafili, ale kto mógł stwierdzić, do czego była zdolna ta dziwna płazia rasa?

Zdał sobie sprawę, że traci koncentrację, gdy jego umysł usiłował wyrwać się spod presji zaklęcia. Teclis odetchnął głęboko, siłą woli uspokoił swoje łomoczące serce i pozwolił rozszerzać się świadomości.

Stał się obserwatorem wszystkich korytarzy rozbiegających się wokół jego obecnej pozycji. Zobaczył, że większość z nich była pusta, ale przez niektóre biegli zwierzoludzie lub skradały się orki. Wyglądało na to, że pobliska bitwa o piramidę weszła w nową fazę cichego polowania, gdy każda ze stron próbowała zaatakować drugą z zaskoczenia. Jego zmysły rozbiegały się niczym zmarszczki biegnące do brzegów ciemnej sadzawki z miejsca, gdzie wpadł kamyk.

Widział walczące dziko grupy orków i zwierzoludzi. Widział szamanów miotających zaklęcia z kościanych różdżek i czarnoksiężników odpowiadających zaklęciami o subtelnej zawłości charakterystycznej dla wyznawców Tzeentcha. Teclis odczuwał wywoływane przez to rozdarcia materii rzeczywistości jako ból wewnątrz swojej głowy.

Jego wizja pędziła coraz dalej aż ujrzał całą piramidę jako ogromne mrowisko kłębiącej się przemocy i walki, wypełnione hordami potworów, które zamierzały wyrządzić krzywdę pozostałym.

Widział wielkie trolle i potężne smoczogry. Widział dziwaczne, wyhodowane potwory bez kończyn, całe z paszcz i ślepi, które odbijały się po całym polu bitwy unosząc na swoich grzbietach wrzeszczące gobliny. Widział harpie trzepoczące skrzydłami pomiędzy galeriami i opadające na wyjących orków, by szarpać ich oczy ostrymi jak brzytwa pazurami.

Wiele było rzeczy, których nie mógł zobaczyć. Niektóre obszary były chronione dziwnymi runami. Inne blokowały wzrok oszalamiającymi wirami i prądami kosmicznej energii, które oślepiały go, gdy usiłował się na nich skoncentrować. Zmusił umysł do wchłonięcia tego co zdołał i zapamiętania co się dało, a potem skupił uwagę na poszukiwanym celu, dziwnym, potężnym wirze mocy, który ukrywał się głęboko w sercu tej szalonej budowli.

To akurat było łatwe. Jego uwaga była przyciągana do skupiska mocy niczym ćma do płomienia lub tonący pływak pochwycony przez wir. Widział zaklęcia ochronne zostawione, by go strzec. Były potężne i silne, ale brakowało im subtelności i mocy barier slannów. Przy odrobinie szczęścia i dzięki swoim umiejętnościom mogło mu się udać je ominąć. Wysłał swoją świadomość wzdłuż zawitych wzorów unikając mistycznych iluzji i pułapek, usiłując nie uruchomić żadnego alarmu. Wydawało mu się, że jest to potwornie wolna, żmudna praca, ale wiedział, że w rzeczywistości ciągle tkwił zatrzymany w chwili między jednym uderzeniem serca, a drugim. Po drodze widział wojowników, którzy czekali w środku i wielką istotę, która czaiła się w sercu piramidy. Wyczuwał jej pierwotny szal i głód. A potem wreszcie jego umysł znalazł to, czego szukał: centralną komorę, serce szaleństwa, miejsce skąd moc wypływała z innego wymiaru do świata śmiertelników.

Ujrzał potężną strukturę, która w pewien sposób przypominała ołtarz ofiarny zlany krwią oraz urządzenia kontrolne jakiejś skomplikowanej maszyny. Widział stosy ciał, które zostały poświęcone nieznanym bogom. Widział wielkie kolumny po obu stronach sali, w których skupiała się cała ściągana i zebrana moc, a potem zobaczył wielką, zawilą sieć sił, które rozbiegały się z tego miejsca i łączyły z setkami innych. To był jeden z wielkich węzłów Ścieżek Pradawnych, być może największy, nie licząc tej potężnej otchłani, jaka ziała na biegunie północnym.

Widział teraz skąd przybywali ci wszyscy wojownicy Chaosu i zwierzoludzie. Przechodzili przez Ścieżki Pradawnych i wychodzili tutaj. Gdy przyglądał się temu, eksplozja energii oznajmiła przybycie kolejnego oddziału. Patrzył jak natychmiast przyjmują rozkazy od czarowników, którzy kontrolowali to miejsce i pędzili, by przyłączyć się do bitwy.

Tutaj wreszcie znalazł istoty, które postawiły to miejsce otworem dla przybywających – niemal identycznych bliźniaków-albinosów o chytrych spojrzeniach. Jeden odziany był w tkane złoto, a drugi w najgłębszą czerń. Teclis natychmiast wyczuł, że to byli magowie o wielkiej, mrocznej mocy. Coś ich łączyło, więzy krwi i magii, które przypomniały mu więzy między nim a jego bliźniaczym bratem, tyle że silniejsze. Wyczuwał ich złowrogie myśli i uciechę podczas pracy, a potem zrozumiał, że nie byli w pełni władz umysłowych. Nie dbali o to, czy zniszczą wyspę, lub cały ten świat. Może nawet cieszyliby się z tego. W żaden sposób nie można było ich przekonać, by przestali, a *zatem* ta nikła szansa przepadła. Teclis miał tylko nadzieję, że posiadał wystarczające siły, by wykonać swoje zadanie.

Potem zauważył, że jeden z nich rzucał zaklęcia podobne do jego własnego, które miało pomóc czarnoksiężnikowi w kierowaniu oddziałów Chaosu przeciwko orkom. Drugi doglądał maszyny pośrodku komory, najwyraźniej nieświadomy lub ignorując fakt, że obudził siły, nad którymi nie zdoła zapanować.

Teclis rozproszył swoje zaklęcie i jego świadomość natychmiast powróciła do ciała. Potrząsnął głową i sprawdził stan zaklęć ukrycia, jakie nałożył na drużynę. Teraz były potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Jeśli któryś z tych magów wykryje ich zanim dotrą do wewnętrznego sanktuarium,

będzie mógł rzucić przeciwko nim dość wojowników Chaosu i zwierzoludzi, by zdołali ich pokonać. Teclis uznał, że jego zaklęcia są mocne i skuteczne. W tej chwili najbardziej obawiał się, że obecność drużyny zdradzi czarownikom jeden z ich sług. Obroną przeciwko takiej możliwości mógł być tylko pośpiech.

Rozdział 27

Zarkhul wdzierał się do środka piramidy. Doprowadził swoich ochroniarzy, do samego serca największego zikkuratu. Był blisko celu. Wkrótce on i jego wojownicy zabiją intruzów, którzy splugawili świątynię. Oczyszczą to miejsce krwią. Wywołał ducha mocy jego ludzi i bogów, po czym nałożył błogosławieństwo na wojowników. Nadchodził czas rozliczenia.

Kelmain wyczuł poruszenie w barierach ochronnych. Pomyślał, że już wcześniej poczuł coś podobnego, ale wtedy nie był tego pewien. Nurt mocy był tu tak gwałtowny, że trudno było to stwierdzić. Tym razem było inaczej. Rozpoznał ślad magii zielonoskórych i to blisko. Była bardzo blisko i niezwykle silna. Wydawało się, że orkom udało się jakoś dotrzeć do serca miasta. Intruzów było zbyt wielu, by ich powstrzymać, przynajmniej dopóki nie zostaną wezwane posiłki. Potrzebowali czasu, by uspokoić wzburzone energie ścieżek i ponownie odzyskać nad nimi kontrolę, a potem znowu będą mogli wezwać pomoc. Potrzebował wszystkich pozostałych wojowników na miejscu, aby strzegli Komnaty Tajemnic zanim tak się stanie. Rzucił zaklęcie przyzwania, które miało sprowadzić do niego Magriga.

Felix z trudem łapał *oddech*. Elf szybkim krokiem prowadził ich przez labirynt. Felix nie był pewien jak elf odnajdywał drogę, ale najwyraźniej to działało. Schodząc w głąb komnaty udawało im się unikać następnych band maruderów zwierzoludzi lub orków. Nic nie zakłócało ich marszu. Sądząc po ucisku w głębi głowy Felix domyślał się, że zbliżali się coraz bardziej do celu. Działała tam potężna, zła magia.

W górze dostrzegął dziwne, pulsujące lśnienie. Zaświeciło jaśniej, a potem zbladło stając się prawie niewidoczne. Jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej poczuł się jak robak pełzający po kątach domostwa jakiegoś wielkiego stwora. Skala korytarzy była przytłaczająca. Były wystarczająco wielkie, by mógł wśród nich poruszać się nawet tamten zabity olbrzym. Zastanawiał się, co tędy przenoszono? Dlaczego te drogi musiały być tak duże? Czy Pradawni sprowadzali tędy swoje statki? A może sami byli olbrzymami? Tak wiele pytań i tak mało odpowiedzi.

Nagle, w pobliżu usłyszał szalony, wściekły ryk, tak głośny, że niemal rozrywał uszy i tak przerażający, że Felix zamarł na miejscu. Tylko stworzenie znacznie większe od człowieka mogłoby wydawać z siebie taki hałas. Tylko gigant. Co więcej, słyszał, że wycie zbliżało się, a wraz z nim odgłosy bitwy.

Felix wymienił spojrzenia z Gotrekiem i Teclisem. Oni także wiedzieli co się zbliżało. Elf wyglądał na spokojnego. Gotrek był rozjuszony. Jego broda zjeżyła się, a krasnolud przesunął kciukiem wzdłuż ostrza topora, aż pojawiła się kropla krwi. Albionczycy przygotowywali się do walki. Tak przerażająca istota mogła okazać się ostatecznym ciosem dla ich zszarpanych nerwów. Wyglądali tak, jakby w każdej chwili gotowi byli rozproszyć się i uciec.

To co wydarzyło się później, nastąpiło zbyt szybko, by umysł zdołał za tym nadążyć. W przejściu na dole pojawił się wielki cień, który zasłonił swoją sylwetką światła na suficie. Zewsząd dobiegł ggiełk krzyków i zawołań bojowych. Te hałasy wydawały się cichym popiskiwaniami bagiennych ptaszek w porównaniu z rykiem wielkiego potwora.

Stawiając wielkie kroki gigant znalazł się przy nich zanim zdążyli zareagować. Felix zdążył tylko rzucić okiem na stwora. Niegdyś wyglądał jak człowiek, ale to było dawno temu. Teraz został szkaradnie wypaczony. Miał niemal krasnoludzkie proporcje. Jego ramiona były ogromne. Nogi przypominały pnie potężnych drzew. Łatwo było dokonać takiego porównania, ponieważ w jednej ręce trzymał maczugę, która była po prostu odartym z gałęzi konarem drzewa. Ale to twarz potwora Felix miał przypominać sobie w koszmarach sennych.

Być może kiedyś stwór miał szlachetną twarz w ludzkich proporcjach, chociaż z olbrzymią szczęką. Teraz te rysy rozlały się jak stopiony wosk, tak że sflaczałe policzki zwisały prawie do piersi stwora. Zdrowe oko wypełniał bezmyślny szal i ból. Ślina wyciekała spomiędzy zębów o rozmiarach kamieni nagrobnych. Smród był przeraźliwy. Cuchnęło jak legion żebraków, którzy spędzili cały dzień czołgając się w rynsztoku najohydniejszych nieczystości. Felix zaczął się dławić.

Kreaturę otaczały orki i wojownicy Chaosu walczący ze sobą. Olbrzym nie dbał o to. Rąbał pałką zamieniając ich w galaretowate plamy. Siła jego uderzeń była przerażająca. Jeden cios mógłby rozbić okręt na szczapy. Potwór idąc następował na otaczające go małe stworzenia, zupełnie jak człowiek miażdżący pod butem robactwo.

Spojrzał na nich jednym rzutem oka, niedbale rozbił na miazgę tuzin Albiończyków i ruszył dalej w głąb piramidy zostawiając ich uwięzionych wśród szalonej walki.

– Szybko – rzucił Teclis. – Musimy biec za nim.

– Żartujesz – powiedział Felix blokując cios potężnego orka, na sekundę zanim topór Gotreka rozrąbał go na pół.

Elf potrząsnął głową.

– On idzie na dół, do samego węzła mocy. Coś go tam przyciąga, albo przywołuje.

– Przywołuje? – spytał Felix. – Co mogłoby go przywoływać?

– Nie wiem – odparł Teclis. – Ale jestem pewien, że dowiemy się tego.

Elf jeszcze mówił, gdy krasnolud przemknął obok niego tnąc szaleńczo wokół, desperacko usiłując nadażyć za potworem godnym jego zagłady.

Felix ruszył za nim. Nie mógł zrobić nic innego.

* * *

I tak dotarli do serca świątyni, do tajemnych komnat, gdzie niegdyś za pomocą mrocznej magii Chaosu zostały uruchomione starożytne maszyny Pradawnych. Weszli do wielkiej sali, skąd wychodziły dziesiątki portali. Przez dwa z nich wybiegali wojownicy Chaosu, zwierzoludzie, minotaury, harpie, demoniczne ogary w żelaznych obrożach – wszystkie koszarne stwory, których Felix nie chciał już nigdy oglądać. Wokół nich walały się stosy martwych ciał, zarówno zielonoskórych, jak i zwierzoludzi.

Na szczycie wielkiego ołtarza stali Kelmain i Lhoigor. Jeden z nich manipulował energiami przesuwając dłońmi nad urządzeniami kontrolnymi pradawnych machin. Drugi tkwił bez ruchu. Nad nimi wznosił się olbrzym słuchając uwodzicielskiego głosu zła. Felix natychmiast zrozumiał w jaki sposób stwór został wezwany. Hordy zielonoskórych wlewały się do sali przez kilka innych wejść. Było ich tak wielu, że mogli pokonać nawet tych, którzy tymczasowo panowali nad komnatą. Felix nie miał pojęcia, jak się tu dostali, ale według ludzi z Albionu zielonoskórzy od stuleci uznawali to miejsce za swój dom, zanim nie zostali wypędzeni, a zatem być może znali jakieś sekretne przejście. To nie miało zresztą znaczenia. Wyglądało na to, że Felix i jego towarzysze znajdą się między młotem Chaosu, a kowadłem armii orków. W tej komnacie były tysiące wrogów i dwóch najstraszliwszych czarnoksiężników, jakich kiedykolwiek widział, razem z magicznie zmuszonym do posłuchu gigantem. Felix ofiarował ostatnią modlitwę do Sigmara. Wiedział, że tego nie przeżyje.

Gdy ta myśl przemknęła mu przez głowę, ściany zadrżały. Pokrywające je runy zaślniły. Twarz Lhoigora wykrzywiła się, jakby czarnoksiężnik usiłował zapanować nad magicznym uderzeniem zwrotnym. Nawet dla nie wyćwiczonego oka Felixa było oczywiste, że mag nie był w stanie tego dokonać.

Nagle zrozumiał co się działo i dlaczego było tak niewielu wojowników Chaosu. Magowie uwolnili moce, nad którymi nie potrafili zapanować. W głębi otwartych portali Felix widział

kłębiące się morze energii. Powoli wynurzała się z portali, niepowstrzymanie i nieubłaganie jak lawa. Felix rozumiał, że nie pojawi się więcej posiłków z Pustkowi Chaosu. Najprawdopodobniej zostali pochłonięci przez surową substancję Chaosu, która przepływała ścieżkami. Nie potrafił znaleźć w sobie współczucia dla tych stworów.

Inna myśl pojawiła się w jego umyśle. Orki mogły tu wygrać, a ich zwycięstwo będzie równie złe, jak Chaosu. Jeśli bowiem pradawne maszyny nie zostaną wyłączone, uwolnione siły rozerwą Ulthuan, Albion i wreszcie, być może, cały świat.

– Co zrobimy? – spytał Felix.

– Osłaniajcie mnie – powiedział Teclis. – Muszę dostać się do tego ołtarza.

– Typowe dla elfa – rzucił Gotrek niemal rozbawionym głosem. – Świat się kończy, a on dba tylko o własne bezpieczeństwo.

A jednak, gdy elf ruszył, Zabójca poszedł za nim, a Felix dołączył do niego.

Przebijali się przez komnatę. Ludzcy wojownicy tworzyli ciasny węzeł zaciśnięty wokół elfa. Nie mieli pojęcia, co zamierza zrobić, ale wydawali się zdeterminowani, by bronić go w każdym przypadku. Wszędzie wokół nich orki walczyły ze zwierzolutźmi i wojownikami Chaosu.

Felix rozumiał, że to działało na ich korzyść. Tylko z rzadka wrogowie przeprowadzali spójne natarcia w ich stronę. W takich chwilach walka stawała się gorąca i śmiertelna, a mężczyźni i kobiety ginęli. Felix uniknął ciosu miecza wojownika Chaosu i wykonał kontruderzenie pchając w zimny, czarny pancerz z metalu. Miecz omal nie wypadł mu z palców zdrętwiałych od wstrząsu. Pradawne magiczne ostrze przebiło się przez magiczny naramiennik i utkwilo w ramieniu wojownika Chaosu. Kolejny cios trafił go w kryżę i zanurzył się głęboko w gardle.

Przed nim Gotrek i Teclis walczyli jak demony, ścinając wszystko, co stało im na drodze. Człowiek lub potwór, bestia lub ork, nic nie mogło ich zatrzymać. Zniszczenie jakie zadawali było straszliwe. Byli już prawie w połowie drogi do celu, gdy wydarzyło się coś bardzo złego.

Teclis wiedział, że jest tylko kwestią czasu zanim zauważą go czarnoksiężnicy Chaosu. Zaklęcia chroniły go przed wykryciem przez magię, gdy przemieszczali się w głąb piramidy, ale teraz byli widoczni dla magicznych zmysłów. Jeden z bliźniaków był zajęty usiłując zapanować nad potężnym nurtem mocy przepływającym przez główny ołtarz. Drugi najwyraźniej używał mu sił jednocześnie kierując siłami Chaosu. Teclis wyczuwał zaklęcia przywołania biegnące do każdego z zakątków piramidy. Nie musiał rozumieć tego języka, by wiedzieć, że ponaglał walczących, by najkrótszą drogą wracali do komnaty.

Gdy zaklęcie zostało rzucone, odziany w czerń albinos otworzył oczy i rozejrzał się. Ich spojrzenia spotkały się. Teclis poczuł iskrę zrozumienia, jaka przemknęła między nimi. Obaj natychmiast wiedzieli kim jest drugi – mistrzem magii. Mag Chaosu uśmiechnął się nikiemnie i wykrzyknął coś w pradawnym, ledwo rozpoznawalnym języku. Teclis uchylił się przed cięciem szabli orka, rozpaczliwie usiłując usłyszeć przez zgiełk bitwy, co wykrzykuje jego przeciwnik. Był pewien, że to nie było zaklęcie. Następne co wykrzyczał mag już nim jednak było – chwilę później potężna wiązka mocy uderzyła w elfa i Zabójcę. Teclis desperacko przygotował kontrzaklęcie. W tej chwili na elfa padł monstrualny cień.

Felix spojrzał w górę. Jego wzrok przesunął się wzdłuż olbrzymich kolumn nóg, zniekształconego ciała i spoczął ponownie na tej ohydnej, gigantycznej twarzy. Wszyscy wokół stanęli jak sparaliżowani. Nie winił ich za to. Przejmujący szal ryku giganta wystarczyłby, by większość ludzi straciła resztki odwagi. Na chwilę zapadła cisza. Nikt się nie poruszył.

Felix nie był pewien, czy tak działo się rzeczywiście, czy było to tylko złudzenie. W przeszłości w momentach przełomowych często wszystko wydawało się zastygać w bezruchu albo poruszać w

niezwykle powolnym tempie. Być może to była jedna z takich chwil.

Moment później był już tego pewien. Wielki potwór uniósł maczugę i opuścił ją zamaszystym łukiem zamierzając rozbić elfa na krwawą miazgę. Myśli Felixa bieły jak szalone, gdy usiłował wymyślić, co powinien teraz zrobić. Nic nie przychodziło mu do głowy. Nie mógł zablokować tego ciosu. Zaczął brnąć naprzód myśląc, że może uda mu się odepchnąć elfa na bok, a potem zauważył z bolesną powolnością, że Zabójca najwyraźniej zamierzał zrobić dokładnie to samo.

Jedna z wielkich jak półcie szynki dłoni Gotreka wyrzuciła elfa spod opadającej palki, a potem sam Zabójca przetoczył się na bok. Siła uderzenia Zabójcy była tak wielka, że elfa ścięto z nóg i przetoczyło po podłodze. Felix podejrzewał, że zapewne krasnolud zrobił to z przyjemnością. Chwilę później rozległ się z siłą grzmotu trzask, gdy maczuga walnęła w kamienie podłogi. Uderzenie wyrzuciło dookoła odłamki gruzu. Jeden z nich trafił Felixa w twarz rozcinając krwawą linię wzdłuż policzka.

Niezrażony olbrzymimi rozmiarami przeciwnika Gotrek skoczył naprzód. Jego topór rąbnął w kostkę olbrzyma. Krew wypłynęła z wielkiego rozcięcia. Rozległ się szaleńczy śmiech krasnoluda, gdy ciał raz jeszcze. Runy na toporze zaśniły jeszcze jaśniej, gdy ostrze wbiło się w skażone Chaosem ciało. Felix zastanawiał się, czy było możliwe, by krasnolud zdołał powalić nawet tak olbrzymią bestię?

Zauważył, że stojąc za gigantem mag Chaosu rzucił kolejne zaklęcie. Felix wiedział, że nie było to nic dobrego. Rozejrzał się, aby sprawdzić czy Teclis widzi co robi czarnoksiężnik, ale elf nadal próbował podnieść się na nogi. Sekundę później sfera lśniącej czerwieni oderwała się od dłoni czarnoksiężnika i obracając się pomknęła w stronę Zabójcy zostawiając za sobą lśniący, czerwony jak krew warkocz.

Gotrek nie wahał się. Jego topór śmignął w górę, by uderzyć w pocisk i to wystarczyło. W chwili gdy sfera dotknęła topora, zniknęła w wielkim błysku światła. Sekundę później Zabójca przetoczył się do tyłu niezgrabnym ruchem, wyraźnie oślepiiony. Mag Chaosu krzyknął coś ponownie w jakimś niezrozumiałym języku.

Olbrzym wydał z siebie idiotyczny chichot, zgiął się w pól i chwycił Gotreka jedną ogromną dłonią. Felix przez chwilę był pewien, że pięść zaciśnie się i zgniecie krasnoluda na krwawą pulpę, ale był zbyt daleko, by w jakikolwiek sposób pomóc Zabójcy.

Teclis poderwał się na nogi. Zebra bolały go od ciosu Zabójcy, który odepchnął sprzed giganta. Nie wiedział, czy powinien być za to wdzięczny, czy wściekły. Wydawało mu się, że ma złamane kilka żeber. Nie tylko to – uszczerbku zaznała jego duma. Nie mógł uwierzyć, że komukolwiek udało się uderzyć go zniemacka, a jednak Zabójca tego dokonał. To wiele mówiło o zdolnościach krasnoluda. Myśli przebiegały przez jego głowę, gdy odsuwał się od walczącego krasnoluda i olbrzyma. Był pewien, że tym razem nawet Gotrek Gurnisson porwał się na coś, czemu nie podoła. Niestety, Teclis nie mógł mu pomóc. Miał inny, jeszcze większy problem – jak pokonać czarnoksiężników Chaosu i zamknąć Ścieżki Pradawnych zanim fala Chaosu opanuje tę świątynię i zaburzy cały geomistyczny wzór dzieła Pradawnych, zatapiając Ulthuan i pustosząc ziemie ludzi?

W tej chwili ryczący olbrzym zasłonił ich swoim cielskiem. Teclis skoczył w prawo powalając zwierzoczkę, który zbliżył się zanadto i odbił cios włóczni goblina, który chciał go przebić. Murdo był za jego plecami i wymachiwał włócznią. Elf nie miał czasu mu podziękować.

– Musisz ich zatrzymać! – krzyknął stary człowiek.

Teclis nie odpowiedział na to zbyteczne ponaglenie. Był zbyt zajęty koncentrowaniem się nad tym, jak tego dokonać. Widząc, że został zignorowany, starzec wymruczał modlitwę. Runy wzdłuż jego włóczni zapłonęły, po czym rzucił nią prosto w odzianego na czarno maga. Włócznia pomknęła z

niesamowitą prędkością, jak piorun, tak szybko, że nawet wzrok Teclisa ledwo za nią nadążył. Był zdumiony, gdy zaklęcia ochronne maga odbiły ją tylko częściowo i pocisk rozciął jego bok jak cięcie miecza. Jeszcze bardziej zdumiewające było, gdy włócznia zakręciła w locie i zaczęła wracać do ręki starca. Najwyraźniej magia człowieka nadal była w stanie go zaskoczyć.

Czarnoksiężnik Chaosu nie był zbyt zachwycony. Wykonał gest i wokół jego dłoni zamigotała wielobarwna sfera światła. Poruszył dłonią ponownie i pojawił się gejzer surowej substancji Chaosu, który pomknął prosto w stronę Murdo. Prawdomówca uskoczył na bok. Substancja trafiła dwóch ludzi za nim, którzy rozpadli się jakby oblani straszliwie silnym kwasem.

Ryk bólu gdzieś z lewej strony i za nimi powiedział Teclisowi, że mimo wszystko Gotrek Gurnisson najwyraźniej nadal był żywy i zajmował uwagę olbrzyma. Wiedząc, że krasnolud nie wytrzyma zbyt długo Teclis postanowił wykonać swój ruch, dopóki potwór był zajęty.

Zbierając wszystkie sity przygotowywał się do działania.

W jakiś sposób, napinając mięśnie, Gotrekowi udało się wytrzymać tę straszliwą siłę. Jego ramię trzymające topór wystawało poza pięść olbrzyma i nadal rąbało dobywając krwi za każdym ciosem. Olbrzym podniósł go na wysokość ust. Felix patrzył przerażony, wiedząc co miało zaraz nastąpić. Gęba stwora była tak wielka, że mogła połknąć Zabójcę za jednym razem.

W ostatniej sekundzie, tuż zanim szamoczące się ciało zostało wepchnięte do ust stwora, Gotrek potrząsnął głową i jakby po raz pierwszy zobaczył co się dzieje. Jego sytuacja była koszmarna. Nawet gdyby się uwolnił, mógł tylko spaść i zabić się rozbijając na twardych kamieniach poniżej. Jakby zdając sobie z tego sprawę krasnolud ryknął wyzywająco i ciął toporem przez palce olbrzyma. Gigant zwolnił chwyt i Gotrek skoczył naprzód odpychając się stopami od wnętrza dłoni olbrzyma, po czym wbił ostrze prosto w środek wielkiego czoła. Magrig wydał z siebie ryk bólu, który niemal rozsadził uszy Felixa.

Wisząc na toporze jak wspinacz używający czekana, by wczepić się w skałę, Gotrek wyciągnął rękę i wsadził ją w wielkie jak talerz oko olbrzyma. Felix skrzywił się, gdy krasnolud sięgnął pod powiekę i wyrwał pozostałą gałkę oczną z oczodołu. Olbrzym skręcił się spazmatycznie i spróbował zrzucić krasnoluda. Gotrek wyszarpnął topór i zaczął spadać, nadal ściskając galaretowatą kulę, która kiedyś była okiem. Felix był pewien, że Gotrek zabije się upadając, ale z zaskoczeniem zobaczył jak w ślad za okiem rozwija się kabel żylastej substancji. Zrozumiał, że Zabójca zawisł na pozostałościach nerwu wzrokowego olbrzyma. Olbrzym rąbnął ze straszliwą siłą we własne czoło. Upuścił maczugę i ryczał rozjuszony przerażającym bólem. Zatrzymał się i potrząsnął głową, jakby dzięki temu mógł pozbyć się bólu. Oczywiście, w ten sposób tylko go nasilił.

Gotrek huśtał się w jedną i drugą stronę jak wahadło zegara, opuszczając się niżej, gdy olbrzym zgiał się w pół. Krew i płyny mózgowie zaczęły wylewać się przez wielką ranę na czole olbrzyma. W najniższym punkcie swojej orbity Gotrek wyciągnął rękę i przeciął nerw toporem, po czym spadł z wysokości kilkudziesięciu ostatnich stóp jakie dzieliły go od ziemi. Lądując odbił się i wstał. Wyglądał przerażająco cały pokryty posoką. Krew ciekła z kąta ust, ale nadal nie spowolniał ani trochę. Jeszcze raz rąbnął toporem, trafiając olbrzyma pod kostką i rozcinając ścięgno grube jak lina okrętowa. Olbrzym zachwiał się nie mogąc zapanować nad jedną ze swoich nóg. Powoli zaczął się przewracać, jak wielkie drzewo ścięte w lesie. Felix już biegł uciekając jak najdalej od walącego się potwora. Wiele orków i goblinów nie miało tyle szczęścia. Padli zmiażdżeni jego wielką masą, aby już nigdy się nie podnieść.

A jednak, olbrzym nie był jeszcze martwy. Z całą swoją przeraźliwą żywotnością przetaczał się i młócił wszystko wokół. Może nadal słyszał poruszenia istot wokół, a może po prostu walił na ślepo. Felix wolał nie czekać, by przekonać się o tym z bliska. Szybko wycofywał się. Gotrek jednak nie

ruszył się z miejsca. Biegając z oszałamiającą, biorąc pod uwagę jego rany, prędkością, zbliżał się coraz bardziej do ramienia młócacego olbrzyma.

Felix zatrzymał się, aby zobaczyć co stanie się dalej. Zabójca uderzył dwa razy. Jeden cios rozciął tchawicę olbrzyma, drugi przeciął jego tętnicę szyjną. Bluzgnął strumień czerwieni wznosząc się jak gejzer. W tej samej chwili rozległo się okropne charkotanie, gdy olbrzym usiłował napęlić płuca powietrzem, które ze świstem uciekało przez otwór wyrąbany przez Zabójcę. Felix zastanawiał się, czy był to akt okrucieństwa, czy Zabójca po prostu nie włożył w swój ostatni cios wystarczającej siły. Przypuszczał, że nigdy nie dowie się tego.

W chwili gdy Zabójca odbiegał, olbrzym uderzył rozpaczliwie pragnąc zemścić się na swoim dręczycielu. Jedno z masywnych ramion z oszałamiającą siłą uderzyło Zabójcę i przerzuciło go przez komnatę, jakby został wystrzelony z katapuły. Gdy Felix po raz ostatni widział jego ciało, krasnolud spadał na horde krzyczących goblinów, które wydały ohydny wrzask triumfu i ruszyły rozedrzeć swoją ofiarę na strzępy.

Rozdział 28

Teclis przywołał zakłęcie lewitacji i uniósł się w powietrze, postanawiając oderwać się od walki. Jednocześnie przywołał liczne nakładające się na siebie tarcze magiczne, które wzmocniły bariery ochronne stworzone przez jego zaklęcia i amulety. Otoczyła go jasna złota sfera. Zgiełk bitwy przycichł, gdy stłumiła go zasłona zaklęć. Mimo to wrzask bólu olbrzyma był ogłuszający, podobnie jak grzmot walącego się ciała. Teclis zastanawiał się, co się tam działo, nie chcąc odrywać wzroku od magów Chaosu. Z pewnością Zabójca nie zdołałby zabić olbrzyma. To był czyn, w który nie sposób było uwierzyć.

Naturalnie złota, lśniąca postać unosząca się w sali nad walczącymi przyciągnęła uwagę innych wrogów. W pewnym sensie stał się bardzo dobrym celem. W jego stronę poleciały włócznie i kamienie, które odbiły się od magicznych zasłon.

Uśmiech wykrzywił twarz odzianego na czarno maga Chaosu. Teclis zauważył, że rana w jego boku już się zasklepiła mocą potężnej magii regeneracyjnej. Spodziewał się czegoś podobnego. Ta para miała do dyspozycji wszelkiego rodzaju środki ochrony. Nadszedł czas, aby je wypróbować.

Teclis wykonał gest i przywołał imię Lileath. Moc zagrała w jego żyłach, gdy wykuł zakłęcie o niesamowitej sile. Sfery niszczycielskiej energii zatańczyły na końcach palców i poderwały się w powietrze zostawiając za sobą jasne smugi, po czym skierował je w stronę przeciwnika. Mag Chaosu obronnym gestem uniósł laskę i w powietrzu między nimi zamigotała bariera czystej energii. Złote sfery uderzyły w nią i eksplodowały wysyłając fale uderzeniowe od punktu trafienia. Siła impetu powaliła ludzi, mutantów i orki na kolana. Zewnętrzna osłona zapór maga zapłonęła jasno, neutralizując wstrząs.

Jego przeciwnik był zarówno szybki jak uzdolniony, to było jasne, ale prędkością nie dorównywał elfowi. Gdy wróg jeszcze kształtował zakłęcie ofensywne, Teclis przypuścił kolejny atak. Wydobyły się z niego kolejne fale destrukcyjnej energii tworząc strumień mocy, który mógłby spopielić na żużel mury zamku.

Czarna magia objawiła się wokół maga Chaosu, gdy jego talizmany i osłony starały się go ochronić. Świeciły coraz jaśniej pochłaniając stale narastającą ilość energii, którą wysyłał elfi mag. Co więcej, dzięki temu Kelmain zyskał dość czasu, by przerwać zakłęcie i zaczął przywoływać własne bariery ochronne. Teclis zacisnął zęby i wysyłał z siebie jeszcze większe ilości energii, przekonany, że w końcu zwycięży.

W tym momencie wyczuł pędzący ku niemu od strony ołtarza pocisk kolosalnej energii. Mógł tylko modlić się, by jego zasłony wytrzymały. Najwyraźniej drugi mag Chaosu postanowił porzucić kontrolowanie portali i włączył się do walki.

Wewnątrz centralnej komnaty Felix widział tylko chaos i zniszczenie. Wszędzie tańczyły wielkie, groteskowe cienie, gdy magowie nad nim walczyli niczym rozgniewani bogowie. Ociekający posoką olbrzym, oślepiiony, z podciętym gardłem i ścięgniami stopy, uniósł dłonie i usiłował zatamować krwotok ze swojej szyi. Wokół niego gobliny, orki i zwierzoludzie przepelnieni żądzą krwi biegali, krzyczeli i cięli go jak demony dręczące upadłego boga w jakimś piekle. Nie mogąc znieść cierpień olbrzym bił pięściami miażdżąc kilku przeciwników i odpędzając z krzykiem pozostałych. Rozwalił się w rosnącej kałuży własnej krwi. Kilku zwierzoludzi, zbyt pochłoniętych szałem bojowym, by uciekać, zostało zmiażdżonych pod jego ciosami.

Felix na chwilę stracił z oczu Zabójcę, gdy usiłował uniknąć losu potworów. Z mroku wyszło kilku Albionczyków i resztki dziewiczej straży prowadzone przez Siobhain. Murdo także był z nimi. Jego włócznie otaczał dziwny blask, a czarna, wyglądająca na jadowitą mgła parowała z ostrza,

które unurzało się w żrącej krwi jakiejś odrażającej istoty.

– Na światłość, moje serce cieszy się na twój widok, Felixie Jaegerze! – zawołał stary człowiek.
– Oddamy tu swoje życie godnie jak dawni bohaterowie. Musimy zabić tych nikczemnych czarowników, albo zginąć próbując.

Pozostali potrząsnęli bronią i ustawili się w szyku wokół nich. Felix był mniej zainteresowany ostatnimi heroicznymi szturmami, wołając znaleźć Gotreka. Wiedział, że ze śmiercią Zabójcy jego szanse na ucieczkę z tej piekielnej dziury były dokładnie zerowe. I nie był wcale pewien, czy ta ostatnia próba zabicia czarowników cokolwiek zmieni. Gdy czarnoksiężnicy zostaną pokonani, uwolnione w tym miejscu siły mogą wyrwać się spod kontroli. A jednak przypuszczał, że tym miał zająć się Teclis.

– Musimy znaleźć Zabójcę! – krzyknął. Widząc spojrzenia ludzi Albionu dodał: – Jego topór potrafi zabić tych zaklinaczy.

W tej chwili, kątem oka dostrzegł goblina. Tłoczyły się wokół czegoś. Felix natarł nie czekając na pozostałych. Po kilkunastu krokach przewrócił pierwszego z małych zielonoskórych i przebił drugiego mieczem. Dwa szybkie cięcia pozbawiły głów kolejną parę. Zauważając nowego napastnika stworzy zwróciły się przeciwko niemu. Impet pchnął Felixa naprzód na następnego goblina. Kopnął go butem i goblin wyleciał w powietrze jak skopany kot. Felix pchnął następnego w pierś. Trzymając miecz w obu rękach rąbał goblina przed sobą jak drwał, aż wreszcie dotarł do Gotreka.

Zabójca wyglądał na umierającego. Krwawił z tuzina małych ran, wspierał się na trzonku topora, a w zaciśniętej pięści trzymał ciało goblina, zwisające jak królik ze skręconym karkiem. Inne leżały zdeptane u jego stóp.

Gotrek spojrział na Felixa oszołomionym wzrokiem, co nie było zaskakujące biorąc pod uwagę jak bardzo był pobity.

– Ty – powiedział. – A więc przybyłeś zapisać moją zagładę?

– Też mi zagłada – odparł Felix usiłując wyrwać Zabójcę z transu. – Pokonany przez horde snotlingów.

– To nie są snotlingi, człeczyno. Są zbyt duże.

Murdo pojawił się obok niego.

– Znasz magię leczniczą – zrób coś! – krzyknął Felix.

Murdo skinął głową i wskazał na pozostałych. Utworzyli krąg wokół niego i Zabójcy. Stary człowiek zaczął śpiewać. Felix miał nadzieję, że zaklęcie zadziała, ponieważ wyglądało na to, że rozpaczliwie potrzebowali topora Zabójcy.

Powyżej, złota postać Teclisa płonęła światłem. Z obu stron atakowany był przez dwóch czarnoksiężników Chaosu i zdawało się, że jego osłony zaczynają ustępować. Powietrze wypełnił siarkowy smród spaczenia, gdy surowa substancja Chaosu zaczęła wydostawać się z jednej z bram. Świątynia zatrzęsała się jak uderzona olbrzymim młotem. Ziemia zdrząła pod stopami. Felix nie musiał być czarodziejem, by zrozumieć, że koniec był już bardzo blisko.

Teclis przeklął swoją zbytnią pewność siebie, gdy jego ciałem wstrząsnął ból. W ułamku sekundy przeszedł od ataku do rozpaczliwej obrony. Przekonany, że zdoła pokonać Czarnolaskiego, gdy bliźniak maga Chaosu będzie zajęty usiłowaniem zachowania kontroli nad uwolnioną energią, nie spodziewał się, że ten drugi przerwie wysiłki, aby przyjść na pomoc swojemu bratu. Czyniąc to sprawił, że sytuacja stała się dwukrotnie bardziej rozpaczliwa, jeśli bowiem wkrótce coś nie powstrzyma prędko rozwijającego się splotu sił wokół nich, kataklizm pochłonie wszystkich. Niestety, w tej chwili Teclis mógł tylko podpierać swoje zapory i wytrzymać, mając płonną nadzieję, że wydarzy się jakiś cud, który da im przewagę nad wrogami zanim on zginie.

Zmusił usta do uśmiechu, w którym było tyle bólu co wesołości. Cokolwiek się stanie, zginie walcząc. Jeśli ma nadejść najgorsze, uwolni całą energię swojego hełmu i laski w ostatecznym, katastrofalnym wybuchu. Ginąc zabierze ze sobą tę parę. Ale kto wówczas ocali Ulthuan? Ta myśl dręczyła go na dnie umysłu, ale nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Dosyć, starcze, dosyć! – odezwał się znany, burkliwy głos. – Jeszcze trochę twoich zaklęć, a pęknie mi głowa.

Felix odwrócił się i stwierdził, że Zabójca wygląda już lepiej. Nie całkiem dobrze, ale był w stanie myśleć i poruszać się. Jego zakrwawiona postać była przerażającym widokiem, ale krasnolud mocno zacisnął dłoń na toporze i stawiał pewne kroki. Dookoła rozlegały się hałasy bitwy, gdy ostatni z Albiończyków bronili się przed nadchodzącymi hordami. Ręka Felixa była omdlała od rąbania orków i zwierzoludzi.

– Trzeba zabić czarnoksiężników – powiedział Felix.

– Czy jeden z nich jest elfem? – spytał Gotrek.

– Nie.

– Szkoda, ale sądzę, że te wielbiące Chaos świny powinny wystarczyć.

Zabójca przedarł się przez szereg ludzi i jak pływak rzucający się z wysokiego urwiska w głęboką wodę, zanurzył się jeszcze raz w morzu bitwy. Felix był tuż za nim.

Lhoigor zaśmiał się przywołując coraz więcej energii, którą miotał w elfa. Był zdumiony, że mag nadal wytrzymał. On i jego bliźniaczy brat rzucili w niego więcej mocy niż wystarczyło do zabicia demona, albo zrównania z ziemią niewielkiej góry. To było niezwykle, ale ich przeciwnik nadal żył, chociaż teraz Lhoigor widział, że wróg zaczął słabnąć. Za kilka następnych chwil będzie po wszystkim. I w samą porę, zważywszy na to, jak niewiele brakowało do eksplozji węzła mocy. Gdyby do tego doszło, ta świątynia, cała wyspa i spora część kontynentu zniknęłyby wraz z nim.

Lhoigor uśmiechnął się. Czy to byłoby tak źle? – zadawał sobie pytanie. Istotnie, nie będą już mogli przemieszczać armii Chaosu przez ścieżki. Z drugiej strony ziemie ludzi i elfów doznają takich zniszczeń, jakich nie odczuły od tysiącleci. Miasta ludzi upadną. Ocalali cofną się do stanu barbarzyństwa i staną się łatwym łupem. Hordy Chaosu wybiją ich. Ci, którzy przeżyją, będą korzyli się przed posągami swoich nowych bogów zanim ofiarują swoje łkające dusze na poczeriałych ołtarzach.

Oczywiście, istniała drobna kwestia polegająca na tym, że on i Kelmain także mogą zginąć, ale nawet tego można było uniknąć. Nadal istniała możliwość ucieczki przez kilka otwartych dróg Pradawnych. Mogli zabić elfa i wycofać się, zostawiając swoje sługi i ich napastników własnemu losowi. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej przekonywał się do tego pomysłu.

W tym momencie dostrzegł znajomą postać krasnoluda, który zbliżał się do niego brnąc przez tłum walczących. Jeszcze bardziej zdumiewające niż to, że elf żył, był fakt, że także Gotrek Gurnisson nadal nie był martwy. To go przekonało – w żadnym razie nie chciał zmierzyć się z tym toporem, jeśli mógł tego uniknąć. Niech ci głupcy walczą do śmierci. Zabiją elfa i uciekną.

Felix odskoczył przed wielkim odłamkiem kamiennego muru, który runął z sufitu. Idąc naprzód obracał się jak pijany na pokładzie statku szarpanego przez sztorm. Czuł, że wstrząsy są coraz silniejsze, a smród siarki nasilał się. Spośród nich wszystkich tylko Gotrek szedł bez trudu, stawiając nogi z kocią pewnością siebie.

Panika szerzyła się na polu bitwy. Nawet zaciekłość orków i szal zwierzoludzi ustępował, gdy waliła się świątynia. Konający olbrzym pośrodku pola walki oczyścił przestrzeń wokół siebie. Już teraz wielu walczących zaczęło uciekać, mając nadzieję, że unikną nieuchronnego zniszczenia świątyni. Felix nie miał pojęcia dokąd chcieli uciec. Jeśli budowla miała się zawalić, co wydawało

się aż nazbyt prawdopodobne, nie znajdują bezpiecznego schronienia.

Kilku z nich w panice rzucało się do otwartych portali. Niektórych pochłonięły zbliżające się fale chaotycznej materii. Inni zniknęli w cieniach. Po własnych doświadczeniach w tym obcym, międzywymiarowym labiryncie Felix nie zazdrościł im. Panika wywołała następny problem. Teraz musieli wywalczyć sobie drogę naprzód przez masę istot pragnących uciec za wszelką cenę. Gobliny wdrapywały się na ramiona orków, a zwierzoludzie i zielonoskórzy biegli obok siebie, gdy ich wzajemna wrogość ustąpiła w obliczu skali nadciągającej katastrofy.

Felix szedł w ślad za Zabójcą wyrabując sobie ścieżkę przez masę ciał. Wszyscy obecni wydawali się porwani przez dziką panikę. Wszyscy przeczuwali coraz bliższą zagładę. Felix pchał w każdego wroga, który zbliżył się zanadto do Zabójcy i tak wreszcie dotarli na szczyt wielkiego cokołu, na którym stał ołtarz.

Wydobywały się z niego potężne bicze śmiertelności energii, które biły w unoszącą się w powietrzu postać elfiego maga. Tarcze chroniącego go światła bladeły z każdą chwilą. Felix wiedział, że jeśli zaraz go nie ocalą, będzie za późno.

Gotrek wspiął się na cokół i pognał w stronę odzianego w złotą szatę czarnoksiężnika Chaosu. Człowiek o lisich rysach twarzy zauważył jego obecność i uniósł laskę. Powietrze wypełnił smród ozonu i siarki, gdy gigantyczna wiązka energii pomknęła w stronę Zabójcy. Gotrek uniósł topór. Runy zaśniły tak jasno, że ich obraz utrwalił się pod powiekami Felixa. Niemal spodziewał się, że Zabójca stanie w płomieniach, ale Gotrek biegł dalej chociaż jego włosy i broda były osmalone. To tylko wywołało w nim wściekłość berserka. Krasnoludy poważnie traktowały wszelkie uszczerbki swojego zarostu.

Zabójca natarł naprzód i w tej samej chwili włócznia Murdo pomknęła nad jego ramieniem, by wbić się w ciało czarnoksiężnika. Przerazenie przemknęło przez jego oblicze. Felix wiedział, że nigdy nie zapomni wyrazu tej twarzy. Czarownik wyglądał bardziej na oszołomionego niż cierpiącego, jakby nie mógł uwierzyć co się mu stało, a potem Gotrek był już przy nim.

Czarnoksiężnik uniósł laskę, aby sparować topór. Gotrek zaśmiał się szaleńczo opuszczając topór, który zakreślił lśniący łuk w powietrzu. Topór uderzył w laskę i rozszepił ją na drzazgi. Błysnęła oślepiająca energia, ale topór nadal niepowstrzymanie uniósł się i przerąbał maga na pół. Nie zadowolając się tym Gotrek posiekał ciało na mniejsze części. Małe błyskawice wyładowały się w ziemię opuszczając ciało, jakby wiele zaklęć uwalniało się do ołtarza.

Drugi mag Chaosu krzyknął, gdy umarł jego bliźniak. Odwrócił się, by spojrzeć na ciało i w ułamku sekundy na jego twarzy wymalował się przeraźliwy ból, cała agonia, jakiej doświadczył jego brat. W tym momencie jego koncentracja osłabła i zwała się na niego rzeka rozpalonej mocy elfa. Przez chwilę stał otoczony jej blaskiem. Felix widział cienkie linie mroku rozwijające się wewnątrz blasku, a potem mag Chaosu przepadł. Rzeka mocy przemknęła po ciele brata oczyszczając ziemię z plugastwa.

Felix znalazł się wraz z ocalałymi Albiończykami na szczycie wielkiego cokołu w centralnej komnacie Świątyni Pradawnych. Teclis przyłączył się do nich opadając z góry. Stali w miejscu, które wydawało się ostatnią wyspą rozsądku, gdy wszędzie wokół szalał Chaos.

– Co teraz? – spytał Felix.

– Muszę odwrócić to co, zrobili ci szaleńcy – odparł elf. – Musicie uciekać, zanim to miejsce zostanie zniszczone.

– Podoba mi się ten pomysł – powiedział Felix – ale jak według ciebie mamy tego dokonać?

Wskazał na tłumy uciekających wrogów i ściany, które waliły się wokół nich.

– Jest tylko jedna droga – odpowiedział elf.

Pokazał na nadal otwarte portale, które prowadziły do Ścieżek Pradawnych. Kilka z nich wydawało się wolnych od skażenia Chaosem. Felix potrząsnął głową.

– O nie! – powiedział. – Nie zamierzam znowu tam wchodzić.

– Nie ma innego sposobu – oparł elf.

– Nie wiemy jak znaleźć drogę przez ścieżki. Tam są demony.

– Nie wszystkie ścieżki zostały splątane. Znam drogę – powiedział Murdo. – Znam rytuały. Mogę nas wydostać.

– Znakomicie – odparł elf. – A teraz ruszajcie. Mam tu coś do zrobienia.

– Jesteś pewien, że potrafisz to zrobić? – spytał Murdo.

– Jeśli ja tego nie uczynię, nikt tego nie robi – powiedział elf. Ruszajcie.

– Czy mogę coś zrobić? – pytał Murdo.

– Módl się – rzucił elf. – Ruszajcie już!

Murdo poprowadził żalostną grupkę ocalałych do przejścia w ścianie. Spojrzał na runy wokół łuku i wskazał, by przeszli pod nimi. Gotrek przyglądał się, jak elf odwraca się w stronę ołtarza. Zatrzymał się na dłuższą chwilę, jakby miał zamiar coś powiedzieć, a potem odwrócił się na pięcie i dołączył do Murdo. Wydawało się, że zdał sobie sprawę, że to była robota dla czarodziejów i nic tu nie mógł zrobić.

Felix dotknął ramienia elfa.

– Powodzenia – powiedział.

– Tobie także, Felixie Jaegerze – odpowiedział elf. – Uważaj na siebie. Na ścieżkach nadal mogą ścigać cię te istoty.

Felix dotarł do portalu.

– Mam nadzieję, że mu się uda – powiedział do Gotreka.

– Jeśli przegra, przynajmniej jedno z tego wyjdzie na dobre – odparł Gotrek.

– Co takiego?

– Będzie jednego elfa mniej na świecie.

Ruszyli w odwieczne ciemności, które prowadziły na Ścieżki Pradawnych. Za nimi elf zaczął wyśpiewywać zaklęcie.

Rozdział 29

Teclis stał na szczycie prastarego ołtarza w Komnacie Tajemnic. Wokół siebie dostrzegał oznaki nieuchronnej katastrofy. Ściany trzęsły się, a z sufitu spadały wielkie odłamki skał, które miażdżyły zielonoskórych i zwierzoludzi. Olbrzym nadal poruszał się i tłukł, chociaż już wolniej, a jego wycie było słyszalne pomimo łomotu spadających kamieni i krzyków paniki. Powietrze wypełniał siarkowy odór spaczenia i Chaosu. Przed magicznym wzrokiem Teclisa migotały i tańczyły wielkie, przeplatające się wzory energii.

Dotknął amuletu, który dała mu Wyrocznia. Nadszedł czas, aby go użyć. Przez chwilę pomyślał, czy nie powinien ruszyć za pozostałymi i uciec na ścieżki. Skala jego zadania onieśmieliła go. Miał najwyżej kilka minut, aby zamknąć rozległą sieć magii, jaką stworzyli Pradawni. Nie miał innego wyboru. Nie będzie dla niego ucieczki, jeśli mu się nie powiedzie i nie zamierzał zawieść swojego ludu. Musi uczynić to, do czego posłała go Wyrocznia. Musi przebudzić strażników Pradawnych.

Zmówił modlitwę do Asuryana i odetchnął głęboko oczyszczając umysł, a potem odwrócił się do ołtarza. To był wielki, prostokąty blok pokryty znajomo wyglądającymi, kanciastymi runami. Większość z nich lśniła. Wszystkie coś reprezentowały. Na początku wydawały się oszałamiająco obce, ale potem zrozumiał, że w jakiś sposób jego wcześniejszym przeciwnikom udało się je uaktywnić, a to znaczyło, że nie leżało to także poza jego możliwościami. Szczególnie gdy miał ten pradawny talizman. Podniósł go do światła i wyrecytował zaklęcie, którego został nauczony. Natychmiast amulet zaczerpnął z jego mocy. Wydawało się, że z ołtarza wypływają sploty energii, które przywiązywały go do niego. Runy lśniły jeszcze jaśniej. Ziemia trzęsła się jak przerażone zwierzę.

Nie miało sensu usiłowanie zrozumienia samych runów. I tak były to tylko symbole. Musiał zrozumieć siły, jakie reprezentowały. Otworzył umysł, wysilając cały swój mistyczny intelekt, aby rozwiązać ten problem. Jeden z runów wystarczył do tego celu tak samo jak jakikolwiek inny, więc wybrał symbol, który rozpoznał jako powtarzający się na każdym oglądanym portalu, po czym skupił na nim swój magiczny wzrok.

W tym momencie pojawiła się rosnąca wizja i zobaczył dzieło o oszałamiającej strukturze. Sama runa była połączona ze wszystkimi pozostałymi runami rozległą siecią przeplatających się sił. To był prawdziwy wszechświat sam w sobie. Zastanawiając się nad możliwością manipulowania runami pomyślał, że to co robi tutaj, wydarzy się także w skali całego świata. Jednak nie było już czasu na eksperymentowanie. Szybko, pracując między kolejnymi uderzeniami serca pozwolił swojej świadomości przepłynąć przez talizman i rozbiec się na zewnątrz, aby objąć całą mistyczną sieć, podobnie jak wcześniej usiłował uchwycić wzrokiem cały układ piramidy.

Wszystko co zobaczył wydawało się potwierdzać jego podejrzenia. Ołtarz był punktem centralnym wielkiego systemu – jego wzór krył w sobie większe znaczenie i było w nim coś dziwnie i niepokojąco znajomego, chociaż w tej chwili nie do końca potrafił zrozumieć, co to mogło być.

Wzór zamigotał i zaczął blednąć. Teclis zauważył, że cały obiekt był bliski eksplozji i serce zaczęło łomotać mu w piersi. Cokół pod stopami drżał. Spadało coraz więcej skał. Zaciskał zęby słysząc śmiertelne wycie giganta. Przez chwilę zrozumiał, że jeśli cała zawiła sieć ma wybuchnąć, w żaden sposób nie zdoła tego powstrzymać. Cały niestabilny system miał uwolnić swoją energię w ostatecznym, niszczycielskim porywie. Czekał na nadejście końca wiedząc, że znajduje się w samym epicentrum zbliżającej się katastrofy.

Minęła chwila, a po niej następna. Nic się nie stało. Odetchnął jeszcze raz, a potem zastanowił się nad tym czego był świadkiem. Wiedział już co przypominał mu wzór. Oglądany pod pewnym kątem

był niemal identyczny jak mapa wyryta w Nawiedzonej Cytadeli. Wiry chaotycznej energii poruszały się przez cały układ. Kompleks energii reprezentowany przez runy był niczym więcej, jak mapą Ścieżek Pradawnych i całego złożonego systemu sił tektonicznych, z którymi były powiązane. Widział, że cały system miał swoje korzenie w królestwach Chaosu, tej obcej przestrzeni nieskończenie niebezpiecznych energii. Widział jak przebiegały w połowie odległości między tym światem, a królestwem demonów. W jednym nagłym błysku oświecenia zobaczył wszystkie punkty węzłowe, przez które pulsowała moc.

Widział także, że system był teraz skażony, zainfekowany przez Chaos. Pradawne osłony zostały zniszczone, być może przez jakiś kolosalny wypadek kosmiczny, a może był to skutek czyjegós nikiemnego działania. Pomyślał, że to nie miało znaczenia. Jeśli nie zrobi czegoś zaraz, będzie za późno. Ale chociaż posiadał wielkie zrozumienie magii, cokolwiek kontrolowało tę wielką, rozciągającą się na cały świat sieć magii znacznie przekraczało jego możliwości. Nie mógł liczyć na to, że zdoła zrozumieć to w ograniczonym czasie jaki miał do dyspozycji. To było dzieło na całe życie, a i tak nie był pewien czy śmiertelne umysły były w stanie całkowicie to zrozumieć, choćby mając całą wieczność. Jak dotąd nie zobaczył żadnych śladów strażników. Spodziewał się, że pojawią się w odpowiedzi na jego wezwanie, ale nic się nie stało. Może zabrała ich śmierć?

Szarpała nim frustracja i strach. Dotarł tak daleko i uczynił tak wiele, a wyglądało na to, że było już o wiele za późno. On i jego lud stali się ofiarami jakiegoś wielkiego, kosmicznego żartu. Przebył całą tę drogę tylko po to, by stać się świadkiem ostatecznej zagłady swego ludu. Zdusił przekleństwo. Musiało być coś, co mógł zrobić. Musiał istnieć jakiś sposób, by uratować sytuację. Gdyby tylko potrafił go znaleźć.

Felix ruszył za Murdo w głąb trzewi ziemi. Miał sucho w ustach, a jego dłoń stale powracała do amuletu, który dał mu elf. Nie chciał iść dalej. Zrozumiał, że nigdy w życiu nie bał się czegokolwiek tak bardzo, jak powrotu na Ścieżki Pradawnych. Wydawało mu się, że jego stopy są odziane w buty z ołowiu. Z najwyższym wysiłkiem stawiał kolejne kroki. Pomyślał, że raczej umrze niż wejdzie jeszcze raz do tego dziwnego, innego świata.

A potem zrozumiał, że dokładnie to się stanie, jeśli tego nie zrobi. Jeśli zostanie na miejscu, w najlepszym razie pogrzebią go skały, a w najgorszym porwie nadciągająca fala Chaosu. Ale jeśli przejdzie przez portal, może stracić duszę. Musiało istnieć inne wyjście. Może uda się wyjść przez korytarze? Gdy przyszła mu do głowy ta myśl, natychmiast zrozumiał, że to było szaleństwo. W żaden sposób nie zdążyłby przebyć całej tej odległości zanim zawali się świątynia. A nawet gdyby bogowie uśmiechnęli się do niego i udałoby mu się to, znajdzie się w wielkim nawiedzonym lesie, otoczony przez niedobitki armii Chaosu oraz zielonoskórych, setki mil od domu. Nie było szans na ucieczkę tamtą drogą. Czuł się jak szczur zapędzony w kąt przez kota. Chciał wyrwać się i uderzyć w coś mieczem, ale wiedział, że to nic nie pomoże.

Idący przed nim Murdo zatrzymał się u stóp znajomo wyglądającej *rampy*. Za *nią* znajdował się migoczący portal, który wypełniało wiele poruszających się kolorów. Felix pomyślał, że dostrzega wśród nich kształty przybierające formy demonów, ale przekonywał się, że to była tylko jego wyobraźnia. Stary Prawdomówca zaczął śpiewać i na połyskującej powierzchni coś się zmieniło. Zaczęła blednąć i gęstnieć, a Felix odniósł wrażenie, że spogląda na siebie i pozostałych jak w wielkim, matowym lustrze. Co się działo? W każdym razie wydawało się, że stary człowiek nie kłamał twierdząc, że zna niektóre tajemnice ścieżek.

Ściany zatrzęsły się ponownie. Odór spaczenia nasilił się. Felix czuł, że jeśli tu zostanie, udusi się *od* tego. Wyglądało na to, że elf poniósł porażkę. Wstrząsy następowały coraz częściej.

Murdo przemówił do swoich ludzi. Jeden za drugim przechodzili przez portal i znikali. Felix

spojrzał na Zabójcę. Gotrek ruszył naprzód trzymając w gotowości topór, jakby zamierzał zabić jakiegoś wroga. Felix dołączył do niego. Poczuł dłoń na swoim ramieniu.

– Otworzyłem przejście, chłopcze. Jest bezpieczne – nie lękaj się. Muszę teraz wrócić i pomóc elfowi.

Felix zatrzymał się wdzięczny za oderwanie od złych myśli. Desperacko usiłował zrozumieć decyzję starca.

– Jesteś pewien? On chciał dokonać tego sam.

– Są pewne rzeczy, których nie można uczynić w pojedynkę, a to jedna z nich. Idę już. Niech światłość czuwa nad tobą.

– I nad tobą – powiedział Felix patrząc jak stary człowiek kulejąc odchodzi z powrotem w stronę korytarza. – Powodzenia.

A potem wszedł w wir. Przeniknęło go zimno. Poczuł jak ogarnia go panika. Nastąpiło nagłe wrażenie niesamowitego przyspieszenia.

Teclis desperacko badał wzrokiem wielką mapę runiczną, szukając czegokolwiek – czegoś co mogłoby mu pomóc. Wiedział, że jego zadanie jest beznadziejne, ale nie chciał się poddać. W ciągu kilku chwil przyglądał się zewnętrznym granicom ścieżek i nie znalazł tam nic przydatnego, zatem ponownie zwrócił uwagę na bliższe okolice, na samą piramidę. To było centrum tego wszystkiego. Z pewnością coś musiało tu być. Inaczej nie wysłałyby go tutaj duchy z Wyspy Umarłych.

Kolejne wspomnienie pojawiło się w jego umyśle: kolumny zawierające szkielety dawno umarłych slannów. Nie wiedział, dlaczego w tej chwili o tym pomyślał, ale nie mógł zapomnieć o duchach. Być może ten pomysł podsunęli mu uwięzieni czarodzieje. To nie miało znaczenia. Szukał glifu, który odpowiadał mistycznej strukturze wielkiego zikkuratu i pozwolił swojej uwadze odpłynąć w stronę sal z kolumnami. Tak, coś tam było. Coś niewyraźnego, ale nadal obecnego. Sięgnął delikatnymi mackami magicznej esencji i uaktywnił kolumny.

Natychmiast wyczuł, że poprzez zawiłą sieć energii coś próbuje go dosięgnąć. Na początku obawiał się, że to jakaś pułapka, albo demon usiłuje uciec ze znikającego, skażonego Chaosem systemu. Otoczył barierą swój umysł, ale ta obecność nie zniknęła i nie wydawała się chaotyczna. Było w niej coś powolnego, obcego i zimnego. Wrażenie mocy i przytłumionej inteligencji. Przypominała jakąś wielką zimnokrwistą istotę, która budziła się z głębokiego snu.

Kim jesteś? Myśl nie została sformułowana w języku elfickim i Teclis nie do końca zrozumiał całe jej znaczenie, ale sens był jasny. Dlaczego nas zbudziłeś?

– Jestem Teclis z elfów i proszę o pomoc w zapobieżeniu katastrofie.

Wyobraził sobie co działo się w jego umyśle i posłał tę myśl na zewnątrz.

Ach, jesteś jednym z młodszej rasy, tej której pomagaliśmy za dni życia. Wasza rasa znacznie się zmieniła w bardzo krótkim czasie.

Teclis uśmiechnął się ironicznie. To nie zgadzało się z tym, co myślały o sobie elfy. Uważali siebie za konserwatywną i niezmienną cywilizację, która przetrwała w takim stanie całe wieki.

To mrugnięcie oka według czasu Pradawnych, Wielkich.

– Kim jesteście? – spytał Teclis.

Jesteśmy strażnikami ustanowionymi przez Pradawnych, aby nadzorować wielki plan.

Oddaliśmy własne żywota, aby nasze duchy mogły pozostać na miejscu i czuwać nad dziełem, ale stało się coś złego i musieliśmy zamknąć ścieżki, aby uniknąć katastrofy. Spaliliśmy i nasza moc odpływała, a teraz zbliża się kataklizm. Inni zakłócili wzór, kształtując go według własnego pomysłu i wyrządzili wielką szkodę.

Obrazy pojawiały się w umyśle elfa. Widział własny lud budujący kamienie strażnicze, które

ściągają moc. Widział przodków ludzi z Albionu, wysokich, dumnych i znacznie bardziej zaawansowanych niż współcześni ludzie, którzy wznosili wielkie kamienne kręgi. Widział teraz, że chociaż mieli dobre zamiary, w ten sposób zakłócili cały układ sił. Zobaczył kolejne wizje i sięgnął dalej w głąb czasu, aż do otwarcia wielkich, spaczonych wrót oraz zamieszanie jakie wywarło to we wzorze magii Pradawnych.

Ach, oto powód. Jednak, mimo całej naszej siły nie jest nam dane odwrócić tego. Dokonanie czegoś takiego przekracza potęgę bogów.

– A zatem niczego nie można zrobić? – dopytywał się Teclis. – Dzieło Pradawnych będzie rozplatane i moja ojczyzna zostanie zniszczona?

Nie, młody, jeśli nie brak ci woli, jest sposób. Posiadasz wielką moc i dzięki niej być może zdołamy zamknąć ścieżki i zabezpieczyć je, przynajmniej tymczasowo.

– Każda zwłoka będzie dobra, ale na jak długo?

Uderzenia serca Wielkiego Obserwatora. Dziesięć cykli świata wokół oka niebios. Może dwadzieścia.

Teclis zastanowił się nad tym.

– Niedługo.

Niedługo, ale jest za to cena.

– Podaj ją – rzucił Teclis.

Jedna z kolumn została strzaskana. Jedna z naszych duszy przepadła. Musimy ją zastąpić, aby wzór znowu był kompletny.

– Mówicie o śmierci, o ofercie z życia? Mojego?

Tak.

Teclis natychmiast podjął decyzję.

– Zgadzam się. Co muszę uczynić?

To nie będzie konieczne, elfie – odezwał się inny głos. Teclis rozpoznał Murdo. Wiedział, że starzec stał teraz przy ołtarzu, z dłonią na jego ramieniu, połączony z nim więzami, które istniały w tamtym miejscu i w tym eterycznym świecie.

Wiem o tym więcej niż ty – mówił dalej Murdo. Mój lud badał tajemnice wzorów. Moi przodkowie uczyli się od tych zimnokrwistych istot. Mam większe szanse. Poza tym jestem stary i wkrótce muszę odejść z tego świata. Ty masz jeszcze stulecia.

– Tylko, jeśli nam się uda – odpowiedział Teclis.

Musi nam się udać.

– Dobrze więc. Zaczynamy.

Felix czuł się, jakby miała mu pęknąć czaszka. Działo się coś bardzo złego. Tysiące obrazów migotało w jego umyśle. Widział zarysy wielu rzeczy, miejsc, światów i bąbli na ścieżkach. Ta chwila zdawała się rozciągać w nieskończoność. Wyczuwał, że podążyły za nim głodne istoty i zrozumiał, że demony znowu były na jego tropie. Miał wrażenie jakby spadał z fantastyczną prędkością w głąb nieskończonych korytarzy. Gdzieś w oddali wyczuwał moc pulsującą przez Ścieżki Pradawnych, jakby przebudziło się *coś od* dawna uspięnego. Głodne istoty zbliżały się coraz bardziej i Felix z przerażeniem upewniał się, że ściągają jego i tylko jego – że w jakiś sposób wykryły jego obecność i pragnęły pożywić się jego duszą.

Nagle przed nim pojawił się inny wir. Felix zastanawiał się, czy zdąży do niego dotrzeć.

Prowadzony przez duchy starożytnych strażników Teclis ruszył do pracy. Przepęłniała go wiedza. Zaczął rozumieć wielki kompleks energii, która przepływała przez ścieżki. Widział, jak każda część została zaplanowana niczym w doskonale obmyślonej maszynie. Teraz maszyna była zepsuta, a fakt,

że nadal częściowo funkcjonowała prowadzi do katastrofy, podobnie jak w przypadku rydwana ciągniętego drogą mimo, że jego oś pękła. Musiał teraz zamknąć portale, aby nie mogły ściągać tej wzburzonej energii.

Otworzył oczy i rozejrzył się po głównej komnacie. Murdo leżał na ołtarzu. Teclis pomyślał o tym, co musi uczynić i poczuł odrazę. Całe życie spędził będąc przekonany, że ofiara z myślących istot była aktem barbarzyństwa. To właśnie dokonywanie takich czynów oddzieliło mroczne elfy od jego ludu.

Powtarzał sobie, że Murdo zgodził się na to, że oddawał swoje życie dobrowolnie i dla większego dobra, podobnie jak uczynili to pradawni mistrzowie slannów tysiąclecia wcześniej. Ogarnęły go wątpliwości. Murdo nie był slannem, być może obrzęd nie zadziała? Jak można było liczyć na to, że dołączy do tych pradawnych duchów obcej rasy? Teclis wiedział, że mógł przeprowadzić ofiarę, ale może okazać się, że uczyni to na próżno. Było to całkiem prawdopodobne. A nawet gdyby się powiodło, rozwiązanie było tylko tymczasowe. Zapewniało najwyżej dekady spokoju. Stara otwarta rana na północnych wrotach nadal pozostanie na swoim miejscu. Ścieżki znowu zostaną zmuszone do otwarcia. Dla elfa dekada nie była zbyt długim czasem. Jaki był sens tego wszystkiego?

Usiłował zapomnieć o swojej desperacji. Sens polegał na tym, że mogli zdobyć nieco dodatkowego czasu. Podczas dekady może nauczyć się więcej, zebrać znaczniejsze siły i wrócić tu z większą wiedzą i mocą. Warto było podjąć to ryzyko, warto było zyskać na czasie. Jeśli im się powiedzie.

– Gotowy? – zapytał zwracając się do Murdo. Stary człowiek skinął głową. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie mówić. Pomimo odwagi, w jego oczach widoczny był strach. Teclis pomyślał o własnych wątpliwościach i uznał je za nieznaczne w porównaniu z tymi, jakie musiały dręczyć Prawdomówcę. Człowiek spoczywał rozciągnięty na ołtarzu w pozycji jaką opisali slannowie, z głową i stopami ustawionymi według pradawnych, mistycznych biegunów mocy.

Teclis wypowiedział poznane słowo, czując ścisk w gardle, gdy usiłował wypowiadać obce sylaby. Umożliwiły mu to tylko stulecia praktyki tajemnych języków. Gdy wypowiadał słowa, jego wewnętrzne postrzeganie świata zmieniło się. Świadomość i moc przepłynęły przez niego. Nie miał świętego noża jak starzy kapłani-magowie, ale jego miecz powinien go zastąpić. Gdy dotarł do krytycznego punktu rytuału, świątynia zatrzęsała się wokół niego jak żywa istota, a zapach spaczenia i zepsucia uderzył w nozdrza, Teclis wbił ostrze rozrywając pierś Murdo i wyciągnął jego serce opryskując ołtarz krwią. Skrzywił się widząc ból w oczach starca. A jednak w głębi swojej ciemnej i ukrytej strony osobowości, o której wiedział tylko on sam, poczuł satysfakcję. Zrozumiał, że przepaść między najdostojniejszymi z wysokich elfów i ciemnością mrocznych nie była wcale taka wielka. Poczuł odrazę do swoich uczuć. Krew wypłynęła z ciała zalewając ołtarz i spływała kanalikami pradawnych run.

Teclis czekał na jakiś znak. Nic się nie stało. Po tym wszystkim, nic. Murdo oddał swoje życie na próżno, a Teclis pogwałcił prawa swojego ludu na nic. Stłumił przekleństwo i przemożną chęć uderzenia w ołtarz potężnym piorunem energii. Przyglądał mu się swoimi oczami oraz wzrokiem maga nadal nie dostrzegając żadnej różnicy. Krew ciągle płynęła, a światło zgasło w oczach starca. Nadal nic.

Zaraz. Wydawało mu się, że kątem oka dostrzega jak runy zaczęły lśnić w nowej konfiguracji. Poczuł szarpnięcie mocy przez zaklęcie, które łączyło go z ołtarzem i pobierało z niego energię. Nasycone krwią runy zaczęły świecić. Ujrzał jak duch Murdo wychodzi z jego ciała i zapada się w ołtarzu. Gdy usta elfa śpiewały, a serce biło, czuł jak jego własny duch podąża za zabitym. Jeszcze

raz zobaczył wizję nieskończonego labiryntu energii. Dostrzegł ducha starego człowieka, teraz wyglądającego młodzieńczo i skąpanego w świetle, który płynął w stronę dwunastu innych. Wyglądali jak wielkie, stojące ropuchy, ale coś wskazywało na ich inteligencję, godność i potęgę, które zdumiewały nawet Teclisa. Duch człowieka dołączył do nich i wypełnił lukę w ich szeregu, po czym natychmiast zaczęli tkąć potężne zaklęcie. Teclis przyłączył się, wspomagając ich własną mocą i wykonywał rolę, która w starożytnych czasach należała do żywych kapłanów-magów. Zapewniał połączenie między światem żywych a nimi.

Będzie ból – powiedział mu głos w jego głowie. Mówił prawdę. Gdy stał się jednością z nimi, zrozumiał, że uzupełniali wielki wzór ścieżek i odczuwali ich zepsucie jako najstraszliwszy ból. Spaczona brama na biegunie naprawdę była dla nich raną, która zadawała im potworne cierpienie. Co gorsze, nie mogli nic na to poradzić. Teclis zrozumiał dlaczego zamknęli ścieżki i zapadli w sen. Przeżywanie przez całe wieki takiego bólu z pewnością odebrałoby im rozum.

Zamiast tego koncentrowali się na runicznych znacznikach ścieżek, obiektach, które czerpały moc z królestwa Chaosu. Niełatwo było zamknąć drogi w tym miejscu. Surowa, pierwotna moc demonicznego świata wdzieriała się przez szczeliny jakie otwierały runy, niczym lava wydobywająca się spod płaszczą ziemi.

Poczuł jak ból nasilił się, gdy wszyscy zaczęli z wysiłkiem zamykać przejścia. To było nie do zniesienia. Zmusił się do koncentracji, zaczerpnął z najgłębszych rezerw swojej istoty i skupił się na zaklęciu. Gdzieś, bardzo daleko stąd, jego ciało nadal śpiewało. Chciał wrócić do niego, zatrzymać ból, ale w tej jednej chwili zrozumiał, że to byłoby najgorsze – jeśli opuści krąg teraz, zanim zaklęcie zostanie ukończone, wszystko zawiedzie.

Teclis śpiewał, gdy runy zamykały się jedna po drugim. Ból wzrastał. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek ustąpi, czy może sam umrze, a jego duch zostanie uwięziony na zawsze z tym cierpieniem.

Drobna część umysłu nadal modliła się, by pozostali zdążyli uciec. Nie chciał, by ugrzęźli na Ścieżkach Pradawnych, gdy wyjście zostanie wreszcie zamknięte. Ból przeszywał umysł, rozdzierał go. Na krawędzi świadomości unosiła się ciemność. Desperacko usiłował zachować przytomność, gdy podjęli ostatni wysiłek.

Felix poczuł, jak uderza w niego potężna fala ciśnienia. Nie był pewien co się dzieje, ale wydawało mu się, że wytraca prędkość. Jednocześnie nasiliło się wrażenie obecności czegoś złego, jakby ścigające go istoty zmniejszały dzielącą ich odległość. Wysilał wolę, by poruszać się szybciej, ale nic się nie stało. W głębi umysłu wydawało mu się, że usłyszał okrzyki triumfu demonów. Wiedział, że będzie skończony, jeśli wpadnie w ich łapy. Teclis nie mógł go już ocalić, a Gotreka nigdzie nie było widać.

Czując sięgające po niego łapy rzucił się naprzód, w stronę wiru. Był już blisko, ale może nie dość blisko. Czuł widmowe palce na swoim płaszczu. Szarpnął się jeszcze mocniej, wyciągając jak najdalej ramiona. Już prawie. Był pewien, że coś go dotknęło. Upiorne palce stawały się silniejsze i twardsze. Zwycięskie krzyki dudniły w jego umyśle. Zbliżała się wieczność tortur.

A potem coś się zmieniło. Jakaś moc przemknęła przez dziwny wielowymiarowy labirynt. Wir przed nim wydawał się obracać wolniej, jakby coś odciągało jego energię. Okrzyki triumfu zamieniły się w okrzyki przerażenia. Coś odstraszyło prześladowców. Wyczuł, że się wycofywali, pędząc w dal, jakby desperacko usiłując dotrzeć do bezpiecznego miejsca, zanim zdarzy się coś strasznego. Może elfowi udało się? Może zamknął Ścieżki Pradawnych przed Chaosem?

Uderzyła go kolejna myśl. Może elfowi udało się zamknąć ścieżki także przed wszystkimi innymi. Jeśli tak było, Felix zostanie tu uwięziony. Razem z demonami, jeśli nie uda im się uciec.

Rozpaczliwie rzucał się usiłując dotrzeć do wiru. Przejście było już mniejsze, słabsze i szybko się zamykało. Felix pomagał sobie wykonując pływackie ruchy i modlił się do Sigmara, aby go oszczędził. Przez długą chwilę nic się nie wydarzyło, a potem jakoś przedostał się na drugą stronę i znowu wypadł do świata, który znał.

Wylądował przewracając się na twarz, prosto na twarde kamienie. Leżał łapiąc oddech. Gdy uniósł wzrok, zobaczył stojącego nad nim Zabójcę. Ponad ramieniem krasnoluda widział ocalałych ludzi i fragment niebieskiego nieba. Powietrze pachniało solą i morską wodą.

– Co cię zatrzymało, człeczyno? – spytał Gotrek.

– Wolisz nie wiedzieć.

– Gdzie jest Murdo?

– Przypuszczam, że nie dołączy do nas, podobnie jak Teclis.

– To niewielka strata.

– Myślisz, że im się udało?

– Cóż, jak na razie nie widać oznak końca świata, ale może musimy poczekać kilka dni, żeby się upewnić.

Felix podniósł się i powłócząc nogami ruszył w stronę światła. Wyszli w połowie wysokości wapiennego klifu nad zamglonym morzem. Mewy krzyczały, a światło słońca przebijało się przez gęste, wilgotne obłoki. Siobhain i Culum spoglądali na niego ciężkim wzrokiem, ale nie dopuszczał do siebie ich wrogości, przynajmniej nie w tej chwili. Czuł się jakby otrzymał nowe życie i zamierzał skorzystać z niego.

W chwili gdy o tym pomyślał, zaczęło padać.

Teclis czuł się, jakby został solidnie obity wielką, drewnianą pałką. Bolały go kości i mięśnie, a w głowie mu dudniło jakby goblin używał jej jako bębna. Powietrze było cuchnące, śmierdziało spaceniem i śmiercią. W pobliżu ołtarza spoczywał trup olbrzyma, który cuchnął gorzej niż dół kloaczny. Teclis znajdował się tysiące mil od domu i nie znajdował żadnych środków transportu wśród zawałonych gruzów nawiedzanej świątyni, zapewne otoczonej przez orki i zwierzolidzi.

Nie pozwolił, by cokolwiek z tego go przygnębiało. Nadal żył, a Ścieżki Pradawnych zostały zamknięte. Groźba światowego kataklizmu została chwilowo powstrzymana. Udało im się. Spojrzał na ciało martwego Murdo i delikatnie zamknął jego szeroko rozwarte oczy. Zastanawiał się, gdzie teraz znajdował się duch starego człowieka? Uwięziony w kamieniach razem ze slannami? Bez własnej kolumny nieuchronnie przepadnie, a wraz z nim zaklęcie, które utkali.

Teclis wiedział, że będzie musiał tu wrócić i sprawdzić, co można z tym zrobić – prawdopodobnie wraz z armią i zastępem magów, ale w tej chwili był zmęczony, daleko od domu i musiał znaleźć jakieś miejsce, żeby się wyspać. Przekonywał siebie, że jego problemy nie uciekną, gdy utykając wyruszył na poszukiwanie miejsca, gdzie mógłby odzyskać swoje siły i rozpocząć długą podróż do domu. Do Ulthuanu.